TWÓRCZOŚĆ

U. I. C. C.
NOV 30 1978
LIBRARY

7

LIPIEC

ROK VIII 1952

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VIII ZESZYT 7

WARSZAWA, LIPIEC 1952 ROK

Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 1978 z dn. 3.6.52 r. Nakład 6.280 Druk ukończono 8.7.52. 3-B-20178

JAN ŚPIEWAK

PIEŚŃ

Ojczyzno moja, w której najeźdźca
budował twierdze z mroku, nienawiści i ognia.
Ojczyzno moja sprzedawana faszystom,
zatruwana dymami spalonych,
zarażana podstępem i zdradą.

Ojczyzno moja, którą żołdacy
smagali nożami pocisków,
smagali bratnią mogiłą
twych synów walczących o wolność.

Ojczyzno moja podnosząca się w bitwach,
w domach z cegły i marzeń,
w lasach mrozem dzwoniących,
w górach wiatrem pociętych.

Całowałem twoje oczy, dotykałem rąk twoich;
ziemio Mazowsza i Wisły, ziemio Pomorza i jezior.
Pochylałem się nad strumieniami wartkimi,
nadsłuchiwałem tętna traw i krzewów wędrownych.

Chciałem ci pomóc swą pieśnią.
Dłoń twoją ogrzać swą dłonią.
I mówiłem jak wszyscy w mym kraju
gniewną mową, skupioną i twardą.

Ocaliła cię czerwień sztandarów, czerwień krwi
smagłych chłopców radzieckich i polskich.
I tyś widziała, tak dobrze widziała,
kto przez ogień, przez śmierć swoją szedł.

Ojczyzno moja, nie jesteś matką lękliwych,
chwiejących się w strachu, bezwolnych.
Hartowana świstami pocisków
podnosiłaś surową twarz.

Wróciliśmy uśmiech swym dzieciom,
młodym matkom radość rodzenia.
Wróciliśmy drzewom spokój dojrzewania,
śpiew ptakom, oczom naszym świetlistość.

Odbudowaliśmy sny nasze troską strzeżone
i miasta smuklejsze co dzień i pola szerokie.
Usunęliśmy cień nad głowami ludzkimi,
wypędziliśmy wroga, aby nigdy nie przyszedł.

Moja pieśń nigdy nie była gitarą
i nie kryła się w fałdach płaszcza.
Mówiłem jak wszyscy w mym kraju
gniewną mową, skupioną i twardą.

*

* *

Wybiegałem z domu zatroskany,
Ulicami szedłem zatroskany,
I od rana aż do nocy zatroskany.

Jakże oczy ubłękitnić syneczkowi?
Jak czerwienią wargi zaróżowić?

Rozjaśniało już liście przedwiośnie,
Trzepotało w nich światło miłośnie.
A ja ciągle myślałem to samo,
Rośnij, synku maleńki mój, rośnij.

Przychodziły dobre matki, mówiły,
Naści pokarm słodziutki, mój miły,
Żebyś wyrósł chłopakiem na chwałę.
Kołysały go, kołysały.

Kołysały, uśmiechały się,
Groźne cienie rozpierzchały się.

Synku, synku mój, wydobrzejesz,
Już oczkami do mnie się śmiejesz.

Już rączkami tyś rozigrany.
Nie powrócę dziś zatroskany.

Jan Śpiewak

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

MICHAŁ KAJKA

Sosny — kolumny gotyckich czcionek,
Kronikę Mazur piszą na wodzie.
Codzienny widok: okryte szronem
Z późnych połowów wracają łodzie...

Jest głębia ciszy w zmierzchach. Wieczorem
Wróg nie dokucza, żona nie biada...
W glinianym domku tuż nad jeziorem
Cieśla po polsku wiersze układa.

Jakby żylaste tramy piłował
Grubym ołówkiem wodzi po karcie.
Niełatwo cieśli dobierać słowa,
Słowa poddawać sercu uparcie

I przez bezmała czterdzieści wiosen
Rymami bronić ojczystej mowy,
Wypartej z miasta pod gonty wiosek
i gorzką zieleń lasów sosnowych.

Znowu ktoś z Heimatdienstu zachodził;
W czarnych bierstubach grożą faszyści...
Wiersz taki cichy, a w Rzeszę godzi
I mocne czucia budzi i myśli.

Z kart „Kalendarza" o wolność woła,
Z wyzyskiem junkrów walczy w „Mazurze"
I na olsztyńskiej młodzieży czoła
Nieznane przedtem nagarnia burze.

Wspomina Grunwald zasłany wojskiem,
Kreśli krajobraz drogi i bliski,
To znów przenosi myśl w taką Polskę,
Gdzie będzie wreszcie rozbrat z uciskiem.

Z wójtem, z landratem, z łupieskim klerem
O nich — rybaków i drwali walczy.
Wiersz źle ciosany, choć serce szczere,
Lecz by go zwalczyć, sił im nie starczy.

Drwili we wrześniu: „Cóż twe Poloki?
Generał Bezład wojska pokonał..."
Nad gładką wodą tylko... obłoki.
Mówił im: „Wojna nie jest skończona..."

*

Dziś śpi na wzgórzu, nad lustrem wody
W piasku swej ziemi, w poszyciu leśnym.
Lecz w krąg, gdzie spojrzysz, w słońcu swobody
Wzeszły marzenia Kajczynych pieśni. —

KRASICKI W LICBARKU

Wielebna nuda: cztery bram ułomki,
Czerwony zamek w „barbarzyńskim" guście.
Okienka w murach nie większe od kromki,
Łyna jak kręty rogal na odpuście.

Raził w wersalskiej smak ćwiczony szkole
Ten kraj z karocy oglądany złotej,
Gdzie stale morskie zawodzą eole
I, gdzie nie spojrzysz, bór lub grobla z błotem.

Niemieckim grafom — pyzatym i butnym
Braknie wigoru i werwy warszawian,
Lud przygnębiony, zgaszony i smutny,
A po sarmacku, acz twardziej, przemawia...

Trzeba ożywić starowieczne ściany,
Zdjąć zaschłe farby i oddać na murze
Pląsy tancerek imaginowanych,
Z Poczdamu fiołki sprowadzać i róże.

Więc chłodny wobec Warmii i przeszłości,
Śniąc o prymasach i prebendach tłustych,
Komplementuje ich królewskie moście
Pełnymi miodów arcyprzednich usty.

Lecz rym? — Rym veto uparte zakłada
I z cierpień kraju i tych ziem szarzyzny
Słowa jak skiby rwie i wypowiada
Bolesną miłość kochanej ojczyzny,

Ze skorup serca jak ów czyż ucieka
W przestwór wolności i nie zna, co skrupuł,
Dla sybaryty względów się wyrzeka
I chłoszcze możnych, frantów i biskupów...

I choć z Licbarku wyjechał purpurat,
Szedł do dostojeństw, aż zszedł w ziemię czarną
Wiersz zbuntowany, wybiegłszy spod pióra,
Pozostał z Polską, ludem jej i Warmią.

Licbark Warmiński, grudzień 1951

Tadeusz Chróścielewski

BENEDYKT HERTZ

REWANŻ

(Bajka)

Małżonkę porwał Zającowi Lis.
Nieszczęsny wdowiec bardzo się tym zgryzł
i wlazł do nory.
— Źle! — myśli. — Gdym nie umiał obronić swej miłej
dziś nawet stare wydry będą ze mnie drwiły.
Marny domowy króliczek
w oczach samiczek
będzie miał większe łaski od tej pory.
Wszyscy wiedzą, że stanąć na ślubnym kobiercu
może jedynie zając o rycerskim sercu;
więc jeśli nazwa tchórza przylepi się do mnie,
wypadnie na półmisek odejść bezpotomnie.
Tu westchnął:
— Ach! niestety, źle, źle postąpiłem,
żem do zbrodniarza głupio odwrócił się tyłem.
Trzeba go było wyzwać na kły i pazury,
gryźć, drapać, nie żałować futra ani skóry
i gnębić, nie zważając na wycia i wrzaski,
póki się nie ukorzy, nie poprosi łaski.

Na myśl, że łajdak Lis uniknął klęski,
że uszedł kaźni,
wpadł Szarak w gniew.
Gorąca mu do łebka uderzyła krew
i oczami wyobraźni
widzi już wynik swej walki zwycięskiej:
gryzie i drapie wroga, na grzbiecie mu siadłszy,
a na to tłum zajęczyc zachwyconych patrzy...
— Tak — zawołał — chcę walczyć!
Precz, krwiożercze draby!

I pędem do jeziora pobiegł — straszyć żaby.

Benedykt Hertz

STEFAN ZAWADZKI

MOJA MIŁOŚĆ

Moja miłość z warszawskiej
Nie wyrosła ulicy,
I nie w domu wyrosła,
Mego domu nie było,
Zbierałem ją w okopach,
Jak proch do ładownicy,
Na polach Białorusi,
Pośród ruin i pyłu.

Moja miłość wyrosła
I z tęsknoty i z troski
Za straconym dzieciństwem
I za jutrem spokojnym.
Miłość moją, jak życie
Poprzez bitwy przeniosłem,
Aby dom swój zbudować,
Aby strzec go od wojny.

Stefan Zawadzki

Z WCZASÓW

Dziewczynę gonić!
Nart na śniegu ślady
wiodą przez zbocza,
przez świerkowe sady.

Ten włókniarz ciszy
słucha jak powieści,
w której to śnieżne
wytchnienie się mieści.

Gałąź w rozbłyskach,
gdy ręką dotknięta.
Tam sań dzwoneczki
za drogi zakrętem.

Przez chwilę tylko,
bo znów słychać ciszę,
jak się na łapach
świerkowych kołysze.

Gdy wieczór wzejdzie
gdzieś nad szczytem gwiazdą,
wrócą natchnieni
łażeniem i jazdą.

Ktoś się zamyśli,
wspomni pokolenia,
które tu nawet
nie były w marzeniach.

*

* *

Pod Płockiem kwiecień dzień zaczyna
wód zwoływaniem się w parowach.
Choć lód na drodze w koleinach,
to już nie o nim będzie mowa.

Świecą się pni bielone sadów
i jabłka widzę w przyszłej trawie.
Świergot malutkich wodospadów
ścieżynom, łąkom coś wymawia.

Mija cię dawnych szarug córka,
z tobołem rózeg rokicina...
Oczom ukaże się z pagórka
Wisła to srebrna, to znów sina.

Jak nutki pieśni, przebiśniegi. .
W tarninach wróbli hałas rośnie.
O jakież jeszcze dni, noclegi
tu pytać,
gdzie takie przedwiośnie?!

Jan Huszcza

ZACHĘTA DO TAŃCA

Tańczyli objęci, parami,
Śpiewali zgodnymi chórami,
Ta radość jest w nas ukryta,
Ta radość jest wspólna nad nami.

Ptaki, dziewczęta, kropelki,
Wam fruwać, migotać i śpiewać,
A wam, owoce na drzewach,
Na wielki urodzaj dojrzewać.

Los ma być dla nas łaskawy,
Uparty pochwycił go ptasznik:
Zatrzepie raz drugi skrzydłami,
Nie będzie ptakiem z baśni.

Szeroko łan przez sto koni
Zorany w krąg się zatoczy,
Czemu płakałaś, dziewczyno,
Gdzie miałaś oczy?

ROZMOWA Z CHÓREM CHŁOPIĘCYM

przypisana chórowi poznańskiemu Stuligrosza.

— Ptaszki moje, dzióbki kruche,
Coście jedli na śniadanie,
Że piejecie tak niebiańsko
Pod to granie?

Czyście w lesie, na wagarach,
Miody pili i jagody,
Po murawie-ście biegali,
Po mchu miękkim katulali?

— Na śniadanie myśmy jedli
Biały ser i z masłem bułki,
A po mchu by się katulał
Zimą chyba jakiś głupi.

Po śniadaniu szkołę mamy,
Raz w tygodniu próba chóru.
Teraz państwu zaśpiewamy
O Kaźmierzu, polskim królu.

Julia Hartwig

TADEUSZ BOROWSKI

DYSPUTY KSIĘDZA DOBRODZIEJA

OD REDAKCJI. Szkic opowiadania Dysputy księdza dobrodzieja, osnutego na wypadkach wolbromskich, został znaleziony w papierach pośmiertnych Tadeusza Borowskiego.

Nad opowiadaniem tym Borowski pracował przez wiele miesięcy. Nie zdążył nadać mu ostatecznego kształtu. Wnikliwie opisał działalność zbrodniczej bandy. Natomiast ludzi pracy, ludzi Partii, zetempowców — zdołał jedynie zakreślić liniami konturowymi, które, jak wiadomo z wielu rozmów z nim, zamierzał później wypełnić dobitniejszymi barwami.

Nieoczekiwana śmierć 3 lipca ub. r. przerwała pracę Tadeusza Borowskiego nad opowiadaniem.

Kiedy umilkły pienia kościelnego chóru, kiedy ksiądz wikary, dyrygent niezmordowany, pożegnał muzykalnych parafian i powoli powlókł się na wikarówkę, do domu stojącego w ogrodzie przy kościele, kiedy już zapadło pogodne, jesienne, złote popołudniowe i nad stawami miasteczka zalśniło czerwonawe słońce zachodu, kiedy przebrzmiały w kościele głębokie, uroczyste, pobożne tony organów, kiedy rozeszli się już śpiewacy cmoknąwszy księdza wikarego w rękaw sutanny, Obłupek, młodzieniec pobożny, o czarnych kręconych włosach i czerstwej jak krew z mlekiem cerze, odziany w zieloną, nieco przykrótką marynareczkę, opięty pod szyją wzorzystym krawatem, zawiązanym na modłę małomiasteczkową, szurgając uroczyście butami zbiegł po schodach z chóru, nucąc pod nosem ostatnie strofki pobożnej pieśni o cudownym obrazie z kościółka, zaginionym przed wielu laty. Wypadłszy na ocieniony topolą podwórzec kościoła, machnął się przez furtkę dzielącą plac od ogrodu księdza dziekana, zanurzył się między młode krzewy malin i rozległe jabłonie, obwieszone ciężkimi, czerwonymi jabłkami. Przez chwilę wsłuchiwał się w brzęczenie pszczół, z rozkoszą wdychał przepiękne zapaszki, którymi igrał sad boży, wreszcie ominąwszy pasiekę wyszedł na ścieżeczkę przy altanie, w której siedział już ksiądz dziekan — niemłody ale mądry, energiczny ojciec, opięty, choć było ciepło, w czarny sweter na sutannie z odsuniętymi nieco powyżej łokci rękawami — i czytał brewiarz. Obłupek podszedł do księdza, cmoknął go w rękaw, i przedstawiając kolegę, kaprawego blondyna, wysokiego, o sennych jak u śniętej ryby oczach i zmysłowych ustach, powiedział z zapałem: . . .

— Jeszcze kilka prób i jasełka nasze będą gotowe. Wydaje mi się, roszę księdza, że trzeba by dać więcej pieśni maryjnych, sławiących asz cudowny, zaginiony obraz. To nieładnie, że na naszym głównym tarzu tkwi jakaś tam kopia obrazu, który znajduje się w Rumunii. ożna by się starać przez władze, aby go nam zwróciły. Toż to byłaby roczystość!

Ksiądz dziekan o twarzy nieco wzdętej i zaspanej, widocznie z nocego czuwania, zacmokał wargami w zadumie:

— Ale, mój Obłupku, i ty i ja wiemy, że nasz rząd nie kwapi się raz ze sprowadzaniem cudownych obrazów. Zresztą nasz wikariusz eneralny uważa, że nie trzeba podejmować starań. Nieraz tęsknota dzi więcej daje Panu Bogu, niż samo jej ziszczenie. Pan Bóg wie, co bi, wystawiając nas na próbę wytrzymałości. Módlmy się, mój Obpku, a na pewno będzie nam dane przeżyć wielkie i radosne dni.

Pomilczeli chwilę. Siedzieli na ławeczce w altanie, zasłoniętej trzech stron świata przez żywopłot i bluszcz. Po ścianach altanki ęły się przekwitłe już róże, zasadzone na sposób niemiecki girlandami d altanką: dalej ciągnęły się zagony kartofli, wśród których pięły ę poważnie jabłonie i grusze, wreszcie okalał grunta plebanijne przy ściele wysoki żywopłot, w którym misternie przepleciono drut kolasty, aby swawolne łobuzy z miasteczka nie wdzierały się do sadu, e wybierały ukradkiem plebanowego dobra i bożego błogosławieńwa nie uszczuplały sługom bożym. Kościół wznosił się na wzgórzu, eopodal miasteczka, które złociło się w dolince, iskrzyło się blaszanym chem poczty i starostwa, Rady Narodowej i szkoły, budynków czerpnych, okazałych, wystających ponad gontowe, biedne, zapuszczone chy zwyczajnych domów, ukrytych w opłotkach i ocienionych wykimi topolami i orzechami. Kwitły tam piwonie w ogrodach, słychać ło porykiwania krów. Przez rynek miasteczka z turkotem przejechały edki chłopskie, skręciły w jedną z czterech ulic pryncypalnych, navaną Kościuszkowską, na pamiątkę wjazdu Kościuszki do miasteczka czasie insurekcji. Zamyślili się, spoglądając na miasteczko, nad którm, przy przeciwległym stoku wzgórza rozsiadł się wielki węzeł kojowy, budowany ze względu na Nową Hutę. Powstawała nowa parozownia i chodziły bagry we mgle. Niedługo miały ruszyć na tej linii erwsze parowozy.

— Proszę księdza dziekana, ja mam do księdza jedno zapytanie — ekł nieśmiało Obłupek i pocałował księdza dziekana w mankiet.

— Mów, Obłupku — rzekł ksiądz i popatrzył z przyjemnością na

otwartą, szczerą, miłą, młodzieńczą twarz chłopca, studenta ekonomii, a przecież niezarozumiałego jak to dzisiejsza młodzież, oddanego — myślał sobie — sprawie bożej, wytrwałego chórzysty Pana Boga, skromnego, ufnego i przystępującego często do spowiedzi.

— Proszę księdza dziekana, jak ksiądz się zapatruje na konspirację? — zapytał prosto z mostu Obłupek.

— Praktycznie?

— Najpierw teoretycznie, proszę księdza dziekana. Czy konspiracja sprzeciwia się etyce katolickiej? Czy też jest z nią zgodna? Bo, można sobie wyobrazić, że ktoś wstępuje do podziemia i chce być dobrym katolikiem, ale musi wykonywać rozkazy. Ksiądz rozumie przecież, że to może być powodem rozdźwięków, sprzeczności etycznych.

Ksiądz dziekan milczał przez chwilę. Obłupek patrzył na niego krowimi oczyma, jak dziecko patrzy na matkę, która rozlewa do kubka i zaraz da się mu napić ciepłego, słodkiego mleka prosto od krowy, którą przed chwilą pasło. Kolega Obłupka milczał, rysując kijkiem na piasku kręte linie. Prawą rękę trzymał z przyzwyczajenia w kieszeni i rzucał spod jasnych, krzaczastych brwi surowe spojrzenia na okolicę, na jabłonie, na niebo czyste i pogodne, na czerwony kościołek i na grupę chłopców, która przystanąwszy przy bramie kościelnej wiodła rozmowy. Z dołu, z drogi, która pięła się wzgórzem i przechodziła koło kościoła, słychać było skrzypienie kół. Po drugiej stronie, gdzie rozciągał się park, porosły stuletnimi dębami, jaśniał pośród drzew pałacyk, w którym teraz znajdowała przytułek świetlica PGR-u. Był to pałac pohrabiowski — hrabia uciekł zaraz po ofensywie styczniowej — obok pałacyku znajdowały się zabudowania gospodarskie PGR-u, widniały ogromne dziedzińce przed magazynami, stajniami, oborami. Był to wzorowy PGR, który hodował nierogaciznę i uprawiał wysokokwalifikowane ziarna; kierownikiem jego był nie fachowiec, lecz facet z sąsiedniego miasteczka, chłop z białostockiego, przysłany przez PZPR. Młody kolega Obłupka, przysłuchując się uczonej rozmowie, myślał o facecie z PGR-u: o wiele łatwiej, gdyby tyle nie gadali, łupnąć i tyle...

— Mój drogi Obłupku, rzekł uroczyście ksiądz dziekan — widzicie, moi najmilsi, istnieje przecież piąte przykazanie, które nakazuje — nie zabijaj!

— Ale wroga przecież można zabijać, proszę księdza dziekana — odezwał się milczący kolega Obłupka, rzucając na księdza badawcze spojrzenie. Miał rozpięty kołnierzyk, widać było, że latem bardzo się opalił.

— Istnieje wróg aktualny i wróg potencjalny. Ale nie każdy wróg, ıczy teologia katolicka, może nam zagrażać. Na przykład rekin, jest ıaszym wrogiem, ale żyje daleko w morzach i nam nie zagraża. Czy naczy to, że powinniśmy żyć pragnieniem zabicia rekina? Oczywiście, ie. Ale dopiero wtedy, gdy wróg znajduje się blisko nas, gdy zagraża ıaszemu życiu czy naszemu bezpieczeństwu, gdy jest, jak mówi nauka atolicka, agresorem — aktualnym bądź potencjalnym. Są to, mój Obupku, sprawy bardzo zawiłe i nie na nasze głowy i nie na ludzkie roumy. Ale pokrótce można tę naukę przedstawić tak: wrogiem człoıieka jest ten, kto jest wrogiem Boga. A więc szatan przede wszystkim. o on pociągnął człowieka na pokuszenie i oddalił go od miłości bożej, akłonił go do grzechu śmietelnego, pozbawił raju i wygnał na ziemię, vprowadzając śmierć i zepsucie w los człowieka. Kościół, który zastępuje Chrystusa na ziemi, ma również swoich wrogów. Są to ci wszyscy, tórzy nie wierzą w Boga, nie wierzą w ziemską i nadziemską funkcję ościoła, lekceważą jego posłannictwo, którym się wydaje, że mogą buować szczęście człowieka bez udziału kościoła.

— Komuniści?

— Komuniści — rzekł dziekan.

— A więc można walczyć z komunistami? A weźmy takiego seretarza tutejszej organizacji partyjnej na parowozowni. Ma żonę, ona będzie niedługo rodzić. A przecież to nieprzejednany wróg kośioła. Jakże nie zabić go, proszę księdza?

— Każdy człowiek postępuje zgodnie z nakazami swego sumienia nie można mu nakazać postępować inaczej. Kościół, matka nasza, zuwa nad swoimi synami, nagradza walczących o sprawę Chrystusa a ziemi, ale nie nakazuje nikomu, aby szedł i walczył. Bronią kościoła est słowo boże i boże przykazania, mój Obłupku.

— Proszę księdza, dokonaliśmy napadu na spółdzielnię spożywczą Jeżówce — rzekł milczący dotychczas kolega Obłupka.

Ksiądz dziekan drgnął.

— Zabraliście stamtąd pół miliona złotych?

Kolega Obłupka kiwnął w milczeniu gołową. Nie spiesząc się wyıśnił:

— Oni chcieli wysiudać stamtąd sklep prywatny, nałożyli podatki, myśmy nie mieli pieniędzy na organizację. Mamy wielkie kontakty województwami w centralnej Polsce i na zachodzie. Trzeba na zakup roni, na pensje, a zresztą z czego będziemy żyć? Spółdzielcze, komuistyczne, nie żal. I ludzie muszą wiedzieć, że działamy.

— Zagraża nam niebezpieczeństwo, proszę księdza dziekana — rzekł Obłupek. Dobierają się do nas. A nasi chłopcy nie wiedzą, czy dobrze robią siedząc w organizacji. Niektórzy, jak otwarto budowę, chcą iść pracować, wymigują się od rozkazów, rozprzężenie wdziera się do naszych szeregów.

Ksiądz dziekan zerwał się gwałtownie z plecionej ławeczki w altanie i zatupał nogami z wściekłością:

— Rozprzężenie! Dam ja wam rozprzężenie! Banda dzieciaków! Jak się nie weźmiecie w kupę, to w ogóle do mnie nie przychodźcie. Czy wam się wydaje, że będę gadał ze smarkaczami. Wynoście się!

— Ale księże dziekanie, grozi nam naprawdę niebezpieczeństwo — rzekł z wyrzutem Obłupek. — Ten mały smarkacz za bardzo przestaje ze studentami.

— Walduś? — spytał pośpiesznie dziekan i spojrzał z ukosa na Obłupka.

— Walduś — radośnie pokiwał głową Obłupek.

Po czym zapadło milczenie.

— A kapral Jesionek? — zapytał dziekan. — Kręci się tu koło plebanii, a moi parafianie mówią, że się odgraża i żyć nie daje. Już mu przeszkadza garbunek skóry i chciałby wszystkie zwierzęta domowe przekazać państwu. Przeszkadza mu, jak katolik kiełbasę zjada.

— On też nam myszkuje — rzekł z westchnieniem Obłupek.

Ksiądz dziekan wstał z wyplatanej ławeczki i przeciągnął się. Słońce świeciło wprost przez uchylone drzwi do altanki, na ścianach leżały wielkie, soczyste plamy winorośli, jabłka czerwieniły się na jabłonkach, dalekie brzęczenie owadów i świergot ptaków mówiły, że piękny świat pachnie jesienią.

— Idźcie już, moi kochani — rzekł miękko dziekan. — Nie trzeba zbyt długo przebywać na plebanii. Pomodliliście się już, pogadaliście z księdzem o cudownym obrazie, urządzicie na pewno składkę na ten obraz, chodząc po mieszkaniach, nie trzeba, żeby ludzie wiedzieli za dużo o waszym oddaniu sprawie bożej.

Miękką, białą, pulchną dłonią uczynił znak krzyża nad pochylonymi głowami młodzieńców, uśmiechnął się, co nie licowało z jego chmurnym zawziętym obliczem, odprawił ich i usiadł znowu na ławeczce sięgając po brewiarz. Obaj chłopcy zeszli ścieżką przed kościół, zabrali rowery oparte o płot i wyjechali na drogę wiejską, prowadzącą do miasteczka. Jadąc minęli auto naładowane studentami, którzy ze śpiewem wracali z pracy na polach PGR-u, pokiwali im ręką i skierowali się do miasteczka. Na rozwidleniu minęli kaprala Jesionka, który szedł sobie

na piechotę ścieżką i pogwizdywał. Kościół i plebania nikły coraz bardziej, wśród zieleniejących się, pysznych drzew, topól, klonów i grusz błyszczały z daleka czerwienią cegieł i złotym dachem jak feudalny zamek.

•

Wprowadzili rowery do sieni, ciemnej, niskiej, cuchnącej kurami, które rozmnażały się w sąsiednim kurniku, a przez cały dzień łaziły po obejściu i ganku, dziobiąc rozsypane ziarna. Zapukali i weszli. Barczak leżał na łóżku i czytał książkę. Zamknęli drzwi i spytali.

— Gdzie Podsiadło? Dawaj go tutaj!

Barczak wstał, otworzył klapę w podłodze, wlazł do piwnicy i zaraz wyprowadził mrugającego ślepiami Podsiadłę. Był on nieco blady, niewyspany, przepity; wczoraj przeszedł dwadzieścia kilometrów w ciemną, nieszczową noc, po dokonaniu napadu w Jeżówce; popijali tęgo i zdrowo.

— Jak Walduś?— zapytał Obłupek.

— Nie ma go — odrzekł Podsiadło. — Matka się niepokoi.

— Pewnie znowu poszedł do studentów — rzekł Barczak. — Zęby mu powybijam.

— Nic mu nie powybijasz, bo chłopaka trzeba szanować. Trza go zamykać w domu, żeby sam nie chodził, bo nieszczęścia napyta.

Zamyślili się. Barczak wyciągnął z szafki chleb, nakrajał kiełbasę, zaczęli jeść.

— Gadajta, chłopaki — rzekł Podsiadło, napychając się chlebem.

Wysłuchawszy sprawozdania z rozmowy z księdzem powiedział:

— Trza się uaktywnić. To, co my zrobili do tej pory, to zero jest. Gajdos uważa, że śpiemy, i ma rację. Przeszkolenie macie, kontakty my nawiązali, chłopaki siedzą w terenie i oczy mają otwarte, ale ręce o trzymają na jajach. Dokąd się będziemy patrzeć? Aż nam pod nosem spółdzielnie pozakładają i chłopów pospędzają? Że na murach piszem? Że ulotki czasem przychodzą? To betka, jak psu mucha. Tu, na owiecie, to my pany i to trzeba pokazać. Nasi trójkowi za mało inicjatywy wykazują. Ty, Obłupek, mi nie przecz: śpiewać w chórze umiesz, za cudownym obrazem się uganiasz, to dobrze, ale trzeba za naszą robotę się brać. Skąd forsę weźmiem na przeżycie? Za dużo, racie, ich aktywistów kręci się w terenie. Ja dzisiaj pomyślałem: rąbiem PGR, rąbiem „Rolnika"', rąbiem PCH, a potem jak się zdarzy. dzie zima, pójdzie po zbiorach znowu agitacja za spółdzielniami, wiecie, chłop, jak ziemi ma mało, to co mu szkodzi spróbować. Trza trochę upy przetrzepać ludziom.

Skończył, gdy weszła gospodyni. Postawiła przed chłopakami tłusty bigos i powiedziała wybuchając płaczem:

— Ja już dłużej nie mogę. Ten chłopak mnie z nóg zwali.

Podsiadło zerwał się z krzesła, posadził ją na ławie, zasunął firanki w oknie i powiedział:

— Chłopaki, kikować na ulicę.

— On mnie doprowadzi do zguby! Futro mi ukradł, co mi mąż nieboszczyk przyniósł za okupacji! Biżuterię ukradł! Całe dnie go w domu nie ma! Ja się boję! Ja się za was wszystkich boję! Jesionek mówi, że nas wszystkich, jak tylko złapie, to wykończy! W sklepie słyszałam, jak się przechwalał!

— Niech się pani Grabińska uspokoi — rzekł miękko i czule Podsiadło.

Był to blondyn o przylizanych włosach, chłopskiej, chytrej twarzy. Patrzył szeroko i bystrze niebieskimi oczkami na otoczenie, chadzał w bryczesach i miał buty zawsze lśniące. Był nieco blady, gdyż całe dnie siedział w piwnicy; poszukiwała go bowiem MO. Spalił się podczas jednego napadu i wychodził na akcje tylko nocą, w bliskie okolice. Znali go mieszkańcy, bali się, bo zaraz strzelał z rewolweru, a miał ich przy sobie dwa, zgodnie ze sztuką dywersji.

— Zajmiemy się chłopakiem, a i inni nam nie uciekną.

— No, to jedzcie — powiedziała spokojniej Grabińska. Postawiła przed nimi bigos, rozdzieliła go na talerze, wyciągnęła z szafki wódkę, nalała chłopcom do kieliszków.

— Hup, siup! Zdrowie pań po raz pierwszy! Bawić się i weselić!

Za czym zaczęli pić. Była niedziela. Pana Boga z rana pochwalili, po południu, jak wiadomo, człowiek powinien odpocząć.

— Ech! Pójść by tak teraz na miasteczko! — rzekł podchmielony Podsiadło.

*

Miasteczko rozciągało się w dolinie, którą z południa okrążał tor kolejowy. Z budowy, która leżała w pewnej odległości od miasteczka prowadziła droga, rozwidlająca się tuż przed miasteczkiem. Na skrzyżowaniu stała figura Matki Boskiej, ufundowana przez mieszkańców za przeżycie okupacji. W miasteczku figur takich było co niemiara — najbardziej wystawna i okazała była figura świętego Floriana, który chronił i patronował budynkom straży pożarnej. Przed wojną było to typowe miasteczko nędzy galicyjskiej: osiedlali się w nim Żydzi, rymarze, siodlarze, szewcy, było trochę zakładów pogrzebowych, aku-

erek, kilka restauracji spod ciemnej gwiazdy, a w opłotkach wiej-
ich bawiły się w bagnistych podwórzach wśród psów i kur dzieciaki
norusane, rachityczne, z wzdętymi brzuchami. Co tydzień miasteczko
rzeżywało wielki jarmark, podczas którego rozkładano na płachtach
wprost na ziemi, na kamieniach kocich rynku kartofle, buty, dewo-
onalia, marchewkę, ziarno i co tylko chłopu i rzemieślnikowi po-
zebne jest do życia. Z okolicznych wiosek zjeżdżały wtedy do mia-
eczka nie kończące się sznury furmanek, wyprzęgano konie na rynku,
jeżdżały biedki pod domy bogatszych ludzi w miasteczku — doktora,
auczyciela, starosty, policjantów, wyładowywały towar i po skwar-
ym, targowym dniu wracały obładowane towarem miejskim do swoich
iosek. Tutaj odbywały się przed wojną wymarsze faszystowskie, tu-
j w okolicy był słynny uniwersytet ludowy, gdzie nauczyciele doszu-
wali się w bogatych synach chłopskich duszy indywidualnej i roz-
ijali w nich osobowość, pozwalając równocześnie bujać ich tęsknotom
abstrakcyjnego socjalizmu, który ich z czasem przemieniał w najza-
ętszych zwolenników kułactwa, uczył nienawidzić rewolucji, organi-
wał ich w całkiem realne bandy, nawiązywał ich łączność z Racła-
icami, z Siewem, z ugrupowaniami kułackimi. Zbierali więc broń po
ałupach, kumali się z wywiadami, nawiązywali sieci wywiadowcze,
konywali sabotażowych akcji po wsiach, dźgali widłami wysłanników
GR-u, wstępowali jako pracownicy do PNZ-etów, aby tam udając
chowców paraliżować produkcję zbóż i warzyw, hodowlę zwierząt
gospodarkę leśną, plątać dostawy żywności. Słowem — jak wszędzie
miastach, wsiach, na każdym metrze kwadratowym rozparcelowanej
emi polskiej, w każdym zakładzie pracy — tak też w Szpotawie, ma-
m miasteczku niedaleko Krakowa szalała zacięta walka klasowa.

Miasteczko przeżywało swe trzy krótkie, olśniewające okresy świet-
ści. Kiedy we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku wycofywała
ę przez miasteczko polska kawaleria, gnana przez czołgi niemieckie,
edy Żydzi opuszczali sklepy, kiedy tysiące ludzi z miasteczka szły
wielką rajzę wrześniową, rozpoczął się w miasteczku wielki rabu-
k skóry, siodeł, zapasów w sklepach, dziki, nieprzytomny handel
cwańszymi Niemcami, którzy zagrabiwszy na jednej ulicy materiał
y cement, buty czy meble, sprzedawali na następnej. Minęło to wraz
ostatnimi dniami września. Do miasta zjechała administracja nie-
ecka, zaczęło urzędować małe ale energiczne Gestapo, poszły
erwsze wysyłki ludzi do więzień i obozów, niedaleko Krakowa
czął na terenach Rzeszy działać Oświęcim. Wtedy miasteczko zarzu-
vszy rabunek, rozbój i pogrom, zaczęło uprawiać inny proceder, ob-

myślony na dłuższą metę. Proceder ten dawał ogromne zyski nowej warstwie społecznej, która się w miasteczku wytwarzała — lumpenmieszczaństwu. Powstawały swoiste, wojenne przemysły: bimbrarstwo, potajemny garbunek, nielegalny ubój świń. Szeroko po okolicznych wsiach znani byli szewcy szpotawscy; rzeźnicy byli cenieni na wagę słoniny, bimbrarze jeździli po okolicznych wsiach jako instruktorzy, zakładając całe gniazda wyrobu bimbru, przywożąc ze sobą kotlarzy, pobielników, którzy klepali kotły, ciągnęli rurki do rektyfikacji, a razem z nową wiedzą przywozili tajne gazetki, czasem nawet broń, służyli jako łącznicy, nizali konspirację, wysyłali do lasu chłopów. W okolicy zaczęły szaleć bandy kułackie, które opiekowały się wsiami, przyciskając biedotę, egzekwując podatki, wysyłając ludzi do Prus na roboty, wymierzając sprawiedliwość peperowcom, jeżeli tacy byli w okolicy. Szpotawa była centrum tych wszystkich ruchów politycznych. Wyrabiała także trumny, malowała je melancholijną niebieską farbą, kreśliła na nich szerokie, białe krzyże i pasowała do nich kandydatów; wydawała wyroki, kumała się z Niemcami, żyła, rozrastała się w tych swoich śmierdzących opłotkach. Szczególnie gdy z miasteczka wysiedlono do getta krakowskiego Żydów, gdy warsztaty żydowskie objęła polska biedota rzemieślnicza, gdy do miasteczka zwaliły się gromady pośredników spod ciemnej gwiazdy, którzy handlowali pożydowskimi rupieciami, rozbierali całe krzywe domki na opał, sprzedawali bety i meble, dłubali w ścianach i podłogach, poszukując ukrytego złota, kosztowności, amerykańskich obligacji i dolarów, brylantów i rodzinnego srebra, a zwykle znajdowali tylko rodzinne fotografie, albumy i zamurowane w ścianach pożółkłe listy miłosne rzemieślników do przyszłych żon. W tym czasie miasteczko tętniło szczególnie żywo; rozrósł się bar przy rynku, pękate fury chłopskie zajeżdżały na rynek i, mimo łapanek i przymusowych rekwizycji, wracały pełne wszelakiego dobra do chałupy. Straszny to był, ale dobry czas, mawiali nie bez kozery chłopi, a i pokątnym grabarzom na złe okupacja nie wychodziła i daj Boże Podsiadle tyle lat więzienia, ile chromowych butów oficerskich przeróżnym panom oficerom z Gestapo, SS, Wehrmachtu, wygarbowali ze skór zdobycznych; ile za to francuskich koniaków i perfum, greckich daktylów i żółwiów dostali; ile włoskich pomarańczy i dobrych rosyjskich kożuchów poszło w miasteczku na czarny rynek, ile transportów wojskowych konserw, koców, materaców i wszelkiego dobra, a nawet co lżejszego uzbrojenia przewinęło się przez ręce zapobiegliwych kupców szpotawskich. Miasteczko, słowem, nie znało bojaźni bożej i modliło się, aby takie czasy nie minęły, a tylko wróciła dobra, sanacyjna,

prawomocna Polska, okupant poszedł precz i zamiast koguta czarnego ze swastyką przyszedł orzeł z zawadiacko i zuchowato zesuniętą na czub koroną. Trudno orzec właściwie, jakie były marzenia miasteczka; o pewne, że chodziło o Polskę wolną, którą by rządził jakiś król, najlepiej angielski. Żaden z rymarzy, siodlarzy, bimbrarzy nie sprzeciwiałby się, gdyby księciu Windsoru czy Gloucesteru przyszła ochota koronować się na króla Polski; owszem, witaliby go po staropolsku chlebem i solą jak Ludwika Andegaweńskiego, Jagiełłę Litewskiego czy Henryka Walezego. Nieszczęściem, żaden książę angielski nie chciał koronować się na króla polskiego, toteż gdzieniegdzie przechowywano jeszcze portrety Franciszka Józefa, czasopisma legionowe...

Tak więc za czasu wojny rozrósł się handel miasteczkowy; zyskała również na znaczeniu plebania, a miejscowy ksiądz, uczony dziekan Dobora, chłop z dziada pradziada — którego ojciec pochodził ze wsi sąsiedniej, miał gospodarstwo czterdziestohektarowe, gospodarzył jak pan udzielny i synów chował w wielkim poważaniu i oświacie — cieszył się wielkim szacunkiem w całym miasteczku i był niejako symbolem Polski, chodzącym w sutannie po miasteczku i z każdym gadający łaskawie. Taki codzienny symbol strasznie kojąco działał na duszyczki wiernych. Ksiądz dziekan, który przed wojną i pierwszego roku po wrześniu wychowywał młodych alumnów w seminarium duchownym w Kielcach, otrzymał po aresztowaniu i rozstrzelaniu miejscowego proboszcza skierowanie do Szpotawy, i w ciągu kilku miesięcy postawił nieco zaniedbaną parafię na nogi, pilnując zbierania składek przez miejscowe społeczeństwo i odwołując się do ofiarności bogatszych gospodarzy. Otrzymywał więc hojne upominki, ofiary na msze święte po zaginionych bojowcach, sute opłaty za śluby i pogrzeby, i dzięki temu mógł niebawem przystąpić do krycia kościoła nową blachą — zamówił dekarzy i ślusarzy, najął z Krakowa malarza-stalugistę, jednego z dwu tysięcy, którzy wytrwale malowali abstrakcyjne i kapistowskie, impresjonistyczne kawałki płótna i czasami tylko wynajmowali się bogatszym gospodarzom, malując portrety im i całym ich rodzinom, aby po powrocie zdobić kawiarnie i bary krakowskie stylizowanymi, sielankowymi obrazkami, zaczerpniętymi z mitologii greckiej, która nie wiadomo czemu wchodziła znowu w modę. Wynajął więc młodego zdrowego malarza krakowskiego, który zrobił mu jak żywą kopię zaginionego obrazu Matki Boleściwej, zamalował boczne ściany kościoła ornamentami i wymyślnymi figurkami, dał wielki obraz na plafonie i podziawszy całe lato na plebanii, wyjechał z pękiem „górali" do Krakowa, do swoich ukochanych stalug i abstrakcyjnych kompozycji. Tym-

czasem ksiądz ogrodził betonowym murem stary cmentarz, który rozciągał się daleko za kościołem, na zboczu wzgórza, porośnięty rzadkimi drzewami, topolami, brzozami i gdzie leżeli wszyscy dziedziczni hrabiowie majątku Szpotawa, odnowił plebanię i mieszkanie dla swego wikarego, którego wziął sobie z seminarium duchownego w Kielcach — mógł się z nim łatwiej porozumieć, bo każde słowo chlupało między nimi bez śladu jak w wodę — uszył nowe chorągwie kościelne, ozdobił je barwami papieskimi, zrobił nowe obrazy na procesje, dał nowe ławki w kościele i obił siedzenia konfesjonałów czerwonym, wygodnym pluszem, jako też wyłożył kamieniem podwórzec kościelny, czym podniósł szeroko szacunek parafian dla potęgi kościoła. Szanowali dziekana swoi i obcy, i nieraz na plebanię zachodził sam kapelan stacjonującej w okolicy jednostki niemieckiej — był to pułk bawarskich katolików. Ksiądz dziekan znany był w powiecie jako energiczny duszpasterz, ale w świecie katolickim wielkim poważaniem cieszyły się jego prace pisane po łacinie o tomizmie, gdzie dowodził zgodności tomizmu z nowymi czasami. Tak więc plebania opierała się o miasteczko, a miasteczko o plebanię i dopiero, gdy nad miasteczkiem pokazały się samoloty radzieckie i z daleka zagrzmiały strzały ofensywy styczniowej, a po śniegu zaczęły przemykać figurki uciekających Niemców, kiedy pojawiły się pierwsze szeregi wywiadowców radzieckich, wtedy w miasteczku pozamykały się ckiennice, na plebanii zamarło życie, zresztą tylko przez pierwszy dzień. Nazajutrz bowiem po wyzwoleniu ksiądz odprawił dziękczynne nabożeństwo, pobłogosławił kościół pełen młodych ludzi w krótkich kurtkach, przemówił o chrześcijańskim obowiązku młodych Polaków ratowania kultury katolickiej, wspomniał o Polsce, jako o przedmurzu chrześcijaństwa, odwołał się do czasów, gdy w miasteczku rządzili Tatarzy, którzy straszyli kobiety skośnymi oczami i wystającymi skułami, strzelali z łuków do niewinnych dzieci, gwałcili dziewice, mówił o rycerstwie i husarzach, o szlaku Sobieskiego, o przywiązaniu do ziemi rodzinnej, o radości z powodu wyzwolenia Polski, pobłogosławił klęczących kornie chłopców w kożuszkach, zjadł pośpiesznie śniadanie i pojechał do Kielc, aby naradzić się z biskupem, co robić dalej.

Miasteczko zaś przeżywszy znowu krótki okres świetnego szabru — kiedy zaczęło żerować na mieniu poniemieckim, a chłopcy w kożuszkach wystrzelali resztkę Żydów, która wróciwszy z obozów, pragnęła osiedlić się w dawnych swych domach — wróciło do dawnego, przedwojennego, a raczej wojennego życia. Ale niestety! Pojawili się w miasteczku pierwsi PPR-owcy, przyszło wojsko polskie, zaczął działać

Urząd Bezpieczeństwa i sielanka, dawno wymarzona sielanka wojenna prysła i nawet orzeł nie miał zuchowatej korony na głowie, ale za to czub zuchowato podczesał do tyłu jak czujny, młody chłopak z UB, który oczu nie zmruży, a Polski ustrzeże.

▪

Kapral Jesionek minął kościół, przeszedł w dół krętą ścieżką parku, rzucił okiem na pasące się pod dębami krowy pegerowskie i wszedł między zabudowania PGR-u. Obejrzał z przyjemnością nową budującą się roszarnię lnu, założoną przez kierownika i skierował się w stronę dyrekcji PGR-u. Podał rękę kierownikowi urzędującemu pod wielkim portretem Stalina naprzeciwko tablicy z normami pracy w polu i zapytał:

— Idziemy?

Przeszli w pole między roszarnią a oborą, którą również stawiał PGR. Kierownik PGR-u był to gruby, przysadzisty mężczyzna, który przyszedł na podkrakowskie gdzieś z białostockiego. Był małorolnym chłopem, z partyzantki przeszedł do roboty organizacyjnej w SL, wreszcie nie wytrzymawszy, jak powiadał, papierkowej roboty za biurkiem w powiatowym komitecie stronnictwa, poszedł na kierownika PGR-u; naprawdę zaś opiekował się całą wsią. Grubas pełen był nowych pomysłów. Podczas gdy hrabia, właściciel majątku, który uciekł razem z Niemcami na zachód i jak wieści niosły (ludzie wszystko wiedzą) osiedlił się w Paryżu, jeździł do Monte Carlo, aby przegrywać depozyty ulokowane przed wojną w bankach szwajcarskich, grubas organizował państwowy majątek ziemski, potem przekształcił go na PGR. Początkowo ci z centrali nie pozwalali mu zajmować się eksperymentowaniem, nie wiadomo co był ten PNZ, przychodziły rozporządzenia, które podnosiły chłopom włosy na głowie. Zarządzenia te dotyczyły terminów siewu i zbioru zbóż, rozkładały obszar zasianych zbóż i zasadzonych warzyw. Nie dochodziły natomiast nawozy sztuczne; otrzymywały je bogate gospodarstwa indywidualne, kułacy, szła agitacja PSL-owska, słowem — nie było łatwo w PGR-ze. Z czasem jednak kierownik zaprowadził ład, Urząd Bezpieczeństwa wyłapał po trochu biurokratów z zarządu okręgowego, który wiedział, ile koni chodzi w kieracie, ile ich można z PGR-u skierować gdzie indziej, ale który nie interesował się potrzebami gospodarstwa. Grubas zaprowadził w PGR-ze hodowlę wysokokwalifikowanych nasion buraka cukrowego i traw, rozprowadzał polską odmianę nasion lnu, eksperymentował z ko-

nopiami, twierdząc, że można je przeszczepić również na wyżynną ziemię krakowską, poszukiwał najlepszych sadzonek kartofli, walczył o ich udoskonalenie, założył u siebie doświadczalną stację hodowli prosa, przeczytawszy w prasie radzieckiej o wielkiej kampanii uprawy prosa na dotkniętych suszą stepach Ukrainy, i doczekał się ładnych plonów, 12 q z hektara. Wreszcie, kiedy PGR zaczął słynąć z nasion w powiecie i województwie, kiedy zarobki byłych fornali w samej gotówce dosięgły 60 tysięcy złotych, przystąpił do szeroko zakrojonych inwestycji w swoim zespole, przestawiając się po trochu również na gospodarkę hodowlaną, budując nie tylko roszarnię lnu i konopi, ale również wspaniałą oborę, gdzie znalazły się specjalne pomieszczenia dla warchlaków, macior i knurów. Osobno wybudował także izolatkę porodową, i ku wielkiemu zadziwieniu fornali zaczął planować budowę przedszkola dla dzieci, przeznaczywszy na ten cel pewną część parku, w samym zaś pałacu założył bibliotekę i czytelnię, świetlicę i salę zebrań. Zawsze, kiedy w sali rycerskiej, ozdobionej herbami, zbierali się chłopi ze wsi, przypominał im, że teraz są gospodarzami tej ziemi i że żaden już pan do tej sali nie powróci.

Wyszli więc w pole; przeszli przez ściernisko, zaorywane pod zasiewy jesienne i podeszli do stogu. Wiatr wiał im w oczy popiołem i strzępami niedopalonej słomy. Stóg śmierdział jak opalona skóra wieprza. Dobrze, że w nocy spadł niespodzianie deszcz; częściowo stłumił pożar i dolne snopy uratowały się, były tylko nadpalone. — Przydadzą się na podściółkę — pomyślał kapral Jesionek. Poszperał przy stogu, jakby czegoś szukając — kierownik PGR-u przyglądał mu się z natężeniem — wreszcie znalazł: była to puszka po ogórkach konserwowych, wysoka, pozbawiona obu den, opalona i pogięta. Kapral podniósł ją do oczu, badał przez chwilę, ale nic nie odkrył, przytknął do nosa — nie śmierdziała, ogień wypalił wszelkie ślady, nie wiadomo było gdzie kupiona, co zawierała, gdzie etykieta.

— Potrzebna wam? — zapytał kierownik.

— Potrzebna. A co robił stróż w nocy?

— Stróża nie można znaleźć od rana.

— Przeglądaliście stóg?

— Nie ruszaliśmy niczego, aż do waszego przybycia.

I znów poszli obaj do stogu.

Kapral wziął widły i zaczął ostrożnie przerzucać warstwę nadpalonej słomy. Nagle wzdrygnął się: widły zatrzymały się na czymś miękkim. Odgarnął słomę i spod kupy zwichrzonej, stłamszonej, nadpalonej, śmierdzącej deszczem, ziemią i spalenizną wiechy ukazała się

smażona postać człowieka, patrząca na nich strasznymi, wypalonymi, akrzepłymi oczyma. Miał związane ręce, ogień nie przepalił sznurów całkowicie. Usta miał rozwarte, zapchane słomą i szmatą.

Kapral Jesionek wypuścił widły z rąk. Popatrzył na grubasa i powiedział:

— A ja ich i tak wyłapię. Skarz mnie Bóg, jeśli nie wyłapię!

Wziął opaloną puszkę, wsadził ją na kierownicę, podrzucił automat na plecy i wsiadł na rower, polecając kierownikowi, aby niczego nie ruszano aż do przybycia władz bezpieczeństwa, po czym odjechał do miasteczka, wzniecając wąską strużkę kurzu. Kierownik PGR-u długo stał w milczeniu nad zwęglonym trupem dozorcy. Zwolna do stogu zaczęli podchodzić ludzie od zabudowań gospodarskich.

■

Kapral Jesionek przyjechał do Urzędu Bezpieczeństwa. Wbiegł na górę do kierownika, pokazał mu puszkę spod kopca. Kierownik wstawił ją do szafki, gdzie stały już jej bliźniaczki z innych okręgów. Naznaczył na mapie powiatu punkty, w których spalono stogi spółdzielcze i biedniackie w ostatnich tygodniach. Było tych punktów kilka, wszystkie promieniście okalały miasteczko.

— Ot co! — westchnął ciężko kierownik. — To widzicie, Jesionek, nie tylko przypadki; to banda, której siedziba musi być w miasteczku. To spontaniczna akcja kułacka. Muszą mieć rowery; wsiądzie jeden z drugim, podjedzie, podpali stóg i odjeżdża.

Młody blondynek, który wyglądał oknem i nie wtrącał się do rozmowy, rzucił papierosa do popielniczki i także podszedł do mapy.

— Powiedzcie, obywatelu kapralu, wieczorami chodzicie po miasteczku?

— Chodzę, obywatelu.

— A nie widzieliście żadnych rowerzystów, którzy wracaliby do miasteczka tak po zapadnięciu zmroku?

— Czy upilnujesz? — rzekł Jesionek. — Ludzi dużo przyjeżdża do spółdzielni „Rolnik“ wieczorem po zakupy.

— A młodzież?

— Jeżdżą chłopaki od Grabińskiej, jeżdżą chłopaki z domu Obłupka, resztą, kto ich tam wie. Ja bym inaczej robił, szukałbym po bimbrazach i garbownikach. Paru już siedzi w obozach, to się mszczą — rzekł Jesionek.

Blondynek uśmiechnął się. Miał szeroką, chłopską twarz, był zupełnie młody.

— Myślicie? A czy wiecie, że w waszym województwie akcja ta jest zorganizowana na sto dwa? Spalili już dwieście stogów. A jak spojrzeć na mapę, linia ciągnie się aż do samych Kielc i podchodzi pod Łódź. Także we Wrocławskim zanotowaliśmy pewne wypadki. Wszędzie puste puszki po konserwach, wypalone zupełnie. To dla waszej informacji, żebyście nie lekceważyli niebezpieczeństwa i nie ograniczali go do jednego powiatu czy jednego miasteczka. Akcja dywersyjna trwa i znajduje coraz to nowe formy. Raz w niej bierze udział element biurokratyczny, raz jacyś dyrektorzy, raz jakieś całe instytucje są opanowane przez bandę dywersantów i szpiegów, a czasem bywa tak jak w waszym miasteczku: nie ma punktu zaczepienia, nie wiadomo skąd wyłazi wróg, a jest, pisze na murach antypaństwowe hasła, rozumiecie? Podpala stogi, zabija człowieka, szerzy terror. Co mówią ludzie?

Kierownik powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa rozłożył ręce.

— Ludzie mówią, że to jakaś armia podziemna działa. Widzicie, w takim na przykład 45 roku. Do miasteczka powracali wtedy Żydzi, którzy przeżyli w jakichś tam obozach. Wymordowano ich, reszta uciekła do większych miast, wyemigrowała do Palestyny. Ich domy, które im wróciło państwo, zakupili za psie pieniądze handlarze i garbownicy.

Młody chłopak zwrócił się do Jesionka.

— Idziecie, słyszałem, do szkoły oficerskiej?

— Tak jest, obywatelu, od Nowego Roku zwalniam się ze służby, dostaję urlop na szkolenie.

— Jesteście, słyszałem, w miasteczku postrachem bimbrarzy.

— Wsadził już trzech do obozu pracy — uśmiechnął się kierownik.

— To się pilnujcie — rzekł młody chłopak. — Stoicie im kością w gardle.

— Uważam na siebie — rzekł Jesionek, podrzucając na plecach automat.

— A teraz, uważajcie — powiedział młody chłopak, kiedy za Jesionkiem zamknęły się drzwi. — Trzeba patrzeć, kto tutaj kupuje puszki od konserw, kto lubi zajadać ogórki.

— Pleban — rzekł kierownik. — On niesłychanie lubi korniszony. Wiem, że robił pewne zapasy.

Młody chłopak nie odpowiedział nic. Robił notatki, słuchając sprawozdania kierownika, zapisywał w pogiętym, brudnym kajeciku swoje uwagi, przygryzając dolną wargę, wreszcie zamknął notesik i wstał.

— Jadę dalej — powiedział. — A wy uważajcie. I za spokój miasteczka odpowiadacie głową. Na jesieni tego roku przeprowadzamy wielką akcję ku czci towarzysza Stalina i nie chcemy, aby była ona zamącona przez wroga klasowego. Mam nadzieję, że do tego czasu zlikwidujemy jeszcze jedną bandę.

— Tak jest towarzyszu kapitanie — odrzekł kierownik powiatowego UB.

Uścisnęli sobie mocno dłonie i rozstali się. Ale młody chłopak nie od razu wyjechał z miasteczka. Obszedł wszystkie bary, przyjrzał się na rynku sklepowi „Rolnik", obszedł go od tyłu, z podwórza, na którym rosły słoneczniki i piwonie w małym zaśmieconym ogródku. W sąsiednich oknach można było widzieć wielkie grona winogron, które sprzedawała ogrodniczka, szczęśliwa posiadaczka strony południowej. Wypiwszy dla odwagi dwa kieliszki śliwowicy w barze koło rynku, młody chłopak zagłębił się w park PGR-owski, obszedł od tyłu plebanię, wszedł na podwórze i śmiało otworzył drzwi. Stara gospodyni, która w sieni łupała drzewo na podpałkę, podniosła głowę i przegnawszy ciekawe kury zapytała:

— A pan do kogo?

— A do księdza dziekana.

— A księdza dziekana nie ma.

— A ja wiem, że jest.

— A właśnie, że nie ma.

— Kogoż to Bóg prowadzi, moja gosposiu Kondrasiu? — zapytał z góry ksiądz dziekan, który właśnie pojawił się na schodach.

— Chciałbym porozmawiać z księdzem dziekanem — rzekł młody chłopak i śmiało wszedł na schody.

— Czy w sprawie prywatnej?

— W sprawie sumienia.

Dopiero teraz ksiądz mu się przyjrzał. Chłopak był trochę jakby niewyspany, miał zaczerwienione oczy, miły uśmiech, ubrany był w krótką kurtkę, kurzowiec i długie lśniące oficerki, miał na sobie eleganckie, trochę wsiowe bryczesy, zalatywało od niego jakby wódką. Ręce miał, stwierdził ksiądz, grube, nawykłe do roboty przy pługu. Był bez krawata, koszulę miał po chłopsku zapiętą pod szyję.

— Niech pan pozwoli na górę — rzekł ksiądz dziekan. Młody chłopak również przyjrzał się księdzu. Spod czarnej, zmierzwionej czupryny, od której odcinała się różowo-szara tonsura, patrzyły bystre, badawcze oczy. Brwi miał zrośnięte, energiczne, policzki różowe, dziecięce, na

nich ślad ciemny zarostu, starannie golonego. Wydawał się wysoki, kiedy tak stał na schodach, ale gdy stanęli na spoczniku razem przy sobie, okazało się, że jest niższy od gościa. Zaprosił go do środka, zamknął drzwi i spytał:

— Czym mogę służyć?

Młody chłopak na razie nie odpowiedział. Rozglądał się z ciekawością po gabinecie księdza, zastawionym półkami na książki, biurkiem bardzo eleganckim, starożytnym, antycznym. Przez otwarte okno wlewały się zapachy jesieni, widać było w dolinie park PGR-owski, zabudowania PGR-u, a dalej, szerokie, równinne pola PGR-owskie, ścierniska, które właśnie zaorywano, kopce buraków, rzadkie rzędy przydrożnych topól i wierzb, błyszczące tafle stawów, które kiedyś staną się wzorowymi stawami rybnymi na karpie i jesiotry, kominy fabryki cegieł szamotowych, która kiedyś się rozrośnie i zmieni oblicze miasteczka, wypłoszy wszelaki bandytyzm, zlikwiduje mieszczaństwo, bimbrarzy i drobnomieszczan. — Nie będzie w izbach pięcioro małych, łażących po glinianym klepisku dzieci — pomyślał i westchnął:

— Wracajmy do rzeczywistości. — W wolnych chwilach zajmował się pasjonującym problemem przebudowy małych miasteczek małopolskich, tych przeróżnych Przasnyszów, Wolbromiów, Sierpc, Dęblinów, zniszczonych przez wojnę, zmurszałych wielowiekowym bytowaniem sennego pośrednika między zacofaną wsią a kapitalistycznym, zaniedbanym miastem; chodził na kursy architektów, dowiadywał się od architektów i ich pracowników o postępach przebudowy, upajał się każdym planem — jak inni szachami, kobietami, wyścigami, kociakami, biblioteką czy dziećmi. Różne są na świecie zamiłowania ludzi.

— Proszę księdza dziekana — powiedział wreszcie — przyszedłem z ramienia AP.

— Słucham pana — rzekł dziekan, udając, że nie dosłyszał.

— Muszę wziąć ślub.

— Śluby załatwia wikary.

— Ale ja, proszę księdza, chcę się poinformować. Musiałem wraz z narzeczoną uciekać z pewnego powiatu, pod Łodzią — dodał tonem konfidencjonalnym. — Ksiądz tamtejszy za dużo o mnie wie. Teraz długo nie będziemy razem z narzeczoną, muszę udać się we Wrocławiu do Filipowicza. Ksiądz przecie zna Filipowicza?

— Niech pan mówi dalej — rzekł ksiądz dziekan.

— Nie mamy papierów, proszę księdza i nie wiemy, jak to zrobić, żeby żyć po katolicku, po bożemu.

— Nie myślę, żebym tu mógł panu pomóc — rzekł ksiądz dziekan. — Trzeba się zwrócić do właściwego proboszcza, wziąć od niego pisemne pozwolenie, że zna pana i pana narzeczoną, pannę młodą i wtedy z tym pozwoleniem trzeba się zgłosić do mnie, może coś będę mógł zrobić bez zapowiedzi. Do widzenia panu. Niech pan pozdrowi wszystkich ludzi dobrej woli.

Podał mu miękką, wypieszczoną dłoń, odprowadził do drzwi, zamknął je i długo patrzył przez okno za odchodzącym chłopcem, który otuliwszy się od kurzu, co zawiewał ostro w oczy i kręcił bicze na drodze, skierował się w dół, do miasteczka. — Nie wiem, czy dobrze zrobiłem — pomyślał ksiądz, przytykając gorące czoło do chłodnej szyby. — Ostatecznie to zupełnie obcy człowiek, ale wygląda poczciwie — dodał sobie otuchy i wrócił do pracy o wychowaniu młodzieży.

*

Aktywista, sekretarz partyjny! Ileż on ma roboty w małym miasteczku. Jakąż pomocą są mu gazety partyjne, z jaką pasją pochłania kolejne rozdziały WKP(b), doszkala się po nocach, nieraz nie dojada, chodzi do odległych o dziesiątki kilometrów wiosek na zebrania gminne, wykorzystuje okazje furmankowe, które po pracy podrzucają go na wieś, podjeżdża PKS-em, jeżeli miasteczko leży na linii autobusowej. Przewiany na wskroś wiatrem, opalony słońcem, zachrypnięty od gadania, nieraz naraża życie w ciężkiej walce klasowej. Często nie ma spokoju w domu, często użera się z biurokratami, bywa, że opada z sił, popełnia błędy, odrywa się od terenu, błądzi, a potem poddaje się samokrytyce, dokształca na dorywczych kursach, podczas rozmów z towarzyszami, w dyskusjach z robotnikami, trzyma rękę na pulsie życia fabryki, gdzie zamiast upajać się osięgnięciami dostrzega tyle braków. Nieraz wraca do domu nocą, zjada zimną kolację, mrukliwie odpowiada żonie i kładzie się spać do wspólnego łóżka pod wielkimi obrazami religijnymi, strasznymi bohomazami, przedstawiającymi Matkę Bolesną czy Karmiącą albo Ukrzyżowanie, których żona nie chce zdjąć ze ściany, bo się przyzwyczaiła, bo wierzy, bo goni do księdza, bo się spowiada. Nieraz nie powiedz nic w domu, nieraz kryj się przed żoną, bo wszystko wygada, wyplotkuje, bo nie jest uświadomiona; och, małe miasteczko... Aktywista partyjny, który użera się biurokratami, z dyrektorami tartaków, młynów, z urzędnikami na poczcie i w starostwie, którzy nie zawsze rozumieją pracę partyjną, nie są czujni, rozpuszczają po pijanemu plotki, wskazują wrogowi najsłabsze punkty oporu: kumotrów i krewnych. Ani się rozpatrzysz, kto z kim powiązany, ani się

spodziejesz, jak spoza poczciwych pleców drobnego urzędniczka błysną oczy ojca kułaka, matki kułaczki, brata, który kiedyś był oficerem granatowej policji, a teraz pisze skromnie w jakimś młynie, ugaszcza młodych chłopców, prowadzi z nimi rozmowy. Małe miasteczko tętni życiem, szaleje w nim zacięta walka klasowa. Sekretarz partii wysunięty jest w nim na pierwszy posterunek, jest dowódcą uderzenia, ofensywy klasowo-robotniczej. Jego mały telefon kręcony korbką na biurku — to stanowisko ogniowe i biada partyjnikowi, który by w porę nie wiedział, co się dzieje w gminie najbardziej odległej w powiecie, który by nie miał w pamięci wszystkich zdarzeń w powiecie. Na przykład w spółdzielni produkcyjnej Kozłów, założonej wielkim wysiłkiem robotników z fabryki, zaczęto budować chlew dla tuczników, macior i knurów; wiatr nagle zrzucił położony świeżo i źle dach; powstały szkody na wiele tysięcy złotych. Jak tu dojść, kto winien, jak tu nie dostrzec braku czujności Podstawowej Organizacji Partyjnej w terenie. Ale nie wystarczy posłuchać sprawozdania przez telefon — trzeba tam pojechać, samemu sprawdzić, pogadać z przewodniczącym, z partyjnikami, z młodzieżą, zachęcić do samorzutnej naprawy dachu, namówić towarzyszy z fabryki do pracy w niedzielę, by nie zarywać planu budżetowego spółdzielni i nie pozwolić na łatwy triumf kułaków. Wrócił właśnie z tej wyprawy partyjną Skodą, zmęczony i utytłany, gdyż przy okazji zwiedził całe zabudowania i przeszedł się po projektowanym terenie wielkiego kurnika dla kilkunastu tysięcy karmazynów, jakie spółdzielnia w przyszłym roku ma zamiar hodować. Ma to uzupełniać produkcję PGR-u, nastawioną raczej na ziarna wysokokwalifikowane lnu i konopi. Organizacja partyjna przeprowadziła skomplikowane prace, aby uzgodnić oba plany. Namówiła kierownika PGR-u, aby część zbiorów ustąpił spółdzielni na dokarmianie ich bydła i kur. Trzeba było także poruszyć sprawę kół gminnych ZMP, które działały bardzo opieszale, a już rozpaczliwie w tym powiecie wyglądała sprawa Ludowych Zespołów Sportowych, których znaczenia nie doceniali działacze terenowi, pozwalając nadawać ton w rozrywkach synom kułackim. Latem, na obozie byli tu studenci z Krakowskiej Akademii Górniczej, z Warszawskiego Uniwersytetu, z Gdańskiej Akademii Medycznej, którzy jeździli jako czołówki sanitarne po okolicznych wsiach, zabierając z PGR-u hrabiowski wolant i piękną parę karych koni; i tak — po kilku wizytach przedsiębiorczych chłopaków, którzy rozmawiali z młodzieżą, zapraszali ją na wieczorki dyskusyjne o państwie, kościele i spółdzielniach produkcyjnych, organizowali ogniska nad rzeką, jeździli do miasteczka, aby pomagać przy obliczaniu podatku gruntowego

w gminie, chodzili na zebrania partyjne, tłumacząc zasady organizowania demokracji ludowej — powstawały LZS-y. Kopano boiska zakładano słupy, kupowano siatki. Pomagały w tym spółdzielnie, gminy i młodzież, która zamiast w niedzielę wałęsać się po wiejskich weselach, wątpliwej wartości widowiskach jarmarcznych albo wysiadywać na przyzbach domów ćmiąc cygara, schodziła się na boiska, urządzała mecze piłki nożnej, rozgrywki powiatowe, zapoznawała się z młodzieżą PGR-owską, która też uprawiała zapamiętale sport, wreszcie z robotnikami z cegielni i fabryki samolotów, którzy przyjeżdżali samochodami, umajonymi brzozowymi gałęziami, wysiadali ze śpiewem, przywozili własny sprzęt, a czasem nawet po rozgrywkach urządzali pokazy artystyczne lub też wspólne ogniska, gdzie śpiewano piosenki, opowiadano o pracy w fabryce, albo jak się to komu działo podczas okupacji. Plebania od razu odpowiedziała kontrakcją: ksiądz dziekan wybrał się do seminarium duchownego w Kielcach, gdzie właśnie kończono rok szkolny i następowała przerwa wakacyjna, wybrał sobie spośród alumnów dziesięciu najlepszych sportowców, przywiózł ich na plebanię, każdemu dał osobny pokoik i odpowiednio wyinstruował, a pewnego poranka niedzielnego alumni rozeszli się po okolicznych wioskach i zaczęli wchodzić do każdego zespołu sportowego, grać w piłkę nożną, w siatkówkę, w koszykówkę, i w szczypiorniaka, a potem odpoczywać wraz z młodzieżą na trawie, pić piwo w wiejskiej spółdzielni spożywców, gadać o sporcie, o służbie bożej — słowem, przyjaźnić się, poznawać lud, kochać go i nie dopuszczać do zakładania kół ZMP-owskich. Zachodzili także księża alumni do parku, gdzie rozłożyli się studenci, do kierownictwa, gdzie gadali o wszystkim i o niczym, o własnych studiach, o zagadnieniach filozoficznych, o zagadnieniach przyczynowości, o marksizmie, dyskutowali o istnieniu materii i ducha, o materializmie i realizmie chrześcijańskim, o Tomaszu z Akwinu, o solidaryzmie narodowym, o nowoczesnym pojęciu humanizmu i bestialstwa w ujęciu księdza Michalskiego, o literaturze — i tu zadziwiali swoimi postępowymi poglądami, jakby byli nie alumnami seminarium duchownego, a socjal-demokratami. Wreszcie chodzili także na pola PGR-owskie, aby wspólnie z chłopami pracować i prowadzić swoją agitację.

*

— Tak, towarzyszu delegacie — opowiadał sekretarz gminnej organizacji partyjnej dziennikarzowi, który przyjechał razem ze studentami i przypatrywał się robocie w terenie — chciał napisać jakiś reportaż dla gazety literackiej w Warszawie — tak, towarzyszu redaktorze,

tam z Warszawy perspektywy nasze nie wyglądają tak skomplikowanie. Ot, zabita deskami prowincja, ot, ludzie dopiero budzą się ze snu, ot, gazeta dochodzi dopiero na trzeci dzień, czasem braknie jakiejś książki, kino przyjeżdża raz na dwa miesiące, domy stoją krzywe, takie same, jak stały za Popiela i Mieszka, wydawałoby się, nic ciekawego tu się dziać nie może, senna prowincja. A tymczasem tu, obywatelu redaktorze, ludzie giną, walczą, tu trwała walka o Polskę Ludową, tutaj można zobaczyć, co to takiego dyktatura proletariatu.

Zdjął okulary, przetarł je zamszową szmatką, szmatkę schował do kieszeni i wzdychając z jesiennego upału, mówił dalej:

— A jak wygląda walka klasowa naokoło nas? Zaraz wam opowiem, towarzyszu. Weźcie taką Osieczę, wieś, która leży jakie 18 km stąd. Wasze czołówki sanitarne czasami docierają do tego krańca powiatu. Był tam 18-hektarowy bogacz, nauczyciel wiejski.

— Trzymaliście go?

— A skąd, towarzyszu, wziąć innych nauczycieli? Czy myślicie, że mamy tak wielu kandydatów na te odpowiedzialne stanowiska na wsi? Krótko i węzłowato, to stary nauczyciel, pracuje dobrze, nauczy dzieci według podręcznika, starowny, chociaż poza tym palcem o palec nie uderzy. Udało się do niego Stronnictwo Ludowe, aby wziął udział w jego pracach; chodzi o przysposobienie rolniczo-wojskowe. Wiecie, że nauczyciel może być dobrym prelegentem, że może spełnić rolę agitatora, że może, gdy chce, wykonać ogromne zadania przy likwidacji analfabetyzmu. Wiem, że to obciąża ludzi, wiem, że zajmuje im ten wolny czas, który poświęcić chcieliby dzieciom, ogródkowi, bo ja wiem, fryzjerowi, jak o tym marzy jedna nauczycielka spod miasteczka, która nigdy nie ma czasu przyjechać i ufryzować się, przez co narzeczony krzywo na nią patrzy. Otóż nasz nauczyciel zażądał za prace społeczne przydziału kilku parobków do pracy na jego gospodarstwie. Rozumiecie, zażądał tego w czasie, gdy my agitujemy wśród najmitów kułackich, aby uciekali od kułaków i szli na kursy traktorzystów, do szkół przysposobienia przemysłowego, na fachowców i działaczy!

— Wywaliliście go ze szkoły?

— A jak myślicie? Inny facet zafundował kiedyś sztandar dla Stronnictwa; zjechali się dygnitarze z całego powiatu, gdy gmina obchodziła święto zakładania własnego koła Stronnictwa. Dopiero, gdy przyszło do zakładania spółdzielni, zdemaskowaliśmy faceta: nie chciał się zgodzić, stanął na uboczu, chciał handlować ze spółdzielnią, pożyczać od niej za wysokim zyskiem maszyny. Ile trzeba było się nagadać, za-

nim odizolowaliśmy go! Był, musicie wiedzieć, prezesem gromadzkiego koła ZSL.

— Budowaliśmy — mówił dalej — przez firmy półprywatne, które udawały firmy spółdzielcze, domy dla naszych spółdzielni. W jednej wsi wyczerpało się 18-milionowy kredyt na budynki i zamiast budynków gospodarskich, które by się już w następnych kilku latach zamortyzowały, chłopi postanowili wybudować domy mieszkalne. Dobrze, jak domy to domy, nikt wam w kieszeń zaglądać nie będzie, budynków gospodarskich trochę było. Myślałem co prawda, że warto by było także od razu postawić świetlicę i jakieś przedszkole, przedszkolankę już dostałem dla nich w miasteczku, dobra, cicha, spokojna dziewczyna; nieszczęściem, wiecie, jak to firma: budowała póki starczyło kredytu, a jak go nie starczyło, powiedziała: *adieu* i odjechała do Krakowa. I teraz kilka domów stoi, aż wstyd, niedokończonych, kontraktacja buraków i owoców dobiegła wprawdzie końca i może się spłaci długi, ale nam leży na głowie, aby spółdzielnia nie stała się pośmiewiskiem. Mobilizujemy siły z miasteczka, przyjeżdżają robotnicy z innych okręgów, żeby pomagać w robocie, w omłocie zboża, zakładać elektryczność, pomagać w robotach stolarskich i murarskich, w układaniu nowej drogi wzdłuż budynków mieszkalnych, strugać meble, nowe, sosnowe, pachnące. Ale to wszystko jeszcze nie zadowalało chłopów!

Bywa, towarzysze, jeszcze gorzej: weźcie taką spółdzielnię w Ostrudzie. I tutaj firma pobudowała domki oszczędnościowe, ale te domki są dzisiaj już za ciasne. Klitki, towarzysze, nie pokoje. Trzeba było patrzeć, towarzysze, na ręce panom architektom, trzeba było zrobić tak, żeby chłop nie mówił: jak się położę do łóżka, to mi nogi będą sterczały na korytarz, jak wstawię komodę, to już mi się wazon z pelargonią nie zmieści. Znowu miliony wyrzucone przez okno.

— Ci, co tak budowali, sami już siedzą w klitkach.

— To mała pociecha, towarzysze! — powiedział twardo sekretarz. — Nie o to chodzi, żeby łapać sabotażystów po dokonanym sabotażu, ale żeby im przeszkodzić. Więcej czujności, towarzysze! Następny punkt porządku dziennego: sprawa sabotażowego palenia stogów i działalności bandy. Kto zabiera głos?

*

Odstawiwszy żonę do ośrodka zdrowia, pogadawszy z lekarzem i wstawiwszy łóżko do jedynego wolnego pokoiku, separatki, sekretarz wepchnął się z westchnieniem do Skody i powiedział:

— Jedziemy do Rodziwy.

Samochód wykręcił spod komitetu. Wyjechali z miasteczka.

Barczak, który pół dnia już kręcił się przy rynku, ponurym i wolnym krokiem skierował się do mieszkania Grabińskiej. Spotkał po drodze wikarego, który szedł z sakramentem świętym do chorego. Przed nim postępował w białej komży Obłupek, z oczami wzniesionymi ku niebu, dzwoniąc srebrnym dzwoneczkiem. Koło rynku w szkole ludowej odbywało się zebranie koła ZMP-owskiego. Chłopcy i dziewczęta, korzystając z ciepłego, jesiennego popołudnia, wygrzewali się przed szkołą, śmiejąc się i przekomarzając. Stasiurki jeszcze nie było, zaraz miał nadejść z fabryki, gdzie go zatrzymało zebranie partyjne. Ksiądz szedł od kościoła poważnie, wzbijając nogami drobny, miałki kurz na drodze. Niósł w rękach przesłonięty obrusikiem kielich z sakramentem, postępował uważnie za chłopcem i błogosławił głową nielicznych przechodniów, którzy na widok księdza idącego z sakramentem pobożnie przyklękali na chodniku i żegnali się gorliwie. Przeszedł ukosem przez rynek i zwolna, włócząc noga za nogą, pociągnął przed szkołę, do gromadki roześmianej młodzieży. Ucichli, tylko Obłupek z rozanieloną twarzą dzwonił coraz natarczywiej dzwoneczkiem. Nagle ksiądz zatrzymał się i widząc, że nikt nie zamierza klęknąć krzyknął:

— Bezbożnicy! Pan Bóg was przeklnie za bluźnierstwo wasze! Was i dzieci wasze, i rodziców waszych, aż do dziesiątego pokolenia! Jak mówi prorok: niech zginie ten, kto nie szanuje imienia pańskiego!

Poszedł dalej i wszedł na schody do Grabińskiej.

— Kto tam jest u niej chory? — zapytał jeden z chłopców Stasiurka, który nadjechał właśnie na rowerze.

— O ile wiem, nikt tam nie jest chory — rzekł Stasiurek. — Chodźmy na zebranie.

Zebranie aktywu ZMP-owskiego w miasteczku poświęcone było walce z sabotażem i czystości własnych szeregów zetempowskich, do których wdarł się wróg, aby plugawić organizację młodzieży robotniczej i chłopskiej. Weszli do sali rekreacyjnej i rozsiadłszy się na ławkach zaczęli długą i gorącą dyskusję o czujności zetempowskiej we własnych szeregach.

Barczak również wszedł za wikarym do Grabińskiej. Obtarł ręce o spodnie i wszedł do Podsiadły. Ten siedział przy oknie i majstrował przy pistolecie. Zobaczywszy Barczaka, mruknął przez zęby:

— No?

— Pojechał Skodą na zebranie.

— Miał iść do matki na wieś.

— Dziś nie używa widocznie spaceru.

— To kiedy jej zawiezie jedzenie? Staruszka jeszcze gotowa zdechnąć z głodu.

— Nie bój się, to dobry syn. Jak nie dzisiaj, to pewnie jutro podrzuci jej parę kilo mięsa.

— A jak weźmie samochód?

— Nie ma strachu, on nigdy do niej nie jeździ. Małorolna. Półtorej morgi — rzekł Barczak i usiadł na stole. — Szanuje ją i nie chce chłopów zrażać. Chce założyć spółdzielnię na wsi, zawsze łazi od chałupy do chałupy. Nasi mówią, że to na odpoczynek. Użyje roweru.

— Coś musiało mu pilnego wypaść — rzekł w zadumie Podsiadło. — Co w fabryce?

— Było zebranie partyjne.

— No?

— Uchwalili usprawnić czujność. Ma być podjęta walka z plotkami, robotnicy będą wyjeżdżać na wieś. Ja ci mówię, że oni robią ofensywę, szkolą ludzi.

— Niech szkolą, niech szkolą, my też szkolimy — rzekł Podsiadło.— Zobaczymy czyi ludzie będą lepsi. Przyjdzie i nasz czas. Co jeszcze uchwalili?

— Podarunek dla Stalina.

Podsiadło złożył rewolwer na stole, odłożył szmatkę, zawinął oliwę powiedział:

— Że co?

— Podarunek dla Stalina. Będą urodziny Stalina. Ma być współzawodnictwo pracy i z płyt szamotowych mają coś tam zrobić artystycznego, kapujesz? Poza tym mają założyć elektryczność w PGR-ze jako podarunek dla Stalina, wszystko z własnych pieniędzy robotników. Sami mają światło zakładać, żeby się obory w zimie nie spaliły, mówią, że niebezpieczeństwo pożaru jest bardzo wielkie, zwłaszcza teraz po spaleniu stogu.

— Mówili o stogu?

— Mówili.

— Nie wiedzą?

— Nie wiedzą, ale mówią, że za dużo tych stogów już się pali i UB nic nie robi, aby wyłapać podpalaczy.

— Niech mówią — rzekł Podsiadło. — Pojedziesz z meldunkiem do Gajosa, opowiesz mu wszystko jak było, weźmiesz dyrektywy w sprawie sekretarza. Powiesz mu, że trzeba robotę robić niedługo jako podarunek dla Stalina. Nasz podarunek dla Stalina. I trzeba będzie zrobić kilka wypadów po wsiach, żeby przypomnieć ludziom, że Armia Podziemna jest i czuwa i żeby tak łatwo się nie zapisywali do spółdzielni. Niech zaproponuje jakieś wsie, to urządzimy tam wypady. I zamelduj mu, że nie wiemy, co robić z Waldkiem. Chłopak się rozbisurmanił, wszystko mu się nie podoba, lata sobie do PGR-u, siedzi całe dnie w ZMP, gra z chłopakami w siatkówkę, nie uczy się jak przedtem, do księdza nie chce chodzić, za dużo trochę wie, gada, że widział i u nas jakąś broń, wypytuje matkę. Niech Gajos powie, czego chce. Nie gadali o mnie na mieście?

— Nie — odpowiedział zdziwiony Barczak.

— Ech! — westchnął Podsiadło. — Żeby się tak z żonką zobaczyć!

— Ale czy ci ta — pokiwał głową w stronę drzwi — pozwoli? Zazdrosna jak cztery wiedźmy!

Roześmieli się obaj. Kiedy Barczak wyjmował wódkę z szafy, Podsiadło zauważył ze zdziwieniem, że chłopak jakby trochę urósł od ostatnich tygodni. — W tym wieku, kiedy miałem siedemnaście lat, także szybko rosłem — pomyślał z rozrzewnieniem. Potem napili się wódki i Barczak udał się z meldunkiem do komendanta Gajosa, który w cywilu był szewcem i moczył w cebrzyku pod łóżkiem skórę na garbunek.

Tymczasem nasz sekretarz partii jechał razem z działaczem ZSL do Rodziwy.

— Rozumiecie — mówił — organizujemy tam dzisiaj zebranie gromadzkie. Chłopi dostarczali mleko do spółdzielni mleczarsko-jajczarskiej, a teraz nie chcą. Przestali. Nic nie pomogły telefony. Nie rozumiem, co się stało. Kierownik spółdzielni mówi o jakimś zdechłym koniu, ale widocznie boi się, bo powiada: przyjedźcie, to sami pogadacie, mnie jeszcze skóra miła. Wiecie, nie każdy jest bohater.

Roześmieli się. Szofer młody chłopak, który tylko co wyszedł ze szkoły szoferskiej i chciał iść do wojska, do broni pancernej, odwrócił się i powiedział:

— A bo to nie wiecie, towarzyszu, jak jest na gminach? Każdy wolałby mniej pracy. To i dla takiego kierownika uciecha: nie dają mleka, mniej mam do roboty, mniej zapisywania, mniej pracy. I leży sobie w łóżku i przeciąga się i babę naokoło obraca jak wentylator.

— Ty, Stefan, nie naśmiewaj się z ludzi — powiedział surowo sekretarz. — Zbadamy sprawę, zobaczymy.

Podjechali. Zatrzymali samochód u wylotu wsi, przy szkole, piechotą podeszli pod dom gromadzki. Zebranie już się rozpoczęło. Mała lampka naftowa oświetlała twarze wszystkich. Chłopi zbierali się milczący i ponurzy.

Sekretarz usiadł za stołem, zreferował sprawę i zapytał, kto zgłasza się do dyskusji. Wszyscy milczeli. Wstał więc, oparł dłonie na stole i spojrzawszy na salę, wybuchnął:

— Więc to tak, bracia chłopi? Więc to takie milczenie spotyka mnie? I to kogo? Może dziedzica, którego władza ludowa przegnała razem z faszystami? Może spekulanta, co siódmą skórę z was darł? Może sklepikarza, co wam sól przed wojną wydzielał łyżeczką od herbaty? Może księdza, co z kolędą chodzi — i nic, tylko mu indyczkę do wora ładuj, a worek kartofli kładź do sanek? A może ja waszych synów mam za parobków? Może pracują na moim? Może zdzieram was w przednówek, pożyczam wam ziarno na chleb, a odbieram w dwójnasób po żniwach? A może ja, bracia chłopi, po pieniądze wasze przyjechałem, waszego dobra chcę? Może wam stogi palę i bydło zarzynam w oborach? Może to ja wychłostałem waszego sołtysa i zrabowałem mu pieniądze gromadzkie?

Na sali panowała cisza. Chłopi patrzyli, ciężko wzdychając, na sekretarza, którego ogromny cień tańczył na ścianie. Sekretarz uderzył pięścią w stół i mówił dalej:

— A może wy to mleko hrabiemu dajecie, co siedzi w Paryżu i panienki francuskie maca? Może na świętopietrze do Watykanu posyłacie? Może to mleko zabiera wam faszysta niemiecki, aby karmić nim swoje świnie? Nie, to mleko idzie dla dzieci waszych braci robotników w fabryce, idzie dla naszych żon, co są w ciąży lub karmią dzieci, takich samych synów robotniczych i chłopskich jak wasi synowie. Ja sam mam żonę, która spodziewa się dziecka. Co wam mam powiedzieć, bracia chłopi? Dziękuję wam, żeście dali się nabrać na zmowę kułacką, żeście zaszkodzili państwu ludowemu, żeście zamiast dać mleko dziecku robotniczemu, woleli wylewać je świniom.

— A wy nam czego wymyślacie, obywatelu — podniósł się stary chłop w baranim półkożuszku. Miętosił czapkę w ręku, wreszcie powiedział: — Słuchajcie no, obywatelu peperowiczu, zawsze mówicie, że dla chłopów chcecie dobrze, a ja wam powiem otwarcie i gromada przyświadczy — nie chcecie dla chłopa dobrze!

— Ile macie ziemi? — przerwał mu ostro sekretarz.

— Nie wy mnie liczyć będziecie, dziadu! — prychnął pogardliwie chłop.

— Ilu macie parobków? — zapytał sekretarz. — Ilu tych z gromady robi na waszych gruntach, wyciera zady waszym świniom? No, powiedzcie, tu, przy całej gromadzie, a potem gadajcie, co wam ślina przyniesie.

— On ma pięciu parobków i dwie dziewuchy! — krzyknął z kąta sali jakiś silny głos. — A dzieciaków ile latem w służbie marnuje!

— Mamy tu taki wypadek, obywatelu sekretarzu — ciągnął stary chłop — wy przyjeżdżacie do nas raz na trzy miesiące, bo i co was taka gromada może obchodzić? Więc powiadam dokumentnie, zachodzi tu taki wypadek: mamy małorolnego, Knoblewski się nazywa. Miał on jednego konia, dostał go kiedyś w przydziale, koń dobrze pracował. Ale nagle padł. Zawsze może się zdarzyć, no nie?

Sekretarz milczał, czekając do czego zmierza kułak.

— I uważacie — rozgadał się chłop i rozpromienił nie wiadomo czemu — koń był ubezpieczony, a już przeszło za pozwoleniem Pana Boga trzy miesiące i PZUW nie chce ani rusz za konia dać premii.

— Koń był ubezpieczony?

— Był — rzekło kilka głosów z sali.

— Padł własną śmiercią?

— Padł.

— Chorował?

— Chorował. Według przepisów. Knoblewski zwrócił się do weterynarza, ale odszkodowania nie chcą mu wypłacić. Ot i widzicie, obywatelu: masz, chłopie, Polskę, masz partię, masz zjednoczone stronnictwo chłopskie, a jak byle szkapina padnie, to ręce wznoś do nieba, dawaj na mszę, chodź do spowiedzi, a nikt ci ubezpieczenia nie da.

Sekretarz przygryzł wargi i żyły zwolna nabrzmiewały mu na czole.

— To wy stajecie się rzecznikiem gromady? — powiedział z cicha.— To dlatego podburzyliście gminę, żeby mleka nie odstawiała? Obywatele! — krzyknął. — Oczywiście, małorolnemu Knoblewskiemu stała się krzywda. Oczywiście, załatwimy sprawę od razu. Ja o tym koniu słyszałem i przywiozłem wam obywatela naczelnika z PZUW. Gadajcie towarzyszu — powiedział cicho do naczelnika.

Naczelnik z PZUW wstał.

— Mam tu, obywatelu, pismo, podpisane przez trzech mieszkańców waszej wioski, którzy zawiadamiają nasz zakład, że małorolny Kno-

blewski zamęczał swego konia i że naumyślnie, aby dostać gratyfikację, zabił swego konia pracą.

— To nieprawda! — porwał się Knoblewski. Położył żylastą dłoń na stole, nachylił wąsatą twarz i powiedział z pasją:

— Kłamiecie, towarzyszu. Ja bym konie... ja bym konia... Jak wy możecie.

— Na piśmie są podpisani: Jaczyk, Kołodziejski, Bartłomiejczyk.

Zapadła cisza. Chłopi patrzyli na siebie osłupiali.

— Takich nie ma u nas w gminie. To są kułacy z sąsiedniej gminy.

W izbie zapanował krzyk, chłopi wstawali z miejsc. — Bić takich synów — krzyknął ktoś. Czyjaś ręka przewróciła lampę, buchnął jasny płomień, a potem, stłamszony czyjąś ręką, zgasł. Zapanowała na chwilę ciemność, słychać było stłumione trzaski, wreszcie gwałtownie otwarto drzwi i wypchnięto za nie jak tłumoki jakieś postacie. Z podwórza buchnął ciepły powiew wieczoru jesiennego, zajaśniały na niebie gwiazdy. Ciemne postacie szamotały się przed progiem, wreszcie zapanowała cisza. Sekretarz zapalił latarkę, zaświecił zapałkę, zabrał lampę, która na szczęście się nie stłukła i zapalił ją.

— Gadajmy dalej, obywatele. Może dogadamy się o tej dostawie mleka.

— Nie ma o czym gadać — mruknął któryś z gospodarzy.

— A o walce klasowej jest co gadać? A o szkodnictwie kułackim warto gadać? A o spółdzielniach produkcyjnych warto gadać? O sojuszu chłopskim? O dostawie, o skupie zboża warto? Już się nic na waszej wsi nie dzieje? Zawsze tak będziecie żyć, na tych nędznych gospodarstwach?

— Gadajmy. Czasu mamy dość — rzekł któryś z gospodarzy.

PZUW-owiec odjechał wcześniej. Spieszyło mu się. Sekretarzowi także się spieszyło, chciał się dowiedzieć, jak się miewa żona w szpitalu, chciałby zatelefonować, ale nie miał czasu. Czort go wie, może będzie miał syna.

Dyskusja zakończyła się późną nocą. Gwiazdy stały wysoko na niebie. Rześkie powietrze jesienne owionęło ich twarze, kiedy wychodzili z zebrania, cicho szumiały brzozy przy szkole, szeleścił i chrzęścił piasek pod butami. Pożegnali się przy furtce i sekretarz ruszył przed siebie. Cztery kilometry to nie daleko — czterdzieści minut raźnym krokiem. Postawił kołnierz u kurtki, bo noc była chłodna, zagłębił się w las.

Kiedy zbliżał się do zakrętu, do rozwidlenia, które prowadziło do miasteczka i cegielni, wyszło naprzeciw niego czterech ludzi. Szli szosą raźnym krokiem, jak ludzie, którzy wracają z pracy. Sekretarz przyjrzał się im, kiedy go mijali, ale nie mógł dostrzec twarzy. Włożył rękę do kieszeni i odwrócił się nagle. Nie zdążył: jednocześnie prawie zagrzmiały dwa strzały i sekretarz osunął się na ziemię. Wtedy jeden z mężczyzn, był to Podsiadło, podszedł do leżącego, strzelił mu jeszcze raz w twarz, kopnął pogardliwie leżące ciało, aż się stoczyło na bok i powiedział:

— Rozejść się, chłopaki. Rozkaz wykonany. Barczak odbierze mu broń i zrewiduje trupa. Dawaj, dawaj!

*

Matka weszła do pokoju księdza dziekana. Ksiądz dziekan wstał od biurka, za którym pisał wielką pracę o lenistwie i pilności młodzieży szkolnej, i szerokim, serdecznym, dobrodziejskim ruchem zaprosił ją, aby usiadła. Uśmiechnął się do niej mądrym, duszpasterskim uśmiechem i zapytał:

— Ma pani, słyszałem, jakieś kłopoty z tym swoim łobuziakiem? A wie pani, on nawet już na lekcje religii na plebanię nie przychodzi. Pewnie się włóczy, co? No nic, dziecko jest zaniedbane, z ulicy, trudno wychować dobrze dziecko, gdy się nie ma męża.

Pani Grabińska patrzyła na księdza szeroko otwartymi oczyma. Miała młodą, choć trochę już pomarszczoną twarz, lubieżne zmarszczki biegły jej koło ust, patrzyła trochę chytrze, a trochę smutnie na księdza dziekana. Wytarła oczy chusteczką drżącymi rękoma i powiedziała ze smutkiem:

— Ach, proszę księdza dziekana, dziesięć świec woskowych dałabym na ołtarz św. Antoniego Padewskiego, żeby mi tylko wrócił tego chłopca. Nie szanuje mnie, nie słucha się nikogo, cały dzień biega po miasteczku, przesiaduje w PGR-ze, lata do fabryki na filmy, w szkole ze wszystkimi się kłóci, z domu czasem coś wyniesie. Futro mi, proszę księdza dziekana, ukradł! I sprzedał na jarmarku!

Zaczęła bezradnie, żałośnie pochlipywać. Ksiądz dziekan patrzył na nią mądrymi, spokojnymi oczyma nauczyciela, znawcy dusz. Powiedział:

— Teraz takie czasy nadeszły, pani Grabińska, że człowiek ugina się pod brzemieniem ponad swoje siły. Pani ma dziecko niesforne, a ja mam wiele takich dzieci, które jak owieczki ścigane przez wilka rozbiegają

ę, uciekają od pasterza. Grozi im niebezpieczeństwo, czyha na nie emny las potępienia wiecznego, doczesnych grzechów, gniewu Pańiego. I zdarza się nieraz, że jedna zła, parszywa, plugawa owca całe ado do przepaści ciągnie, prowadzi, namawia. Cóż wtedy może zrobić obry, kochający trzodę pasterz, jak nie usunąć złą owcę. I kąkol choć worzenie, choć roślina, zagłusza pszenicę i gąsienica zniszczy kapustę, śli ogrodnik dobry nie zbierze jej palcami z zielonych liści. I szkodnik gryzie pąki jabłoni, jeżeli ogrodnik nie spryska drzewa płynem. Tak sprawach ludzkich także czujność i troskliwość o wielu musi czasem rzesłonić litość nad jednostką.

— Waldka przetrzymała dziś milicja — powiedziała zgnębionym toem pani Grabińska. — Mówił, że pytali o broń.

— Powiedział im? — spytał ostro ksiądz dziekan.

— Nie.

— Trzeba go trzymać w domu, nie wypuszczać, milicja nie będzie szukała. Wiedzą, że chłopak narwany. Wysłać go do krewnych.

— Wróci, proszę księdza dziekana.

I nagle pani Grabińska rozpłakała się zupełnie, rozmyła się jak każa, gdy padną na nią promienie wiosennego słońca. Przycisnęła grubą, łochatą, kościstą dłoń księdza dziekana do gorących, spieczonych ust powiedziała szeptem:

— On nas wszystkich wyda! Wszystkich! Podsiadłę, Barczaka, błupka, księdza dziekana, matkę, brata! Wszystkich, wszystkich! Zgiemy my wszyscy, zginie Armia, zginie Polska, oni będą rządzić. Ja ę strasznie boję. Oni już wydali na niego wyrok!

— Były czasy, proszę pani, gdy sam musiałem wydawać wyroki wiem, że nie obciążają one sumienia chrześcijańskiego, jeżeli są uszne — powiedział łagodnie, cicho, zadumany ksiądz dziekan.

— Ale czy Bóg mi przebaczy? Zabić własne dziecko?

— Gdyby można było czekać, aż on coś ukradnie na mieście i milia zamknie go, to byłoby dobre wyjście z sytuacji, założywszy natulnie, że Waldek nic nie wygadałby na milicji o organizacji.

— Wygada, proszę księdza dziekana! O, ja nieszczęśliwa matka!

— Gdyby można było go wysłać gdzieś do innego miasteczka, do otki albo do bursy!

— Wróci, proszę księdza, to istny diabeł!

— No, właśnie! Wróci i przez niego zginie cała owczarnia! Tak, oszę pani, tam, gdzie ma zginąć wielu, już tak zawsze było, jest i bę-

dzie, lepiej żeby zginął jeden człowiek. Gdzie ma paść stado, lepiej, żeby zginęła jedna parszywa owca!

Matka jęknęła z rozpaczą:

— Czy Pan Bóg mi przebaczy? Oh, proszę księdza dziekana, czy Pan Bóg mi przebaczy?

— Niech pani spojrzy w swoje sumienie, a znajdzie tam pani odpowiedź. Czy Pan Bóg przebaczy pani nieszczęście całej swej owczarni? Nie ma grzechu tam, gdzie trzeba zabić dla obrony. I komara zabijamy gdy nam ssie krew z policzka i muchę przepędzamy z okna i znad talerza z jedzeniem, i z bandytą walczymy, gdy napada na nas na ciemnej drodze i o wolność z nieprzyjacielem walczymy, świadomym czy nieświadomym, i szczura zabijamy w piwnicy, chociaż on nic nie winien że niszczy nam zapasy, a jednak zabijamy dla koniecznej obrony, dla życia, dla większej chwały Pana Boga, bo nam są dane usta do chwalenia Pana Boga, a nie komarowi, nie musze, nie szczurowi, nie bezbożnemu, złemu, krnąbrnemu dzieciakowi. No, niech pani sobie nad tym pomyśli i niech pani już idzie.

Pani Grabińska wyszła. Dął wiatr, szła w półśnie jak na skrzydłach. Modliła się przez całą drogę, przed jej oczyma stała zuchowata, wesoła zaczepna twarz Waldka, który znowu pewnie bawił się w opłotkach raz gonił z chłopakami szmaciankę na łące pod miasteczkiem, to znów szedł do ZMP-owców w fabryce, to znów wybierał się na jabłka do sadów księdza dziekana, to znów podkradał z domu pieniądze na wódkę odgrażał się milicją, znikał na parę dni, matki nie szanował, Podsiadłę nienawidził. Gdy raz zastał ją z Podsiadłą w łóżku, myślał o ojcu, który zginął w Oświęcimiu, z nauczycielki się prześmiewał, nie tak jak Wacek (starszy syn), który studiował w Krakowie w gimnazjum, a kiedyś także chadzał z chłopakami na rozboje, dokonywał egzekucji batem rekwirował, przynosił sumiennie wszystkie pieniądze, przyjaźnił się z Podsiadłą, wykonywał ślepo jego rozkazy, jakby ten był mu ojcem komendantem, przełożonym. Szła tak pieszcząc w myślach przyszły obraz kariery syna, który może zostanie adwokatem, może będzie inżynierem, może będzie mieszkał w wielkim mieście, miał swoje samochody, swoją fabrykę, a jak wróci dawna Polska, kto wie, może dostanie się na świetną państwową posadę, będzie panem, ochroni matkę przed złymi językami w mieście. I nagle wchodząc przez pegerowski park przystanęła w zadumie: a jeżeli go wezmą? Przyśpieszyła kroku wbiegła prawie do domu. Obłupek czekał na nią, wydobył bez słowa ołówek i podsunął jej kartkę papieru.

— Niech pani pisze.

Ołówek jej latał po kartce, nie mogła się skupić. Była jeszcze zadyszana, spocona, roztrzęsiona, dłoń jej drżała. Zaczęła pisać, co Obłupek jej dyktował:

„Zgadzam się dla dobra organizacji na usunięcie mojego syna, Waldemara, gdyż zagraża dobru organizacji i Polski".

Podpisała, postawiła datę i powiedziała cichym głosem:

— Nie męczcie już mnie.

Obłupek nie zdążył jeszcze zwinąć papieru, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Waldek. Popatrzył na dwoje ludzi, roześmiał się i krzyknął.

— A u nas to zawsze płacz, żałoba albo wódka na stole! A niech to diabli wezmą! Wiecie, że dziś w fabryce było wielkie zebranie? Zobowiązali się do współzawodnictwa. Ot, chłopaki morowe, zarobią sobie na święta nielicho! I podarunek dla Stalina nielichy szykują: przebieg parowozu bez bieżącej naprawy. Wiecie: na parowozie będzie portret Stalina; ma ten parowóz przebiec po całej Polsce 120 tysięcy kilometrów bez naprawy bieżącej i bez mycia kotła. Używają sodafosu i w ogóle — dobra rzecz być maszynistą! Chłopaki dostali dzisiaj swoje maszyny, dwie! Sami będą jeździć po Polsce, prowadzić pociągi! Ech, tak by usiąść na parowóz, zagwizdać i ruszyć, paaajechali!

Popatrzył zdziwiony, że Obłupek i mamunia stoją w milczeniu, patrzą na niego bez wyrazu. Wzruszył ramionami i powiedział.

— Mamo, daj co zjeść.

— Zaraz, syneczku — powiedziała mamunia. Podeszła do piecyka, wyciągnęła garnek z jedzeniem, nalała mu na talerz zupy, postawiła na stole, odgarnęła mu włosy z czoła.

— Tylko, synku, ręce umyj.

— Dobra, mamuniu — rzekł Waldek. Umył ręce w miednicy, usiadł i zaczął ze smakiem zapychać się razowym chlebem i zalewać się wspaniałą, gorącą, pachnącą zupą ogórkową. Ach! Zupa ogórkowa! Najpiękniejsza ze wszystkich zup! Zabielana śmietaną, gotowana na nereczkach, wątróbce i sercu wołowym, drobno pokrajanych, z ogórkami, które jak miód rozpływają się w ustach, pachną jeszcze długo po zjedzeniu, napełniają żołądek przyjaznym ciepłem. Jest zupełnie inna niż wszystkie zupy: nie wytworna, nie prosta jak bulion czy rosół, nie sytna i uboga jak zacierki, nie zbierana z całego świata, ze wszystkich grządek jak zupa jarzynowa, nie postna i jednostajna jak żurek czy kartoflanka. Ach! zupa ogórkowa, najsmaczniejsza ze wszystkich zup, jest wyrazem

miłości matczynej, która swemu dziecku chciała ugotować jego ulubioną potrawę. Ilekroć była zupa ogórkowa, wbijał jej trzy talerze, napełniał nią żołądek i prawie nigdy nie raczył spojrzeć na drugie danie. I pomyśleć, że są ludzie, którzy nie lubią zupy ogórkowej! Biedni! Nie zaznali nigdy miłości macierzyńskiej, nigdy nie zaznali ciepła rodzinnego domu, inaczej niż Waldek, który nieświadomy uczucia, jakie matka dla niego żywi, zajadał się swoją pogrzebową zupą.

Kiedy Walduś, niesforne dziecko, zajadał się tak zupą, matka zeszła wraz z Obłupkiem do Podsiadły. Podsiadło siedział przy stole, i zagryzał kiełbasę. Popatrzył na wchodzących:

— No?

— Podpisałam — powiedziała zgnębiona Grabińska.

— To dobrze — odpowiedział obojętnie Podsiadło. — Barczaka i jeszcze dwu innych wyznaczyć na dokonanie operacji. Termin trzydniowy. Przez ten czas nie wypuszczać go z domu, powiedzieć, że milicja jest na jego tropie, że się dopytuje o niego. Jak się kapral będzie pytał o niego, powiedzieć, że uciekł z domu; to wszystko. A teraz idźcie, ja muszę coś niecoś napisać. Raport.

— Stasiek — jęknęła pani Grabińska. — Miej ty nade mną zmiłowanie. Trzy dni — to strasznie dużo!

— Trzy dni, to strasznie mało — powiedział Podsiadło. — Jak chłopaka wyprowadzisz z domu, jak go przyuczysz, żeby nie uciekł? Będziesz może strzelała na progu, co? Albo ganiała przez ulicę, jak pobiegnie do MO? A może wyciągniesz go ze szkoły, jak zacznie krzyczeć? Trzeba mu powiedzieć, że go szuka MO, żeby się schował, że go gdzie wyprawimy na kilka dni, aż o nim zapomną, a potem wieczorem go się wyprowadzi.

Grabińska wróciła na górę z zamieszaniem w głowie, wzięła dwa proszki, pościeliła synkowi, pocałowała na dobranoc, co Waldek przyjął jako należną mu cześć za to, że go ściga MO, potem wyszła na palcach, ale zamiast pójść do Podsiadły, weszła do swego pokoju, usiadła na krześle pod oknem, za którym chwiała się na wietrze latarnia i zaczęła cichutko popiskiwać, jak mysz stęskniona za lepszym, spokojniejszym życiem, a siedząca pod miotłą, gdy wchodzi do zakrystii kościelny.

Trzy dni, to niedużo, minęły jak z bicza trzasł, jak kartkę książki odwrócił. Waldek w dzień siedział w piwnicy, wieczorem spał w swoim łóżku. Przejęty był swoją ważnością, tym, że wszyscy chodzili koło

niego serdeczni i uśmiechnięci, matka głaskała i całowała go po głowie, pan Podsiadło rozmawiał z nim chętnie, wreszcie powiedział, że pojedzie do niego, do majątku pod Szpotawą, gdzie popracuje przy koniach i przy orce jesiennej traktorami, w PGR-ze. Zobaczy, jak to przyjemnie jest w takim gospodarstwie!

Trzy dni to niewiele, to tylko trzy msze święte, które odprawił ksiądz dziekan, to tylko jedna próba chóru kościelnego, to tylko jedna próba jasełek betlejemskich i jedna jeszcze rozmowa księdza dziekana z Obłupkiem, który przyszedł i powiedział po prostu:

— Ksiądz wspominał kiedyś, księże dziekanie, że ma broń.

— Tak, szóstkę, mauzer, mój Obłupku.

— Kiedyś ksiądz nie chciał nam jej pożyczyć.

— Bo myślałem, mój Obłupku, że jesteście dziecinną organizacją. A ja nie mogę mieszać się do poczynań dzieci, wszakże sam to rozumiesz.

— A teraz ksiądz nam pożyczy?

— Swojej nie macie, że potrzebujecie mojego cacka? To ładna sztuka, oksydowana.

— Chodzi, proszę księdza dziekana, o Waldka.

— No, mój Obłupku?

— Chłopaki go znają, ciężko im będzie.

— Chwastu nie wydrzesz bez wysiłku ciała i duszy, kamień przy drodze — trzeba się schylić, w pocie czoła pracować będziesz i w udręce duszy. Wszystko, co robimy, mój Obłupku, przynosi nam cierpienie duszy, co wynika z grzechu pierworodnego, jaki popełnili nasi prarodzice.

— Wiem o tym, proszę księdza dziekana, ale byłoby nam lżej ten grzech pierworodny na sobie taskać, gdybyśmy tak mogli dostać szóstkę księdza. Powiem chłopakom, że to od księdza, łatwiej pójdzie.

Ksiądz odsunął z półki grubą książkę, wydobył spoza niej owinięty w fularową szmatę rewolwer, oksydowany na czerwono, i podał go Obłupkowi.

— Wystarasz mi się potem o naboje. Mam ich tylko pięć. A to poręczna sztuczka!

Obłupek cmoknął księdza dziekana w rękaw i wybiegł z plebanii.

Ksiądz dziekan westchnął głęboko i zaczął się bezgłośnie modlić za umarłych i konających.

Tymczasem Obłupek, naradziwszy się z chłopakami i Waldkiem co do miejsca przechowania go, wprowadził ich tyłem przez podwórze i posłał w ciemność. Wieczór był pochmurny, na niebie przewalały się grube, wełniste obłoki, księżyc wynurzał się co chwilę spod zbałwanionych chmur, oświecał ponurym blaskiem drzewa, które rzucały na drogę głęboki cień, piasek skrzypiał im pod nogami. Przemknęli się przez opłotki. Barczak rzekł:

— Opowiem wam dobry dowcip. Słyszałem go w barze od jednego gościa. Szły drogą wiejską matka i córka, cicho choć w ucho daj, słychać szczekanie psów, piasek skrzyp, skrzyp, skrzyp pod nogami, dochodzą do jednej takiej rzeczułki w dolinie koło wsi, a przez rzeczułkę przewalona kładka, trochę zgniła i chybotliwa. Matka wstąpiła na kładkę, kładka się załamała z trzaskiem, matka wpadła do wody. Córka krzyknęła: Matko, matko, co robisz? Odpowiedz! A matka: Gul, gul, gul. Utopiła się, rozumiecie!

Roześmiał się, ale nikt mu nie odpowiedział. Waldek szedł energicznym krokiem, Krężel nie mówił nic, było mu niewygodnie iść, ponieważ miał pod płaszczem krótką łopatę z ułamanym trzonkiem. Milczał zrezygnowany, myślał o jutrzejszym zadaniu klasowym i czy zda maturę. Nauczycielka, histeryczka trochę, uwzięła się na niego, bo raz ściągał od kolegi zadanie matematyczne. Dała mu dwóję na kwartał, odczuł to jako niesprawiedliwość, gdyż naprawdę umiał. Miał nieprzyjemności na kole ZMP, gdzie go potępili jako ściągacza, zakrzyczeli, gdy próbował się bronić, słowem, narazili na pośmiewisko. Czuł żal do całego świata i nie śmiał się nawet z najlepszych dowcipów, chociaż coś w nim rechotało czasem bez powodu.

Doszli. Tor kolejowy skręcał na Kraków, z daleka błyszczały światła parowozowni i widać było sygnały stacji. Z lewej czerniał przy ścieżce nieruchomy, szumiący, czarny, nieprzenikniony las, nad lasem przewalały się z szumem niskie chmury. Kiedy skręcili ze ścieżki, przeszli kilka minut w milczeniu, na przełaj przez miękką ziemię, Barczak powiedział:

— Po co nam iść dalej? Załatwimy to tutaj.

Krężel wyjął rewolwer, nacisnął spust, przystawiwszy lufę do głowy Waldka. Trzasnął cyngiel, ale rewolwer nie wypalił. Zaciął się.

— Strzelaj, Staszek! — syknął niecierpliwie Krężel.

Barczak pieścił w kieszeni dziekanowskiego mauzera. Odbezpieczył. W tej chwili Waldek się odwrócił i krzyknął cicho:

— O rany, Staszek, co robisz!

Barczak nacisnął cyngiel raz, potem drugi. Huknęły dwa stłumione rzały, Waldek upadł na miękką ziemię, Barczak schował rewolwer) kieszeni i powiedział nieco zadyszany:

— Krężel, dawaj łopatę.

Łopata, jak się rzekło, miała ułamany trzonek, kopali długą chwilę arając się wykopać jak najgłębszy dół. Po godzinie pracy, rozstawiwy się na czujkach, wykopali dwumetrowy dół. Przeszukawszy kieenie za pieniędzmi, które mu matka dała na podróż, ściągnęli z nóg ıty, wrzucili ostrożnie ciało twarzą na dół, aby nie zasypywać oczu emią i zaczęli do dołu nawalać ziemię i piasek. Zasypali, udeptali, yrównali z poziomem ziemi, zamaskowali. Padał deszcz i błoto rozazało się zarówno na grobie jak i wokoło niego. Wreszcie Krężel owiedział:

— Pomódlmy się za jego duszę. Poszedł przecież na sąd niebieski z spowiedzi.

Uklękli na suchszej ziemi koło grobu i Krężel zaczął drżącym, przetym, nabożnym głosem:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie...

— A światłość wiekuista niechaj mu świeci — odpowiedział Barczak.) czym zmówili trzy Zdrowaś Maria i ruszyli do miasta, kryjąc łopatę d kapotą. Po drodze jeszcze zakopali buty i podzielili się pieniędzmi. arczak poszedł do domu Grabińskiej. Siedzieli przy kolacji. Irki nie ło, nie wróciła jeszcze z kursów, więc Grabińska zeszła na dół do odsiadły, który popijał wódkę. Miała straszne, podkrążone oczy, pazyła nieprzytomnie, ręce jej się trzęsły. Rozlazła się baba, pomyślał wstrętem Barczak, trzeba ją będzie wziąć w karby, bo nam bigosu robi.

— Dajcie mi wódki — powiedziała i skierowała pytające spojrzenie Barczaka. Ten uśmiechnął się niepewnie.

— Krężel poszedł z meldunkiem do Gajosa — powiedział.

— Załatwione? — zapytał obojętnie Podsiadło.

— Załatwione — odpowiedział Barczak.

— Dajcie mi wódki — powiedziała pani Grabińska.

Podsiadło nalał. Grabińska wypiła, wytarła rękawem usta i zakąa ogórkiem. Jedli w milczeniu, z ulicy dochodził tylko szum wiatru.

— To ja idę spać — powiedział Barczak.

— Oddaj pistolet Obłupkowi, trzeba będzie księdzu odnieść.

— Dajcie mi wódki — powiedziała Grabińska.

Podsiadło jej nalał aż pod czub kieliszka. Nadpiła ze stołu i wylała resztę do gardła. Zakąsiła ogórkiem.

— No to teraz weźmiemy się do roboty. Nikt nas już nie wysypie: trzeba będzie rozwinąć akcję, zacząć przygotowywać naszą Polskę.

— Czy mi Pan Bóg przebaczy? — zapytała bezmyślnie pani Grabińska.

Podsiadło uśmiechnął się i klepnął ją po ramieniu.

— A co ksiądz powiedział?

— Ksiądz powiedział, że nikt nie może wiedzieć, czy Pan Bóg przebaczy. Ale lepiej, żeby ginął jeden, niż żeby szło wielu na zatracenie.

— No, właśnie! Mądry ksiądz, zawsze to mówiłem!

Barczak wyszedł, a Podsiadło powiedział:

— Dosyć tego gadania i picia. Pościel mi łóżko.

Grabińska wstała, posłała mu łóżko, przyćmiła lampkę na stoliku, zasunęła firanki. Podsiadło zaczął się rozbierać i powiedział do niej:

— Rozbieraj się.

*

Sala szpitalna była czyściutka i bielutka, przez zasłonięte muślinową firanką okno wpływało na posadzkę łagodne, jesienne słońce i kładło się na czerwone linoleum jak płomienne liście buku. Zegar cichutko tykał na stoliczku, dziecko leżało dalej, a Anna leżała w półśnie i myślała o Pawle, który teraz gdzieś łazi po świecie, przysyła jej tylko depesze i czeka, kiedy będzie mógł się wyrwać i ją odwiedzić. Była osłabiona, blada i wychudła, lecz dumna, że przetrwała ciężką operację, że ma dziecko. Przepełniała ją miłość. Leżąc w półśnie snuła plany na przyszłość, tęskniła do zimy, która teraz nadejdzie i do pogodnej wiosny i do gorącego lata, gdy będzie chodziła z małym na spacery po miasteczku. Potem może Paweł pojedzie na kurs do wojewódzkiego komitetu, będzie dojrzewał w robocie partyjnej, powstaną w miasteczku wielkie warsztaty kolejowe, nie będzie wieczorami już tak strasznie ciemno i ludzie będą inni, będą radować się życiem, będzie dużo cukru i dużo tkanin, i ziemia będzie dawała dużo zboża i buraków, i w PGR-ze zorganizuje się wzorowe uczelnie dla chłopów, kursy samokształceniowe, zespoły miczurinowskie, będziemy przenosić doświadczenia ra

dzieckie na nasz grunt, hodować rośliny sprowadzone stamtąd, przystosowywać je do naszej gleby, budować w miasteczku przedszkole, porządne, piękne przedszkole, gdzie będzie mogło chodzić jej dziecko i inne dzieci, a potem położymy asfalt na ulicach, zrobimy ze Szpotawy agro-miasto, promieniujące na sąsiednie spółdzielnie i PGR-y, centrum życia, stolicę powiatu. Będą przewalały się przez linię kolejową wielkie transporty węgla na Nową Hutę, będą szły towary, będą powstawały drogi, ludzie, synowie chłopscy będą szli do szkoły mechanicznej, do parowozowni, do cegielni, do szamotowej fabryki i dalej drogami w świat, do Warszawy, Zagłębia, na Śląsk, na Mazury, w Szczecińskie. Nagle urwała rozmyślania. Słychać było kroki na korytarzu. Ktoś stanął przed drzwiami.

— Paweł — szepnęła cicho Anna i uśmiechając się wzięła dziecko w ramiona. Syn spał nakarmiony i zadowolony.

Drzwi się otworzyły i Anna szeroko otwartymi oczami ujrzała w nich towarzyszy z komitetu powiatowego. Mieli poważny wyraz twarzy, na rękawach czarne opaski, przynieśli bukiet kwiatów. Przez chwilę patrzyli na nią w milczeniu. Anna zrozumiała.

— Kiedy to się stało? — zapytała cicho.

— Gdy odstawiliśmy was do szpitala — powiedział Adam.

— To znaczy, że...

— Musieliście mieć spokój, nie wolno wam się denerwować.

Anna zaczęła płakać. Płakała bezgłośnie nie wstrzymując łez. Dziecko się obudziło.

— Syn — powiedziała Anna i rozpłakała się, kryjąc twarz w poduszkę.

*

Ksiądz dobrodziej jechał do Kielc, do biskupa. W miasteczku nastąpiły groźne aresztowania; cała banda wsypała się. Nie wiadomo było, kogo wezmą jutro — nikt nie mógł się ruszać bezpiecznie. Chór kościelny, piękny, wyćwiczony chór, ozdoba nabożeństwa niedzielnego, został zdekompletowany. Siedział Obłupek, siedział Podsiadło, posadzili panią Grabińską. Znaleźli broń, całe miasteczko zaczęło mówić, że banda bandą, a podobno jeden ksiądz wydawał wyroki, tylko nie wiadomo który. Słowem, ksiądz dziekan dobrodziej postanowił jechać do Kielc. Jeszcze z rana odprawił mszę świętą i krzywił się na jej wspomnienie.

Kościół był pusty, kiedy wszedł z ministrantem za prezbiterium. Podczas podniesienia odwrócił się od ołtarza, aby kielichem pobłogosławić kościół i ujrzał wtedy stojącą koło bariery Irkę Grabińską: patrzyła na niego płonącym, wrogim spojrzeniem. Opuścił kielich i powiedział:

— Ite missa est!

Wtedy Irka odwróciła się, twardym, nie dziewczęcym krokiem przeszła przez pusty kościół, otwarła wielkie drzwi na dwór, wyszła z kościoła i z łoskotem, który rozbrzmiał pod sklepieniem kościółka i zagłuszył słowa księdza dobrodzieja, zatrzasnęła je bezpowrotnie za sobą. — Jeszcze jedna duszyczka odeszła od łona matki swej, kościoła — dumał smętnie ksiądz dobrodziej w drodze do Kielc. Myślał, co powie biskupowi. Wprawdzie poróżnili się kiedyś o świadków Jehowy, gdyż biskup nie mógł zrozumieć delikatnego położenia księdza dobrodzieja w miasteczku, niemniej jednak nie odmówi mu pomocy jak tamtym razem, gdy zameldował mu o bandzie i o swoich dysputach z bandą armii polskiej. Biskup na pewno zabierze go z tej plebanii i przeniesie na inną robotę, na inną plebanię. Trzeba będzie od nowa wymyślać jakiś cudowny obraz, trzeba będzie znowu remontować plebanię, podnosić jej świetność, zaznajamiać się z parafianami, ogrodzić cmentarz. Ksiądz dobrodziej już zaczynał tęsknić do wielkiej pracy organizacyjnej, takiej, w której mógłby rozwinąć skrzydła jak ptak, który pnie się do słońca i tylko cień rzuca na ziemię. Może uda mu się pójść na profesora Uniwersytetu Warszawskiego, co od tak dawna ma obiecane? Tak myśląc i zaglądając czasem do brewiarza, a czasem do torby, gdzie przezorna gosposia włożyła księdzu dobrodziejowi bułeczki z masłem i miodkiem, nasz ksiądz dziekan przybył do Kielc i skierował się do kurii biskupiej. Szedł tak zamyślony, że nie spostrzegł, gdy go jakiś młodzieniec ujął delikatnie za rękę. Ksiądz dziekan zatrzymał się zdziwiony. Młodzieniec powiedział:

— Zdaje się, ksiądz dziekan Obora?

— Tak, proszę pana — odpowiedział Obora.

— Może ksiądz będzie łaskaw — rzekł młodzieniec i wskazał mu samochód, który czekał kilka kroków dalej.

Ksiądz obejrzał się.

— Czy jestem zatrzymany? — zapytał.

— Tak — odpowiedział twardo młodzieniec.

Wsiedli i pojechali. Ksiądz w milczeniu dumał i przemyśliwał. Nie na wiele mu to się zdało. Nazajutrz wszedłszy do kancelarii, zobaczył

oficera śledczego. Był to ten sam młody człowiek, który niegdyś rysował zabytek kościelny w Szpotawie.

— Może ksiądz zechce mi udzielić kilku wyjaśnień, dotyczących roli księdza w bandzie AP i zamordowaniu Waldemara Grabińskiego.

— Udzielić wyjaśnień? Panu? — zdumiał się ksiądz.

Młodzieniec poruszył się na krześle i powiedział:

— Nie mnie, narodowi!

A kiedy ksiądz dziekan milczał, rzekł:

— Ciężko, prawda, popatrzeć w twarz narodowi, kiedy maczało się ręce w krwi dzieci. No, to ja księdzu pomogę. Zacznijmy od początku. Jak to było, kiedy Obłupek przyszedł do księdza dziekana?

*

Historia, którą tutaj opowiedziałem, osnuta jest na tle procesu wolbromskiego, który toczył się w Krakowie. Irka nie chciała zeznawać, była już wtedy fachowcem, uczyła się...

Tadeusz Borowski

KAZIMIERZ KORCELLI

NAJAZD

sztuka w 4 aktach z czasów Stefana Czarnieckiego

Osoby:

STEFAN CZARNIECKI, kasztelan kijowski
ANDRZEJ JARZĄB
KRÓL, Karol X Gustaw, król szwedzki
BISKUP, Piotr Gembicki, biskup krakowski
KANCLERZ, Stefan z Pilczy Koryciński, kanclerz wielki koronny
CHRZĄSTOWSKI Stanisław z Brzezia, podsędek generalny krakowski
KONIECPOLSKI Aleksander, wielki chorąży koronny
KSIĄŻĘ Dymitr Wiśniowiecki
OXENSTIERNA, kanclerz szwedzki
SZYMON, stary baca
HANKA, jego córka
JAŚ, młody góral
STEIN, pułkownik szwedzki
BUDZISZ, rybak
ROTMISTRZ
OFICER, Jan Karwacki, zaufany oficer króla Jana Kazimierza
SURMA, stary wysłużony żołnierz
KSIĄDZ
w epizodach: HRABIA, dygnitarz szwedzki — DWORZANIN króla szwedzkiego — ŻOŁNIERZ z dywizji Czarnieckiego — ŻOŁNIERZ szwedzki — WARTOWNIK — RYBAK

Rzecz dzieje się w r. 1655 i w r. 1656, w czasie najazdu szwedzkiego.

Chorągiew króla szwedzkiego, wstęga królewska i talerze (akt II i III) opisane zostały i zilustrowane barwnymi planszami w wydawnictwie: „Karola X Gustawa, króla szwedzkiego trofea i sprzęty stołu, zdobyte przez Stefana Czarnieckiego w 1656 roku; opisane i ogłoszone przez Hr. Eustachego Tyszkiewicza“ Wilno, 1856, nakładem księgarni Rubena Rafałowicza.

AKT PIERWSZY

(Pod koniec września 1655 roku.
Na południowo-zachód od Krakowa.
Stara karczma przy trakcie prowadzącym na Śląsk.
Horyzont sfalowany, bo okolica jest podgórska. Wieczór.
W stronę Krakowa czarne niebo objęte łuną.)

Scena 1

(Z głębi, w stronę karczmy idzie trzech mężczyzn szczelnie owiniętych płaszczami, otacza ich kilku zbrojnych, dwóch żołnierzy i chłop niosą pochodnie, na przedzie idzie oficer, w pewnej odległości za nimi postępuje gromadka chłopów.)

OFICER *(otwierając drzwi ciemnej karczmy):* Hej tam, pochodnie wyżej! Światła tu! *(przy drzwiach schylił się w ukłonie, przepuszczając trzech mężczyzn, ci weszli — za chwilę w jednym z okien, później w drugim zabłyśnie światło)* Hej, chłopie!

(stary chłop, półdziki baca, o twarzy wilka, nędznie ubrany, oderwał się od grupy i podszedł, ociągając się, do oficera)

OFICER: Ty stąd? Tutejszy?

SZYMON *(niechętnie):* Stąd, jaśnie wielmożny panie.

OFICER: Trakt ten do granicy śląskiej prowadzi? *(chłop przytaknął)* Pałeta! *(jeden ze zbrojnych wysunął się)* Weź jednego człowieka i stańcie przy trakcie, uważać mi dobrze, czy kto nie jedzie od strony Żywca. *(do drugiego)* A ty Surma z Królikowskim staniecie z drugiej strony, koło tych krzaków, cośmy minęli. Będziecie patrzeć na trakt w stronę Lanckorony i Krakowa... Uważać dobrze, a nie pospać się! Gardłem mi odpowiadacie! No, ruszaj! *(żołnierze odeszli)* Chłopie!...

SZYMON: Jestem, wielmożny panie...

OFICER: Szli tu jacy ludzie zbrojni od strony Krakowa ku śląskiej granicy?

SZYMON: Ady furt idą. Z wozami...

OFICER: Jacy to ludzie?

SZYMON: A jo wiem?

OFICER *(groźnie):* Jak to?!

SZYMON *(po chwili):* Panowie...

OFICER: Ale ci, co traktem ciągną, o tę karczmę nie zawadzają?

SZYMON: Tu jest cicho, bo trakt główny kole dworu skręca, tam gdzie wielmożny pan konie kazoł ostawić.

OFICER: A dwór kto spalił?

SZYMON *(cicho):* Nie wiem, jaśnie wielmożny panie...

OFICER: Ej! No, bo w łeb! Jak to nie wiesz!? Tutejszyś!

SZYMON: Przyszła jakaś kupa, dwór spalili, lud tu... niespokojny, chodzi na zbój...

OFICER: Znaczy, górale spalili?

SZYMON: My uciekli wtedy do lasu, nie wiem...

OFICER: Tyś czyj?

SZYMON: Jaśnie wielmożnego Chrząstowskiego.

OFICER *(szuka w pamięci):* Chrząstowski? Chrząstowski?... Podsędek krakowski? *(chłop skinął głową)* Gdzież on teraz?

SZYMON: Wyjechał. Ludzie mówią do — króla.

OFICER: Do polskiego króla czy do szwedzkiego króla?

SZYMON: Tego ja nie wiem, jaśnie wielmożny panie. Mówią, wyjechał do Krakowa. Naładował wozy, wyjechał.

OFICER: Do Krakowa? Hm... A wojska, chłopie, nie widziałeś tu?

SZYMON: Wczoraj, koło połednia było z dziesięć koni, pędem pojechali w stronę Lanckorony.

OFICER: Polskie wojsko?

SZYMON: Chyba polskie...

OFICER: Nie wiesz, od polskiego czy od szwedzkiego króla?

SZYMON: Tego nie wiem, jaśnie wielmożny panie.

OFICER: No... *(odwrócił się i wszedł do karczmy).*

Scena 2

(Została tylko grupka chłopów, do Szymona zbliżyła się córka, Hanka)

HANKA *(szeptem):* Kto są ci, jak myślicie? Nasi cy od Szweda?

SZYMON *(niechętnie):* Kto może wiedzieć? Mówią po naszemu... Ale sam czort się dziś nie rozezno!

HANKA: Na Węgry, musi, jadą abo na Śląsk. Bogate panowie, bo konie mają piękne, widzieliście tato?

SZYMON: Ty, dzieucho, milcz, co ci do tego, kto oni!

(milczenie)

HANKA: Mówią, że Szwed tu przyjdzie...

SZYMON: A za co ma nie przyjść? Dużo to jest czasu, jak król szwedzki na Wielgopolskę uderzył? Dwa miesiące! Panowie bez bitwy uciekli. Ażeby ich zaraza!... *(milczenie)* Szwed szedł bez całą Polskę, wziął Poznań, Warszawę...

HANKA: Matko Jezusowa!

SZYMON: Już pod Krakowem, ostatnie miasto luter bierze...

(milczenie, wśród nocy, z daleka, niesie się śpiewka góralska, śpiew się zbliża, słychać słowa: „Polana, polana bogatego pana,
Polanę skosili, pana powiesili")

SZYMON *(ze złością):* Na całe gardło się wydziero ten...! *(po chwili, gdy Jaś, który śpiewał, podszedł)* Cego się po nocy smykosz tu?

JAŚ *(młody góral):* Patrzyłek se, jak panowie uciekają. Ino się kurzy!

SZYMON *(niechętnie):* Milczołbyś...

JAŚ: Bełem kole szopy dworskiej, konie straśnie pańskie i widać z daleka idą. *(zniżył głos)* A we dworze, wiecie, w tym pokoju, co go pożar nie strawił, nocuje jeden i ludzie mówią: biskup...

SZYMON: Nie godołbyś, zara biskup! Mało to różnych panów się kręci! Po wszystkich traktach ich pełno, dzień i noc na wszystkie strony uciekają... A żeby ich zaraza! Nas zostawili, pod nóż! *(do Hanki)* Nie becz, pod Szwedem cy pod naszym panem jednako...

HANKA *(płacze):* Boga nie macie w sercu!

SZYMON: Mom ja o Bogu czas myśleć? Nawet i w niedzielę najdą panowie czem nas zabawić! *(machnął ręką)* Ni Bóg, ni czort nam nie pomoże!

JAŚ: Mówią ludzie, Kraków będzie się bronił. Franek Marduła, co dzisiaj przyjechał, gado: bramy w Krakowie straśne i pozamykane, ludu i broni w mieście huk. I hetman jakisi broni miasta...

SZYMON: E! *(ręką zatoczył po niebie)* Przecie widzisz, cały Kraków gore!

HANKA: Jezu miłosierny! *(chwila milczenia, patrzą w stronę łuny, mówi cicho)* Andrzej mówił, jak będzie trza spod Lanckorony pójdą hań aż pod Kraków. Z Andrzejem pośli bukowianie, bo ón mo powazanie u tych parobków. *(po chwili)* Pod Kraków chcą iść, na obronę. Jezu miłosierny! W ten ogień!

JAŚ: Co ma być, to będzie. Nie bój się!

HANKA: Nie bój się! Jaki śwarny! Stoisz i portkami trzęsiesz, kie Andrzej...

JAŚ *(do Szymona skarży się):* Baco, cego ona ode mnie chce? Ża tchórza mnie mo, mnie?!... A kto naszego dziedzica Chrząstowskiego ciupagą bez łeb zdzielił, że aż na ziemię prasnął?... Kto jak nie jo?!

SZYMON *(obejrzał się):* Cicho, głupi! Chwalisz się, jeszcze kto usłyszy i na pal cię wbiją! Wiadomo, kto są te, co tu stanęli?

JAŚ: Od Krakowa w tę stronę pomykają, juści że nie do Szweda, z polskim królem widać trzymają... A nosz dziedzic zdradził, do Szweda poszedł, za to my go przez łeb, i za to my dwór spalili! *(po chwili)* Żal mi, że Chrząstowski uciekł, bo my by go na gałąź!

SZYMON: Cichoj, głupi! Jeszcze kto usłysy! *(po chwili)* Panowie między sobą ugadają się i przebaczą sobie, nie bój się... A ciebie na śmierć poślą, żeś śmioł rękę na dziedzica podnieść, choć on i zdrajca. *(do córki)* Andrzej kie wróci? Nie mówił ci nic?

HANKA *(patrząc na łunę):* Pod Lanckoronę w lasy pociągnął. Kazał, żeby na niego nie czekać, nie wiadomo kie wróci... Matko Jezusowo, żeby ino wrócił! *(po chwili)* Taki ogień! *(szeptem modli się)* Matko Jezusowo broń go, Matko Jezusowo chroń...

SZYMON: Czas do chałupy. *(spojrzał na oświetlone okna)* A te nie śpią... Żeby ich zaraza wytraciła!

HANKA *(przerwała):* Cichajcie, dzwony!

(słychać z dala stłumiony jęk dzwonów)

SZYMON *(posunął się):* Co to? Widzi mi się jakby od Wadowic...

JAŚ *(szeptem):* Nie. To będzie od Lanckorony...

HANKA: Nowa łuna! O! *(po chwili)* Dzwony, Jezu miłosierny, coraz żałośniej biją!

SZYMON: Cicho tam! *(bo w małej gromadce chłopów, która w milczeniu do tej chwili nieruchoma stała, wszczął się ruch, zawodzenie i głosy)*

GŁOSY: Nowa łuna!

O! Królowo Anielska... Maryjo święto!

Jezusie!

Już nie ma litości!

SZYMON: Cy by od Lanckorony? Nie za daleko?

JAŚ: Cicho jest i wiater z daleka niesie. Patrzcie na łunę...

SZYMON: Może i od Lanckorony... Ale cy by aż tu Szwed już?

HANKA: Rozszerza się łuna, tato!

SZYMON *(patrzy, po chwili):* Szwed, musi, pod Lanckoronę nastąpił!

HANKA: To się spotka z naszymi! *(otarła łzy)* Tato!

SZYMON: Cego chcesz?

HANKA: Szwed Lanckorony nie weźmie!

(Szymon patrzy na łunę, zamyślony, głową przytakuje)

JAŚ *(cicho):* Sroga to forteca... Do tego miecznik Zebrzydowski zamek umocnił, armatą i ludźmi obsadził...

HANKA: Sam uciekł na Węgry! Taki siumny pon!

SZYMON: A uciekł! Zamek umacniał, ludzi naszych gromadził, „brońta się do ostatniego" przykazywał wojsku — i sam uciekł! A żeby go...

JAŚ: Baco...

SZYMON: Cego?

JAŚ: To już jak tam się zaczął ogień, to mnie, widzicie, trza iść. Pójdę jeszcze tej nocy, koło Lanckorony u leśnego stawku są nasi, tam momy się spotkać.

SZYMON *(wciąż patrząc na łunę):* Idź, synku... *(po chwili)* Jasiu! *(chłopak zatrzymał się)* A moją rusznicę ze schowka wyciągnij, będzie mi potrzebno.

HANKA *(patrzy na niego):* Tato!

SZYMON: Ano... *(milczy chwilę, twarz ma coraz bardziej wilczą)* Bo jak już Szwed na naszą ziemię wstąpił — to albo óni, albo my będziemy tu żywe.

Scena 3

(Otworzyły się drzwi od karczmy, stanął w nich oficer i jeden z nieznajomych)

OFICER: Hej, co tam jest? Co to za dzwony?

SZYMON: Od Lanckorony, widzi mi się.

OFICER *(w milczeniu postąpił w głąb, patrząc w stronę łuny):* W lasach pod Lanckoroną są zbrojne oddziały górali?

SZYMON: Nie wiem, jaśnie wielmożny panie.

OFICER *(ze złością):* „Nie wiem, nie wiem". Ciemny chłopie! To nie wiesz, że wielmożny miecznik Zebrzydowski kazał się góralom tutejszym zbierać w kupy, brać widły i siekiery i ruszać na wroga?!

(Szymon milczy)

OFICER: Kupić się, zasieki robić, przeprawy psować, znosić nieprzyjaciela! Ot co! A wy gęby na kłódki i patrzycie jak te gapy! Tutejsi wy?

SZYMON: Tutejsi.

OFICER: Boga nie macie w sercu, ani ojczyzny! Łuny naokoło, a wy... *(spojrzał na Jasia)* Taki chłop jak dąb i nie wstydzisz się siedzieć w chałupie, gdy kraj w ogniu? Co?! *(chłopi milczą)* Precz stąd! Nie kręcić mi się tu po nocy! *(chłopi odchodzą; do nieznajomego, który ruszył od progu)* Wasza miłość rozkażesz?

KANCLERZ: Trzeba by nam poruczniku, języka zasięgnąć. Dzwony na alarm biją... Nie sądzę, żeby aż tu zapędził się który z oddziałów generała Douglasa. To niemożliwe, może jaka kupa zbrojnych łotrzyków wieś podpaliła. Jak widzisz waszmość, od kilku dni wciąż łuny nam towarzyszą.

OFICER: Pozwoli wasza miłość, że wezmę dwóch ludzi, i wyskoczę naprzeciw tych łun. Od tych, którzy traktem od tamtej strony ciągną, wywiedzę się.

KANCLERZ: Idź waszmość! *(odwrócił się, oficer odchodzi)* Widzę, że i wasza wielebność nie śpisz?

Scena 4

BISKUP *(mówi głosem starczym, ale w pewnych momentach głos ten odzyskuje siłę):* Trudno spać w taką noc.

KANCLERZ: Rozumiem dobrze, księże biskupie. Ostatnia to noc na ojczystej ziemi. Jutro przekraczamy granicę.

BISKUP *(idzie w milczeniu aż do wzniesienia, stanął):* Pali się Kleparz, Kaźmirz, Stradom, klasztory starożytne, kościoły święte, domy, które przodkowie stawiali... Boże ty wielki!

KANCLERZ: Częściowo sam pan Czarniecki podpalił, żeby mu obrony nie utrudniały.

BISKUP: Po com dożył? Nocą i chyłkiem przyszło nam z królestwa uchodzić... *(po chwili)* Wydaje mi się czasem, mości kanclerzu — sen to jest...

KANCLERZ: Wasza wielebność, może do izby wrócisz, chłód nocy idzie.

BISKUP *(sucho):* Nie. *(patrzy w milczeniu na łuny)* Tam moja stolica biskupia! W ogniu! *(milczenie)*

KANCLERZ: Siła nam zależy na zdrowiu waszej wielebności. Czas się zdrzemnąć. Jutro o ratunku przyjdzie nam radzić.

BISKUP *(zamiast odpowiedzi patrzy na łuny):* Od wieków stało to miasto.

KANCLERZ: Książe biskupie, wasza wielebność...

BISKUP: Mnie nawet ta nadzieja wydarta, że gdy po śmierci trzy łokcie ziemi sobie obieram, to nie będę mógł odpoczywać w ojczyźnie, między przodków moich kościami... *(długie milczenie, jakby się ocknął)* Wybacz wasza dostojność, że serce we mnie na chwilę omdlało, alem stary. I gdy tak patrzę na ten ogień okrutny, stolicę naszą starożytną trawiący, i gdy pomyślę: gdzie są ci, którzy w obronie wiary i tego królestwa w pole wyjść powinni i choćby na śmierć się wystawić? Gdzie są?! Gdzież wojsko, szlachta, senat Rzeczypospolitej?! Oto w obozie heretyckiego króla! Oto... Wybacz, wasza miłość, w głowie się nie mieści! *(po chwili)* Ale radźmy. Do spokoju trza się przymusić. Na głazie tym siędę... *(siada)* Mów, wasza mość.

KANCLERZ *(po chwili):* Właśnie, gdy wasza dostojność o one stany prześwietne pytasz: gdzież szlachta i senatorowie? — myśl moją skierowałeś ku innym mieszkańcom tego królestwa. Nigdy oni dotychczas gromadnie do obrony nie stawali, ziemię orząc. Pozwól wasza wielebność, że skończę... Tułając się od dni kilku na tej rubieży królestwa, widzieliśmy byli po lasach i górach lud dziki, zbrojny... i gdy szlachta o przyrodzonych swoich obowiązkach zapomniała, lud ten podnieść należy uniwersałami! Wasza wielebność chciałeś coś rzec?

BISKUP *(milczy chwilę, potem mówi dobitnie):* Czy wasza dostojność zastanowiłeś się, co ta propozycja w istocie oznacza?

KANCLERZ *(nerwowo):* Sposoby ratunku...

BISKUP *(przerwał, z siłą):* Nie! Targnięcie się na prawa Rzeczypospolitej! Czekaj, wasza miłość! Pospólstwo zbroić i w pole wyprowadzać?!

KANCLERZ *(przerwał):* Toż Batory król próbował już...

BISKUP *(przerwał):* To było wojsko, a nie pospolite ruszenie gminu! I sam wiesz, wasza dostojność, że sejmy nasze i tego zaniechały, bo nie daj Bóg, aby broń, która szlacheckiemu stanowi się należy, chłopstwu powierzona być miała!

KANCLERZ: Ważą się losy królestwa, księże biskupie!

BISKUP *(trzęsie głową):* W istocie ważą się losy. Ale wiary i narodu szlacheckiego, mości kanclerzu! Do obrony pospólstwo chcesz wołać? I co mu za to ofiarujesz?

KANCLERZ *(sięgnął do zanadrza):* Przygotowała kancelaria królewska projekt uniwersału, który jeśli król raczy podpisać...

BISKUP: Zostaw mości kanclerzu ten papier. Król nie podpisze!

KANCLERZ: Wasza wielebność...

BISKUP *(milczy chwilę):* Bo gdyby nawet król jegomość ulgi jakieś od ciężarów chciał obiecywać, nie będzie w stanie ich dotrzymać! Od sejmu zależy, a dobrze wasza miłość wiesz, że sejm nie zgodzi się...

KANCLERZ: Ależ królestwo w śmiertelnym niebezpieczeństwie!

BISKUP: ...szlachta się nie zgodzi, a jej prawa to fundamentum królestwa! I ja ci powiem, wybacz wasza miłość, młodość przez was przemawia, pozwól... powiem ci więcej: ja będę za szlachtą!

KANCLERZ: Księże biskupie!

BISKUP *(przerwał brutalnie):* Zostaw, wasza mość. Po inszych trzeba nam sięgnąć sprzymierzeńców. Przede wszystkim zważ, że Bóg Najwyższy nie pozwoli, aby bezecni heretycy zapanowali, a jeśli nas teraz doświadcza, to za grzechy nasze, za herezje, którym w tym królestwie niegdyś sławnym z wiary rozplenić się pozwoliliśmy. Wysłane są poselstwa do Ojca św. i do cesarza...

KANCLERZ: Cesarz będzie trzymał z mocnym. Toć wiadomo waszej wielebności, że poselstwa od postronnych królestw do Carolusa szwedzkiego spieszą, aby mu gratulować, że Polskę zawojował. I zważ jeszcze wasza wielebność, że gdyby nawet cesarski żołnierz przyszedł tu z pomocą, może być ciężki dla kraju.

BISKUP: Dla dobra wiary świętej i ojczyzny trzeba nam będzie to znieść. W każdym razie będzie to żołnierz cesarza chrześcijańskiego.

KANCLERZ *(przerwał gwałtownie):* Obcy żołnierz! Wtedy, gdy lud tutejszy...

BISKUP *(przerwał mu z naciskiem):* Pozwól wasza miłość... gorączkę masz w oczach. Cesarz chrześcijański nie naruszy praw fundamentalnych tego narodu...

KANCLERZ *(przerwał):* Wiadome są aspiracje domu austriackiego w stosunku do nas, i to nie od dziś...

BISKUP *(parsknął gniewnie):* Mości kanclerzu!

KANCLERZ *(ironicznie):* Czyż można przypuścić, że austryjacy dla miłości bliźniego siebie miłować przestaną?

BISKUP *(zmilczał gniewnie):* Oprócz cesarza zostaje jeszcze chan! Wiem, co chcesz powiedzieć, że pogańskie armie wzywamy na ratunek wiary świętej... Otóż wiedz, synu, różne Opatrzność drogi wybiera, aby mogła triumfować wiara święta. I lepszy poganiec w granicach Rzeczypospolitej niż lud ten dziki, gdyby powstał!

KANCLERZ: Przeciwko Szwedom powstanie, wasza wielebność!

BISKUP: Zapominasz, że od wschodniej ściany wciąż pali się rebelia kozacka!

KANCLERZ: Wasza wielebność...

BISKUP: Czekaj! Mówiłeś, że gdyśmy od Krakowa na Nowy Sącz ruszyli, w czasie tej kilkudniowej tułaczki widziałeś kupy zbrojne po lasach i na myśl ci przyszło obrócić ten lud przeciw Szwedom. To ja ci powiem... W tej samej wędrówce mijaliśmy i Czorsztyn. Widziałeś ty to orle gniazdo? Zapomniałeś już wasza miłość, jaki tam orzeł się usadowił?! Dużo to minęło lat? Cztery, wasza miłość! Cztery zaledwie lata, gdym ja musiał tego orła przy pomocy dragonów strącać. Zapomniałeś wasza mość, że rebeliant Kostka zbójcami zamek osadził. A choć żywota na palu dokonał, ogień wśród chłopstwa tli! Straszny to ogień! *(po chwili)* I co? Milczysz? *(po chwili)* Straszny to ogień, wasza dostojność, od którego zgorzeć może gmach starożytny naszej Rzeczypospolitej.

KANCLERZ: Tymczasem... wybacz wasza wielebność... nie od tego ognia, który alegorycznie przedstawiasz, ginie Rzeczpospolita. Pospólstwo nie przedstawiałoby tej groźby, o której wasza wielebność mówisz, gdyby w takiej nie jęczało opresji.

BISKUP *(chłodno):* Te temata zostaw już panu wojewodzie poznańskiemu.

KANCLERZ *(obrażony):* Wasza wielebność!

BISKUP: Pan Krzysztof Opaliński ucieszne satyry o tym pisze. Ale nie przystoi to kanclerzowi wielkiemu koronnemu.

KANCLERZ *(podrażniony):* Ale przystoi kanclerzowi koronnemu wyrazić żal, że cofając się przed zimaginowanym niebezpieczeństwem ze strony pospólstwa, poniechaliśmy sposobu, aby wzmocnić Rzeczpospolitą przez podniesienie stanu pracowitych oraczy.

BISKUP: Niebezpieczna to maksyma, mości kanclerzu!

KANCLERZ: Niebezpieczniejszy Szwed, który już Krakowa dobywa, ostatniej twierdzy tego królestwa!

(zapadło milczenie)

BISKUP: Jałowy to dyskurs. Szlachtę na koń i wojska zwoływać.

KANCLERZ: Wojska nieopłacone, wasza wielebność. I wybacz... gdy król jegomość, w ostatniej będąc już toni, aby zaspokoić nieopłaconego żołnierza po srebro kościołów się zwrócił, kto zaoponował? Biskup krakowski!

BISKUP: Wasza miłość wiesz, że bez zgody Watykanu nie mogę tym srebrem dysponować. Com miał swojego, tom dał. A srebro kościołów należy do Boga.

KANCLERZ: To srebro wiernych tego ginącego kraju, nie Watykanu...

BISKUP *(wstał):* Słowa niegodne kanclerza katolickiego państwa!

KANCLERZ: Królestwo katolickie ginie... a Watykan...

BISKUP *(gwałtownie):* Bluźnisz! Bluźnisz!

KANCLERZ: Gołymi rękami mamy bronić wiary, króla i ojczyzny, srebro naszych kościołów obrócone na skarb szwedzki, a Watykan...

BISKUP: Zamilcz!! Kacerskie słowa w twoich ustach! Gorączkę masz w oczach!

KANCLERZ: Księże...

BISKUP: Małoż ci nieszczęść, które na ojczyznę padły?! Małoż ci gniewu bożego? Za grzechy i za kacerstwa?! Nowych wołasz nieszczęść!? Boże... oto łuny już naokoło nas, oto pobite królestwo... Boże wielki, bluźnierstwo w ustach kanclerza tego państwa! Nie karz nas za to, Panie! *(modli się w głos)* Boże wielki, Boże sprawiedliwy, błagamy cię o miłosierdzie! Zawieś gniew swój nad ojczyzną, nie karz nas więcej! O, zmiłuj się, wspomóż to serce, które bluźni.

KANCLERZ *(po chwili, głosem stłumionym):* Zawiniłem...

BISKUP *(oczy ma podniesione, modli się poruszając tylko ustami):* Synu!

KANCLERZ *(jeszcze bardziej pochylił się, niemal z jękiem):* Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu...

BISKUP: Synu mój!

KANCLERZ *(osunął się na kolana i bije się w piersi):* Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa...

(cisza, znów słychać dzwony dalekie)

BISKUP *(ręką przeżegnał kanclerza):* Wstań. Ludzie jacyś, widzę, zbliżają się...

Scena 5

(Wchodzi oficer w towarzystwie Andrzeja Jarząba — ten ubrany z góralska, z rusznicą, krew ma na twarzy).

OFICER: Przywodzę tu waszym dostojnościom człowieka, któregom spotkał na trakcie, gdy w te okolice dążył. Powiada, że wczora wyszedł spod Lanckorony. Lanckorona padła, zamek obsadzony został przez kapitana Burhulsena z komendy generała Douglasa...

KANCLERZ *(zaskoczony):* Jak to padła? Bez boju? Wszak to zamek na wysokiej skale... I czyżby Douglasowe zastępy już w ten kraj górski wdzierać się poczęły?

OFICER: Pan miecznik Zebrzydowski wyjechał na Węgry, komendantowi Wilkońskiemu zleciwszy poddanie zamku, gdy Szwedzi znajdą się pod jego murami.

KANCLERZ: Dziwne... Zamek miał się bronić... A *(wskazał)* ten człowiek z załogi?

OFICER: Mówi, że nie. W lasach zgromadziły się potężne oddziały górali i na pierwszy strzał armatni miały zamkowi iść na odsiecz, zachodząc Szwedom tyły. Pan miecznik Zebrzydowski poddał zamek bez wystrzału, chciał ułagodzić Szwedów, by mu innych majętności nie splądrowali.

KANCLERZ *(przerwał, zwracając się do Andrzeja):* Krew widzę na twojej twarzy. Mów...

ANDRZEJ *(skłonił się, głos ma urywany ze zmęczenia i pasji):* Byliśmy w lasach... w gotowości, gdy przyszła wieść, że zamek... poddał jaśnie wielmożny Jakub Wilkoński...

KANCLERZ: Tak. Co dalej?

ANDRZEJ *(oddycha ciężko):* Więc my pogonili za wojskiem generała Douglasa, który po zdobyciu Lanckorony szedł na Myślenice...

BISKUP *(wtrącił nagle):* Pogonili? Kto?

ANDRZEJ *(skłonił się w jego kierunku):* My, no... tutejsi, górale...

KANCLERZ: Mów, byłeś w bitwie?

ANDRZEJ: Nie dali my rady Douglasowi! U nas mało który miał jaką rusznicę... Ale trupem lutrów zasłali my cały las...

KANCLERZ *(do biskupa):* Słyszysz wasza wielebność, z czyjej ręki pierwsze trupy szwedzkie padają?

BISKUP *(udał, że nie słyszy):* Rozbili was?

ANDRZEJ *(ciężko oddycha, mówi jak w gorączce):* Ano... Krwi naszej pociekło... Bo jakże? Z ciupagami na nich?! Żebyśmy mieli rusznice... *(milczenie)* W wiosce my się bronili... Szwed wioskę spalił... Spalił i miasta... Te łuny, które jaśnie wielmożni panowie widzą, to Myślenice i Dobczyce. Kupa gruzu!...

KANCLERZ: Więc Szwed wciąż idzie naprzód!

ANDRZEJ *(dygoce):* Idzie!

KANCLERZ *(rękami ścisnął skronie):* Boże święty!

ANDRZEJ: Ale tu nie ostaną!

KANCLERZ *(podniósł głowę):* Co mówisz?

ANDRZEJ: ...Póki jeden góral przy życiu! Zeby tylko panowie nasi nie umykali... *(zmitygował się w swojej gorącości i skłonił się)* Proszę o wybaczenie, jaśnie wielmożnych panów... bo to z drogi jestem wielkiej i zmęczony, więc człowiekowi czasem głupstwo się powie. I męt mam we łbie! Na traktach widziałem ucieczkę i hańbę...

KANCLERZ: Te dzwony, które słyszymy, skąd to?

ANDRZEJ: Lud z wiosek łapie za broń, więc Szwed ogniem pali wioski i morduje...

BISKUP: No to wytłuką was!

ANDRZEJ *(spojrzał zezem):* Śmierć za śmierć, jaśnie wielmożny panie!

BISKUP *(przygryzł wargi):* Skąd ty? Czyj jesteś?

ANDRZEJ *(po chwili):* Ja... wolny. Żołnierką od lat się trudnię.

BISKUP: Z chłopami teraz w kupy się gromadzisz?

(Andrzej chce coś odpowiedzieć)

OFICER: Bo tu lud wojenny, wasza dostojność! Z nimi można by na Kraków... *(urwał zgaszony wyrazem twarzy biskupa)*

BISKUP: Że wojenny, niestety, pamiętamy. Nie skądinąd, jak stąd, wyrósł ów bunt niecny, gdy na panów swoich chłopi targnąć się ośmielili!

ANDRZEJ: Bo w poniżeniu byli! Tak nas panowie... *(urwał)*

BISKUP *(wpatrzył się w niego bystro):* Jak to — was? Przecieżeś — wolny?

ANDRZEJ: Ja żołnierz. Ale te, co na dziedzinach siedzą, pańszczorze i komornicy...

BISKUP *(do oficera):* Mości Karwacki, na trakcieś spotkał tego człowieka?

OFICER: Na trakcie. Zdążał w tę stronę. Mówił, że w tej wiosce ma dziewkę swoją.

BISKUP: Tu mieszkasz?

ANDRZEJ: Tam mieszkam, gdzie wojna, jaśnie wielmożny panie. Tu mam dziewkę i ludzi znajomych. Lud tu do bitwy dobry. *(podniósł głowę)* Stąd nam się przyjdzie jutro zbierać i w stronę Krakowa ciągnąć... Trza nam na pomoc iść... Pan Czarniecki ma komendę w mieście. W Krakowie zamknął się król polski...

KANCLERZ *(bezwiednie spojrzawszy w oświetlone okna):* Król? Skąd wiesz?

ANDRZEJ: Ludzie, co spod Krakowa idą, mówią: król, król... i że albo zginie w Krakowie, albo miasto obroni. *(milczenie)*

BISKUP: No... dobrze. Idź już, mości żołnierzu. Jutro o świtaniu zgłoś się do naszej kwatery, chcę z tobą pomówić.

(Andrzej kłania się i odchodzi)

BISKUP *(milczy zamyślony):* Proch widzę w tym ludzie! *(spojrzał na oficera)* Czas i tobie spocząć, mości Karwacki.

(Oficer kłania się i odchodzi, znika w drzwiach karczmy)

KANCLERZ *(odczekawszy):* Rad jestem, że wasza wielebność doszedłeś do tego wniosku. Lud ten trza nam podnieść.

BISKUP *(przerwał):* On się już sam podniósł! Słuchaj, mości kanclerzu... *(milczy zamyślony; kanclerz wpatrzony w biskupa czeka)* Szwed starą zaciekłość tego ludu obudził. Nie ugasisz już tego ognia. Jak te łuny szerzyć się będzie...

KANCLERZ: Więc widzisz sam, wasza wielebność...

BISKUP: Pozwól... *(po chwili mówi wolno i dobitnie)* Skoro nie zgasimy tego ognia, trza nam ogień ten opanować...

KANCLERZ *(posłusznie):* Słucham waszą wielebność...

BISKUP: Wydamy uniwersały, w uniwersałach nakazować trza kupom chłopskim gromadzić się pod królewskimi oficerami i słuchać naszych proboszczów. Uniwersały w kościołach odczytywać. Siłę chłopskich ruchów przeciw Szwedom obrócim i przeciw zborom heretyckim, ariańskim...

KANCLERZ *(z gestem protestu):* Jakże to?

BISKUP: Gdy zbory heretyckie ogniem przez nich podkładanym płonąć zaczną, utwierdzi się od tego ich wiara, rebelia chłopska rozwinie się wtedy pod sztandarem wiary naszej świętej... Pozwól, wasza miłość! Widziałeś, jaki hardy był ten chłop, choć się hamował? Jeszcze nie wypaliły się ognie, które ów Kostka podłożył i które od Chmielnickiego aż tu idą. Te ognie skierować musim tak, aby się dom nasz nie zajął. Przeciw Szwedom, przeciw kacerzom i heretykom. Co chcesz powiedzieć wasza dostojność? *(kanclerz milczy, lecz wreszcie pod twardym spojrzeniem starca głowę skłonił z poddaniem, wtedy biskup ciągnie dalej głosem drżącym i starczym, z nutą kabotyńską)* Błogosławię cię, synu... Więc najpierw, mości kanclerzu, świętą osobę jego królewskiej mości na Śląsk poprowadzimy...

KANCLERZ *(niespokojnie):* Właśnie... Znasz wasza wielebność zmienne nastroje pana naszego miłościwego... *(biskup spogląda pytająco)* Król waha

się. Zauważyłeś wasza wielebność, że od tylu dni kołujemy po tym skrawku królestwa, w różne ciskając się strony. Król nie może się zdecydować, a skołatany trudami duszę jeno chce ratować i miasto korony trumnę sobie obiera. Chce ustąpić z tronu dla dobra i spokojności Rzeczypospolitej.

BISKUP *(stęknął gniewnie)*: Znowu! Ważą się losy wiary świętej i królestwa... Przystoiż taka małoduszność pomazańcowi bożemu?

KANCLERZ *(cicho)*: Mówił mi król, że przed laty, gdy kapelusz jeszcze kardynalski nosił, w Asyżu, mąż pewien święty wystawił mu prognostyk: „królem będziesz, lecz królem nie umrzesz..."

BISKUP *(z gniewem)*: Szarlatan to był!

KANCLERZ: To był mąż święty, wasza wielebność, franciszkanin, błogosławiony Józef de Copertino.

BISKUP *(skrzywiony, nieznacznym gestem przeszedł nad tym do porządku)*: Plan Boży jest inny. Najpierw na Śląsk...

KANCLERZ: Właśnie powiadam, król waha się. Raz abdykować zamierza, to znów mówiąc, że w Krakowie królem go koronowali, tam chce wracać...

BISKUP *(wstał)*: Późno już, mości kanclerzu, czas spocząć przed jutrzejszą podróżą.

KANCLERZ: Co to? Światło zgasło w pokoju jego królewskiej mości...

BISKUP *(spojrzał w kierunku jednego z okien, gdzie właśnie zgasło światło)*: Król nasz miłościwy krzyżem do tej pory leżał, Bogu najwyższemu polecając królestwo, teraz na spoczynek się udał...

KANCLERZ *(idąc za biskupem)*: Z niepokoju myśli się mącą... *(zatrzymuje się)* Czy mi się zdaje, wasza wielebność, łuny coraz szersze? I dzwony jakby na alarm biły? *(zatrzymali się obaj, milczenie, niebo czerwienieje mocniej, słychać coraz niespokojniejsze bicie dzwonów)*

OFICER *(stanął w progu, głosem zmienionym)*: Wasze miłoście...

KANCLERZ: Co się stało? Co waści?

OFICER: Na rozkaz jego królewskiej mości, nie czekając świtania, ruszamy...

KANCLERZ: Jakto?! Dokąd?

OFICER *(chwilę milczy, potem mówi głosem stłumionym z akcentem rozpaczy)*: Ku śląskiej granicy.

AKT DRUGI

(Od 26 września 1655 r. armia szwedzka z królem Karolem Gustawem daremnie szturmuje do murów Krakowa; obroną dowodzi Stefan Czarniecki, kasztelan kijowski. Cała niemal Rzplita jest już w rękach najeźdźcy szwedzkiego. Król Jan Kazimierz uszedł na Śląsk. Reszta wojska Rzplitej pozostającej pod dowództwem Aleksandra Koniecpolskiego, wielkiego chorążego koronnego, wkrótce przejdzie pod rozkazy króla szwedzkiego, a hetmani oddadzą mu hołd.

W połowie października 1655 r.

Obóz Karola Gustawa pod Krakowem.

Namiot króla szwedzkiego ozdobiony wielką chorągwią królewską. Poprzez podniesione skrzydła namiotu widać obóz i daleko mury XVII-wiecznego Krakowa.)

Scena 1

(W przedniej części namiotu niespokojnie kręci się podsędek krakowski, Stanisław z Brzezia Chrząstowski, przed zasłoną zakrywającą wejście do dalszych części namiotu stoi nieruchomy wartownik)

STEIN *(stary żołnierz, komendant Nowego Sącza obsadzonego w tym czasie przez gen. Douglasa — wchodzi, kłania się, tamten się odkłania):* Twarz waszmość pana mi znana... Jestem pułkownik Stein z brygady generała Douglasa...

CHRZĄSTOWSKI *(wystrojony z cudzoziemska, w peruce, kolorowy jak papuga, z ukłonem):* No! Jakże! Świetnie pamiętam pana, mości pułkowniku. Któż by nie pamiętał tak sławnego syna Bellony, który...

STEIN: Gdzieśmy się widzieli? Wybacz waszmość, że nie pomnę godności...

CHRZĄSTOWSKI *(napuszył się):* Stanisław z Brzezia Chrząstowski, podsędek generalny krakowski.

STEIN: Miło mi spotkać waszmość pana tu przed namiotem *(schyla głowę)* najjaśniejszego króla szwedzkiego, pana mojego...

CHRZĄSTOWSKI *(z dużo niższym ukłonem):* I ja mu służę. Zapominasz, mości pułkowniku, że najjaśniejszy król szwedzki jest również i naszym panem, nas wszystkich, którzyśmy honor i majętności pod protekcję jego najjaśniejszej królewskiej mości oddali.

STEIN: Aha. *(po chwili)* No, są jeszcze buntownicy w tym kraju...

CHRZĄSTOWSKI *(przerwał obrażony i nadął się):* Zapominasz, mości pułkowniku, do kogo mówisz! Rzekłeś waszmość, że twarz moja jest ci znajoma. Przypomnieć mi się godzi, że poznaliśmy się w kwaterze generała Douglasa, skąd ja niedawno na czele wojsk miasta tego województwa obejmować w imieniu najjaśniejszego króla szwedzkiego wyruszyłem.

STEIN *(schylił lekko głowę):* Wybacz waszmość... Nie dziw się, że serce mam czasem gniewne... Oto wracam z Nowego Sącza, aby jego królewskiej mości złożyć meldunki. Ludność miejscowa się burzy, po lasach gromadzą się kupy i na Nowy Sącz prą.

CHRZĄSTOWSKI: Trochę chłopów, ludzie najnikczemniejszej kondycji...

STEIN *(szorstko):* Cóż z tego? Strzelają lepiej niż wasza szlachta! Nie bierz waszmość mi za złe tej otwartości żołnierskiej, z jaką mówię.

CHRZĄSTOWSKI: Nie neguję, czerń rzeczywiście głowę podnosi. Co długo mówić! Czy możesz sobie mości pułkowniku zimaginować, że niedawno, gdy wyjeżdżałem z jednej z moich wiosek, tu do króla jegomości spiesząc, w moim własnym domu zbóje mnie napadli, a jeden obuchem w głowę mnie trafił, żem jako bez zmysłów na ziemię padł. I gdyby nie wierni słudzy...

STEIN: Więc sam widzisz waszmość.

CHRZĄSTOWSKI *(żałośnie):* Widzę *(ręką po głowie się pomacał)*, raczej czuję do tej chwili... Tę głowę, która sądzić przywykła, chłop nikczemny

obuchem zdzielił! Mocniejsze uderzenie, a możesz mi wierzyć, mości pułkowniku, ta głowa nigdy by już więcej wyroków nie ferowała!

STEIN *(śmieje się hałaśliwie):* I sprawiedliwość w waszej Rzeczpospolitej by stanęła! Ha! Ha! Ha!

CHRZĄSTOWSKI: Łotrzykowie ci pójdą na pal!

STEIN *(szybko):* Powinni! Powinni!

CHRZĄSTOWSKI: Więc mylisz się, mości pułkowniku, zacną szlachtę tego królestwa o bunt pomawiając. *(pogardliwie)* To jedynie — gmin! Nie przechylą przecie oni szali tej wojny.

STEIN: Ha! Ha! Ha! *(Chrząstowski chciałby coś odpowiedzieć, lecz woli się przypodchlebić, więc też się śmieje)* Z niezwyciężonym Karolem Gustawem wojnę wygrać! Ha! Ha! Ha!

CHRZĄSTOWSKI: Właśnie...

STEIN: On wcześniej Polskę zawojował, niż Polaków ujrzał!

CHRZĄSTOWSKI *(z ukłonem):* Co przedniejsi senatorowie królestwa, cała Wielkopolska i cała Litwa, a obecnie i Małopolska z najwyższą radością uznała w najjaśniejszym Karolu Gustawie pana nam miłościwie panującego. Właśnie od województw małopolskich tu przybywam *(wyciąga plik papierów)*, z papierami i żywię niepłonną nadzieję, że królewski majestat raczy mnie przyjąć... *(z nutą entuzjazmu)* Jak widzisz, mości pułkowniku, cała Rzeczpospolita już... *(dalsze słowa przerwało wejście dworzanina)*

Scena 2

DWORZANIN *(woła):* Czy jaśnie wielmożny Chrząstowski jest tu? *(z ukłonem)* Wybacz mości pułkowniku...

CHRZĄSTOWSKI *(wysunął się):* To ja!

DWORZANIN: Mam rozkaz przyprowadzić waszą dostojność do kwatery pana feldmarszałka Wittemberga...

CHRZĄSTOWSKI *(aż się zająknął):* Zaszczyt to dla mnie... ale tuszyłem, że... *(przełknął ślinę)* najjaśniejszy król mój przyjąć mnie raczy... i...

DWORZANIN *(zimno):* Może się i to zdarzyć, król nasz dla Polaków wyjątkowo łaskaw. Ale pan feldmarszałek zapoznać chce się z treścią pisma, które wielmożny pan przywieźć miałeś...

CHRZĄSTOWSKI *(szybko, podnosząc papiery):* Mam! Mam!

DWORZANIN: Nim jakie pismo okazane będzie jego królewskiej mości, pan feldmarszałek zwykł je przeglądać, czy niedopatrzenia jakiego nie ma... Zwłaszcza w tytułach Polacy lubią się mylić... *(zamienił z pułkownikiem porozumiewawcze spojrzenie)* O jedno słowo za dużo było w tytule waszego króla i stąd cała ta wojna...

CHRZĄSTOWSKI *(gorączkowo):* Tu nie ma żadnej omyłki. Proszę! *(czyta)* „Najjaśniejszemu i Najpotężniejszemu Panu Karolowi Gustawowi Szwedzkiemu, Gockiemu i Wandalskiemu Królowi etc. etc..." *(mówi od siebie)* Gdyby ode mnie zależało, z radością dodałbym słowa: „Królowi polskiemu..." ale to dopiero po sejmie...

DWORZANIN *(zaglądając mu przez ramię, czyta):* „...w imieniu tych województw przyrzekamy..." *(skrzywił się)* Trzeba dodać: „szczerze i święcie przyrzekamy..."

CHRZĄSTOWSKI *(pospiesznie):* Tak, dopiszemy! *(czyta)* „Województwa te odstępują króla Jana Kazimierza, i przerwą wszelkie stosunki z nim, lub stronnikami jego, lub..."

DWORZANIN: Wystarczy. Chodźmy, pan feldmarszałek czeka.

CHRZĄSTOWSKI: Dumnym, iż pierwszy podpis pod pismem tym brzmi: Stanisław z Brzezia Chrząstowski. Myślę, iż historia kiedyś mnie wspomni...

STEIN *(zatrzymał odchodzących):* Panie sekretarzu, zameldujże i mnie panu feldmarszałkowi. Nim pokłonię się jego królewskiej mości, panu feldmarszałkowi pewne relacje złożyć winienem.

DWORZANIN: Uczynię to natychmiast, panie pułkowniku! Wrócę zaraz...

CHRZĄSTOWSKI: Chodźmy, chodźmy! Pan feldmarszałek czeka!

DWORZANIN *(spojrzał z odcieniem lekceważenia):* Idziemy!

CHRZĄSTOWSKI *(zatrzymał się):* Wielmożny sekretarzu, jeszcze słówko! *(dworzanin zatrzymuje się)* Chciałbym się dowiedzieć, w jakimże humorze raczy być jego ekscelencja jaśnie wielmożny pan feldmarszałek?

DWORZANIN: Pan feldmarszałek często choruje, więc i humory ma zmienne. Dla nas Szwedów najczęściej jest kwaśny. Dla Polaków — zawsze najłaskawszy...

CHRZĄSTOWSKI *(uderzył się w piersi):* Jestem Polakiem! Polonus sum! *(wyszli na zewnątrz namiotu, w kierunku innych namiotów)*

Scena 3

STEIN *(po chwili, do wartownika):* Słyszałeś, Hans?

WARTOWNIK *(wyprężył się):* Tak jest, panie pułkowniku!

STEIN: I co powiesz?

WARTOWNIK *(służbiście):* Wedle rozkazu, panie pułkowniku! To jest — świnia, nie człowiek!

STEIN *(uśmiechnął się):* Chłopski rozum przez ciebie przemawia.

WARTOWNIK: Tak jest, panie pułkowniku! My się balim Polaków, ale się już nie boim!

STEIN: Bałeś się?

WARTOWNIK: Bałem się, panie pułkowniku. W naszej wsi, w Grönforsen starzy ludzie sagę śpiewają o Polakach, którzy pod Kircholmem srogo naszych pobili. Naszych było dużo, ich było mało, ale to byli wielkoludy...

STEIN: Patrz, jak zmaleli! *(milczenie, po chwili wraca dworzanin)*

Scena 4

DWORZANIN: Feldmarszałek wkrótce przyjmie pana, panie pułkowniku. Jest ciekaw bardzo, jak wam tam idzie na podgórzu.

STEIN: Luźne kupy chłopstwa stawiają rozpaczliwy opór, ale z pomocą Boga Jedynego wybijemy ich co do nogi!

DWORZANIN: Niech tylko Kraków będzie nasz, a duch w tych chłopskich zbójach upadnie.

STEIN *(milczy chmurny):* Od przeszło dwóch niedziel szturm za szturmem daremnie przypuszczamy. Aż dziw! Całe królestwo prawie bez bitwy wzięliśmy, a tu...

DWORZANIN *(zciszył głos):* Toteż król nasz miłościwy próbuje układami komendanta Czarnieckiego zjednać. Daje mu warunki kapitulacji takie jak nie zwyciężonemu, a zwycięzcy raczej przystoją... Gdy to nie skutkuje, armatami grozi...

STEIN: No i?

DWORZANIN *(westchnął):* Właśnie, gdym od pana feldmarszałka wychodził, przyszła odpowiedź Czarnieckiego. *(zniżył głos)* Odpisał, że na wojnie wyrósł, a między armat hukiem osiwiał i armat impetu nie obawia się... Pan feldmarszałek aż z alteracji zsiniał!

STEIN *(zamyślony):* Słyszałem, jak król nasz miłościwy, który jest pierwszy wojownik na świecie, mówił o Czarnieckim: to wódz...

DWORZANIN *(żywo):* Popatrz więc, wasza miłość, a sami Polacy mają go za nic!

STEIN *(pokręcił głową):* Żołnierz go kocha.

DWORZANIN: Zresztą masz wasza miłość dowód, w kraju, gdzie bogate młokosy do najwyższych dostojeństw dochodzą, czymże jest Czarniecki, człek blisko sześćdziesiątki, w bojach osiwiały? Jakimś kasztelanem podrzędnym, nie hetmanem!

STEIN: Cieszyć nam się z tego wypada, mości sekretarzu. I miejmy nadzieję, że hetmanem nie zostanie, bo w tym kraju nie dzielność osobista, jeno ród coś znaczy. Czas mi już do pana feldmarszałka. A potem królowi chciałbym się pokłonić.

DWORZANIN: Trudno będzie dziś, mości pułkowniku. Pan nasz miłościwy na razie spoczywa, bo noc mieliśmy niespokojną. Ten przeklęty Czarniecki nie sypia nigdy, w nocy urządził wycieczkę...

STEIN: Co mówisz?!

DWORZANIN *(pokiwał głową):* Ponad stu naszych padło. Popatrz, mości pułkowniku, kraj cały mamy w ręku, a tego miasta ugryźć nie możemy. Już stały aprosze od bramy Św. Mikołaja do bramy Floriańskiej... Wtedy poszła wycieczka. Diabły, nie ludzie. Aprosze nam popsowali, ludzi wycięli i z impetem prosto na kwaterę najjaśniejszego pana ruszyli. Ledwie król na koniu stamtąd uszedł.

STEIN: Bój się waść Boga! *(patrzy na niego zdumiony, dworzanin kiwa głową; słychać trąby i muzykę)*

DWORZANIN: Koniecpolski!

STEIN: Co?! *(chwyta za szpadę)* Jak to Koniecpolski?

DWORZANIN *(ruszył szybko):* To nic nie wiesz, mości pułkowniku? Widać, żeś z dalekiego teatrum wojny wrócił. Otóż Koniecpolski jest z nami! *(wyszedł śpiesznie)*

Scena 5

(Pułkownik i wartownik patrzą w głąb obozu, skąd słychać muzykę)

WARTOWNIK: Muzyka, panie pułkowniku!

(Stein milczy; do namiotu wchodzi dostojnik szwedzki, hrabia)

HRABIA: Bywaj, pułkowniku, w wielki dzień przybyłeś!

STEIN: Wybacz wasza dostojność, jam spod Nowego Sącza tu przybył, koniam zgonił, by królowi jegomości relację zdać. I słyszę muzykę... Mówią, że Koniecpolski...

HRABIA: Tak. Teraz już pożar wojny wygaśnie. Koniecpolski po hetmanie Lanckorońskim buławę wziął, dziś przybywa rękę pana naszego ucałować! Rozumiesz, z nim sześć tysięcy kwarcianego wojska! Ostatnia to była nadzieja Jana Kazimierza! Słyszysz te radosne okrzyki? To deputację od kwarcianego wojska nasi witają!

DWORZANIN *(wchodzi):* Mości pułkowniku, z rozkazu jego królewskiej mości masz być przy boku najjaśniejszego pana. *(do hrabiego)* Również i wasza dostojność, mości grafie. Pan feldmarszałek niezdrów i nie przybędzie. W małej asyście pan nasz miłościwy przyjmie wodza polskiego i jego rotmistrzów. Wieczorem bankiet.

HRABIA: Dobywając Krakowa, oczy na północ zwracaliśmy, tam stała ich straszna jazda, sześć tysięcy pod panem Koniecpolskim! Dziś nie ma tej chmury! Podziwiam geniusz naszego króla. Teraz jeśli jacyś Polacy będą chcieli głowę podnosić, najjaśniejszy król tych Polaków polskim wojskiem przyciśnie...

DWORZANIN *(patrząc w głąb):* Zsiedli z koni. Idą tu...

(hrabia wraz z pułkownikiem wyszedł za wewnętrzne skrzydło namiotu)

Scena 6

(Uderzono mocniej w bębny, zagrały surmy — skrzydło wewnętrzne namiotu rozsunęło się; na podwyższeniu puste krzesło królewskie, dookoła: kanclerz Oxenstierna, generał jakiś, Stein, hrabia, pęta się obok nich Chrząstowski; na pierwszym planie pozostaje dworzanin; z boku ku namiotowi zmierza 4—5-osobowa grupa dowódców polskich, strojna, groźna i szumna, na czele kroczy Aleksander Koniecpolski, mąż w sile wieku i wspaniałej postawy, wielki chorąży koronny, który niedawno po hetmanie Lanckorońskim objął dowództwo nad wojskiem polskim; grupa zatrzymała się przed wejściem do namiotu, z głębokim ukłonem zbliża się do niej dworzanin)

DWORZANIN: Jaśnie wielmożny hetmanie, dostojni panowie! Za chwilę jego królewska mość zjawić się raczy, zechcą dostojni panowie odpasać szable i zostawić je przed wejściem. *(Polacy zamienili między sobą groźne spojrzenia, a jeden z rotmistrzów odezwał się)*

ROTMISTRZ: Od młodzieńczego wieku, mospanie, nosimy szable i nie jesteśmy przyzwyczajeni rozstawać się z nimi.

DWORZANIN *(niewzruszony):* Zechcą dostojni panowie je odpasać.

(panowie polscy zwrócili spojrzenie w stronę Koniecpolskiego, który ma twarz nieruchomą, po chwili Koniecpolski odpasuje szablę, reszta szlachty potulnie odpina szable i podaje je pacholikom; zagrały surmy, do krzesła zmierza król szwedzki Karol X Gustaw, wszyscy obecni gną się w niskim pokłonie, król siada, za krzesłem jego staje kanclerz)

KONIECPOLSKI *(wysunął się naprzód, pokłonił się, za nim pokłonili się panowie polscy):* Najjaśniejszy i najpotężniejszy królu! Panie a panie! *(skło-*

nił się) Gdy spodobało się Bogu srogo nas doświadczyć, gdy ze wszystkich stron spadają klęski na tę nieszczęsną ojczyznę, gdy od wschodniej granicy sroży się bunt kozacki i ziemie niegdyś kwitnące w popiół obraca, gdy król Jan Kazimierz odstąpił od nas i na Śląsk uszedł, jedyny sposób ratowania tej przesławnej Rzeczpospolitej widzimy w udaniu się pod najłaskawszą protekcję waszej królewskiej mości. Przyrzekamy szczerze i święcie być odtąd na rozkazy waszej królewskiej mości, w tym ratowanie wiary świętej, zabezpieczenie swobód, majątków, praw starożytnych i prerogatyw szlacheckich widząc. Racz wasza królewska mość służby nasze najpokorniejsze przyjąć. *(skłonił się, skłonili się panowie)*

KRÓL *(na twarzy ma pychę i wrogość, lecz zmusza się do łaskawości):* Najłaskawiej słuchamy tej rezolucji tak sławnych wojowników... *(odwraca się do kanclerza)* Mości kanclerzu...

OXENSTIERNA *(czarno ubrany, z kanclerskim łańcuchem na szyi, blady i zimny, czyta monotonnym głosem wyliczając tytuły):* „My, Karol Gustaw, z Bożej łaski król Szwedzki, Gocki, Wandalski, W. Ks. Finlandzki, Książę Estoński, Korelski, Bremeński, Werdeński, Szletyński, Pomorski i Wendski, Książę Rugii, Pan Ingrii i Wismaru, Hrabia Palatyn Renu, Książę Bawarii, Klewe, Julich i Berg.

J. Wielmożnym, Przewielebnym, Wspaniałym i Urodzonym Senatorom, Komendantom, dygnitarzom i całemu stanowi rycerskiemu, szczerze i wielce nam miłym, łaskę naszą królewską i fawor.

Nie wątpimy, iż w świeżej u was pamięci i zachowaniu zostaje łaskawość nasza, którą przy objęciu tego królestwa raczyliśmy objawić, biorąc pod naszą królewską opiekę rządy i obronę, was i dobra wasze. Potwierdzamy naszym pismem królewskim łaskawość naszą i opiekę.

Karol Gustaw"

(zagrały trąby, Koniecpolski posunął się do króla, przyklęknął na jedno kolano i ucałował rękę królewską; w ciszy, jaka się zrobiła, słychać głos podobny do jęku, to rotmistrz)

ROTMISTRZ *(ma oczy zamknięte, twarz stężałą, niemal bezwiednie wydarły mu się słowa)* Jezus! Maria! Jezus!... *(zwróciły się ku niemu oczy, król zmarszczył brwi, ten głowę schylił i wśród ciszy wyjąkał)* Wybacz wasza królewska mość... *(zagrała muzyka, kapela królewska ukryta za przepierzeniem w namiocie, Koniecpolski wstał z klęczek)*

OXENSTIERNA: W imieniu jego królewskiej mości proszę ichmościów panów, aby nim w wieczór przy stołach zasiędziem, teraz kielichami się trącili na znak radości z osiągniętego układu. *(na małym stoliku ustawiono trzy puchary: dla króla, Koniecpolskiego i kanclerza; reszta panów i wojskowych stoi obok w grupie z nalanymi kielichami)*

KRÓL: Mości hetmanie po naszej prawej ręce weź miejsce.

(Koniecpolski chmurny skłonił się w milczeniu, siada obok króla, z drugiej strony siadł kanclerz, kapela gra, nagle słychać odgłos armat)

ROTMISTRZ: To armaty Czarnieckiego!

KRÓL *(spojrzał gniewnie w tamtym kierunku, po chwili zaśmiał się i zaklaskał w dłonie):* Stary diabeł chce dać nam znać, że nie wszystko skończone. Dajmy upust wesołej ochocie.

GŁOSY: Vivat! Vivat!

(lecz nad te głosy wzbił się huk armat)

KRÓL: Wina!

OXENSTIERNA *(do Koniecpolskiego):* Czarniecki, stary to może ród. ale niezbyt wysoki...

KONIECPOLSKI *(pełen pychy):* Przodkowie jego w istocie do żadnych dostojeństw nie doszli!

KRÓL: Cuda o waszym bogactwie i fortunie opowiadają, panie hetmanie. Podobno więcej sto miast ludnych masz...

KONIECPOLSKI: Na Ukrainie, miłościwy panie. I czerń je pustoszy. Spodziewamy się, że miecz waszej królewskiej mości i w tamtą stronę się zwróci.

KRÓL: Na razie obiecaliśmy ci i tego nie cofamy: dwa miasta Bożęcin i Iłżę, należące do biskupa krakowskiego, tobie i twym potomkom darowujemy.

KONIECPOLSKI *(rozjaśnia się):* Najpokorniej dziękuję waszej królewskiej mości.

KRÓL: A i dla hetmana wielkiego koronnego, pana Potockiego, szykujemy podarek godny jego zasług i naszej królewskiej łaski.

KONIECPOLSKI: Hetman wielki srodze przez zbuntowane kozactwo przyciśnięty ogania się nieprzyjacielowi i to mu przeszkodziło hołd złożyć waszej królewskiej mości... *(dalsze słowa giną w gwarze, kielichy krążą, słychać Chrząstowskiego, który stojąc w grupie wydziera się)*

CHRZĄSTOWSKI: ...Proroctwa mnie tej nocy nawiedziły! I odczytałem napis, który jest inicjałem naszego byłego króla: I. C. R.? Co te litery znaczą, mości panowie?

ROTMISTRZ: Joannes Casimirus Rex!

(król zmarszczył swe lwie brwi, następnie nieprzyjemna cisza)

CHRZĄSTOWSKI *(tryumfująco):* Initium Calamitatum Regni!... Początek klęsk królestwa! *(zabrzmiały brawa, król uśmiechnął się łaskawie.)* Przy tobie żyć i umierać, miłościwie nam panujący panie! *(oklaski, brawa, brzęk kielichów, wiwaty, jedynie rotmistrz milczy — lecz oto kanclerz zaczął stukać w kielich)*

GŁOSY: Cicho! Kanclerz Oxenstierna chce przemawiać! Cicho tam!

OXENSTIERNA: Z upoważnienia jego królewskiej mości chcę wznieść toast... *(podnosi kielich)* Jedynie jeszcze buntowniczy Kraków opiera się zwycięskiemu mieczowi króla, którego czyny wojenne słusznie kronikarze współcześni do wiekopomnych czynów starożytnego Aleksandra porównują i sąd ten przekazują ludziom czasów potomnych. Dzień dzisiejszy jest wiekopomny: oto wódz armii do wczoraj nieprzyjacielskich siedzi przy stole króla szwedzkiego i w nim widzi pana. Nie masz już więcej oporu w tej Rzeczpospolitej, wojna dogasa, król Jan Kazimierz nie wróci...

ROTMISTRZ *(porywczo):* Więc Finis Poloniae!

OXENSTIERNA *(spojrzał drwiąco w tamtą stronę):* W tym dniu tak fortunnym wznoszę kielich w ręce jaśnie wielmożnego hetmana, abyśmy spełnili toast ku czci najjaśniejszego pana, pod którego berłem... *(Koniecpolski wstał z kielichem, lecz kanclerz zamiast mówić dalej patrzy na króla, który ze zmarszczoną brwią słucha, co mu do ucha szepce dworzanin)*

KRÓL *(wybucha, uderzywszy pięścią w stół):* Co?! Kto?! Dawaj tego żołnierza!

(dworzanin wychodzi szybko)

KRÓL *(z chmurą gniewu):* Bunt! Oto gdy ichmościowie rozprawiają o końcu wojny a panowie Polacy przysięgają wierność... *(do żołnierza, który zakurzony i zakrwawiony wszedł)* Mów! Z oddziału majora Schlippenbacha? *(żołnierz się wyprężył)* Ilu was uszło?

ŻOŁNIERZ *(cicho i głucho):* Trzech...

KRÓL *(hamując straszny gniew, bębni palcami po stole):* Kto was... kto was rozgromił? To niemożliwe! Kto?!

ŻOŁNIERZ: Górale.

KRÓL: Górale?!

KONIECPOLSKI: To czerń zwykła, pozwól miłościwy panie sobie wyjaśnić...

KRÓL *(grzmotnął pięścią w stół):* Zamilcz! *(Koniecpolski sponsowiał, chciał odpowiedzieć, zamknął usta, kielich z brzękiem postawił na stole i odsunął, król nawet nie zwrócił na to uwagi)* Gdzie była bitwa?

ŻOŁNIERZ: Pod Nowym Sączem.

KRÓL: Stein, słyszysz?

STEIN: Słyszę, miłościwy panie... Pozwól mi wziąć oddział rajtarów...

KRÓL: Później. Krwią cały ten kraj zaleję, gdy się do buntu porwą! *(do żołnierza)* W jaki sposób uszedłeś z życiem?

ŻOŁNIERZ: Kapitan von Schröer przyszedł nam z odsieczą. Ale było już za późno, banda, nasiekłszy naszych, cofnęła się w las. Udało nam się jednego z bandytów ująć, był ranny...

KRÓL: Dawać go! Niech spojrzę na tego psa! *(dworzanin wychodzi szybko; milczenie)* Nie zabraknie szubienic ani toporów w moim obozie! *(milczenie)*

ŻOŁNIERZ *(podając okrwawione papiery):* Przy jeńcu znaleźliśmy to...

KRÓL *(daje kanclerzowi):* Masz. Co to jest?

OXENSTIERNA *(czyta):* „I nie masz innego sposobu zabezpieczenia Rzeczpospolitej..." To uniwersał podburzający do buntu.

KRÓL: Kto podpisał?

OXENSTIERNA *(patrzy):* Biskup krakowski Gembicki...

KRÓL *(niecierpliwie bębni palcami):* A gdzież ten biskup?

OXENSTIERNA: Na Śląsku...

KRÓL: A!...

Scena 7

(Warta wprowadza pokrwawionego Andrzeja Jarząba, jeniec ma ręce związane do tyłu)

KRÓL: Bliżej! *(Andrzej pchnięty postąpił krok, oczami powiódł po obecnych)* Psie! Skądżeś? *(Andrzej milczy).*

CHRZĄSTOWSKI *(przysunął się gwałtownie):* Miłościwy królu! Ja tego człowieka znam! To zbiegły chłop z mojej wioski!

KRÓL: Mów! Czyj jesteś? Podsędka krakowskiego poddany?

ANDRZEJ *(po chwili):* Nie.

CHRZĄSTOWSKI: Łże!!

KRÓL: Milcz waszeć! *(do Andrzeja):* Kto jesteś?

ANDRZEJ: Żołnierz!

KRÓL: I rozbojem po drogach się trudnisz?

ANDRZEJ: ...Robiłem w hawyrni, znaczy w kopalni, potem w żupach solnych. Tera...

KRÓL: Teraz, psie?!

ANDRZEJ: Tera wziąłem broń...

CHRZĄSTOWSKI *(idąc w kierunku Andrzeja):* Zdrajco!!

(Andrzej odepchnął go oczami, patrzy przez chwilę tamtemu w oczy)

CHRZĄSTOWSKI: Daj mi tego człowieka najmiłościwszy panie! Zasiekę go rózgami!! Bo według naszych ustaw...

KRÓL: Tu wola moja panuje, nie obchodzą mnie wasze polskie ustawy.

CHRZĄSTOWSKI *(cofnął się, zgięty):* Sługam najpokorniejszy waszej królewskiej mości.

KRÓL: Czy wiesz przeciw komu rękęś podniósł? Ale jako pan tego królestwa zarówno karę jak łaskę okazać możemy... *(zwraca głowę w stronę kanclerza)*

OXENSTIERNA *(jakby recytował):* ...chłop, który szlachcica w buncie pozostającego pochwyci i żywego, bądź głowę zabitego do obozu szwedzkiego przyniesie, wolność zyska i ziemię na wieczność... Rozumiesz że to? Pod dowództwem jakiego szlachcica służysz? *(po chwili)* Mów. Słyszysz przecie, że łaska królewska... *(Andrzej milczy)* Nie upieraj się. I pomyśl...

ANDRZEJ *(głucho):* Przecie wiem, godzina śmierci mojej idzie...

OXENSTIERNA *(drwiąco):* Za kraj ten chcesz walczyć, ciemny chłopie? Jako bydło robocze jesteście i wasi panowie...

ANDRZEJ: To przeciw panom! Przeciw wam! I przeciw czortom wszystkim!!

KRÓL *(do Andrzeja):* Zginiesz.

ANDRZEJ: Wy na tej ziemi nie ostaniecie, póki u nas jeden człowiek żyje!

KRÓL: Ha! Koniecpolski słyszysz?

(Koniecpolski milczy, spotkały się jego oczy z oczami Jarząba, spuścił oczy)

KRÓL *(klasnął w dłonie):* Wyprowadzić! *(wśród głębokiej ciszy warta wyprowadza jeńca; patrząc chmurnie za znikającym Andrzejem)* Nieużyty to lud... *(do dworzanina)* Rozkazuję, jak jest w naszym królewskim edykcie: odciąć prawą rękę i puścić do domu... *(do obecnych wśród ciszy)* Wracamy do uczty... W twoje ręce, panie hetmanie, był skierowany toast... Co? Tyś, widzę, kielich odsunął?

KONIECPOLSKI *(wstał, po chwili wziął kielich, podniósł i mówi urywanym, drewnianym głosem):* Vivat Carolus Gustavus rex!

(w tej chwili zahuczały armaty od strony Krakowa; król i wszyscy, oprócz Koniecpolskiego, spojrzeli w tamtym kierunku)

AKT TRZECI

(W kilka miesięcy potem. Armia Karola Gustawa od kilkunastu dni jest w odwrocie, szarpana dniem i nocą przez partyzantów i przez najgroźniejsze dla Szwedów oddziały Czarnieckiego. Armia cofa się od Jarosławia w kierunku na Sandomierz. Jest połowa marca 1656 roku. Wieś Rudnik. Plebania. Izba uboga i surowa; na wprost drzwi prowadzą do sieni, z boku do sypialni księdza)

Scena 1

(W izbie dwóch ludzi: król szwedzki i pułkownik Stein. Król siedzi przy prostym stole, posępnie zamyślony, palce obu rąk wszczepił w długie włosy, na stołku szpada, kapelusz. Pułkownik pod ścianą na drugim stołku drzemie. Obaj bardzo zmęczeni, suknie zniszczone w bojach i zabłocone w marszach.)

KRÓL *(po długim milczeniu):* Każę rozstrzelać astrologa. *(po chwili milczenia)* Stein słyszysz?

STEIN *(budząc się):* Słucham, wasza królewska mość... *(znów długie milczenie)*

KRÓL: Którego mamy dziś? *(milczenie)* Ty śpisz Stein?

STEIN *(półprzytomny budzi się, wstaje ze stołka):* Wybacz wasza królewska mość...

KRÓL: Pytałem, który dziś dzień marca? Od ilu dni trwa... odwrót?

STEIN *(widać, że zbiera myśli):* Dni mieszają się z nocami w tych nieustannych bitwach, wasza królewska mość...

KRÓL: W bitwach? W odwrocie!

STEIN *(rozbitym głosem, zasypiając):* Armia walczy...

KRÓL: Nie ma armii, rozbita, nie kłam. Podobna kościotrupom. *(z gniewem i pogardą)* Ledwo się wlecze w tych roztopach... *(milczenie)* A Czarniecki jak sęp ciągnie za nami.

STEIN *(przez sen mruczy):* Szwecja...

KRÓL: Co mówisz? *(milczenie)* A miałem go w stepach ścigać... *(cisza, odwrócił się)* Stein!

STEIN *(kułakiem rozciera oczy):* Sługa waszej królewskiej mości...

KRÓL: W stepach miałem Jana Kazimierza ścigać i rozbić go. A potem przez kraje ruskie i przez stepy Bessarabii iść, na morze Czarne, aż do Konstantynopola!

STEIN: Wierzę w niesłabnącą gwiazdę waszej królewskiej mości...

KRÓL: Do Konstantynopola... Taki postawił mi horoskop! Każę rozstrzelać astrologa. *(milczenie)* Żebym miał armię!... Ci, którzy z nami idą... raczej kupy maruderów przypominają niż regularne pułki. *(Stein milczy, król w siebie tylko zapatrzony)* Nie rwą się do bitwy, zapomnieli, jak ich do zwycięstw prowadziłem...

STEIN: Lud wyniszczony...

KRÓL *(z pychą wielkiego feodała):* Cóż mi lud, gdy plany moje królewskie łamie! *(milczenie)* Do miast pruskich pójdę, na czele świeżych wojsk mi stanąć... I w Szwecji rozkażę nowe zaciągi robić... Bo ci...

STEIN: Tą dzielny żołnierz, wasza królewska mość, w tylu bitwach zaprawiony...

KRÓL: Wczoraj słyszałem, jak przy ognisku rozmawiali. Mówili, że Szwecji więcej nie ujrzą... *(po chwili)* Muszę ci wskazać tych żołnierzy. Każesz ich jutro powiesić. I rozkazuję, aby ci, którzy o Szwecji i o powrocie będą mi paplać, na gałąź szli! Nie dopuszczę, aby mój geniusz łamał się wśród tych ospałych szwedzkich chłopów!

STEIN *(wybąkał)*: Królu...

KRÓL: Dość. *(po chwili)* Widzisz... Czarniecki... Gdyby on był ze mną... *(po chwili, głosem zamyślonym)* Czasem wydaje mi się, że cała ta wojna toczy się tylko między mną a nim... *(ponieważ Stein chce coś powiedzieć)* Zostaw! Nie rozumiesz! Tylko ja jeden wiem, kim jest Czarniecki... *(kończy głucho)* On przeciął moją królewską drogę.

STEIN: Królu...

KRÓL *(gwałtownie wstał i podszedł do okna)*: Jak sęp teraz ciągnie! I pułk po pułku urywa! Oszaleć!... *(po chwili)* Już miałem całą Polskę... a on mi ją wydarł. Miałem całą Polskę, a dziś czy ty nie widzisz, że żołnierz szwedzki nie ma na tej ziemi gdzie ogniska rozpalić?! *(po chwili)* Za mało szubienic w tym kraju postawiłem... *(znów po chwili)* Ale ja ten bunt we krwi utopię!! Czy ty nie rozumiesz? Milcz! Czarniecki nie tylko wojskiem nas przygniótł, on naród do buntu podniósł! I dziś zza każdego drzewa kule się sypią! Tu nawet wody rzek wylewają i topią szwedzkich żołnierzy! Patrzyłeś na San, gdy mosty nasze zniosło? Wody huczały i lód się łamał pod nami! A ci, co głowy unieśli, ginęli od szabel tych strasznych ludzi! *(po chwili cicho)* Za mało szubienic...

STEIN: Zgodnie z rozkazami waszej królewskiej mości we wszystkich miastach i prezydiach stanęły szubienice co dzień ubierane ciałami buntowników, na szubienicach przybite imiona tych, którzy zdradzili. Chłopom pojmanym z bronią zgodnie z rozkazami waszej królewskiej mości odrąbywano ręce. Postawiłeś królu żelazną stopę i każdy twój krok znaczony jest krwią...

KRÓL: Za mało krwi. Nie ma inszej już drogi i nie ma odwrotu z tej drogi... *(milczenie)* Dziś w bitwie natarł na mnie jakiś szlachcic, i gdy go strąciłem szpadą i z konia leciał, spotkały się nasze oczy... nie było w jego oczach strachu śmierci, jak byś myślał, była sama nienawiść. Rozumiesz? Pali się wokoło bunt i nienawiść...

STEIN *(błagalnie)*: Miłościwy panie...

KRÓL *(nie odpowiada od razu)*: Gdy jednemu, pamiętam, z pojmanych, ucinano prawą rękę, chłop zemdlał, a gdy się ocknął... Słuchaj, Stein, gdy się ocknął... *(zniżył głos)* zaczął macać w powietrzu lewą ręką, jakby próbował, czy lewa ręka utrzyma broń... *(milczenie)* Daj mi mapę...

STEIN: Miałeś się położyć, miłościwy panie, bez snu tyle nocy, wciąż na koniu i ze szpadą...

KRÓL: Mapę! *(zasiadł przy stole nad mapą)* Tu! *(po chwili)* Od Jarosławia się cofamy. Jak nazywa się wieś, gdzie stoimy?

STEIN: Rudnik.

KRÓL *(długo milczy):* Stein!

STEIN: Jestem na rozkazy!

KRÓL: Czy wśród wojska rozeszła się już wieść, że ci przewrotni panowie polscy, hetmani i Koniecpolski opuścili nas, zdradzając haniebnie?

STEIN: Nie było rozkazu...

KRÓL: Więc rozgłoś! I rozkazuję: każdego Polaka napotkanego na drodze ścinać! Do samego Sandomierza po drodze wszystko palić!

STEIN: Rozkaz, wasza królewska mość!

KRÓL: A teraz daj mi co zjeść. *(patrząc w stronę drzwi)* Gdzież ten błazen z obiadem?

STEIN *(poderwał się):* Zaraz go zawołam. O! Jest!

Scena 2

(W drzwiach staje Chrząstowski, lecz jakże zmieniony! Zamiast dawnych okrągłości — chudość, peruka w nieładzie, twarz do tego usmolona sadzą — trzyma dwa talerze z gorącą polewką; są to srebrne talerze, z wyrytą koroną i cyfrą króla szwedzkiego)

KRÓL *(patrząc na tę żałosną figurę, roześmiał się):* Patrz, tak wygląda nasz ostatni polski wasal!

STEIN: Cóż to wielmożny panie? Dlaczego tak późno z obiadem dla jego królewskiej mości?

CHRZĄSTOWSKI *(żałośnie):* Sam musiałem pod kuchnią rozpalać...

STEIN: Jak asan wyglądasz?

CHRZĄSTOWSKI *(westchnął):* Drzewo mokre, pod kuchnią dymi... *(i stawia przed królem talerz)*

KRÓL *(wąchając zupę):* I polewka rzadka, widzę... A mówiłeś, że jeśli chcemy dobrze zjeść to właśnie na plebanii, u księdza... Cóż to? U papieżników tak się obiady popsuły?

CHRZĄSTOWSKI *(wzruszył ramionami):* To dziwny ksiądz... Gospodyni nie ma, śpiżarni nie ma... Ja myślę, że on jest niewierzący.

KRÓL: Postaw waść drugi talerz tu, dla pułkownika.

STEIN: Dziękuję waszej królewskiej mości!

KRÓL: Siadaj pułkowniku, tu, koło mnie. *(odwrócił się)* A waść też zjedz gdzieś tam.

CHRZĄSTOWSKI: Jak... Jakto?!... Wasza królewska mość!

KRÓL: W czeladnej izbie, Polacy są teraz u mnie niżej psów!

CHRZĄSTOWSKI: Ja... Ja przecież najwierniejszy!!

KRÓL: Precz!

(Chrząstowski tak jak był zgięty, zaczął się wyprostowywać, z oczu strzelił mu błysk nienawiści, ręce zacisnęły się w pięść, z ust ciecze ślina, Stein wstaje)

CHRZĄSTOWSKI *(chwilę jeszcze patrzy, i zgiął się):* Wy... wybacz, wasza królewska mość! *(wychodzi)*

Scena 3

KRÓL: Siadaj. Jedzmy... Od wczoraj nic w gębie nie miałem... *(zaczyna jeść, nagle przerwał i nasłuchuje)* Co to?

(z daleka słychać stłumiony zgiełk, jakby tętent koni i krzyk)

STEIN *(chwilę nasłuchuje, zerwał się):* Królu, nieprzyjaciel następuje!

KRÓL *(krzyknął z gniewem):* Siadaj! *(zgiełk rośnie, słychać krzyki, jeszcze odległe)*

CHRZĄSTOWSKI *(wlatuje, szczęka zębami):* Cza... Cza... Czarniecki!

(Stein wyszarpnął szpadę)

KRÓL: Siadaj! Z nami dwa pułki najtęższych żołnierzy, przecież odpór jakiś dadzą. Nie daj Bóg, żebym w tym kraju musiał się zrywać od stołu. *(szum, tętent, krzyk)*

STEIN *(skoczył do okna):* Husaria!! Królu, ratuj życie!

KRÓL *(zerwał się):* Szpadę! Kapelusz! *(rozgląda się)* Gdzie moja wstęga?

STEIN *(z rozpaczą):* Ratuj królu życie!! *(król rzuca się do drzwi, lecz wyprzedza go Chrząstowski, Stein oderwał Chrząstowskiego jak psa od drzwi i pchnął butem)* Ścierwo! *(wybiega za królem, Chrząstowski potoczył się aż pod ścianę; bitwa jak burza przetacza się obok plebanii, tętent, szum i krzyki: „Bij! Zabij! Ałła! Jezus! Maria! Bij! Bij!!")*

CHRZĄSTOWSKI *(leżąc, nasłuchuje):* Husaria! O! Patronowie niebiescy! *(chce wstać, lecz nie może, ręką namacał coś)* Co to?... Wstęga! *(po chwili)* Zdobyłem wstęgę króla szwedzkiego! *(rozwija, jest to szyta srebrem na morelowej kitajce długa szarfa królewska, nagle usłyszał spieszne kroki i brzęk ostróg w sieni, przerażony poczołgał się do sąsiedniej izby, drzwi zostawił otwarte, widać surowy tapczan, skórą okryty, wczołgał się pod tapczan, naciągając skórę)*

Scena 4

ROTMISTRZ *(wpada z zakrwawioną szablą, rozgląda się szybko):* Nie ma nikogo. *(skoczył do drzwi i woła)* Hej tam! Do mnie! Pilnuj tu! Otoczyć plebanię! Reszta za mną! Konia mi! *(wypada)*

(do izby wkracza dwóch żołnierzy, jeden z nich dziko wyglądający, z krwawym szabliskiem — to Jaś Krupa, drugi z muszkietem w ręku — to stary wysłużony żołnierz Surma)

JAŚ: „Pilnuj..." *(rozgląda się)* Cego pilnować? Pusto... Pognołbym se za Szwedem lepi... *(wygląda oknem)* W oka migu my ich złamali, pognali ich, kole plebanii pusto...

SURMA *(stoi na środku izby, flegmatyczny):* Patrz, jadło ciepłe na stole.

JAŚ: Musioł ktoś stąd zmykać!

SURMA: Rety! Co za talerz! Złoty!

JAŚ: Srybny, głupi!

SURMA: Podjodbym se... I za co nie? Nalane grzecnie... *(zasiada)* Patrz, jak się trafiło... *(zaczyna jeść)*

JAŚ *(siada energicznie):* Ano... *(z nonszalancją)* Nie łaszę ja się na bele co, ale... *(spojrzał na Surmę, który z lubością je)* Jodłeś ty na takim zbytku kiej?

SURMA *(otarł nagle rękawem brzeg talerza i nachylił się):* Jezu!... Koruna królewska! *(odkłada ze wzruszenia łyżkę)*

JAŚ *(ręką otarł brzeg swego talerza):* Jest korona... I cyfry jakieś.

SURMA *(cicho, nabożnie):* Królewski talerz...

JAŚ: No to co? Zryj!

SURMA *(przerażony zatrzymał mu rękę):* Jasiu!

JAŚ: Lo cego mam nie jeść? Że talerz królewski? Ho! Albo jo nie góral? Albo jo nie zbójnik?

SURMA: Jasiu...

JAŚ: Hej, chodziłek na Węgry i trafiało mi się na złotych talerzach jeść, ino że hrabskie korony beły...

SURMA *(przeżegnał się i wziął się nabożnie do jedzenia):* Roz się chłopu trafiło!

JAŚ *(z góralska wyciąga, jest to inna zwrotka tej samej piosenki, którą w akcie I śpiewał):*

„Jescem nie zbójował, dopierom próbował,
Z bucka na jedlickę w lesie przeskakował..."

SURMA: Cicho!

JAŚ: Hej!... *(zabiera się do jedzenia)* Musi, szwedzkiego jegomościa są to talerze... *(nagle obejrzał się)* Co to? Scur? Coś tak chrobotnęło w tamtej izbie.

SURMA *(ujął muszkiet):* Zobaczym... *(wstał, idzie, słychać stłumiony głos)*

CHRZĄSTOWSKI *(spod tapczanu):* Nie strzelaj, mości rycerzu!

SURMA *(stanął zdumiony, rozgląda się):* Loboga! *(żegna się)*

JAŚ *(skoczył jak żbik):* Wyłaź! *(schylił się i pomagając tamtemu wygramolić się, ciągnie go bez ceremonii za łeb)*

CHRZĄSTOWSKI *(szczękając zębami):* Bo... uu... udusisz!

SURMA: Co za cudok!

JAŚ *(za kark go ucapił i trzęsie nim):* Ktoś ty?! Gadaj mi! Coś ty król szwedzki?!

CHRZĄSTOWSKI *(nie może głosu wydobyć):* Ja... ja...

SURMA *(chwycił Jasia za rękę):* Król!... Patrz, jaką ma siarfę w ręku!

JAŚ *(puścił go i patrzy):* Toś ty król szwedzki?! Godaj mi, psia paro, bo cię prasnę!

SURMA *(patrzy):* I kłaki mo takie przyprawiane, jak ludzie opowiadali, królewskie...

CHRZĄSTOWSKI: Mości rycerze!

JAŚ *(patrzy na Surmę):* Surma! *(przypatruje się Chrząstowskiemu)* Głos jakbym znoł... Nie może to być, zeby nie te kłaki i chudość na mordzie, rzekłbym: nasz dziedzic Chrząstowski...

CHRZĄSTOWSKI *(ręce złożył):* Dzieci moje... Jam właśnie jest! *(widząc ich osłupienie po policzku ręką powiódł)* Tę chudość, która was zmylić mogła, w oboziem króla szwedzkiego nabył, gdyśmy... *(urwał)* Wierzcie mi, ja...

JAŚ *(ze strasznym spokojem, głosem urywanym z nienawiści):* Jeśli ty jesteś nasz dziedzic, to się żegnoj, bo jo mówię: twoja ostatnia godzina naszła.

CHRZĄSTOWSKI: Jak ty... Jak śmiesz?! *(patrzy na złowrogą twarz Jasia i innym tonem)* Mości rycerzu...

JAŚ *(wciąż z tą samą zimną nienawiścią):* „Mości rycerzu" tera mówi...

SURMA *(kładzie nagle rękę na ręce Jasia):* Ostaw! Loboga, ostaw! Toć przecie jaśnie wielmożny...

JAŚ: Puść!!

SURMA *(nie puszczając ręki):* Pomiarkuj się! Oddaj go straży!

JAŚ *(oddycha ciężko):* Dobrze. Puść. *(głucho do Chrząstowskiego)* Chodź ze mną. Wezmą cię na gałąź.

(Chrząstowski patrzy przerażony, spotkał się z oczami Surmy i wyczytał nienawiść, spojrzał na Jasia: to samo. Wychodzi na chwiejących się nogach, Jaś wychodzi za nim)

Scena 5

(Surma jest chwilę sam, nie może oprzeć się pokusie i talerz pcha za pazuchę — w tej chwili z bocznej izby wysunął się ksiądz)

SURMA *(zatrzymał się zmieszany i mówi):* Niech będzie pochwalony...

(wchodzi stary, ubogi, schłopiały ksiądz — lekko pochyla głowę)

SURMA *(zmieszany, chce dopchnąć talerz za pazuchę):* Bo nie płacą nam zasług żołnierskich... panowie mówią: „O czeladzi niech Bóg radzi..." *(dopchnął raźniej talerz, zbliża się i chce księdza pocałować w rękę)*

KSIĄDZ *(umknął ręki, mówi nieśmiało):* Zostaw, mości żołnierzu... z jednej krwi Bóg uczynił wszystek rodzaj człowieczy, więc nie godzi się... Równiśmy wszyscy...

SURMA *(patrzy zdziwiony, po chwili):* Jegomość... to jo wezmę i drugi talerz...

KSIĄDZ *(jakby nie widział):* Spod komendyś Czarnieckiego?

SURMA *(zostawia talerz na stole i cofa szybko rękę):* Tak.

KSIĄDZ *(podniósł oczy do góry):* Boże go błogosław! Długośmy tu żyli pod przemocą, godziny niewoli łzami zlewając... Bałem się, że umrę, wojska naszego nie doczekawszy. *(wzruszony)* Boże! Żeś dał mi to szczęście... Wróciże tu pan Czarniecki?

SURMA: Może wróci...

KSIĄDZ: Ubogi lud go tu błogosławi... Z daleka idziecie?

SURMA: My od gór aż idziem i wczora połączylim się z dywizją pana Czarnieckiego.

KSIĄDZ: Od gór... *(po chwili)* Jest miasto Raciborsk, małe, koło wielickich żup, gdziem młodość spędził w cieniu ariańskiego zboru.

(Surma patrzy zmieszany, zmarszczył się; słychać tupot butów, wpada Jaś)

JAŚ *(zdyszany):* Ty wis kto to je ten, co tak Szwedów grzmoci i „Jednoręki" na niego wołają? Ady nasz górol, Jarząb! Hej!...

SURMA: Widzisz, żyje... Pamiętom ja tego Jarząba...

JAŚ: Hyr o nim w całym wojsku. *(nagle zmienionym głosem)* Jezu!

(Surma patrzy na niego pytająco)

JAŚ: Jednoręki! O Jezu, Surma, Jednoręki go nazywają...

SURMA *(zrozumiał):* O!...

(milczenie)

JAŚ: Patrz, co z niego zrobili... *(po chwili, bo za oknem słychać gwar)* Chodź, regimentarz wraca. *(wychodzą)*

Scena 6

(Ksiądz stoi przy oknie i patrzy; słońce zachodzi czerwono; słychać z dworu szczęk broni i wiwaty, huczy krzyk: „Vivat Czarniecki dux"! „Victoria"!; słychać również i piszczałki tatarskie; nagle ksiądz drgnął, potem oczami obiegł izbę, sprząta talerz, rzucił go w kąt na stołek, rękawem sutanny wyciera stół, potem krzesło, i czeka... Na dworze umilkły nagle hałasy — od strony sieni słychać kroki kilku ludzi i brzęk ostróg — po chwili szarpnięto drzwi i ukazał się Stefan Czarniecki, jak z portretu historycznego, w polskim stroju wojennym, z odkrytą głową; za nim rotmistrz i Andrzej — Andrzej zamiast prawej ręki ma pusty rękaw)

KSIĄDZ *(ukłonił się nisko i niezdarnie, mówi głosem wzruszonym):* Jaśnie wielmożny kasztelanie... raczej „defensor patriae"... szczęśliwe są oczy moje, którym dane jest... oglądać...

CZARNIECKI *(niecierpliwie):* Witaj, księże, i pozwól, że skorzystamy z gościny. Siadajcie waszmoście! Siadaj, księże... Mości Machnowski! *(wstaje rotmistrz)* Przygotuj swoją chorągiew na noc, zaraz ruszycie...

ROTMISTRZ *(zdumiony):* Na noc?

CZARNIECKI: Ty i Polanowski.

ROTMISTRZ: Polanowski jeszcze nie wrócił z pościgu.

CZARNIECKI: Jak wróci, pójdziecie razem. Ty, Jarząb, w godzinę potem. I następować!

ANDRZEJ *(wstał):* Według rozkazu!

CZARNIECKI: Po tej konfuzji nie można Carolusowi dać się opamiętać. Uderzymy tam, gdzie nas nie czekają. Żołnierz wprawdzie zdrożony...

ROTMISTRZ: Bardzo, wasza miłość!

CZARNIECKI: Wojna, mości rotmistrzu, nie ma rady. Gdy Szweda wyżeniem odpoczniecie. Teraz następować! Następować! Noga nie powinna z nich żywa wyjść! Ruszaj waść! *(rotmistrz wychodzi)* Ty poruczniku... *(namyśla się)* Tę partię chłopską, która tak mężnie stawała, weź pod swoją komendę...

ANDRZEJ *(rozjaśniony):* To z moich stron ludzie!

CZARNIECKI: Tym lepiej. Idź, spraw ludzi, po zachodzie przyjdziesz po rozkazy... Czekaj... *(Andrzej czeka wyprostowany)*

CZARNIECKI: Kontent z ciebie jestem, tak Jarząb... *(ręką chce ująć go*

za ramię, natrafił na pusty rękaw, cofnął rękę i mówi głosem stłumionym) Idź... *(Andrzej wychodzi; Czarniecki spogląda na księdza)* Wybacz, księże... *(głowę podparł ręką i drzemie)*

(ksiądz siedzi z drugiej strony i patrzy w Czarnieckiego jak w obraz)

CZARNIECKI *(jakby obudzony tym uporczywym spojrzeniem otwiera oczy)* Chcesz czego, księże?

KSIĄDZ *(głową porusza, że nie, potem mówi):* Starym i chciałem cię ujrzeć...

CZARNIECKI: I ja nie młody... *(zamyka oczy)*

KSIĄDZ: Hetmanie!

CZARNIECKI *(potrząsa głową, jakby sen chciał z oczu strząsnąć):* Omyłka jakaś, księże... prosty ja szlachcic... *(chce dalej spać, lecz mówi pod uporczywym spojrzeniem księdza)* W bitwach i obozach posiwiałem, sam widzisz... i do końca mi już życie dobiega. I tak się zawsze spodziewam, że król da mi buławę natenczas, kiedy ja ustanę na wieki wojować...

KSIĄDZ: Król? *(Czarniecki spojrzał na niego)* Lud cię od dawna zowie hetmanem. *(Czarniecki w dalszym ciągu patrzy na niego)* Gdy przyszła nawała szwedzka, hetmani królewscy przed najeźdźcą kolano ugięli. Lud tobie dał wtedy buławę i nikt ci jej nie odbierze po wiek wieków.

CZARNIECKI *(głową potrząsa, jakby śnił):* Moim obowiązkiem było w pole wyjść i nieprzyjacielowi wstęp do ojczyzny zagrodzić.

KSIĄDZ: A Radziwiłł? A Lubomirski? A Koniecpolski?

CZARNIECKI *(chwilę siedzi nieruchomy, z ręką na szabli):* Jam nie z soli ani z roli... I choć mi nieraz gorzko było w gębie, bo nie szczędzono mi obelg, toć przeciem zawsze... *(urwał)*

Scena 7

(Z szumem wchodzi nagle strojny i pyszny pan: książę Dymitr Wiśniowiecki)

KSIĄŻĘ *(wzburzony):* Na słowo, mości regimentarzu, na słowo!

CZARNIECKI *(zmarszczył brwi):* Słucham cię, mości książę...

KSIĄŻĘ: Na zacnym obywatelu gwałt niecny chcieli uczynić!

CZARNIECKI *(zdumiony):* Kto?

KSIĄŻĘ: Chłopi!

CZARNIECKI: Książę...

KSIĄŻĘ *(sapie):* Przyznasz chyba, mości regimentarzu, że moja chorągiew pod Szandarowskim pierwsza na tę plebanię uderzyła! Moja chorągiew!

CZARNIECKI: O co wasza książęca mość masz pretensję?

KSIĄŻĘ: Jeńcy należą do mnie! Tymczasem z kup chłopskich pochodzący zbrojni ludzie pojmanego przy królu szwedzkim podsędka krakowskiego pana Chrząstowskiego na gałęzi chcieli obwiesić! Szlachcica wielkiego rodu, mnie powinowatego!

CZARNIECKI *(zmarszczył brwi):* Przy Carolusie go znaleziono, więc zdrajca to!

KSIĄŻĘ *(dumnie):* Mości regimentarzu! Zapominać zdajesz się, że według uniwersału królewskiego do pierwszego kwietnia zostawia się obywatelom termin odstąpienia króla szwedzkiego i kto to uczyni...

CZARNIECKI: Ten zdrajca tego nie uczynił, dopiero jak w łykach naszych się znalazł...

KSIĄŻĘ: To mój powinowaty! I nie masz, tuszę, jeszcze takiego prawa w Rzeczypospolitej, żeby szlachcica wysokiego rodu gmin wieszał!

CZARNIECKI *(gorzko):* Wysokiego rodu?

KSIĄŻĘ *(jeszcze dumniej):* Waszej miłości łacno stroić żarty z wysokich rodów!

CZARNIECKI: Książę!... *(pohamował się)* Lecz mówmy spokojnie. Przecież to zdrajca!

KSIĄŻĘ: To każ wasza miłość uderzyć swojej dywizji na oddziały pana Koniecpolskiego i na moje oddziały, bo i my przy królu szwedzkim niegdyś opowiedzieliśmy się. I zapowiadam waszej miłości, że albo pan Chrząstowski wolny pójdzie, albo moje chorągwie poszukają innej drogi, nie pod waściną komendą!

CZARNIECKI: Król dał mi...

KSIĄŻĘ: Król? Jeszcze i my coś w Rzeczpospolitej znaczymy! Wybieraj wasza mość! Jeśli zrywasz alianse...

CZARNIECKI: Nie zrywam aliansów, Szweda gonię. A wojska wszytkie Rzeczypospolitej są...

KSIĄŻĘ: Naszym sumptem wystawione i utrzymywane, nie Rzeczpospolitej!

CZARNIECKI: Rzeczpospolita rzeczywiście uboga jest, mości książę, wśród was! Zabieraj sobie tego Chrząstowskiego i nie czyń mi w wojsku hałasów!

KSIĄŻĘ *(podniósł głowę):* Jak?

CZARNIECKI *(jak sęp wbił oczy w księcia):* W tej chwili jam tu dowódcą i nie daj Bóg...!! *(książę nie wytrzymuje tego wzroku, cofa się o krok, po chwili odwraca się i z brzękiem, z podniesioną dumnie głową, wychodzi; Czarniecki zmęczony, milczy chwilę)* I nie o sobiem przywykł myśleć, księże. Lecz zawsze o to musiałem dbać najbardziej, aby najeźdźca ujrzał w Polsce podniesiony miecz...

ANDRZEJ *(wchodzi):* Husaria wraca z pościgu.

(słychać: „Bogurodzica dziewica..." albo inną rycerską pieśń. Do izby czerwonej od zachodzącego słońca wchodzi dwóch krwią poplamionych i błotem ochlapanych żołnierzy; niosą znaki, chorągwie, połamane drzewce sztandarów szwedzkich, zwalają to bez słowa u nóg Czarnieckiego, a jeden z żołnierzy, nim rzucił sztandar o złamanym drzewcu — ten sam, który widzieliśmy w namiocie królewskim w akcie II — mówi)

ŻOŁNIERZ: Wielki sztandar króla szwedzkiego!... *(z hukiem rzuca go do stóp Czarnieckiego)*

AKT CZWARTY

(Pod koniec grudnia 1656 roku. Chata kaszubska, nad morzem, w pobliżu Gdańska. Gdy rozmowy w izbie cichną, słychać szum bliskiego morza, gdy drzwi się otwierają szum staje się jeszcze głośniejszy. Już noc.)

Scena 1

(Koło komina w cieniu siedzi gospodarz, rybak, Aleksander Budzisz, na ramiona narzucony ma kożuch, reperuje sieci; obok dwóch milczących rybaków i dwóch żołnierzy: Surma i Jaś Krupa, który rej wodzi w rozmowie)

JAŚ: Króla polskiego widzieliście? Nie godajcie...

BUDZISZ: Józek Budzisz widzioł go, szedł sztrandem, od Gdańska, i na małe morze patrzoł, w stronę Hela. A beł sztorm...

RYBAK I: Na Kusfeld patrzoł, gdzie nieboszczyk król budować zaczął port.

SURMA: Polski port?

RYBAK I: Polski. Zmarły król Władysław w morzu się kochał.

BUDZISZ: Zamuliło teraz port, pusto, ino bryza hulo...

(milczenie)

JAŚ *(przeciąga się)*: O, spać! Spać! Ile my nocy nie spali! Hej...

RYBAK I: W Gdańsku od kilku niedziel radość i wiwaty, widać, król szwedzki pobit.

JAŚ: Zbiero, wiecie, luter jeszcze siły, ale rady już nie da, karku nie podniesie ten szwedzki pędziwiater.

RYBAK I: Jo!

JAŚ: Raz to my już go dopadli, wiecie, ale nam się z ręki wymcknął. Nie mnie, ślachcie się wymcknął. Hej, gdybym jo go dopodł!

SURMA *(pociągnął go)*: Jasiu!

JAŚ: Co ty Surma? Ady jo bym szwedzkiego psubrata ciupagą... Toś ty, widzę, nie słyszoł, jak sam kasztelan Czarniecki prawił: „hej, żeby szwedzkiego jegomościa Jaś Krupa dogonił, to i po wojnie zaroz by beło...“ *(śmiech)*

RYBAK I: Hetman u was z chłopem gada?

JAŚ: Co wy? Czarniecki do każdego żołnierza ma serce, choć srogi. Hej, gazdo!

BUDZISZ *(mruknął)*: No?

JAŚ: Przecież Czarniecki do tej chałupy przyszedł na nocleg, i nawet nie poznaliście, że to hetman. Puszył to się? *(obecnym opowiada)* Siedzioł gospodarz jak tera i sieci naprawio, a my pukomy... I wszedł hetman, a jo za nim siodło niesę... I nie kazoł nic mówić, kto on jest.

BUDZISZ: Miarkowałem, jakiś oficier.

JAŚ: A to sam Czarniecki!

(cisza, słychać szum morza, z sąsiedniej izby stuk kołyski i monotonny śpiew rybaczki usypiającej dziecko: „A w Raduni krwawa woda, szkoda ojca, syna szkoda“)

RYBAK I: Jo! Jachałem botem do duńskich brzegów i tam miano Czarnieckiego znane...

JAŚ: Hej, ile my dni i nocy w boju... *(szturchnął Surmę)* Powiedz sam, Surma!

SURMA: Przecie do morza doszli już my. A od gór tu się idzie...

JAS: Pod Płockiem my stali, patrzym na Wisłę, okrutna rzeka, zimna, bo to kilka dni temu nazad beło, woda bystra, bo nie zamarzło, a tu przez rzekę trza przejść... Jo nie, ale ludzie drżą. Aż zjawił się pan Czarniecki, krzyknął „Za mną!" i spojrzoł na ludzi, jak on umie! I poszli my przez rzekę, całe wojsko, trębacze ino grali... *(po chwili)* Wy tu nad morzem siedzita, to się tu nie wi nawet...

RYBAK I *(wskazał gospodarza):* Ksonder przeciw Szwedom wojował z panem Wejherem, wojewodą malborskim.

BUDZISZ: Jo!

JAŚ: To i wy żołnierz?! Hej, to widać, ze wszystkich stron lud się skrzyknął, żeby bić psubrata Szweda. I jo wom powiem, gdyby nie panowie... *(obrócił się)*

SURMA: Nie ma tu panów, gadoj!

JAŚ: Szwed by nie zagrzał miejsca u nas. Ale te skurczybyki jaśnie wielmożne...

BUDZISZ: Teraz wielgomożne pany przy królu polskim znów stoją, bo zmiarkowali, że im tak lepiej. Pewno, że lepi, bo w Szwecji, ludzie mówią, to nawet świstaczka królewska posiada prawa majestatu i panowania... A u nos? U nos każdy pan i biskup chcą od króla być większe...

SURMA *(obejrzał się):* Zeby króla panowie od narodu nie odgradzali, to król i chłopu by pomógł, my by poniewierki nie cierpieli.

BUDZISZ *(sceptycznie):* Ii...

SURMA: Przecie ludzie prawią het, że we Lwowie król przysięgać mioł...

BUDZISZ: Ii...

JAŚ: Hej, tłukłem ja już panów i po orawskiej i po naszej stronie, jak wyskakiwołem za jedliczkę, jesce z Szymonem starym, który zginął, jak my Nowy Sącz dobywali... *(słychać tętent dwóch koni, zatrzymują się przed chatą)* Nasz Czarniecki wraco!

Scena 2

(W progu staje kanclerz Koryciński, za nim stoi Chrząstowski, już nie w cudzoziemskim tylko w polskim stroju.)

KANCLERZ: Czołem waszmościom!

(cisza)

BUDZISZ *(wysunął się z ukłonem):* Pojta w izbu, wielgomożny panie! *(do reszty, półgłosem)* A wy precz! *(obecni zmierzają ku wyjściu)*

SURMA *(pchnął Jasia):* Rusz się!

JAŚ *(patrzy poza plecy kanclerza, w Chrząstowskiego):* Ten tu!

KANCLERZ *(odwrócił się):* Światła!

CHRZĄSTOWSKI *(do niewidocznego za drzwiami pacholika):* Wojtek, puzdro moje.

SURMA *(pchnął Jasia)* Czyś się wściekł? *(wypchnął go za drzwi)*

KANCLERZ: Kasztelan Czarniecki jest?

BUDZISZ *(z ukłonem):* Siadajcie, jaśnie wielmożny panie... Ino patrzeć, jak hetman wróci.

CHRZĄSTOWSKI *(wyciąga z puzdra i ustawia na stole lichtarze i świece, parsknął z cicha)* Hetman!

KANCLERZ: Milcz waszeć! *(do Budzisza)* Czyżby do Gdańska ruszył? Niemożliwe, żebyśmy się minęli.

BUDZISZ: Jaśnie wielmożny Czarniecki checze objeżdża, aby sprawdzić, jak wojsko ulokowane.

KANCLERZ: Poczekamy. *(siada)*

CHRZĄSTOWSKI: Hej, łuczywa tu! Widziałeś wasza dostojność, jak po ciemnych chałupach chłopstwo się tłoczy i o czymś radzi? Przestąpiliśmy próg, to wilkiem na nas spojrzeli. *(zajął się zapalaniem świec od łuczywa, które przyniósł gospodarz)*

(kanclerz nie słucha, siedzi zamyślony, Budzisz czeka na środku izby na rozkazy; słychać szum morza i z sąsiedniej izby nucenie piosenki: „A w Raduni krwawą woda...")

KANCLERZ: Nocą przybył do was pan Czarniecki?

BUDZISZ: Nocą.

KANCLERZ: Zimno, wietrzno, straszna to pora.

BUDZISZ: Bo nord wieje, jaśnie wielmożny panie.

KANCLERZ: I tu kasztelan Czarniecki miał zamiar *(rozgląda się po izbie)* nocować?

BUDZISZ: Ubogo tu, jaśnie wielmożny panie... *(po chwili)* Hetman Czarniecki powiedział, że wystarczy mu siodło pod głowę.

KANCLERZ: Słyszysz waszmość? Siadaj, gospodarzu, i zajmij się swoją robotą. Waść się z puzdrami i piernatami wozisz...

CHRZĄSTOWSKI: Wasza dostojność...

KANCLERZ *(z wielkopańskim gestem):* Wszyscyśmy w tym Gdańsku uwięźli w piernatach i w wygodach po szyję.

CHRZĄSTOWSKI: Należało nam się, wasza dostojność, po trudach i wojnie! Nie zaszkodzi nieco wesela i bankietów, zwłaszcza, że niezwyciężony nasz pan, król miłościwy...

KANCLERZ *(przerwał, ironicznie):* Waszmość o... którym królu mówisz?

CHRZĄSTOWSKI *(aż go zatknęło):* Jakto? Wasza dostojność! O Janie Kazimierzu!

KANCLERZ *(pominął wzgardliwym milczeniem te słowa):* Wojna jeszcze nie skończona. Szwed ostatkiem sił wprawdzie goni, lecz nowe może szykować ciosy.

CHRZĄSTOWSKI *(zaniepokojony):* Wasza dostojność...

KANCLERZ: Jak się waści zdaje? Czarniecki wielkimi pochodami ku Gdańskowi idzie, miastu, które przez cały czas wierne Rzeczpospolitej pozostało i króla dziś gości. Mamy wieści, że Czarniecki po najjaśniejszego pana idzie, by król wracał, widać znów w Rzeczpospolitej coś się gotuje. Mamy obawy, iż w zmowie z królem szwedzkim nowa idzie nawała.

CHRZĄSTOWSKI: Jak... jakto?

KANCLERZ: Czekajmy na pana Czarnieckiego.

(milczenie)

CHRZĄSTOWSKI: Wa... wasza dostojność!! *(kanclerz milczy)* Wasza dostojność... *(przełknął ślinę)* To może my stąd wyjedziemy?

KANCLERZ *(roześmiał się z odcieniem wzgardy):* Nie, odpór nieprzyjacielowi trza dać, bić się będziemy.

CHRZĄSTOWSKI *(bez przekonania):* Tak... Bić się będziemy. Czy wasza dostojność uważasz, że... szybko to może nastąpić?

KANCLERZ: Zimno tu u was, gospodarzu.

BUDZISZ: Ano, zimno. *(milczenie)* Konie słychać, jaśnie wielmożny panie... *(tętent ustał przed chatą)*

Scena 3

CZARNIECKI *(wchodzi, głowę schyla w niskich drzwiach, stanął i mruży oczy, oślepiony światłem)*

KANCLERZ *(posunął się krok):* Witaj, mości kasztelanie!

CZARNIECKI: Kanclerz koronny w moich skromnych progach! Zaszczyt to dla mnie... *(w stronę Chrząstowskiego)* Czołem! Siadajcie, wasze moście!

KANCLERZ: Król dowiedział się, panie kasztelanie, żeś przybył...

CZARNIECKI: Nocą przybyłem, mości kanclerzu, i nie chciałem króla jegomości niepokoić. Za dnia miałem się wybrać, służby moje polecając...

KANCLERZ: Gdy dano znać, że wasza miłość już pod Gdańsk podciągasz, król jegomość nie mógł z niecierpliwości wytrzymać i przysłał tu pana podsędka krakowskiego *(wskazuje na Chrząstowskiego, który kłania się w pas)* i rozkazał, aby cię z wielką ceremonią do miasta wprowadził. Z panem podsędkiem i ja się wybrałem, chcąc powitać tak sławnego wojownika i mnie znajomego. Wieści też chciałem wcześniej zasięgnąć, bo od kilku niedziel w Gdańsku zamknięci na bałamutne jeno plotki zdani byliśmy.

CZARNIECKI: Pobity nieprzyjaciel szwedzki nową burzę szykuje, do ligi wchodząc z siedmiogrodzkim Rokoczym i z Brandenburczykiem. Uderzą lada chwila. Wiozę listy do króla od jejmość królowej i od senatorów. Mam niepłonną nadzieję, że burza ta znów o pierś polską się rozbije. To już nie jest ubiegły rok, dziś wojsko mamy, które szkołę zwycięstwa przeszło. Ale siadajcie, wasze miłoście...

KANCLERZ: Najjaśniejszy król życzy sobie, abyś bez zwłoki do Gdańska wkroczył.

CHRZĄSTOWSKI *(kłaniając się w pas):* Tłumy mieszkańców z pochodniami na ulicach miasta czekają cię, jaśnie wielmożny regimentarzu, wojowniku niezwyciężony!

KANCLERZ: Rzeczywiście, miasto całe mimo nocy na nogach, gdy wieść się rozeszła, żeś przybył. Kościoły mają przykazane w dzwony bić, bo król chce cię jako zwycięzcę witać!

(Czarniecki głowę skłonił, chwilę milczy)

Scena 4

ANDRZEJ *(wszedł i wyprężył się przy drzwiach):* Mości regimentarzu, ognie jakoweś widać w mieście i poruszenie, wiatr odgłos dzwonów niesie...

CZARNIECKI *(zamyślony):* Tak... Słuchaj no, Jarząb, trzeba nam... *(ze zdziwieniem do Chrząstowskiego)* Co waści?

CHRZĄSTOWSKI *(który patrzy na Andrzeja):* Mości regimentarzu! To...

CZARNIECKI *(szorstko):* Czego waść?

CHRZĄSTOWSKI: Nazywa się Jarząb! Jarząb... Jak ja mogłem? Mości regimentarzu, na Boga! Pozwól mi mówić!... To mój zbiegły chłop...

CZARNIECKI *(zmarszczył brwi):* Pod moją jest teraz komendą, czego waść tu wrzeszczysz?

CHRZĄSTOWSKI *(złożył ręce):* Pozwól! Mości regimentarzu! *(odwrócił się)* Jaśnie wielmożny kanclerzu, błagam, pozwólcie mi mówić...

CZARNIECKI *(wciąż ze zmarszczoną brwią):* Mów waść! Tylko zwięźle, nie mamy czasu.

CHRZĄSTOWSKI: Jarząb! *(uderzył się w czoło)* Że to nazwisko z pamięci mi wypadło, gdyśmy się ostatni raz widzieli!

ANDRZEJ: Ostatni raz widzieliśmy się, jaśnie wielmożny panie, pod Krakowem, w namiocie króla szwedzkiego. Stałeś przy majestacie szwedzkim.

CHRZĄSTOWSKI: Fałsz!

ANDRZEJ: Ja z tego namiotu bez ręki wyszedłem!

CZARNIECKI *(srogo patrząc na Chrząstowskiego):* Zamilcz waść! Zbiegły czy nie zbiegły chłop, pod moją regimentarską inkwizycją jest teraz! Na najbliższym sejmie o szlachectwo jego ja sam się upomnę!

CHRZĄSTOWSKI: Nigdy!!

CZARNIECKI *(o pół kroku się cofnął):* Co waść? Pijanyś?!

CHRZĄSTOWSKI: Mości regimentarzu! Mości kanclerzu! Ja go oskarżam! To nie tylko zbiegły chłop, ale zbój i buntownik przeciw najjaśniejszemu królowi!! Przeciw Rzeczpospolitej!! Na Boga Wszechmogącego klnę się, że prawdę mówię!

CZARNIECKI *(głową potrząsnął jak w złym śnie):* Co to?... Jarząb, co to jest?

ANDRZEJ *(głucho):* Pytaj mnie, jaśnie wielmożny regimentarzu!

CZARNIECKI: Czego ten człek od ciebie chce? Byłeś jego poddany?

CHRZĄSTOWSKI: Po kolei! Po kolei! Regimentarzu! Ja mam tu akta... *(gorączkowo wyciągnął plik papierów).* Od lat go szukam... On urwał się katu!

CZARNIECKI *(do Andrzeja):* Co to wszystko ma znaczyć? Skąd ty właściwie jesteś?

ANDRZEJ *(po chwili):* Z Czarnego Dunajca.

CHRZĄSTOWSKI *(wrzasnął, uderzywszy ręką w rozpostarte papiery):* Właśnie! Z Czarnego Dunajca! Wasze miłoście! Herszt wbity został na pal! Pomocnik jego poćwiartowany! Drugi ścięty! Ten uszedł katu... Tak jest,

wasze miłoście, onże jest z bandy Kostki Napierskiego! Zbój i buntownik przeciw królowi i Rzeczypospolitej!

(zrobiła się cisza)

CZARNIECKI *(cicho):* Jarząb?

ANDRZEJ: Tak.

CZARNIECKI *(w rozterce):* Jarząb... (patrzy na niego)

ANDRZEJ: W niewoli nie mogłem żyć. *(patrzy na Chrząstowskiego)* Psią krwią nas panowie nazywają, a barzy swoje psy niż nas poważają! No, jak ja mogłem w tym poniżeniu... *(w stronę Czarnieckiego)* Przeciem człowiek...

(Czarniecki patrzy na Jarząba i ciężko siada przy stole)

ANDRZEJ: I dlatego ino, żem w niewoli żyć nie umiał, gdy Szwed przyszedł za broń chwyciłem...

(milczenie; przy stole, na którym jarzą się świece, trzej panowie siedzą tak, jakby uformował się sąd: kanclerz w środku, obok Czarniecki, z drugiej strony kanclerza stoi Chrząstowski mający przed sobą rozłożone akta, Andrzej posunął się o krok bliżej stołu i stoi)

CHRZĄSTOWSKI: Jaśnie wielmożny kanclerzu, czy prawa Rzeczpospolitej w tym królestwie obowiązują?

KANCLERZ: Mów waść.

CHRZĄSTOWSKI: Jako podsędek generalny krakowski sprawę od lat miałem w aktach...

CZARNIECKI *(porywczo):* Masz, mości sędzio, wyrok?

CHRZĄSTOWSKI *(tonem urzędowym):* Zrazu nie wydano wyroku, ponieważ po lasach gromadziły się kupy zbrojne, nie chcieliśmy drażnić pospólstwa, wyrokowi sprawiedliwości oddając jeno hersztów głównych, potem sprawa przeciągnęła się. Dziś traf wznawia ten proces. Primo: o udział w buncie Napierskiego go oskarżam, secundo: o zbiegostwo z mojej wsi, dokąd przychodząc do dziewki swojej przez rok i 6 niedziel przebywał, co według uchwał sejmików szlacheckich w moje poddaństwo go oddaje, tertio: gdy po ucieczce z buntu Kostki Napierskiego w żupach solnych w Wieliczce pracował, nowy gotował bunt, za co na plagi skazany uciekł...

KANCLERZ: Prawda to?

ANDRZEJ: Zarządca królewski okradał skarb, ludzi katował...

CHRZĄSTOWSKI: Mam tu dokument podpisany przez onego zarządcę.

KANCLERZ: Słuchamy!

CHRZĄSTOWSKI *(niepewnym głosem):* Hrabia Wrzeszczowicz podpisał...

CZARNIECKI *(aż podskoczył):* Kat niewiast i dzieci! Zdzierca kościołów! Pierwszy zdrajca! W służbie króla szwedzkiego od początku inwazji!

CHRZĄSTOWSKI: Mimo to według praw naszych obwiniony Andrzej Jarząb do lochu powinien iść, by czekać wyroku sprawiedliwości.

BUDZISZ *(wstał wtedy i wolnym krokiem zbliżył się do stołu, mówi do Andrzeja):* Bracie!

KANCLERZ *(zmarszczył brwi):* Co to ma znaczyć?

BUDZISZ: I jam stary żołnierz! *(zrzuca z pleców kożuch)* Bracie mój! *(i widzą wszyscy, że nie ma prawej ręki, rękaw wisi pusty)*

CZARNIECKI *(poruszony):* Bez ręki! Bez prawej ręki!

BUDZISZ *(ukłonił się)* Jaśnie wielmożni panowie! Tak jest, bez ręki! Mówiłem, żem pod panem Weyherem przeciw Szwedom wojował... I oto znak! My nie herbowi i bez nazwisk... I więcej jest w Polsce tak naznaczonych chłopów! *(do Chrząstowskiego)* Jaśnie wielmożny sędzia chce nas do lochu i ręce skrępować... to tylko jedną rękę krępujcie, bo drugą wziął Szwed!...

(cisza się zrobiła, tylko z sąsiedniej izby słychać piosenkę: „A w Raduni krwawa woda..."

CZARNIECKI *(głosem rozbitym mówi wolno, jakby próbował sam z własnej rozterki znaleźć drogę):* Pozwólcie, wasze miłoście... Lud ten przecie, gdy Szwed przyszedł... *(spotkał się z chłodnym spojrzeniem Kanclerza, więc jakby mu odpowiadał)* Sam miłościwy król przed boskim ołtarzem w katedrze lwowskiej śluby czynił, że ludowi temu, który w opresji i poniżeniu dotychczas...

KANCLERZ *(przerwał, zimno):* Śluby królewskie? Władza królewska? Wybacz, kasztelanie... *(z akcentem nieco gorzkim)* Rzeczpospolita ma jeszcze swoją szlachtę i panów senatorów.

CHRZĄSTOWSKI *(nastroszony i surowy):* I fundamentalne prawa swoje...

CZARNIECKI *(patrzy na jednego, na drugiego, widzi daremne słowa, mówi z bólem):* Więc pójdę do króla, pokłonię się: oto żołnierze twoi, królu, bez rąk...

BUDZISZ *(wzruszony):* Mamy jeszcze... ręce...

(wyciągają się ku górze dwie lewice)

CZARNIECKI *(na widok ten, na widok ludzi okaleczonych strasznie, a przecie do boju się rwących — zadrżało serce starego wodza)* Żołnierze moi! *(wstaje, w stronę stołu mówi zduszonym głosem, hamując wybuch)* Dosyć, panowie!

KANCLERZ *(cicho):* Panie kasztelanie...

CZARNIECKI *(cicho, coraz bardziej hamując wybuch):* Dosyć! *(głos rwie mu się co słowo)* Starym... ciało całe mam w bliznach... nie zliczysz ran... jak pies waruję u granic!... I tyle lat!... O! nie żałowali mnie panowie i nie ma obelgi, którą by mnie... Żem prosty szlachcic i po buławę chciał sięgać!!... Krępowali mi ręce, podbijali nogi...

(kanclerz otwiera usta by przerwać) Dosyć! Ja mam teraz wojnę!! I mnie są potrzebni żołnierze. Jam odpowiedzialny, czy wróg granic nie naruszy! *(patrzy na groźne twarze Andrzeja i Budzisza)* Z kim przeciw nieprzyjacielowi wyjdę w pole? *(z gestem w stronę Chrząstowskiego, gwałtownie)* Ze zdrajcami?!

CHRZĄSTOWSKI *(nasrożył się groźnie):* Mości regi...

CZARNIECKI *(walnął pięścią w stół, aż stół jęknął, z wybuchem tak*

długo tłumionym): Dosyć! Dla mnieś zdrajca!! *(Chrząstowski jak rażony opadł na krzesło; Czarniecki ciężko oddychając)* Mamy wojnę, mości kanclerzu, i kto zacny jeno wyjdzie w pole...

ROTMISTRZ *(wpada):* Tłum z pochodniami tu wali! I dzwony cię witają, mości regimentarzu!

CZARNIECKI *(patrząc na rotmistrza, na Andrzeja, na Budzisza):* Moi żołnierze...

(rotmistrz patrząc na niego jak w tęczę, wyszarpnął szablę do góry; Andrzej lewicą wyszarpnął swoją; kanclerz podszedł do okna i pchnął je; drzwi są szeroko otwarte, za drzwiami i za oknem tłum, zbrojni i cywilni, z pochodniami, więc widać głęboko drugi plan, niektórzy podnieśli szable do góry, widać kosy i włócznie)

GŁOSY *(raczej szum tłumu za drzwiami):* Czarniecki... Czarniecki... *(o chłopskim brzmieniu)* Nasz hetman...

CZARNIECKI: Mości kanclerzu, idę do króla... *(nieco zgarbiony rusza ku drzwiom)*

(tłum się rozstąpił robiąc długą, pustą drogę, drogą tą idzie Czarniecki, w ciszy biją tryumfalnie dzwony)

KONIEC

Warszawa, dnia 20 marca 1952 r.

Kazimierz Korcelli

HELENA WIELOWIEYSKA

Wiosna w Gorzowie

Gorzów — dziecko sześciolatki, przebyło już szczęśliwie okres ząbkowania i pierwszych prób produkcyjnych. Właśnie na parę dni przed moim wyjazdem z Warszawy w Centralnym Domu Towarowym pojawiły się ogromne ilości tak zwanych steelonów, pończoch z polanowej przędzy, wyrabianej w Gorzowie. Dużo i tanich. Widoczny znak rozwoju fabryki.

Drugim sygnałem wzrostu produkcji polanu była, przeczytana przeze mnie niedawno, notatka w dzienniku: „Z okazji majowego święta i sześćdziesiątych urodzin Prezydenta Bieruta Gorzowskie Zakłady Włókien Sztucznych zobowiązują się przysporzyć państwu oszczędności i dochodu ponad plan na sumę dwóch milionów sześciuset tysięcy złotych".

Fabryka znajduje się w odległości paru kilometrów od śródmieścia. Trzeba do niej maszerować długą serpentyną lekko wznoszącej się szosy, albo też brnąć na przełaj przez stary cmentarz, drogą wprawdzie krótszą, ale na jesieni i w zimie bardzo niewygodną.

Kiedy rozmawiałam z weteranami gorzowskich zakładów o początkach tej fabryki, i z ich opowieści próbowałam odtworzyć sobie ich życie sprzed lat siedmiu czy sześciu — ta męcząca droga po ostrej, śliskiej od wilgoci pochyłości cmentarza nie mogła mi wyjść z pamięci. A przecież nawet nie wspominali o takich drobiazgach.

Mówili o sprawach naprawdę ważnych, zasadniczych.

A więc o tym, że budynki zakładów i cała wielohektarowa przestrzeń, na której się znajdują, zawalona była pogiętym, pordzewiałym żelastwem i gruzem, poprzecinana rowami i bunkrami, zarzucona złomem. Nie było zupełnie maszyn ani nawet najprostszych narzędzi i sprzętów. Zaczynali bez żywności i bez pieniędzy. Bez środków transportowych i bez kierownictwa technicznego. Gołymi rękami zabrali się do pracy dla Polski, która tu wróciła po wiekach, dla tej Polski nowej i pięknej, której poczuli się gospodarzami.

Zaczęli też po gospodarsku. Pościągali różne narzędzia — jakie kto mógł i znalazł. Młotki i młoty, łopaty i kilofy do grzebania w gruzach, piły, heble i dłuta, wszystko, co tylko mogło im się przydać przy uprzątaniu tego olbrzymiego rumowiska. Tak zaczynali pierwsi pionierzy Gorzowa: ślusarze Bogdan Konieczny i Stanisław Mozol, spawacze Wasilewski i Kaczmarek, technik Jastrzębski, urzędniczka Janicka, tokarz Barski. Razem było ich wtedy kilkudziesięciu ludzi, z których niewielu zostało w Gorzowie. Większość nie wytrzymała fizycznie — trudów, psychicznie — niepewności, czy ich wysiłki się opłacą, czy w Gorzowie naprawdę powstanie ta wymarzona przez nich fabryka. Ci, co wytrwali i zostali w Gorzowie — to wielokrotni przodownicy pracy, odznaczeni krzyżami zasługi.

— Odkopanie spod gruzów pierwszej obrabiarki stało się dla nas prawdziwym świętem — mówi Bogdan Konieczny, dyrektor Zakładów. — Urządziliśmy sobie od razu warsztat. Nie, warsztacik w maleńkim pokoiczku. Wykonywaliśmy tam wszystko, co było potrzebne przy dalszej rozbudowie warsztatu. Do czterdziestego ósmego roku pracowaliśmy nie tutaj, tylko obok, w Żydowicach. Budowaliśmy poza tym części dla gorzowskiej elektrowni, wózki do przewożenia jedwabiu,

części do maszyn włókienniczych. Trzeba było pracować jak się dało, nie czas był jeszcze na realizację wielkich marzeń.

Na chwilę zamyśliliśmy się oboje. Dyrektor Konieczny wspominał pewnie tamte czasy, kiedy hierarchia pierwszych potrzeb zrujnowanego kraju stawiała na pierwszym planie inne zakłady, inne miasta. Ja przypomniałam sobie zasłyszaną w Gorzowie historyjkę o pewnym burmistrzu, który przed władzami ukrył w słomie kilka starych, poniemieckich trolejbusów. Nie chciał ich wydać dla Szczecina, pragnął je za wszelką cenę zachować dla swojego miasta, prawie pustego miasta wymarłych ulic i ślepych okien.

Tak. Gorzów, uroczy, pełen zieleni, starych uliczek i nowych idei, Gorzów ma swoich entuzjastów. Naiwnych jak ów burmistrz, mądrych i wytrwałych jak pionierzy fabryki polanu. Trolejbusów co prawda nie ma i przestrzeń z miasta do fabryki nie zmniejszyła się żadnym cudownym sposobem. Ale nie zdarzyło mi się, abym mijając z którymś z gorzowian ulicę Pomorską, przy której stoi hotel robotniczy fabryki, nie usłyszała: „Tędy, najdalej za rok, będzie szedł tramwaj do samego śródmieścia". Są tego tak samo pewni jak i tego, że spóźniająca się w tym roku wiosna w najbliższych dniach zjawi się w Gorzowie.

W warsztatach mechanicznych przodownik pracy i tutejszy pionier, starszy majster Mozol pokazuje mi pierwszą, prawie historyczną obrabiarkę.

— O, patrzcie — mówi — na tym gracie, na tym paskudztwie zaczynaliśmy.

— A ta? — pytam, wskazując na stojącą obok nowiuteńką maszynę.

— To jest tokarnia majstra Lewickiego. Dostał ją od premiera Cyrankiewicza.

— Jakto Lewickiego? Prywatna?

Teraz dla odmiany nie rozumie Mozol. — Prywatna? No właściwie nie, bo przy niej pracuje kto inny. A dostał ją rzeczywiście Lewicki. Podczas przyjęcia w lipcu zeszłego roku, kiedy było otwarcie fabryki, Lewicki został odznaczony i w imieniu załogi przekazywał całą fabrykę. Więc później, przy stole, siedział obok premiera. W rozmowie premier spytał, jakie są jego życzenia prywatne. Osobiste pragnienia. Lewicki powiedział: — Chciałbym tu mieć nową, całkiem nowoczesną tokarnię. Trzymetrową. — I jest. Trzymetrowa. Trzeba było trochę na nią poczekać. Premier, rozumiecie, nie jeździ na co dzień z tokarniami. I minister Wang, który był przy tej rozmowie, uprzedził nas, że to nie będzie od razu. Ale widzicie: już jest, już pracuje.

Starszy majster Mozol włączył motor — maszyna ożyła, zaburczała. Idealna gładzizna jakiegoś koła zaświeciła, chwyciwszy jak lustro promień słońca, który wpadł przez olbrzymie okno. Mozol pochylił się nade mną, żeby przekrzyczeć szum pracującej hali.

Życzenia robotnika Lewickiego spełniły się. Przerósł je majster Lewicki. I majster Lewicki ma dzisiaj inne pragnienia. Trudniejsze do urzeczywistnienia, dalsze i szersze.

— Jest nam za ciasno w tej hali — mówi zaraz po przywitaniu. — Niech pani patrzy na te kotły, jak tarasują przejście. Nie do wytrzymania! I nie ma ich gdzie przenieść. Musimy dostać jeszcze drugą halę. Taką samą, albo i większą. I, oczywiście, jeszcze dużo maszyn nam potrzeba. Robimy przecież nie tylko kotły. Teraz, na przykład, prototyp rozciągarki do włókna ciętego. Będzie na pierwszego.

— 1 Kwietnia — uzupełnia przysłuchujący się naszej rozmowie kierownik warsztatów, Jankowski. — Równocześ-

nie robimy rurociągi i niektóre elementy odbieralki. Tej nowej, którą nasze zakłady zobowiązały się zmontować na osiemnastego kwietnia, na dzień urodzin Prezydenta.

— Zdążycie?

— Musimy. Mamy z nią oczywiście mnóstwo kłopotów. Ale to nie to, co z pierwszą.

Pierwsza odbieralka była prototypem. Jej autorzy, inżynierowie Ney i Walter, nie mieli żadnych wzorów. Skonstruowali ją sami. Zbudowana zgodnie z założeniami teoretycznymi odbieralka funkcjonowała, ale nie tak, jakby chciała załoga. Pracowała zaledwie na połowie przewidzianych obrotów. Ta maszyna stała się na długie miesiące wąskim gardłem produkcji: przędzalnia nie mogła wykorzystać swoich możliwości, obliczona na większą przepustowość. Stawała. Młodziutkie, siedemnastoletnie robotnice, wychowanki Szkoły Przysposobienia Przemysłowego niecierpliwiły się. Niezrozumiałe przestoje demoralizowały młodą załogę.

Były także i inne trudności. Niedostateczna ilość sprowadzanych z Zachodu filierek czyli włośnic — precyzyjnych sitek, przez które przechodząc rozgrzana masa półproduktu staje się włóknem, mała przepustowość suszarki, brak dostatecznej ilości wykwalifikowanych pracowników.

Stoję przy tej maszynie, która kiedyś była klęską fabryki. Wygląda jak olbrzymia, długa na całą salę szafa wieloczęściowa: każde z licznych skrzydeł stalowych drzwi zamyka przed moimi oczami skomplikowaną aparaturę, dzięki której umieszczone na dole szpule zapełniają się białą nitką polanu. Niektóre części odbieralki wymagają niezwykle precyzyjnej obróbki — tolerancja wynosi tu jedną tysięczną milimetra. Teraz, po wielu przeróbkach i zastosowaniu usprawnień, odbieralka pracuje równo i spokojnie. Z wysoko umieszczonych filier jak z kraników spływają cieniutkie strużki. Po przejściu skomplikowanej drogi, w czasie której ulega chemicznej preparacji, surowa jeszcze i rozciągliwa nitka białego polanu nawija się na szpule. Nic nie wskazuje na to, że ta znakomicie funkcjonująca maszyna była kiedyś przyczyną klęski i wstydu, powodem wielu utrapień gorzowskich pionierów.

— Przez nią mieliśmy w lipcu zeszłego roku tylko szesnaście procent planu — mówi z urazą jakiś przechodzący robotnik.

To załamanie się zeszłorocznego planu tuż po uroczystym otwarciu fabryki, dziewiątego lipca 1951 roku, było najgroźniejszym zdarzeniem w krótkiej historii istnienia gorzowskich zakładów. Cały aktyw fabryczny stanął do walki w obronie zagrożonej produkcji. Mimo to jednak sierpień przyniósł tylko nieznaczną, trzyprocentową podwyżkę produkcji. Odbieralka wciąż zawodziła. Przybyła z ministerstwa specjalna komisja wprowadziła korekturę planu produkcyjnego. Obniżka planu nie była zadowalającym wyjściem z sytuacji. Sankcjonowała tylko stan faktyczny: niedostatek polanowego włókna u łódzkich dziewiarzy.

I wtedy posypały się pomysły i usprawnienia. Gorączkowym życiem zawrzał klub racjonalizatorów. Teraz, ilekroć przechodzę przez salę odbieralek, zawsze ktoś z załogi wspomina ten okres i wyniki wzmożonej pracy tutejszych konstruktorów. Zwłaszcza dwa usprawnienia są stałym przedmiotem dumy robotników pracujących przy odbieralce: nowe wodziki konstrukcji inżyniera Kordysa i filierki majstra Wieczorka. Siatki na włośnice pomysłu przodownika pracy, Wieczorka, wyrabiane są już w kraju i przynoszą dziesięć tysięcy oszczędności rocznie, na jednej maszynie.

Po wprowadzeniu każdego nowego usprawnienia odbieralka zaczynała funkcjonować lepiej, na większej ilości obrotów. Załoga samorzutnie podnosiła obniżone normy. Dziś maszyna pracuje na pełnych obrotach (około 1500) — o dawnym, „komisyjnym" planie już się nie mówi. Plan kwartalny został wykonany na siedem dni przed terminem. Naprzeciwko pierwszej, historycznej już odbieralki montuje się nową, której próbne uruchomienie przewidziane jest na osiemnastego kwietnia, dzień urodzin Prezydenta.

Jest już ciemno, kiedy miękką, rozmokłą ścieżką wzdłuż drogi wracam do fabrycznego hoteliku, w którym teraz mieszkam. Przede mną idą mężczyźni; z rozmowy poznaję, że to robotnicy przebywający tu na delegacji, pracownicy łódzkiej firmy montującej drugą odbieralkę. Mówią o tej pierwszej.

W nocy słyszę ją i widzę. Dygoce na swoich tysiącu pięciuset obrotach, drży i prycha parą. Ściany hali wyginają się, sufit zarysowuje i obniża. Z niewidocznych filierek wydobywają się, zamiast błyszczących, brylantowych nitek, kłęby czarnego dymu, który syczy i układa się w powietrzu w kształty fantastyczne i koszmarne. Nagły hałas jak grzmot podrywa mnie z łóżka.

To wiatr. Szarpnął ramą okienną. Firanki jak żagle wydęły się i frunęły na środek pokoju. Przez gwałtownie otwarte okno wtargnęła do pokoju śnieżyca.

Rankiem świeciło już słońce. Nad całym kompleksem fabrycznych budynków błękitnieje niebo pogodne i głębokie. Oglądam pączki młodych drzewek posadzonych wzdłuż asfaltowej drogi, wiodącej przez środek olbrzymiego placu, na którym stoją hale Zakładów.

Mija mnie wózek elektryczny, który prowadzi jakiś chłopak. Chłopak gwiżdże. Ptaki ćwierkają.

Jest wiosna.

Ulica Poliamidowa i druga odbieralka

Przełomową chwilą w życiu Gorzowa Wielkopolskiego stała się decyzja stworzenia w budynkach pozostałych po I. G. Farben Industrie nowoczesnej fabryki sztucznego włókna. Postanowienie zapadło w roku 1948. Był to czas, kiedy jeleniogórskie zakłady nie tylko znalazły ów, poszukiwany przez nie od półtora roku, produkt, jakim jest cienki jak pajęczyna i mocny jak stal polan, ale wypełniały już swój niewielki plan produkcyjny.

Skromne Zakłady w Jeleniej Górze — to laboratorium, w którym urodził się polan. Gorzów miał być kombinatem, przeznaczonym do masowej produkcji tego wynalazku. Włączenie projektowanych dopiero Zakładów Włókien Sztucznych do Planu Sześcioletniego tchnęło nowe życie w mury tego cichego miasta o rzadko spotykanym uroku.

Gorzów mimo zniszczenia dużej części śródmieścia zachował wiele cennych zabytków architektury. Do nich należy przede wszystkim zaułek „Nad murem miejskim", przypominający do złudzenia zachowane w Krakowie części obwarowań przy Bramie Floriańskiej, parę innych, krętych i wąskich uliczek, jakby żywcem przeniesionych z dawnego, warszawskiego Starego Miasta, i Katedra. Katedra gotycka, ale chyba wczesnogotycka, bo jakaś przyciężka, szeroko rozsiadła, z brzuchatym frontonem, który z daleka zalatuje romańskim prymitywem.

Te zabytkowe pozostałości otacza tandetna nowizna czynszowych kamieniczek drobnych kapitalistów, skromnych i prowincjonalnych, niedrapieżnych jeszcze mieszczan.

Z czego to miasto żyło? Była fabryka części do traktorów „Ursus", roszarnia lnu i tartak, fabryka przemysłu drzewnego — jeszcze parę jakichś małych zakładów przemysłowych, dwa ki-

na i wielka nuda kilkudziesięciotysięcznego (ledwo wegetującego) miasta, które żyło aby żyć — nie aby rosnąć. Mieszkańcom Gorzowa brakowało więzi z nową, bujną rzeczywistością.

I wtedy decyzja rządu i Partii nadała życiu miasteczka nowy kierunek.

Kiedy w sierpniu 1949 roku pierwszy dyrektor tutejszych Zakładów Włókien Sztucznych, Ejchert, przyjechał organizować dyrekcję budowy — w pustych prawie pawilonach zastał kilkudziesięciu ludzi. Byli to przeważnie robotnicy. Z gruzów wydobyto trochę połamanych części maszyn. Skleiwszy je do kupy domowym sposobem — z uporem i szlachetnym fanatyzmem trwali na posterunku z nieomylnym instynktem proletariackim i wiarą w rodzący się w Polsce socjalizm. Był więc zorganizowany przez tutejszych pionierów warsztacik mechaniczny. Na kilkudziesięciohektarowej przestrzeni ni to żałosnego ugoru, ni to łąki zarosłej burzanem, zawalonej gruzem i żelastwem stały budynki niewyzyskane, noszące ślady zniszczeń, tak jak je pozostawiły obozujące tu przed kilku laty wojska hitlerowskie. To było wszystko.

Dyrektor Ejchert musiał być dobrym organizatorem i prawdziwym entuzjastą.

Zakłady w tym okresie rozwijały się bardzo szybko, załoga powiększała się z dnia na dzień. Największe znaczenie jednak miało przybycie z kolebki polanu, Jeleniej Góry, jego twórców, inżynierów i kadry technicznej: wszelkiego rodzaju specjalistów, fachowców chemików i włókniarzy. Niedługo sprowadzi się do Gorzowa Naukowy Instytut Włókien Sztucznych ze swoim dyrektorem, inżynierem Wiktorem Albrechtem, jednym z trzech pracujących w przemyśle specjalistów tej dziedziny chemii.

Dwaj inni, to główny inżynier Zakładów i zastępca dyrektora — Bohdan Brodowski, i szef produkcji — inżynier Władysław Czternastek. Inżynier Brodowski był pierwszym z chemików, którzy zjawili się w Gorzowie — jednym z pierwszych inżynierów. Wyprzedzili go tylko mechanicy: inżynierowie Kazimierz Kordys i Władysław Jagiełło. Zanim zagospodarowała się tu na dobre chemia, istniejący warsztacik mechaniczny musiał wyprodukować umeblowanie dla tej dokładnej i wymagającej gospodyni. Musiał stać się poważnym warsztatem, aby tego dokonać.

Teraz Gorzowskie Zakłady Włókien Sztucznych bardziej przypominają jakąś na wielką skalę zaprojektowaną pracownię naukową wyższej uczelni niż fabrykę. Każdy z poszczególnych działów posiada tu własne laboratorium — oprócz centralnego oczywiście. Kierownicy techniczni to naukowcy, którzy poza tym jednym, zasadniczym wynalazkiem, jakim była receptura włókna sztucznego, mają za sobą wiele innych.

Wynalazców jest tu wielu — są nimi zarówno inżynierowie, technicy jak i robotnicy. Tutejszy Klub Racjonalizatorów nie nadąża z rozpatrywaniem coraz to nowych napływających projektów. Inżynier do spraw wynalazczości, Mancewicz, pracownik specjalnie wydelegowany do zajmowania się stroną organizacyjną Klubu, obliczył przed paru dniami, że od pierwszego stycznia do końca marca br. wpłynęło 49 projektów. Z tej liczby 15 zostało już przyjętych przez komisję i oddanych brygadom racjonalizatorskim do wykonania.

Gorzowskie Zakłady Włókien Sztucznych — to fabryka nowa, wciąż się rozbudowująca. Jej pracownicy są pionierami produkcji, która nie ma za sobą żadnej tradycji. Toteż, jak wszyscy pio-

nierzy, muszą wciąż sami się uczyć, eksperymentować, szukać.

Jak sprawić, żeby jakość wyprodukowanej przędzy była wyższa od dotychczasowej, a ilość odpadów niższa? Co robić, żeby zmniejszyć do minimum przestoje? Żeby szybko niszczące się, trawione przez kwasy części maszyn, zbudowane z drogich, importowanych metali, zastąpić tańszymi, wyprodukowanymi w kraju? W jaki sposób zaoszczędzić robotnikowi pracy a państwu zbędnych wydatków?

Wśród usprawnień i wynalazków tutejszych racjonalizatorów są takie, które dają państwu olbrzymie korzyści. Do nich należy na przykład wynalazek inż. Bohdana Brodowskiego — polanowa żyłka rybacka, którą już od dawna produkują zakłady jeleniogórskie. Daje państwu duże dochody i zaspokaja potrzeby naszego rynku na ten artykuł, dotychczas sprowadzany z zagranicy. Albo wodziki do odbieralki, skonstruowane przez inż. Kordysa. Dotychczasowe wodziki — aparaciki, przez które przesuwa się zastygająca nitka srebrnego polanu — były drogie i niewygodne w użyciu. W razie zepsucia się jednego z nich stawała cała maszyna. Nad naprawą mozoliło się nieraz i trzech ślusarzy, a wytworzona już masa marnowała się, szła do odpadków. Teraz każdy z wodzików można wymienić lub naprawić z osobna, bez przestojów. Oszczędność, którą przyniosło państwu to jedno usprawnienie, oblicza się na milion siedemset tysięcy złotych rocznie. Ale niesposób wszystkie usprawnienia wycenić.

Jak na przykład w złotych i groszach obliczyć wartość niedawno powstałego udoskonalenia rozciągarki. Polega ono na wprowadzeniu osłonek do walców, przy których manipulują robotnice. Osłonki uniemożliwiają lub sprowadzają do minimum możliwość wypadku — zadrapania i pokaleczeń. Wypadki zdarzały się parę razy na tydzień — robotnica musiała przerywać pracę, leczyć dłonie. Czy wartość tego usprawnienia mierzyć będziemy sumą zaoszczędzoną państwu na odszkodowaniach od wypadku? — mówi inżynier do spraw wynalazczości, Mancewicz. — Bzdura. To by było i głupie, i nieludzkie. Tego rodzaju buchalterię mógł prowadzić tylko kapitalista.

A odbieralka? Pierwsza odbieralka była prototypem. Jej konstruktorzy widzieli wzór podobnej maszyny tylko na fotografii w popularno-technicznym piśmie. Z fotografii ułamkowej, ukazującej tylko najmniej ważne fragmenty. stworzyli, bo tak trzeba powiedzieć, odbieralkę. Czas jej budowy, wraz z późniejszymi poprawkami, oblicza się nie na miesiące lecz lata. Montaż drugiej trwał około sześciu tygodni.

Druga odbieralka — to najpoważniejsze z majowych zobowiązań. W sam dzień urodzin Prezydenta Bieruta ma nastąpić próbne uruchomienie odbieralki, za czternaście dni. Pierwszego czerwca włączy się już na stałe do produkcji — tego dnia produkcja gorzowskich zakładów skoczy gwałtownie w górę. Franciszek Rosa, kierownik laboratorium włókienniczego, który codziennie sprawdza stan wykonania majowych zobowiązań, lekceważącym ruchem ręki odsuwa leżący na jego biurku notatnik. Ciągle jeszcze widnieje w nim liczba siedemdziesięciu pięciu procent, aktualna w ostatnich dniach marca. Z chwilą zmontowania odbieralki... To nasze główne zobowiązanie. Wszyscy o tym wiedzą — nie ma robotnika w całych zakładach, który by nie myślał o tej maszynie. Osiemnastego na pewno ruszy, choćby się świat miał zawalić — ruszy.

Hala odbieralek jest punktem zainteresowania całej załogi. Co chwila przez

ledwo przymknięte drzwi wsuwa się czyjaś głowa. Znowu i znowu ktoś na własne oczy chce sprawdzić, że to nie plotka; druga odbieralka już jest zmontowana. Robotnicy z warsztatu mechanicznego pracują nad założeniem połączeń. Majster Wieczorek, przodownik pracy i racjonalizator mówi: — Skończyliśmy ją montować na trzy dni przed terminem. A już wydawało się, że się spóźnimy. Mieliśmy trudności.

Przede wszystkim materiałowe. Budowała ją bielska firma, Befama. I spóźniła się z dostawami części. Pisali, że to, że tamto, że huty na czas nie dostarczają im materiału... Zresztą, to na pewno prawda. Ale końcowe ogniwo tego łańcucha spóźnień jest tu, o! Nasza odbieralka.

— Albo te rurki. — Wspomina inspektor Pietruszewski. — Przysłali pordzewiałe, pozatykane. Dorabiaj dopiero nowe, baw się, kiedy termin blisko. kiedy tak się wszystkim śpieszy, że robota ludziom z rąk ucieka!

— Były także kłopoty z ludźmi, nie kłopoty, ale prawdziwe zmartwienia... Łódzkie Zakłady Remontowe, które montowały maszyny, przysłały nam ludzi takich, że szkoda gadać... Spóźniali się do pracy, lekceważyli nasz pośpiech, nasze nerwy. Aż przyjechał szef produkcji, Suskiewicz. Zaraz zrobił porządek. Tych kilku odesłał do Łodzi, a na ich miejsce sprowadził innych. Świetnych pracowników. Takich, wiecie, koleżeńskich. Takich, którzy rozumieją, co to jest cudze zobowiązanie. No i dzięki tej zmianie i dzięki ich brygadziście, Mikulickiemu — skończyli montaż na trzy dni przed terminem.

Twarz mojego rozmówcy jest zasępiona, mimo że druga odbieralka stoi już naprzeciwko pierwszej pracującej, mimo że krzątają się przy niej robotnicy zakładający połączenia.

— To jeszcze nie wszystko — mówi Wieczorek. — Zanim ona ruszy — ile jeszcze utrapień! — Szybkim ruchem dłoni wysunął jedną ze szpul, na które już osiemnastego kwietnia zaczną nawijać się długie, jedwabiste włosy polanu.

— Widzicie, jak ciężko idzie. Z jakim oporem. A wszystko tu musi być dopasowane, lekkie, dotarte jak nowy samochód — co ja mówię, o wiele, wiele bardziej. Jak zegarek. Każdy taki aparacik w każdym z segmentów odbieralki musi być doregulowany, czasem przemontowany czy wymieniony przed ostatecznym puszczeniem w ruch maszyny. Bo inaczej..

Na hali, gdzie nieprzerwanie pracuje ta najtrudniejsza, która tyle kosztowała pracy i zgryzoty całą załogę Gorzowa, stoi już nowa, bliska uruchomienia, taka sama maszyna. Taka sama — tylko że lepsza. „My tę pierwszą jeszcze przerobimy — odgraża się ktoś z obecnych — niech tylko ruszy następna". — Następna — to trzecia z kolei. Jej montaż już się rozpoczął i odbywa się bardzo szybko. Za nią stoi gotowy już na przyjęcie aparatury stelaż czwartej...

Z filierek pierwszej odbieralki spływa nieprzerwanym strumieniem rozgrzana masa i zastyga na srebrnych cylindrach jako mocna, jedwabista nitka. Ale stojący obok niej ludzie patrzą już w inną stronę. Tam, gdzie stoi nowa, nieczynna jeszcze maszyna i gdzie w cieniu rysują się szkielety następnych.

Wprost z tej jasnej hali wychodzę w mroczniejącą już ulicę „Poliamidową". Tak nazywają tu asfaltową drogę, przy której stoi większość fabrycznych budynków. Jest geometrycznie prosta i bardzo gładka. Jest nowoczesna i ładna, urodą, którą nadała jej maksymalna, absolutna, jakby się chciało powiedzieć, użyteczność.

— Tę ulicę to myśmy zbudowali —

mówi naczelny inżynier Brodowski. — I tamtą także. I my posadziliśmy wszystkie drzewka.

Pierwsze kroki

— Pytacie, czy mam duże trudności jako sekretarz Komitetu Fabrycznego? Tak, duże. Jakże mogłoby być inaczej. Ja jestem samoukiem, ale myślę, że tutaj duże trudności miałby także człowiek z uniwersyteckim wykształceniem. Gorzów, to duży zakład. I trudny. W ciągłym rozwoju. Wciąż, nieustannie przybywa ludzi. Proces wyrastania nowej inteligencji jest u nas widoczny. Mamy wielu wysokokwalifikowanych robotników. Zanim jednak powstał jako tako zgrany kolektyw, zanim ludzie poznali się, poznali swoje możliwości fachowe i intelektualne, zanim zrozumieli, że to jest ich, najbardziej ich fabryka — upłynęło sporo czasu. Nie tak od razu gromada obcych ludzi staje się jednolitym zespołem. Kiedy obejmowaliśmy Gorzów były tu zakłady mechaniczne. Poznaliście tych ludzi — to pionierzy, odznaczeni przodownicy pracy. Z nich wywodzi się obecny dyrektor, Konieczny. Do nich należą Mozol, Kaczmarek, Wasilewski. Później doszli Trzeszkiewicz i Lewicki, ten nauczyciel młodzieży, który tylu już uczniów doprowadził do egzaminu i zrobił z nich prawdziwych ślusarzy. Z Jeleniej Góry przyjechała kadra techniczna. A teraz weźcie nasze dziewczęta z działu włókienniczego. Po siedemnaście, osiemnaście lat. Wykształcenie — kilka oddziałów powszechniaka i SPP. Albo robotnicy placowi. No więc, bardzo różnorodny element i zanim ci wszyscy ludzie poczuli wspólną łączącą ich więź, zanim wyrobiła się w załodze solidarność i współodpowiedzialność za fabrykę, za produkcję, za plan... Nie było łatwo. Z początku i organizacja partyjna była słaba i ZMP nie działało. Do tego jeszcze to lipcowe załamanie... Ale ta klęska jakby odmieniła ludzi. Poczuli wszyscy, że są związani z fabryką i z produkcją. Że mają wspólny honor, honor fabryki. To nas, zresztą wszystkich, nauczyło wiele. Ot, teraz na przykład. Nowa, sprowadzona suszarka. Zmontowali, przed terminem oczywiście, i co? Wydawało się — klapa. Znowu będą zatory i przestoje, znowu załamania. Ale tym razem nie było paniki, nikt nie mówił, że wszystko przepadło, że nie wykonamy planu. Od razu wzięli się do roboty. Już tam inżynier Kordys kombinuje, jak ją poprawić. I będzie na czas, możecie być pewni.

Pytaliście, czy mi jest trudno w tutejszych zakładach. No więc, ja myślę, że wszędzie jest trudno, jeżeli chce się dobrze zrobić swoją robotę i naprawdę poznać zagadnienia jakiegoś środowiska. Myślę, że wam też musi być trudno pisać o Gorzowie i o produkcji włókna...

Najlepiej, zacznijcie od działu włókienniczego. To jest końcowy etap fabrykacji, nie ma żadnych „cudów" ani „alchemii".

Rzeczywiście. Najłatwiej jest zrozumieć pracę działu włókienniczego. Wprost z ulicy Poliamidowej weszliśmy na olbrzymią halę, w której odbywa się rozciąganie, skręcanie i cewienie polanowej przędzy. Tu także znajduje się pakownia, w której gotowe już rolki jedwabiu przygotowuje się do wysyłki.

Olbrzymia hala jest czysta i jasna jak sala operacyjna. Maszyny lśnią niklem, połyskują tysiącem walcowatych reflektorów: to wirujące rolki błyszczącego, gładkiego jedwabiu, w którym odbija się białe światło wysoko na suficie umieszczonych lamp jarzeniowych. Jasno tu, jakby ściany były ze szkła.

Nie ma tu kurzu ani pyłu, z którym walczą wszystkie fabryki włókiennicze.

Nić syntetyczna jest gładka i mocna, prawie ostra. I same pracownice dbają o czystość pomieszczenia. Zerwane nitki skrzętnie wkładają do kieszeni w roboczych spodniach, bo taki strój obowiązuje tu ze względu na higienę i bezpieczeństwo pracy.

Robotnice na tej hali to młodziutkie, siedemnasto i osiemnastoletnie dziewczęta, absolwentki Szkoły Przysposobienia Przemysłowego. Z pochodzenia prawie same córki bezrolnych i małorolnych chłopów, które do szkoły Przysposobienia Przemysłowego skierowała Służba Polsce lub Związek Młodzieży Polskiej. Dużo wśród nich jest sierot z Domów Dziecka.

Na przykład Ela Zaleska. Drobna i szczupła. W swoich granatowych spodniach z szelkami wygląda bardzo „młodo" — na jakieś dwanaście, trzynaście lat najwyżej. Eli zrywa się nitka — wywołuje to u niej wybuch złego humoru.

— Żałuję, że poszłam tak wcześnie do SPP — mówi. — W Domu Dziecka było mi bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Mogłam tam być jeszcze rok albo i dwa i nauczyli by mnie grać na fortepianie. Tu strasznie brak mi muzyki. A moja siostra tam jest, i choć ma dopiero trzynaście lat, to gra już na dwóch instrumentach. Na pianinie i na akordeonie.

— Ale za to jestem samodzielna — kończy niespodziewanie. W jej głosie brzmi triumf, twarzyczka rozpromienia się.

Ela mieszka razem z koleżankami w znajdującym się w śródmieściu Gorzowa Domu Młodego Robotnika należącego do Zakładów Włókna Sztucznego. W Domu mają śniadania i kolacje, obiady w stołówce na terenie fabryki. W Gorzowskich Zakładach małe włókniarki znajdują nie tylko pracę; opiekuje się nimi Partia, Rada Zakładowa i Rada Kobieca. Leon Michalski, przewodniczący Związku Młodzieży Polskiej w Gorzowskich Zakładach, mówił mi niedawno, że dziewczęta coraz bardziej interesują się produkcją: na zebraniach kół coraz częściej omawiają sprawy związane z pracą zawodową, z pracą w ich fabryce. Swoje indywidualne zobowiązania podjęte z okazji urodzin Prezydenta Bieruta i święta Pierwszego Maja wypełniają skrupulatnie. Zespołowe — już wykonały, choć wcale nie były łatwe. Zobowiązały się na przykład oddać dwudziestego marca całą produkcję za pierwszy kwartał bieżącego roku — oddały ją już czternastego. Zobowiązały się zmniejszyć ilość odpadów o jeden procent — ostatnie obliczenia wykazały, że ta ilość spadła nie o jeden, ale o dwa procent.

Kiedy wychodzimy przed budynek, owiewa mnie ciepły, wiosenny wiatr. Powietrze jest miękkie i łagodne jak przed deszczem. Lada chwila spod suchego runa skołtunionej i burej, zeszłorocznej trawy wyjrzą świeże, wiosenne listki.

— A wiecie — mówi towarzysz Nowak — ta mała czarna Ela wkrótce już przestanie żałować, że nie została w Domu Dziecka. Bo my już mamy etat dla kapelmistrza, nauczyciela muzyki. Za jakiś miesiąc może się zacząć uczyć grać. Właściwie nawet już zaangażowaliśmy muzyka. Tylko nie chciałem przy niej mówić, bo a nuż coś się stanie i on w ostatniej chwili zawiedzie...

Na rogu ulicy Poliamidowej zatrzymujemy się na chwilę rozmowy z grupą młodych robotnic, które przyszły na drugą zmianę. Jest wśród nich drobna Zosia Jasiowicz, znana społecznica wśród włókniarek i Knapikówna, milcząca i tajemnicza, jakby dumała o swoim trudnym zobowiązaniu, o którym jej koleżanki twierdzą, że jest niewykonalne. Ale wszystkie są wesołe i dziecinne. Takie, jakie powinny być sie-

demnastoletnie dziewczęta, którym nie grozi bezrobocie ani kułacki wyzysk, które mają opiekę i pracę.

— Nie wiem, czy ze względu na tę załogę, czy z powodu tego pięknego, jarzeniowego oświetlenia, w potocznej mowie ludzi fabryki ten dział produkcji nazywa się „Słoneczna hala" — mówi towarzysz Nowak.

Majstrowie i chuligany

„Kochany Opiekunie Młodzieży!

Ja, absolwentka z Domu Młodego Robotnika przy Gorzowskich Zakładach Włókien Sztucznych, w przededniu Twej sześćdziesiątej rocznicy urodzin, ślę Ci wyrazy gorącego uznania i ogromnej wdzięczności za Twoją ofiarną i bohaterską pracę nad budową szczęśliwej i bogatej — socjalistycznej, ludowej Polski. Z radością podjęłam zobowiązanie robotników Pafawagu uczczenia Twej rocznicy czynem produkcyjnym.

Drogi Opiekunie Młodzieży! Jestem pewna, że w Polsce przedwrześniowej nie mogłabym pracować w nowej fabryce, takiej cudnej jak nasza, budująca się w Planie Sześcioletnim. Bo w tamtej Polsce robotnik nie miał dostępu do pracy, a młodzież do szkoły. Ja byłam w Państwowej Szkole Przysposobienia Przemysłowego. Tam w tej szkole skończyłam siedem klas i zdobyłam zawód rozciągaczki, w którym obecnie pracuję..."

Autorka listu jest jedną z wybijających się, zdolnych pracównic kombinatu — została zmianową, w hierarchii robotniczej zajmuje najwyższe miejsce; wraz z następnym awansem, to znaczy kiedy zostanie majstrem, przejdzie do grupy pracowników umysłowych. Zosia Gregorek jest jedną z wielu: mieszka w Domu Młodego Robotnika, należy do ZMP, tańczy w ludowym balecie włókniarek krakowiaka — żyje zespołowym życiem tych miłych dziewcząt, które zdobywają sobie sympatię miasta.

Z tą sympatią nie było tak łatwo. Nagłe sprowadzenie tu dużej stosunkowo ilości chłopców i dziewcząt z SPP przyjęli gorzowianie bez zachwytu. Sceptyczne uśmieszki i utyskiwania zramolałych mieszczuchów, którym zakłócono spokój, znalazły pełne potwierdzenie. Ponure przepowiednie defetystów zaczęły się sprawdzać z nieprawdopodobną szybkością i akuratnością. Wyrwani ze swojego dawnego, internatowego i szkolnego trybu życia i otoczenia chłopcy z „Ursusa" i dziewczęta z „Włókna" — jak się tu mówi w skrócie — nie umieli właściwie korzystać ze swobody, jaką zdobyli po ukończeniu szkoły. Przez pierwsze kilka miesięcy zachowywali się rzeczywiście niepięknie. Nie dziwmy się za bardzo. Z uczniaków, z dzieci stali się nagle, mając lat siedemnaście, dorosłymi ludźmi, zarabiającymi na swoje utrzymanie, samodzielnymi. I — co ważne — znaleźli się w obcym mieście, w którym nie mieli rodziców ani krewnych, w którym nikt ich nie znał. Nie było jeszcze żadnych różnic między nimi, żadnych indywidualności. Byli anonimową masą absolwentów Szkół Przysposobienia Przemysłowego. Anonimową i solidarną w łobuzerii.

Do dziś istnieją wśród gorzowian legendy: o jakimś kiosku spuszczonym na Wartę razem z gazetami i o awanturach urządzanych w sobotnie wieczory przez chłopaków... Plotka urosła do gigantycznych rozmiarów.

Ale — nie ma dymu bez ognia i zła opinia miasta o chłopcach z „Ursusa" i małych włókniarkach była karą za-

równo za głupie dziecinne figle jak i za zwykłe chuligaństwo, które w tym początkowym, chaotycznym okresie na pewno się zdarzało. Jest to już jednak przeszłością.

Dużo o tym myślałam i zanim wybrałam się do Domu Młodego Robotnika sypiałam z Poematem pedagogicznym Makarenki pod poduszką.

— Przyznajcie się, coście tu takiego nabroiły? — spytałam, kiedy po paru godzinach rozmowa utraciła oficjalną sztywność. Siedziałyśmy w bardzo czysto utrzymanym pokoju sypialnym. Tak samo wyglądały inne przeze mnie już oglądane, wbrew opowieściom o brudach i nieporządku panującym w Domu.

— Poszło to stąd, że kilka dziewcząt zanadto szastało się na początku. Było lato. Na spacer chodziłyśmy wieczorem. Do kina, koniecznie na ostatni program. Przecież byłyśmy dorosłe, pracowałyśmy na siebie. Zresztą — nie było nam tu dobrze.

Przyjechałyśmy z dwóch szkół, z różnych miejscowości. Z Tomaszowa i Jeleniej Góry. Nie znałyśmy się. Trudno żyć w jednym domu z nieznajomymi ludźmi. Od razu też stworzyły się dwie partie — jeleniogórska i tomaszowska. Stąd kłótnie, awantury, kwasy. W fabryce było też źle. Zawalony plan, zaraz po naszym przyjeździe.

— Wszystko to już minęło — mówi jakaś blondynka z jasnymi oczami. — Zbliżyło nas po prostu ostatnie wspólne wykroczenie. O którejś tam godzinie w nocy kilka dziewcząt wróciło z potańcówki. O wiele później, niż na to pozwalają przepisy, nasze własne przepisy. No więc, chciały wejść przez okienko od piwnicy.

Połowa ich była z Jeleniej Góry, a połowa z Tomaszowa. Wtedy pierwszy raz zauważyłam, że już nie ma tego bezsensownego podziału.

A może zmieniło się, bo przybyły nowe zainteresowania? Oglądałam zobowiązania młodzieży gorzowskiej. Samych grupowych zobowiązań było 11. Podejmowano je całymi zmianami i brygadami. Większość z nich to zobowiązania produkcyjne długofalowe — niektóre obowiązują do końca bieżącego roku. A więc, na przykład, praca w niedzielę, kiedy zajdzie potrzeba, wyrobienie jakiejś ilości przędzy ponad normę, wyremontowanie dwu nieczynnych tokarek. Są też i inne — uprzątnąć nową halę, w której ustawia się maszyny, oddać jedną dniówkę na ufundowanie sztandaru, uporządkować cmentarz żołnierzy radzieckich. Czy też zbudować boisko do siatkówki i udekorować świetlicę we wsi Karmin, gdzie jest młoda spółdzielnia produkcyjna pozostająca pod opieką gorzowskich zakładów. „Dla Towarzysza Bieruta na urodziny i żeby przyśpieszyć Plan Sześcioletni“ czytam na kilku oświadczeniach wykaligrafowanych poprawnym i trochę jeszcze dziecinnym pismem.

Wprost z udekorowanego czerwienią, portretami i wykresami pokoju zarządu ZMP poszłam do Warsztatów Mechanicznych, do majstra Mozola i Lewickiego. Od nich można dowiedzieć się o tym, jak sprawują się młodzi ślusarze.

Chuligaństwo? Nie, wśród tych chłopców nie ma chuligaństwa.

Chcę się czegoś więcej o nich dowiedzieć.

Lewicki zerknął na szufladę biurka, przy którym siedzieliśmy w gabinecie obok ślusarni. Jakby z daleka, poprzez oszkloną ścianę przedostawał się tu zwykły w zakładach mechanicznych hałas i szum, zgrzytanie i chrypienie piłowanego żelaza. Od czasu do czasu błysk acetylenowej lampy mroził oczy chłodnym światłem. — No więc, wszy-

scy starzy robotnicy zobowiązali się pracować przez dwa tygodnie po 12 godzin. Tym młodocianym naturalnie nie wolno. I co powiecie! Poszli do Komitetu Miejskiego kłócić się o pozwolenie! A pani się pyta, czy chuligani. — Sapnął z oburzenia i machnął ręką. Potem wysunął szufladę i wyciągnął z niej kawałek chleba z masłem. — Pozwolicie — powiedział. — Nie jadłem dziś obiadu.

Odprowadzając mnie do wyjścia przez halę zatrzymał się przy jednej z obrabiarek. — To jest Zbyszek Koper — krzyknął mi wprost do ucha. — Pierwszorzędny chłopak. Robi duże postępy, choć pracuje tylko trzy dni w tygodniu. Chodzi do szkoły.

Zbyszek nie słyszał naszej rozmowy, zagłuszył ją szum maszyn. Zauważył jednak przechodzącego majstra i uśmiechnął się do Lewickiego serdecznie i rodzinnie. Potem zaraz znowu pochylił się nad maszyną, znowu rozczochrana czupryna zakryła przede mną jego twarz.

Wyszedłszy na ulicę Poliamidową spotkałam kierownika działu włókienniczego, Dobrowolskiego. Kto jak kto, ale ten człowiek wie dużo ciekawych rzeczy z życia tutejszej młodzieży. Pracował w Jeleniej Górze — przywiózł stamtąd dziesięć dyplomów racjonalizatorskich. Uczył w Szkole Przysposobienia Przemysłowego; przynajmniej połowa młodych włókniarek to jego dawne uczennice, które zna od lat i woła je po imieniu.

Opowiada ostatni „skandal": troje dziewcząt woziło się po sali na wózku do przędzy. No i uszkodziły rozciągarkę, urwały bęben. W ogóle szacunku mają za mało dla maszyn i dla odpadków. Ale i z tym jest coraz lepiej.

Organizacja ZMP przez blisko rok właściwie nie istniała na terenie fabryki; dopiero w lutym powstał zarząd. Szczegółowy wykres na ścianie pokoju zetempowców ukazał mi cały system podziału na poszczególne koła, grupy i funkcje. Teraz Związek Młodzieży Polskiej odgrywa już poważną rolę w życiu Zakładów. Kieruje nim również niedawno powstały Komitet Fabryczny Partii, którego sekretarz, Marian Nowak, dużo zainteresowania poświęca młodzieży.

Dużą rolę w unormowaniu się stosunków odegrało również terminowe i wreszcie przedterminowe wypełnianie planów produkcyjnych przez fabrykę, i jej widoczny, systematyczny rozwój. Wreszcie niemałe znaczenie miało też poznanie się wzajemne załogi. Nie jest to już jakiś bezosobowy tłum włókniarek — już wiadomo, kto jest kim i czego się po nim można spodziewać, chociaż i tu trafiają się niespodzianki. Niespodzianki napełniające optymizmem. Wiele dziewcząt awansuje; po blisko roku miały możność okazać swoje zdolności i sumienność w pracy.

Na olbrzymiej hali, na której stoją długie szeregi rozciągarek, skręcarek i cewiarek — na hali niezwykle eleganckiej, jeżeli można się tak wyrazić, w Słonecznej Hali — spotkałam dwóch najmłodszych majstrów Gorzowa.

Irena Zeushner ma osiemnaście lat, ale wygląda na znacznie więcej ze względu na powagę, z jaką przechodzi od maszyny do maszyny. Jej podłużna blada twarz ma w sobie jakiś staroświecki wdzięk. Jest poważna, trochę sztywna i bardzo wzorowa. Ta córka robotnika, który zginął w trzydziestym dziewiątym roku w obronie Warszawy, pozostawiając żonę z trojgiem małych dzieci, musiała mieć niełatwe dzieciństwo. Ale chociaż później nieraz jeszcze rozmawiałam z nią, nigdy nie mówiła o sobie ani o swoich trudnościach na tym odpowiedzialnym stanowisku. Drugi młody majster — Janka Waryło jest wesoła, impulsywna, nieśmiała i dziew-

częca. Co chwila czerwieni się i z niepokojem patrzy na powierzone swojej opiece maszyny — najwyraźniej jest w strachu, że coś się jej może nie udać.

— Ja dopiero drugi dzień jestem majstrem — mówi, kręcąc bezwiednie pasek kitla.

— To nic. Pomożemy ci — mówi z pewnością siebie Zeushnerówna i Janka od razu nabiera animuszu. — Musi.

Tak. Młodzież Gorzowskich Zakładów Włókienniczych dobrze wie, co zawdzięcza rewolucji. Wie nie tylko pokazowa Zeushnerówna, sekretarz fabrycznej organizacji ZMP i przewodnicząca jednego z kół, absolwentka kursu dla starszych laborantek, która kiedyś zdobędzie stopień technika. Wiedzą wszystkie. Toteż nic dziwnego, że jedna z młodziutkich robotnic, wesoła i lekkomyślna Zosia Gregorek zaczęła swój list do Prezydenta Bieruta od słów: „Kochany Opiekunie Młodzieży".

Poemat pedagogiczny i wielka chemia

Na Halę Słoneczną chodzę co dzień, bez specjalnego powodu; po prostu napatrzeć się, zapamiętać, jak może i jak powinno wyglądać wnętrze nowoczesnej fabryki, w której praca nie jest karą za grzech pierworodny, tylko nagrodą dla człowieka za jego inteligencję, wynalazczość i zdolność konstruowania rzeczy prostych i pięknych. Tego dnia moja wyprawa do małych włókniarek miała cel bardzo konkretny.

Przed dwoma tygodniami rozmawiałam z towarzyszem Franciszkiem Rosą, kierownikiem laboratorium włókienniczego, który jest organizatorem i głównym reżyserem tutejszego młodego zespołu teatru świetlicowego. Sprawy kultury i produkcji są ze sobą silniej związane, niż to się na pozór wydaje. Otóż towarzysz Rosa jest również tym człowiekiem w Gorzowskich Zakładach Włókien Sztucznych, który sprawdza i rejestruje już wykonane zobowiązania, przyjmuje nowe. Jest nieomylny jak prawdziwy reżyser i szybki jak zegarynka. Na każde pytanie odpowiada od razu, z miejsca, w procentach, w kilogramach czy w złotych: ma na każdy dzień obliczoną wartość ogólną wykonanych zobowiązań, zna na pamięć nazwiska gorliwych i opieszałych ofiarodawców swej pracy.

— Czy są jakieś wątpliwe zobowiązania? Czy nie może się zdarzyć, że ktoś „nawali"? — zapytałam niedyskretnie i prostacko.

— Anna Knapik — odpowiedział patrząc nieufnie na mój notes i ołówek, które zresztą leżały spokojnie na stole, nieruchome i niewinne, jakby służyły jedynie do dekoracji gabinetu kierownika laboratorium włókienniczego i do niczego więcej.

— Któż to taki?

— Cewiaczka. Jasna blondynka, lat osiemnaście, mieszka w Domu Młodego Robotnika, w mieście. W lutym wyrobiła tylko 104 procent normy, zobowiązała się dojechać do 118-tu. Wie pani, na cewiarce — to wcale nie jest łatwe.

— No i co będzie?

— Właśnie. Co będzie! Taka nieostrożność! Lekkomyślność! Lekkomyślność młodości — powiedział posępnie jak aktor w klasycznej tragedii, głosem głębokim i dźwięcznym i jak to się po teatralnemu mówi „na przeponie".

Ale w pierwszych dniach kwietnia zelektryzowała mnie wiadomość: Anna Knapik, cewiarka, wyrobiła w marcu 115 procent planu. Więc postanowiłam ją odwiedzić na Słonecznej Hali.

— Praca na cewiarce to ostatni etap produkcji — mówi Knapikówna. — Od nas wychodzi gotowa już przędza wprost do sortowni i do pakowni. Więc na nas odbijają się błędy i niedociągnięcia powstałe poprzednio. I na nas mszczą się najbardziej wszelkie przestoje. Dlatego

w lutym mi się nie powiodło. W marcu, przez jakiś czas udało mi się pracować na półtorej maszyny — zresztą, pomagamy sobie z koleżanką. Zorganizowałyśmy coś w rodzaju „dwójki" cewiarskiej. Ja i Gąsowska. Ta Gąsowska, co idzie na kurs przygotowawczy na uniwersytet. Mamy taką umowę: jak któraś z nas musi na chwilę odejść, po majstra, po ślusarza, albo umyć ręce na przykład — to druga przez ten czas uważa na obydwie maszyny. To daje w sumie dużą oszczędność czasu. Bo jak się odejdzie, to nieraz może coś się stać — nitki zrywają się, albo coś jeszcze gorszego i trzeba później to odrabiać, a robota stoi. Takeśmy się zgrały, że wystarczy na siebie mrugnąć... I wie pani, dzięki temu ja mam w marcu 115 a ona 116 procent... Chociaż ona nie podjęła takiego zobowiązania.

Hania Knapikówna rozmawia ze mną wpatrzona w skomplikowaną i dziwną klawiaturę cewiarki. Jest wysoka i zgrabna, dobrze zbudowana, przyszła studentka Gąsowska wygląda przy niej jak dziecko. Obydwie przyjaciółki są przodownicami pracy — otrzymały dyplomy ósmego marca. Obie pochodzą ze wsi, jak większość tutejszych włókniarek.

Teresę Gąsowską znam z rozmowy z kierowniczką Domu Młodego Robotnika, Adelą Pokorską.

— Ta dziewczynka jest najlepszym przykładem tego, jak wychowawczą rolę spełniają zobowiązania. Nie wyróżniała się dotąd niczym specjalnym. Nawet... nawet można powiedzieć, że w pracy należała do słabszych, chociaż nic konkretnego nie można jej było zarzucić. Dopiero późną jesienią, kiedy zaczęła się akcja zobowiązań październikowych, okazało się, że jest bardzo zdolna. I jeżeli chce — może być jedną z najlepszych cewiarek.

Szczupła, ruchliwa figurka małej Gąsowskiej ginie w zadługich granatowych spodniach, które sięgają jej prawie pod brodę. Szybko migają jej cienkie, dziecinne palce, jakby dawała nimi jakieś tajemnicze znaki, jakby z tą maszyną prowadziła dla nich tylko zrozumiałą rozmowę, a nie wykonywała prozaiczną czynność wiązania zerwanych nitek. — Każdy człowiek ma ambicję — mówi mi. — I jak się coś powie, to się musi zrobić.

Rozmawiamy teraz w Domu Młodego Robotnika, w pustym gabinecie kierowniczki. W otwartych drzwiach trzej chłopcy z brygady remontu maszyn dłubią w zamku, skrzypią i piszczą jakimiś pilnikami, marudzą. To zetempowiec Kaczmarek z kolegami z warsztatów mechanicznych; zobowiązali się dorobić w tym domu wszystkie brakujące klucze.

— Obiecaliśmy do osiemnastego zrobić klucze i po fajerancie dopasować je. A tymczasem prawie wszystkie zamki trzeba naprawiać. Tego nie było w zobowiązaniu — mówi. — Otwierałyście drutem czy co?

— No i nie zrobicie?

— Do pierwszego maja na pewno. Ale ładniej byłoby do osiemnastego, jak klucze. To by miały podarunek od Prezydenta. Bo my na urodziny...

Mała Gąsowska wybiera się na święta do domu, do Gąsówki w Białostocczyźnie. Jedzie nie tylko, żeby zobaczyć się z rodzicami i czworgiem rodzeństwa. Ma do załatwienia ważną sprawę. Organizacyjną. W styczniu pięćdziesiątego roku wstąpiła do gromadzkiego ZMP, została przyjęta, ale wyjechała, zanim jej wręczono legitymację. Później, pisała do zarządu koła. Nie przysłali, nie odpisali nawet.

— Więc rozumie pani — mówi zatroskana. — Tu się zapisać, na nowo? Z jakiej racji? Przecież mnie już przyjęli, już jestem członkiem od 50-tego roku! Już ja im powiem, co należy!

Teresa Gąsowska, uczennica SPP i

średnia robotnica nie zadbała o legitymację zetempowską. Nowa Gąsowska, przodownica pracy i przyszła studentka, nie może tej sprawy zostawić nie załatwionej.

Organizacja Związku Młodzieży Polskiej w Gorzowskich Zakładach Włókien Sztucznych jest już silna i sprawnie działająca. Obejmuje 14 kół, do których należy dwustu kilkudziesięciu chłopców i dziewcząt. Chuligaństwo w Gorzowie już właściwie nie istnieje. Kilku absolwentów SPP z „Ursusa" zostało przeniesionych do innych zakładów, kilku chłopców z „Włókna" — usuniętych. I wtedy okazało się, jak krzywdzące dla młodzieży było uogólnianie. Ta sama młodzież, jeżeli stworzyć jej odpowiednie warunki, doskonale pracuje zawodowo i społecznie. Ci sami chłopcy z tych samych warsztatów mechanicznych okazali się nie łobuzami, tylko „dobrymi dziećmi", jak o nich mówi majster Lewicki.

Jednym z powodów tego rozprzężenia było nikłe życie kulturalne w Gorzowie i brak dostatecznej ilości szkół zawodowych dla młodzieży pracującej, która chce i powinna dalej się kształcić. Młodzież ta nazywa się dumnie „absolwentami". Chłopcy z „Ursusa" i dziewczęta z „Włókna" są rzeczywiście absolwentami. Tylko że rocznej, a czasem ośmiomiesięcznej szkoły, w której zostali przyuczeni do wykonywania zawodu. Wiadomości ich nie przekraczają z reguły siódmego, w najlepszym wypadku ósmego oddziału szkoły podstawowej.

Większość włókniarek — to dzieci bezrolnych i małorolnych chłopów. Wiele z nich do Szkoły Przysposobienia Przemysłowego przyszło po skończeniu czterech oddziałów wiejskiej szkółki — uzyskane przez nie świadectwa siódmej i ósmej klasy pokrywają czasem wielką pustkę w głowinach, w których dudni młoda pewność siebie — cecha słodkiej nieświadomości. W tych warunkach otwarcie w Gorzowie technikum włókienniczego, pracującego na dwie zmiany, tak jak Słoneczna Hala, wydaje się palącą potrzebą. Tym bardziej, że większość dziewcząt chce się uczyć dalej.

Ta pewność siebie jest charakterystyczna nie tylko dla tak zwanych „absolwentów", lecz dla ogromnej większości młodzieży. Opowiadano mi o pewnym młodziutkim absolwencie liceum chemicznego, który nie chciał wykonywać powierzonych sobie analiz. W godzinach pracy i z materiałów fabrycznych robił z uporem maniaka jakieś doświadczenia na własną rękę. Chciał ni mniej ni więcej tylko znaleźć prostszy i tańszy niż dotychczas sposób fabrykacji jednego z podstawowych półproduktów, z których powstaje polan. Swoje poszukiwania utrzymywał w tajemnicy, i oczywiście nic z tego nie wyszło, bo wyjść nie mogło. Pomysł był naiwny — dawno stwierdzono już jego bezowocność. Wielka chemia zdradza swoje tajemnice, ale ludziom naprawdę uczonym, a nie pyszałkowatym nieukom. Ruch racjonalizatorski w Gorzowskich Zakładach Włókien Sztucznych jest bardzo rozwinięty i ujęty w ramy organizacyjne — każdy ewentualny wynalazca znajduje tu pomoc fachowców. Od czasu do czasu jednak i tutaj zdarzają się jeszcze niewcześni geniusze o mentalności z epoki lodowcowo-kapitalistycznej, którzy strzegą swoich „tajemnic" przed kolegami. Naraża to fabrykę na straty, a ich samych na śmieszność, podobną do tej, jaką okrywa się każdy nowy odkrywca Ameryki.

Silna organizacja zetempowska i opieka Partii — tego potrzeba pracującej młodzieży Gorzowa. Teraz czas upomnieć się o większą ilość szkół dla dorosłych, techników i szkół inżynieryjnych, stałego teatru i Domu Kultury.

Antoni Makarenko nauczył nas, że nawet z małych opryszków mogą wyro-

snąć uczciwi ludzie, przodownicy pracy i komuniści. Czegoż nie można by dokonać z tutejszymi chłopcami i dziewczętami, wśród których już teraz jest wielu przodowników, i którzy są dobrymi dziećmi, jak zgodnie twierdzą ich mistrzowie, Longin Lewicki i Feliks Dobrowolski?

Kiedy wracam do domu jest już ciemno. Na niebie, poprzez wilgotną mgłę z rzadka prześwitują gwiazdy. Jutro ta mgła osiądzie na krzakach i drzewach przydrożnych, seledynowa i lekka — już dziś powietrze pachnie zielenią. Gdzieś wysoko, nad kominem nowej elektrowni świecą znaki ostrzegawcze dla samolotów. Płomiennie jak wiosenny wieniec z pierwszych kwiatów — tulipanów i żonkili.

O życiu i niewyżyciu kulturalnym Gorzowa

Człowiekiem, który „z urzędu" prowadzi ewidencję już wypełnionych zobowiązań — jest Franciszek Rosa, organizator i główny reżyser tutejszego zespołu teatru świetlicowego. Połączenie tych dwóch, tak różnych funkcji, nie jest przypadkowe. Reżyser zespołu jest postacią bardzo popularną — znają go tu wszyscy i on zna wszystkich. Jego zespół występuje w gmachu teatru miejskiego i spełnia ważną rolę w nikłym życiu kulturalnym Gorzowa.

Zniszczony wewnątrz i brudny, ale wymagający tylko powierzchownego remontu budynek teatru jest niedostatecznie wyzyskany. Tylko od czasu do czasu, na sobotę i niedzielę Artos przywozi tu któryś z zawodowych zespołów. W marcu wystawiono tu Wesele Figara w bardzo słabej obsadzie. Ale widownia gorzowska jest młoda i pełna zapału, a tekst Beaumarchais'ego zwycięża wszystkie przeszkody.

Drugim przedstawieniem, które udało mi się zobaczyć w Gorzowie, była sztuka Leonida Rachmanowa pod tytułem Niespokojna starość, z którą przyjechał do Gorzowa Państwowy Teatr Polski z Poznania. Niespokojna starość jest utworem wyjątkowo aktualnym na terenie Gorzowa, w którym obserwuje się ścisłą współpracę intelektualistów i młodych robotników, zdobywających dopiero wiedzę fachową i ogólną.

Wzdłuż nowoczesnej i prostej, asfaltowej drogi w parku, wzdłuż ulicy Poliamidowej wznoszą się gmachy budynków, w których nowe maszyny produkują wspaniały i najtrwalszy ze wszystkich znanych na Zachodzie produktów kaprolaktamu — polan. Kiedy naczelny inżynier Gorzowskich Zakładów Włókien Sztucznych oprowadzał mnie po pawilonie, w którym króluje wielka chemia i gdzie powstaje niezbędny dla produkcji polanu kaprolaktam, mówił co chwila: „Te wszystkie maszyny myśmy zrobili sami". W tym prostym stwierdzeniu faktu było sporo słusznej dumy, takiej samej, z jaką powiedział mi tego dnia kierownik tychże warsztatów mechanicznych, Jankowski: „Przed kilku dniami znowu wyzwoliliśmy na czeladników trzech chłopców: jednego tokarza i dwóch ślusarzy".

Poprzez olbrzymie okna widać rozległy teren fabryczny; niewykoszony w zeszłym roku, ale już lekko zieleniejący trawnik poprzecinany asfaltowymi dróżkami. Trawnik, który ma szanse stać się kiedyś pięknym, bogatym ogrodem, bo załoga fabryki tak postanowiła; niektóre ulice obsadzone są już młodziutkimi drzewkami i krzewami. Niewielka jego część, nad którą patronat objęła straż pożarna jest uporządkowana i obsadzona jak japoński ogródek, a łączący się z nim sad, który niedługo zakwitnie, ma równo pobielone konary i skopaną ziemię.

Ale z okna gabinetu kierownika widać tylko wielki i dziko zarośnięty

chwastami plac budowy, na którym w kilku punktach mrowiły się drobne sylwetki ludzi — zwykły ruch i krzątanina wokół rozbudowujących się, dotychczas nieczynnych pawilonów. Z tamtej strony właśnie, ze swojego włókienniczego laboratorium wchodził szybkim krokiem na ulicę Poliamidową reżyser i aktor, Franciszek Rosa.

Jankowski nachmurzył się. — Już idzie, już idzie. A my jeszcze nie oddaliśmy tej rozciągarki do włókna ciętego.

Ale Rosa zagaja dyplomatycznie rozmowę o teatrze.

— Pierwszą sztuką, którą zespół wystawił, było Okno w lesie Rachmanowa i Rysa. Drugą Dwa tygodnie w raju Słotwińskiego i Skowrońskiego, następną będzie Skąpiec Moliera z Makowskim jako Harpagonem — mówi Rosa. Dwa tygodnie, to sztuka wesoła, doskonała jako odprężenie w obecnym, gorącym okresie zobowiązań i to zadecydowało przy jej wyborze. Wszyscy teraz pracują bardzo intensywnie — więc należy im się trochę rozrywki. Dobra, zabawna komedia — to najlepsze wytchnienie po pracy.

Wyszedłszy z biura Warsztatów Mechanicznych siadamy na stosie płyt, przygotowanych do układania chodnika. Obok równym rzędem stoją młodziutkie, jesienią posadzone drzewka o gałązkach wiotkich i giętkich. W podmuchach wiatru, który zerwał się około południa, poruszają się elastycznie. Nie mają jeszcze liści, zaledwie drobne, nierozwinięte pączki; widać już jednak, że się przyjęły, że żyją i że lada dzień zazielenią się ich regularne jeszcze i rzadkie korony. Rosa opowiada mi o swym zespole. Są w nim pracownicy umysłowi i fizyczni.

W Gorzowskich Zakładach Włókien Sztucznych różnica pomiędzy robotnikiem a inteligentem w wielu wypadkach już nie istnieje. Czy towarzysz Jan Jankowski, kierownik Warsztatów Mechanicznych, zanim zdał egzamin na technika, to znaczy do wczoraj, nie był inteligentem? Czyż nie są inteligentami ci wysoko wykwalifikowani robotnicy, z „Cellitu" i z „Wieżowca", z działów chemicznego, z kondensacji i polimeryzacji, racjonalizatorzy, którzy są w swoim zawodzie prawdziwymi specjalistami? Czy nie jest inteligentem zmianowy Michał Sozański, pracujący na polimeryzacji, który dokonał już kilkunastu usprawnień?

Bezsprzecznie najzdolniejszym człowiekiem w zespole, niewątpliwym talentem charakterystycznym jest grający Planickiego, referent gospodarczy Samodzielnego Oddziału Wykonawstwa Inwestycji — Józef Makowski. Jest to człowiek już niemłody, bliski sześćdziesiątki. Makowski tęsknił całe życie za teatrem i grywał dorywczo w zespołach amatorskich zarabiając na życie przeważnie jako drobny urzędniczek drżący o swoją posadę, stale zagrożony w okresach bezrobocia. Dziś poza pracą, którą lubi, ma możność rozwijania swych artystycznych zdolności. Nie jest już niepotrzebnym człowiekiem, a w dnie przedstawień staje się człowiekiem najważniejszym, autentycznym artystą.

Ludzie, którzy pierwszy raz spotykają się z takim zjawiskiem jak teatr, przychodzą najpierw z ciekawości, żeby zobaczyć na scenie swoich kolegów z zakładu pracy. Po pewnym czasie jednak — radość mała i naiwna, radość prywatnej plotki nie wystarcza. I oto organizuje się nowa publiczność. Publiczność robotnicza, która coraz głośniej dopomina się o powstanie w Gorzowie zawodowego teatru.

Gorzów, to miasto bardzo dziwne, pełne sprzeczności. Miasto nowoczesnych ulic i skwerów, gotyckich zabytków i szybko awansujących dziewcząt z SPP,

nowoczesnych, socjalistycznych zakładów przemysłowych i wielkiej gromady kleryków anachronicznych tu i prawie żałosnych. Walka klasowa i ideologiczna musi tu być ostra i zacięta. Po stronie postępu są nie tylko komuniści; są także wszyscy ci, których urzeka prawo rozwoju i wzrostu. Inteligent o najwyższych kwalifikacjach technicznych pracuje nad wynalazkiem — studiuje i śledzi najnowsze zdobycze wiedzy w swojej dziedzinie. Młody robotnik marzy o zdobyciu fachu. Kiedy już ma kwalifikacje zawodowe, dopomina się o technikum dla dorosłych, jeżeli już jest technikiem — woła gromkim głosem o szkołę inżynieryjną.

Kobiety ulicy Poliamidowej

Dwoje dziewcząt trzymając się za ręce idzie tuż przede mną ulicą Poliamidową.

— Na urlop pojadę do Szczecina — mówi wyższa. — Tam teraz pewnie kwitną magnolie.

— W Szczecinie są magnolie?

— Nie widziałaś? Pięć. Pięć drzew magnoliowych.

— Nigdy nie widziałam magnolii — mówi druga. — Podobno tu też są. Gdzieś na cmentarzu. U nas, w Rzeszowskim, wcale ich nie ma. Czy pachną?

— Nie. Nie pachną. A raczej tak. Bardzo delikatnie. I dziwnie. Czujesz? To zapach polimeru. Apteki, szpitala i naszej ulicy Poliamidowej. Poliamidowy zapach.

Siedemnasto i osiemnastoletnie włókniarki przybyły tu ze wszystkich stron kraju, ale nie ma wśród nich antagonizmów dzielnicowych, które pokutują jeszcze czasem w społeczeństwie starszych. Włókniarki pochodzą „z całej Polski", jak mi któraś oświadczyła rozsądnie.

Duży procent dostał się do Szkół Przysposobienia Przemysłowego już z Ziem Zachodnich, dokąd dziewczęta przybyły razem z rodzicami przed kilku laty. Ojczyzną ich jest więc cała Polska — a miastem rodzinnym coraz bardziej staje się Gorzów. Tu upływa ich najpiękniejsza młodość — samodzielna i pozbawiona troski o chleb powszedni, która widmem bezrobocia groziła pokoleniu ich rodziców. Tu w Gorzowie wychodzą za mąż, zakładają rodziny. Fabryka rozbudowuje się w coraz szybszym tempie i przedszkole tutejszych zakładów ma w swojej opiece już przeszło czterdzieścioro dzieci.

— Jeśli dyrekcja ma zamiar przyjąć do pracy jeszcze więcej kobiet, musimy otworzyć żłobek — powiedziała mi niedawno towarzyszka Janicka, zastępczyni przewodniczącej Rady Kobiecej i działaczka zajmująca się sprawami socjalnymi na terenie fabryki. Wiadomo, że dyrekcja musi zaangażować więcej włókniarek — nie na darmo w Słonecznej Hali stoją całe rzędy nieuruchomionych jeszcze, nowiutkich rozciągarek, nie na darmo za oszkloną ścianą monterzy pracują codziennie nad wyładowywaniem i ustawianiem nowych maszyn. Niedługo powstanie druga Słoneczna Hala, równie rozległa i jasna jak ta, która już jest.

Dziś na drugą zmianę do Hali Słonecznej przyszłam specjalnie, żeby odwiedzić moje dobre znajome: Knapikównę i Gąsowską. Ale przechodząc koło cewiarek nie zatrzymuję się nawet — nie chcę im przeszkadzać.

Odkąd zorganizowały swoją „dwójkę" cewiarską, dziewczęta pracują z jeszcze większą zaciętością, z jeszcze większą uwagą. Nagle — cóż to się stało? Awaria? Nie, ale jedna z cewek Gąsowskiej obraca się wolniej od innych, jakoś leniwie i nierówno. Wymiana spojrzeń — i już mała, szczupła Tereska Gąsowska odchodzi od swojej maszyny. Biegnie do dyżurnego mechanika. Zabawnie migają

jej stopy spod zadużych, szerokich spodni z szelkami, w których wygląda jak mały chłopiec. Wysoka, poważna, a może tylko nieśmiała Knapikówna wychodzi na szeroki korytarz między maszynami i staje w miejscu, z którego może obserwować równocześnie pracę obydwu cewiarek. Wszystko w porządku. Ciemnieją szerokie szpule, coraz mniej na nich przędzy. Ten stalowy odcień szpul i pęczniejące śnieżno-białe cewki świadczą o tym, że czas posuwa się naprzód. Już nie patrząc na zegarek wiesz, że niedługo będzie zmiania.

— Słyszeliście, co mówiła Zeushnerówna na ostatnim zebraniu partyjnym? — mówi Knapikówna.

— Tak. Naturalnie. Wtedy, kiedy powstał Komitet Fabryczny? Powtarzali mi już. Dobrze mówiła, co?

— No — mówi Knapikówna. To krakowskie „no" wyraża więcej niż całe zdanie, więcej niż aprobatę. Knapikówna niewiele mówi — woli przysłuchiwać się rozmowom, niż brać w nich udział.

O wystąpieniu Zeushnerówny na zebraniu partyjnym słyszałam już od wielu osób. Miało to być bardzo wzruszające przemówienie, i o Szkołach Przysposobienia Przemysłowego, i o ich wychowankach, dzieciach bezrolnych i małorolnych chłopów, które dawniej były skazane na ciemnotę i wyzysk, a dziś mają wszelkie możliwości rozwoju intelektualnego i społecznego awansu.

Zeushnerówna, mimo osiemnastu lat jest już kandydatem na członka Partii; działa jednak przede wszystkim w Związku Młodzieży Polskiej, który teraz, po reorganizacji, nabiera coraz większego znaczenia na terenie fabryki.

Kiedy rozmawiam z nią, mam wrażenie, że to dojrzała kobieta, a nie młodziutka dziewczyna. Potrafi wzbudzić szacunek i utrzymać w dystansie koleżanki, które są z niej dumne. Przechodzi właśnie obok mnie w dość długim kitlu, który obnosi z godnością jako oznakę majsterskiej władzy.

O cztery lata starsza Henryka Kwiatuszewska, technik-chemik na dziale kondensacji, ma równie odpowiedzialną pracę, choć zupełnie inną niż praca Zeushnerówny — ale jest w niej dziecinna jeszcze wesołość i roztrzepanie. W rozmowie przeskakuje z tematu na temat, mówi o braku chemicznej szkoły inżynieryjnej, która powinna być w Gorzowie a jeszcze jej nie ma, to znów ze śmiechem opowiada wypadek z bezwodnikiem kwasu propionowego, którym wypaliła sobie kiedyś całą plejadę drobnych dziurek w nowiutkiej parze pończoch.

Technik Kwiatuszewska jest tak jak większość włókniarek córką małorolnego chłopa. Ciężkie dzieciństwo zbywa paru zdaniami. Straciła ojca i brata, którzy zmarli na tyfus — w domu była bieda. Niechętnie mówi o przeszłości: cała jest radością i młodością. Chce się uczyć, chce mieszkać razem z mężem, który studiuje jeszcze w jakiejś warszawskiej szkole, chce, żeby w Gorzowie była czytelnia Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy i dobry, stały teatr.

Razem z drugą zmianą wychodzę z fabryki. Mijają mnie gromadą miłe, znajome dziewczęta, ubrane już przeważnie w sukienki. Teresa Stecówna — przodownica pracy, wzorowa i wdzięczna Zosia Jasiowicz, Ela Zaleska z internatowego samorządu, Helena Rudzka, ta co tak ładnie śpiewa, i wesoła, czarna zmianowa na rozciągarkach, Zosia Gregorek, autorka wzruszającego listu do Prezydenta.

Na drodze do miasteczka mijają nas światła rowerów, na których wracają robotnicy drugiej zmiany. Powietrze pachnie świeżą trawą — daleko za nami zostały wonie wielkiej chemii i polimeru. Tam, gdzie kończą się gazony

łąki socjalistycznego kombinatu, gdzie na horyzoncie asfalt ulicy Poliamidowej staje się dopływem nieba, na które wsunął się niepostrzeżenie księżyc podługowaty i obły, jak pąk magnolii.

Radosne warty

Po tygodniowej nieobecności zastałam Gorzów w pełnym rozkwicie wiosny. W parku i na skwerach już na serio zazieleniły się trawniki. Drzewa zachowały jeszcze delikatny rysunek najdrobniejszych nawet gałązek, ale lekka, seledynowa lub żółtawa mgiełka coraz bardziej zaciera ich graficzne kształty. Na tle pogodnego nieba żółte bicze wyglądają jak prawdziwy złoty deszcz. Ale kiedy tylko minęłam bramę fabryki, przestałam interesować się wszelkimi poprawkami, jakie kwiecień wprowadził do tutejszego pejzażu. Inne, o wiele ważniejsze zmiany czekały na swojego kronikarza.

Przed gmachem administracji prawie biegiem minął mnie śpieszący się na jakąś odprawę Ludwik Kuran, kierownik oddziału cewiarek na Słonecznej Hali. Wita mnie nowiną.

— Jedna z dziewcząt zrobiła u nas sto czterdzieści trzy procent dziennej normy! Sto czterdzieści trzy!

— Która? Jak się nazywa?! — wołam biegnąc za nim.

— Knapikówna! Anna Knapikówna! — odkrzyknął głośniej, bo mimo moich dobrych chęci i zaprawy lekkoatletycznej w młodości, odległość między nami stale się powiększała.

A więc tak się sprawy mają. Hania Knapikówna jest już bliska zwycięstwa — swoich stu osiemnastu procent miesięcznego planu; nawet, gdyby zdarzyły się takie niedobre dni jak wczorajszy, kiedy nadszedł jakiś gorszy gatunek przędzy i nitki zrywały się wszystkim włókniarkom, na wszystkich maszynach.

Z zalanej słońcem ulicy Poliamidowej wchodzę wprost na Słoneczną Halę i tu natychmiast ogarnął mnie panujący w fabryce nastrój radosnego święta.

Był to dzień osiemnastego kwietnia. Na Hali Słonecznej przybyło mobilizujących transparentów i napisów, dziewczęta pierwszej zmiany, ubrane jak co dzień do pracy w granatowe spodnie z szelkami i kolorowe czapeczki, ruszały się jakoś dostojnie i odświętnie. Czasem tylko jaskrawa wstążka zawiązana zamiast krawata czy koraliki na szyi podkreślały uroczystość dnia. Odświętny nastrój potęgowała jeszcze zapowiedź, że popołudniu odbędzie się wyprawa do Kostrzynia nad Odrą, gdzie miało się odbyć spotkanie z młodzieżą Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Dziewczęta pracują dziś zapamiętale Włókniarstwo wymaga wysiłku nie tyle fizycznego, co ciągle napiętej uwagi — z rzadka zdarza się chwilka, kiedy można wyjść z wąskiego przejścia pomiędzy dwiema maszynami i zamienić parę słów z czyhającą na tę okazję reporterką.

Stoją na straży zawieszone na maszynach czerwone chorągiewki z napisem: „Warta ku czci Towarzysza Bieruta". Obchodzę wszystkie po kolei cewiarki, skręcarki i rozciągarki; nie ma ani jednej nie udekorowanej.

Ze Słonecznej Hali przechodzę do odbieralek. Stara pracuje równo, bez przerw, jak zegarek. Z filier spływają na skomplikowany system kółek i bębenków przezroczyste, srebrne, najtrwalsze ze wszystkich na świecie polanowe nitki. Tańczą w nowych wodzikach inżyniera Kordysa i nawijają się na grube szpule błyszczące i białe jak jarzeniowe lampy, jak świecące zapożyczonym blaskiem posłuszne i grube księżyce.

Druga odbieralka, która miała być zmontowana na dzień dzisiejszy, już od

dawna jest gotowa. Tylko na wyższych piętrach monterzy wykończają resztę niezbędnych połączeń. Robotnicy korzystają z paru godzin, które mają jeszcze przed sobą, coś jeszcze dokręcają, sprawdzają działanie poszczególnych segmentów. Do produkcji według planu ma być włączona dopiero pierwszego czerwca. Do tej chwili będzie się „docierać", nabierać rozpędu, wdrażać do posłuszeństwa.

Na piętrze wre gorączkowa praca. Jest upalne południe. Monterzy zrzucili marynarki, koszule przyklejają się im do pleców. Co chwila ktoś ociera chustką zmęczoną twarz; ruchy są zwolnione jak zawsze po wielogodzinnej pracy. Z inspektorem nadzoru, Stanisławem Lewickim, przechodzimy w trójkę na halę obrabiarek. I tu także jak w Słonecznej Hali i na odbieralkach czerwienią się chorągiewki wart pokoju zaciągniętych w Gorzowie już jedenastego.

Kierownik warsztatów Jankowski i starszy majster Mozol pokazują mi nowiuteńkie, wykończone przed terminem maszyny do obróbki włókna ciętego.

Oglądając je myślę, ile w całej Polsce, we wszystkich naszych fabrykach stoi dziś udekorowanych, gotowych do produkcji maszyn, podarunków urodzinowych dla Prezydenta, i jak bardzo przyczynią się one do przyśpieszenia Planu Sześcioletniego. Warty na Hali Słonecznej mają za cel poprawę jakości, ale jak tu osiągnąć doskonałość, kiedy jest się tak bardzo zależnym od jakości przędzy dostarczonej z odbieralek? A z samą odbieralką ile było zmartwień! Teraz znowu: starszy majster Mozol podjął z grupą kolegów nowe zobowiązanie, żeby przerobić, unowocześnić jedną z maszyn; potrzebuje do tego między innymi łożysk kulkowych. Co będzie, jeżeli na czas nie przyjdą?

Popołudniu przed Komitetem Miejskim ustawił się długi rząd aut i ciężarówek. Wszystkimi ulicami maszerowała młodzież wydelegowana do Kostrzynia. Było ostre słońce — wesoło powiewały polskie chorągwie i czerwone szturmówki Związku Młodzieży Polskiej. W oliwkowych koszulkach i czerwonych krawatach, w spódniczkach i spodniach świeżo wyprasowanych wyglądali elegancko i odświętnie. Po drodze mijaliśmy z rozmysłem wszystkie napotkane wozy. — Niech wiedzą, że jedzie ZMP z „Włókna" — Powiedział ktoś. — Własnym autem, z własnym szoferem i własnym sprawozdawcą — dopowiedział drugi.

Mijaliśmy więc w szybkiej jeździe napotykane samochody. Młodzież śpiewała. Wysoko, czerwoną ścianą łopotały na błękitnym tle nieba zetempowskie szturmówki.

Zanim wyczerpał się repertuar pieśni masowych i ludowych piosenek znanych wszystkim chłopcom i dziewczętom, przybyliśmy do Kostrzynia.

Nad Odrą były tłumy młodzieży — i nie tylko młodzieży, bo chociażby z samych zakładów włókna sztucznego przyjechał cały autobus pracowników biura i robotników. Co chwila odzywała się harmonia. To któryś z członków orkiestr nie wytrzymywał i zaczynał grać.

Zanim zapadł zmierzch, na brzegu rzeki odbywał się wesoły festyn, powaga panowała tylko przy moście. Tam, gdzie stoi wysoki obelisk wzniesiony ku czci poległych nad Odrą żołnierzy radzieckich. — Którzy — jak sylabizowaliśmy głośno napis — polegli w walce z niemieckim faszyzmem o wolność i niepodległość Związku Radzieckiego i demokratycznej Polski. — Tam też u stóp obeliska znalazły się za chwilę gorzowskie szturmówki.

Słońce zachodząc różowiło bladą, srebrną Odrę. Na małym cmentarzu żoł-

nierzy radzieckich jasno zieleniła się wiosenna trawa. Nawet niziutkie, niewiele lat liczące tuje były jasne wbrew swojej cmentarnej naturze. — Osiemnaście lat! Taki młody! Tuż u wrót Berlina. — powiedziała cicho stojąca obok mnie młoda kobieta. Ustały naokoło rozmowy. Ludzie odwrócili się w kierunku tabliczki z rosyjskim napisem. Milczeli. Z pobliskich ruin zarośniętych krzakami dzikiego bzu odezwał się ptak. Głośno łopotały szturmówki.

Wzdłuż brzegu rzeki chłopcy zabawiali się rzucaniem kamieni do wody. I na Odrze znać było wiosnę. Część rzeki nad brzegiem, na którym staliśmy, zarośnięta była szarą jeszcze trzciną i szuwarami — ale jasną zielenią świeciły kępy wiklin. Woda była różowa od słońca, błękitnie przeświecająca niebem, seledynowa tam, gdzie odbijały się w niej jak w lustrze szerokie plamy krzaków. Było cicho, wszyscy wypatrywali mających zjawić się na tamtym brzegu chłopców z Freie Deutsche Jugend. Tylko od czasu do czasu z pluskiem rzuciła się ryba, znowu odezwała się harmonia niecierpliwego muzyka, głośniej zabrzmiał czyjś beztroski, młody śmiech.

Tamci przybyli dopiero o zmierzchu. Niebo już ciemniało. Tylko ich koszule były jaskrawe i błękitne. Zapalili ogromne ognisko, żebyśmy mogli dobrze widzieć znaki, które nam posyłali i chorągwie. Niemieckie i polskie. I czerwone, bardzo dużo czerwonych szturmówek. Dwa brzegi rzeki rozśpiewały się. Niemieckimi i polskimi pieśniami. A potem oni wołali tak głośno, żeby przekrzyczeć dzielącą nas przestrzeń szerokiej tu Odry. Wołali po niemiecku „Freundschafft", „Frieden" i wołali po polsku „Pokój" i „Bierut", żeby wszyscy wiedzieli, że oni także przyszli tu na urodziny i że tu zaciągają wartę pokoju.

Blask ich ogniska przecinał ostrą, jasną smugą Odrę, łączył obydwa brzegi lepiej i trwalej niż dwa stojące w cieniu odbudowane już mosty.

Wracaliśmy późnym wieczorem. Szofer rwał jak szatan — wiatr przenikał nas do szpiku kości. Większość młodzieży była w samych koszulkach zetempowskich; palto, oprócz mnie, miała tylko kierowniczka Domu Młodego Robotnika. Zrozumiała przezorność! Jest przecież wśród zetempowców najstarsza — ma aż dwadzieścia jeden lat!

Moją niewczesną propozycję nakrycia ciężarówki plandeką wszyscy pominęli pobłażliwym milczeniem.

Było strasznie zimno i strasznie wesoło. Śpiewaliśmy.

Helena Wielowieyska

ANANIASZ ZAJĄCZKOWSKI

Awicenna i jego twórczość

Tysiączna rocznica urodzin Awicenny, zgodnie z uchwałą Światowej Rady Pokoju obchodzona przez cały świat cywilizowany, przypomniała narodom postać wielkiego uczonego, lekarza i filozofa, myśliciela i encyklopedysty sprzed tysiąca lat. Związany pochodzeniem i językiem ze środowiskiem orientalnym, z jednym z najodleglejszych obszarów średniowiecznego Wschodu Muzułmańskiego — z Azją Środkową i wschodnimi połaciami Iranu, Awicenna dostarcza szczególnie ważnych materiałów dla orientalisty, badacza języka i piśmiennictwa Bliskiego i Środkowego Wschodu.

Imię Awicenny, czy to w tej zlatynizowanej formie (łac. Avicenna, franc. Avicenne), czy jeszcze częściej w oryginalnej postaci Ibn Sina — w ciągu stuleci szeroko rozbrzmiewało od dalekiej Buchary, ojczyzny Awicenny, do Tangeru nad Atlantykiem, od maurytańskiej Andaluzji do Jemenu czyli Arabii Szczęśliwej i do Indii. Już w niespełna sto lat po zgonie Awicenny, imię to dotarło też na Zachód, do średniowiecznej Europy chrześcijańskiej, a zyskawszy sobie uznanie, potrafiło przełamać najsilniejsze uprzedzenia ówczesnego świata i dotrzeć do szkół medycznych i akademii, ba! wkroczyć nawet do kościołów chrześcijańskich, gdzie na witrażach średniowiecznych i dziś jeszcze można oglądać wizerunek Awicenny, przedstawiony na podobieństwo mnichów chrześcijańskich.

Tak więc dorobek Awicenny, cała jego twórczość i prace były dostępne przez długie wieki dla wszystkich narodów, bez różnicy rasy, wyznania czy języka.

Renesans orientalny

Zrozumieć postać Awicenny najłatwiej będzie, gdy się ją umieści w czasie i przestrzeni, na tle epoki tzw. renesansu orientalnego. Wspólną cechą renesansu europejskiego i orientalnego było odrodzenie nauki greckiej. Oczywiście nie zachodzi tu całkowita analogia. W najprostszym skrócie można by te różnice sformułować w ten sposób, że w Europie Odrodzenie przychodzi po upadku kultury, po okresie wczesnego średniowiecza, tymczasem renesans orientalny, przypadający na IV wiek ery muzułmańskiej, czyli X stulecie n.e., bynajmniej nie był poprzedzony jakąś klęską czy upadkiem. Przeciwnie, upadek w dziejach Orientu nastąpił w kilka stuleci później, zwłaszcza w okresie najazdu mongolskiego na Azję Przednią w drugiej połowie XIII w.

Już w IX wieku, z inicjatywy światłego kalifa — al-Mamuna, z pochodzenia częściowo Irańczyka (matką jego była bowiem niewolnica sogdyjska, Maradżil), w Bagdadzie założono jakby pierwszą na świecie Akademię Arabską *Bait al-Hikma* czyli „Dom Mądrości", w którym całe zespoły tłumaczy rozpoczęły ożywioną działalność nad gromadzeniem i przekładaniem dzieł starożytnych pisarzy i uczonych. Nauki starożytnych, *ulum al-awail* albo *al-ulum al-kadima*, jak nazywają je źródła arabskie, stały się podwaliną renesansu Wschodu Muzułmańskiego.

Z tego stanu rzeczy zdawały sobie dobrze sprawę najtęższe umysły świata orientalnego. Znakomity polihistor i kosmograf, al-Dżahiz (IX w.), słusznie nazwany „Voltaire'em" i wolnomyślicielem Islamu średniowiecznego (A. Mez, *Die Renaissance des Islams*, Heidelberg, 1922, str. 195, zalicza go do: *„freie Geister der wertvollsten Art"*),

tak określa rolę kultury antycznej w rozwoju nauk w świecie orientalnym:

„Gdybyśmy nie byli posiedli ksiąg starożytnych narodów, w których jest zachowana na wieki cudowna ich mądrość, w których tysiączne lekcje historii ukazują nam przeszłość jak żywą; gdybyśmy nie byli mieli dostępu do niewysłowionych bogactw ich doświadczenia, nasz udział w ludzkiej cywilizacji byłby bez porównania mniejszy, nasze sposoby zdobywania prawdziwych wyobrażeń o świecie byłyby słabe i ograniczone". (Wł. Natanson, Prądy umysłowe w dawnym Islamie, 1937, str. 21).

Tłumaczono zresztą nie z oryginału greckiego, lecz głównie z języka starosyryjskiego. Słusznie tedy niektórzy badacze podnoszą znaczenie tzw. „hellenizmu syryjskiego" w dziejach nauki kręgu kulturowego Islamu. W pracy tej brali udział zarówno Syryjczycy jak Grecy, Koptowie, Irańczycy, Arabowie, Żydzi i wielu przedstawicieli różnych narodów. Przekładano dzieła medyczne, filozoficzne, matematyczne. W ten sposób przyswojono językowi arabskiemu, a dzięki temu przekazano nieraz również Europie średniowiecznej takich autorów jak Hipokrates, Galen, Dioskorid, Archimedes, Ptolemeusz i Euklides, lecz przede wszystkim i głównie tłumaczono liczne dzieła Arystotelesa, tego powszechnie uznanego Mistrza, „Pierwszego Nauczyciela", *al-Muallim al-awwal*, jak nazywają go źródła arabskie.

Trzeba dodać, że tłumaczono nie tylko pisarzy starożytności greckiej. Z zapomnienia wydobyto szczątki piśmiennictwa staroirańskiego, w języku pehlevi, sięgano do mądrości Hindusów — i tak powstał ów synkretyzm orientalny kręgu kulturowego Islamu, o którym nowoczesna islamistyka wydała taki sąd (I. Goldziher, *Vorlesungen über den Islam*): „Zespolono astronomię orientalną z nauką Ptolemeusza, zestawiono medycynę irańską z lecznictwem greckim, połączono arytmetykę hinduską z geometrią Euklidesa".

Na tym właśnie żyznym podglebiu synkretyzmu orientalnego bujnie krzewiła się kultura renesansu Wschodu.

Ojczyzna Awicenny — Buchara

Nie przypadkiem, nawet w poważnych opracowaniach i podręcznikach historii filozofii, powtarza się błąd dotyczący miejsca działalności Awicenny: miał on rzekomo nauczać w Bagdadzie. Tkwi tu niewątpliwie wpływ ogólnie przyjętego poglądu, jakoby centrum kulturalne tzw. „kalifatu" arabskiego istniało jedynie w Bagdadzie. Tymczasem w okresie renesansu, zwłaszcza pod koniec pierwszego tysiąclecia naszej ery, Bagdad nie odgrywa większej roli w dziejach Wschodu Muzułmańskiego. Kalifat chyli się ku upadkowi, a na gruzach wielkiego obszaru, ciągnącego się od Fergany na Wschodzie do Tangeru na Zachodzie, powstają osobne państewka rządzone przez lokalne dynastie. Opierają się one na miejscowej ludności, na elementach etnicznych obcych językowo Arabom, i w ten sposób tworzą jakby zalążki ruchów narodowych w średniowieczu na Wschodzie.

Niewątpliwie najpotężniejszą organizację państwową zakładają Samanidzi. Państwo Samanidów obejmowało głównie Chorasan czyli wschodni Iran, oraz Mawarannahr czyli Transoksanię (Zarzecze, za Amu-Darią) ze stolicą w Bucharze. Za Samanidów dochodzi do głosu żywioł irański, przy czym głos ten rozbrzmiewa po raz pierwszy od chwili podboju Iranu przez Arabów, w języku narodowo-irańskim. Tu właśnie w Bucharze, ojczyźnie Awicenny, nale-

ży szukać początków poezji w języku irańskim, który dzisiejsza nauka nazywa językiem starotadżyckim lub dari.

Prace orientalistów radzieckich nad periodyzacją historii Azji Środkowej wyznaczyły wyraźne miejsce dla Buchary okresu Samanidów. Słusznie zwracając uwagę na duży rozwój ekonomiczny Buchary, wysuwa się wniosek, że stolica Państwa Samanidów w X stuleciu stanowiła najbardziej przodujący rejon Bliskiego Wschodu, w każdym razie pod względem ekonomicznym, politycznym i kulturalnym była bardziej postępowa aniżeli prowincje Iranu. Rozpatrując strukturę państwa dynastii starotadżyckiej, Samanidów, historyk radziecki Aleksander Jakubowski określa je jako państwo centralistyczne o społeczeństwie z silnie rozwiniętym systemem niewolnictwa, stojące dopiero u progu właściwego feudalizmu orientalnego.

Za Samanidów tedy Buchara przeżywa okres rozkwitu ekonomicznego i pracy pokojowej. Przypomnijmy fakt, rzadki w dziejach średniowiecznego Wschodu, że Samanidzi nie prowadzą prawie wcale wojen czy wypraw łupieskich. Sprzyja to rozwojowi nauk przyrodniczych oraz zaznacza się także w stosunkowej wolności w badaniach filozoficznych. „Takie postacie, jak Farabi i Awicenna byłyby niemożliwe w środowisku ortodoksyjnej ciemnoty muzułmańskiej końca XI i XII wieku" stwierdza cytowany autor (*Kratkije Soobszczenija Inst. Mater. Kultury* — XXVIII, 1949, str. 39).

U wielu autorów arabskich znajdujemy określenie roli Buchary, która według słów jednego z kosmografów (Kazwini) „nie zaprzestała być zebraniem uczonych, skarbnicą pisarzy, źródłem wiedzy teoretycznej". Współczesny Awicennie historyk ath-Thaalibi w X wieku pisał, że „Buchara była przybytkiem chwały, Kabą potęgi, zgromadzeniem znakomitości". Jedno z czołowych miejsc w tym zgromadzeniu zajął Awicenna.

Życie Awicenny

Życie Awicenny jest znane dość dobrze, choć w krótkim zarysie, a to dzięki istnieniu niejako autobiografii, zapisanej przez ulubionego i oddanego mu ucznia. Właściwie wszystkie życiorysy Awicenny, mniej lub więcej poprawne, pochodzą z tego jedynego źródła. Tekst życiorysu z oryginału arabskiego był wielokrotnie opracowywany przez orientalistów i historyków medycyny.

Życiorys ten, na podstawie opisu al-Dżuzadżaniego (przekazał między innymi al-Kifti w dziele o filozofach pt. *Kitab ahbar al-ulama bi ahbar al-hukama*), przetłumaczył na łacinę już w średniowieczu Niccolo Massa, który zresztą podał nazwisko autora biografii w formie zniekształconej — Sorsanus (zamiast Dżordżanus, błędna forma, odczytywana dawniej zamiast Dżuzadżani). Biografię tę dołączono do łacińskiego przekładu K a n o n u przez Gerarda z Cremony (wydania: Wenecja 1562 i następne).

Ostatnio biografię Awicenny przetłumaczył na język niemiecki i wydał wraz ze wstępem i przypisami Paul Kraus, *Eine arabische Biographie Avicennas, Klinische Wochenschrift*, 1932, str. 1180.

Oto w kilku rysach żywot Awicenny, w świetle tego niewątpliwie autentycznego dokumentu. Awicenna urodził się w miejscowości Afszana, koło Buchary (dzisiejsza Uzbecka SRR), w r. 980 (370 ery muzułmańskiej), jako syn Irańczyka, pozostającego w służbie Samanidów, rodem z miasta Balch (dzisiejszy Afganistan). Edukację otrzymał w Bucharze, gdzie zgodnie z ówczesnym zwyczajem studiował naukę Koranu, literaturę arabską, geometrię, prawo, te-

orię muzyki i filozofię, a przede wszystkim logikę. Wkrótce prześcignął swych mistrzów i posiadł całą ówczesną wiedzę. Zaczął pracować samodzielnie i to głównie w dziedzinie fizyki, matematyki, a przede wszystkim medycyny. W wieku lat 16 zasłynął już jako znany lekarz.

Szczęściem to było dla ludzkości, że gdy nad Bucharą zawisła katastrofa — upadek Państwa Samanidzkiego (r. 999), który się zbiegł prawie dokładnie z osobistą stratą Awicenny, śmiercią jego ojca, Awicenna mimo swego młodzieńczego wieku był dojrzałym samodzielnym umysłem, reprezentował już wówczas ukształtowany typ filozofa, przyrodnika i medyka.

U progu nowego tysiąclecia naszej ery czekało na Awicennę tułacze życie. A nad jego dalszymi losami zawisł ponury cień orientalnego feudała, sułtana Mahmuda z Gazny. Ten przywódca łupieskich wypraw do Indii, fanatyk ortodoksyjnego Islamu, przymusowo ściągał uczonych bucharskich i chorezmijskich do swej nowej stolicy Gazny (dzisiejszy Afganistan). W r. 1001 Awicenna przenosi się do Chorezmu, do miasta Gurgandż (Urgencz), gdzie ówczesny szach Chorezmu, Ali Ibn Mamun, występuje jako protektor nauk i gromadzi wokół „Domów Nauk" czyli akademii takich koryfeuszy jak astronom Biruni, filozof i matematyk Abu Sahl Masihi i inni.

Niedługo jednak może spokojnie pracować Awicenna. Na dwór szacha Chorezmu przybywa specjalny wysłannik sułtana Mahmuda z Gazny z żądaniem wydania uczonych, zgromadzonych w Chorezmie. Przychylny Awicennie władca zawiadamia o tym grono uczonych i daje im krótki czas do namysłu, zanim będzie musiał przyjąć na posłuchaniu gońca Mahmudowego. Dramatyczny opis tych wydarzeń, przekazany przez historiografa perskiego, czyta się miejscami jak powieść, z najwyższym wzruszeniem. Po chwili wahań, Biruni zgadza się na wyjazd do Gazny. Ale Awicenna stanowczo odmawia. Woli niebezpieczeństwa drogi przez pustynię i ucieczkę niż upokorzającą rolę na dworze despoty. Nie zdziwi to nas, gdy przypomnimy znaną maksymę Mahmuda: „Jeśli chcesz ze mną zaznać szczęścia, nie mów tak, jak ci nakazuje twoja nauka, lecz mów według mojego życzenia!"

Rozgniewany Mahmud, na wieść o ucieczce Awicenny, którego najbardziej pragnął mieć na swym dworze, kazał sporządzić miniaturę z podobizną zbiegłego uczonego i w 40 kopiach rozesłać w różne strony Iranu, by pochwycić zbiega... Awicenna więc porzuca na zawsze rodzinne ziemie nad Amu-Darią i oddala się coraz bardziej od siedziby Mahmudowej, kierując się do zachodniego Iranu. Pracuje w miastach Dżordżan, Rej, w Ispahanie i Hamadanie, zależny jest od dynastii Bujidów, z kolei od innej dynastii Kakojidów, sprawuje nawet przez pewien czas obowiązki wezyra, czyli głównego ministra miejscowej dynastii w Hamadanie. Przecież lokalni władcy chętnie się chełpili, że u ich boku pracuje słynny filozof i uczony Awicenna, i porównywali siebie do przykładu Aleksandra Wielkiego, który korzystał z rad i doświadczeń „Mistrza Wiedzących" Arystotelesa Stagiryty.

Ci sami władcy nie oszczędzili wprawdzie Awicennie goryczy murów więziennych, a często zabierali ze sobą na liczne wyprawy i ekspedycje karne przeciw zbuntowanym grodom. W czasie jednej z takich przymusowych podróży, znękany Awicenna ciężko się rozchorował, i po przybyciu do Hamadanu zmarł tu w wieku lat 57, w r. 1037 n.e. (r. 428 ery muzułmańskiej).

Na miejscu dawnego grobowca jego w Hamadanie, naród Iranu w tysiąclecie urodzin Awicenny wznosi mu dziś piękne mauzoleum, wzorowane na zabytkach dawnego budownictwa irańskiego.

Puścizna naukowa Awicenny

Na tle tego niespokojnego, nawet burzliwego życia Awicenny najbardziej zdumiewa nas wyjątkowa płodność pisarska. Awicenna jest autorem 160 prac, z których kilka — wielotomowych. Z prac tych tylko 17 zawiera treść medyczną, inne dotyczą najszerszych dziedzin wiedzy. Bogaty dorobek Awicenny można by podzielić na takie gałęzie nauki:

Logika, psychologia, fizyka, meteorologia, mineralogia, geologia, astronomia, matematyka, metafizyka, etyka, teoria muzyki, językoznawstwo, medycyna (a więc różne jej działy: anatomia, fizjologia, patologia, chirurgia, oftalmologia, farmakologia, toksykologia, hydroterapia, higiena itd.).

W niesprzyjających warunkach życiowych tak wiele zdziałać mógł Awicenna dzięki swym wyjątkowym zdolnościom, dzięki wytrwałej, niezmordowanej pracy i systematyczności. Ze źródeł orientalnych wiemy, że dzień swój spędzał nader pracowicie. Właściwie mózg jego pracował nawet podczas snu. Sam wspomina, że rozwiązania najtrudniejszych problemów przychodziły mu z łatwością nad ranem, po majaczeniach sennych. A oto jak ulubiony uczeń Awicenny opisuje dzień pracy swego mistrza: Wstawał przed świtem, by jeszcze przed nastaniem poranku napisać kilka stron encyklopedii filozoficznej Księgi uzdrowienia. Wczesnym rankiem zjawiała się spora gromadka uczniów. W południe schodzili się liczni chorzy i interesanci, czekający na poradę czy pomoc znakomitego lekarza lub wsparcie ze strony światłego męża stanu. Źródła orientalne podają, że liczba petentów wynosiła dziennie czasem do dwóch tysięcy osób.

W Hamadanie Awicenna urządzał dysputy naukowe. W gronie uczonych rozprawiano nad różnymi zagadnieniami, szukano dowodów rozumowych, poddawano sądy krytyce. Czytano i dyskutowano najświeższe strony dzieła, które właśnie napisał Awicenna, dosłownie „zanim atrament wysechł na kartach rękopisu" (A. M. Goichon, *La philosophie d'Avicenne et son influence en Europe médiévale,* Paris 1951, str. 19). Tak Awicenna realizował hasło mutazylitów (muzułmański kierunek filozoficzny): „Jakże wspaniały jest rozum ludzki, gdy dochodzi prawdy!"

By dojść tej prawdy, Awicenna pracował niestrudzenie. Gdy jako wezyr emira Hamadanu w dzień był zajęty sprawami państwowymi, pisał swe prace nocą. Gdy towarzyszył księciu w licznych wyprawach, za warsztat naukowy miał dosłownie kulbakę, pisał bowiem na koniu. Gdy przez intrygi wrogów dostał się za mury fortecy w Ferdadżan, pracował i tu w więzieniu, korzystając z przymusowego spokoju i zacisza... Tu też tworzył swe piękne poezje w ojczystym języku irańskim.

Z dzieł filozoficznych największym rozgłosem cieszyła się encyklopedia filozoficzna ułożona przez Awicennę pod znamiennym tytułem *Kitab as-Sifa*, czyli Księga uzdrowienia. Już uczeni renesansu orientalnego z X w. (np. Abu Sulejman Sadżazi) głosili hasła o znaczeniu filozofii jako środka leczniczego do zachowania zdrowia bez potrzeby uciekania się do lekarza. Awicenna jak gdyby rozwijał tę myśl, traktuje on filozofię jako naukę uzdrawiającą człowieka. Skrót tego wielkiego dzieła, liczącego 18 tomów, opracował Awicenna pod innym tytu-

łem, nie mniej znamiennym: *Kitab an-Nadżat* czyli Księga wybawienia. Warto wspomnieć, że obydwa te tytuły dzieł Awicenny dostarczyły różnym ówczesnym kalamburzystom dobrą okazję do snucia gorzkich refleksyj po zgonie Awicenny.

Autor znanej antologii poezji perskiej pt. *Lubab al-albab* przytacza dwuwiersz słynnego poety okresu Gaznewidów, Abu-l-Madżd Sana'i (XII w.), w którym wykorzystał on grę słów: oto ani kopalnia uzdrowienia *(szifa)* ani kopalnia wybawienia *(nadżat)* nie przyniosły Awicennie ani zdrowia *(szifa)*, ani ratunku *(nadżat)*.

Sam zresztą tytuł Księgi uzdrowienia był tak nieoczekiwany i niezwykły dla Europy średniowiecznej, że na Zachodzie przetłumaczono to dzieło pod dziwacznym tytułem *Sufficientia* (por. Goichon, *La philosophie d'Avicenne*, str. 15: *„...son grand ouvrage intitulé As-Sifa, la Guérison, nom bizarrement rendu au Moyen-âge par Sufficientia"*).

A jednak sława tego dzieła docierała do najodleglejszych zakątków świata, samo zaś dzieło było cenione ponad wagę złota. Oto gdy sułtan dalekich Indii, Muhammed Ibn Tugłuk (XIV w.) otrzymał od przybysza z Iranu rękopis Księgi uzdrowienia, kazał wypłacić ofiarodawcy wartość 20 tysięcy miskalów w złocie, czyli niemal 100 kilogramów złota!

„Kanon medycyny" i jego dzieje

Światową jednak sławę i rozgłos uzyskał Awicenna nie tyle dzięki pracom filozoficznym, ile dzięki swemu monumentalnemu dziełu z zakresu medycyny. Jego słynny *Kanun fi-t-tibb*, czyli Kanon medycyny, stanowił zbiór encyklopedycznych wiadowości z anatomii, terapii, patologii itd. Przez długie wieki był — a na Wschodzie Muzułmańskim jest nadal — podręcznikiem z zakresu sztuki lekarskiej.

Awicenna już na długo przed Leibnizem spełniał wyrażone przez niego życzenie: „Oby filozofowie leczyli, lekarze zaś filozofowali!" Był nie tylko filozofującym lekarzem, lecz także filozofem, który leczył i — co najważniejsze — uzdrawiał. Zaskarbił więc sobie wiele zaszczytnych tytułów. Wschód zna go pod mianem *Kanuni*, „Autor Kanonu, encyklopedysta" lub *aszszajch ar-rais* „mistrz naczelny". Europa nazwała go *medicorum princeps*, „pierwszym pośród medyków", „księciem lekarzy".

Szczęśliwie jeszcze przed najazdem Mongołów, który zniszczył zbiory rękopisów orientalnych na Wschodzie, dzieło Awicenny dostało się wczas do Europy. Dwie bramy wypadowe prowadzą do Europy średniowiecznej ze Wschodu: Andaluzja oraz Sycylia. W Toledo w XII wieku powstaje ognisko kultury, które pośredniczy między Wschodem i Zachodem. I tak jak w IX w. w Bagdadzie tłumaczono pisma świata antycznego na język arabski, tak znów w Toledo zaczęto przekładać dzieła naukowe z języka arabskiego na łacinę. Pierwszym tłumaczem Kanonu był Gerard z Cremony, komentarze i wydania łacińskie ukazywały się drukiem już od XV wieku.

Już sama statystyka ilości wydań Kanonu medycyny mówi dobitnie o znaczeniu tego pomnikowego dzieła dla nauk lekarskich w Europie średniowiecznej. Ukazało się w druku 13 komentarzy do Kanonu, 15 wydań łacińskich w XV wieku, 20 zaś wydań w XVI wieku, nie licząc fragmentarycznych edycyj, częściowych wydań itd. (Por. *Millénaire d'Avicenne, La Revue du Caire*, 1951).

Z końcem XVI stulecia w Rzymie, w

pierwszej na świecie drukarni z arabskimi czcionkami ruchomymi, wytłoczono Kanon medycyny zawierający oryginalny tekst arabski. Jak zawiłe a jednocześnie pouczające są ścieżki kultury ludzkości, może świadczyć opowiadanie pewnego lekarza włoskiego, który w r. 1934 — a więc w dziewięć wieków po śmierci Awicenny — w Jemenie czyli Arabii Felix, w mieście San'a, zobaczył w ręku miejscowego lekarza, Araba, gruby foliał Kanonu Awicenny drukowany właśnie w Rzymie w r. 1593 w tłoczni Medyceuszów.

Naprawdę długa i okólna droga prowadziła Kanon z Buchary w Azji Środkowej do Maurów hiszpańskich, stamtąd przez Sycylię do Rzymu, skąd znów do Arabii Szczęśliwej nad Morzem Czerwonym — oto wędrówka przez stulecia nieśmiertelnego dzieła.

W Polsce Kanon medycyny był szeroko znany i korzystano z niego powszechnie. Na Uniwersytecie Jagiellońskim Kanon stanowił podstawę wykładów z medycyny do XVIII wieku, do reformy Kołłątajowskiej. O znajomości Awicenny w Polsce świadczą liczne egzemplarze Kanonu, przechowywane w bibliotekach, głównie Krakowa i Warszawy.

Zamykając na tym pobieżny wstęp do twórczości Awicenny, łatwo jest zrozumieć entuzjastyczny okrzyk, jaki się wyrywa fizykowi polskiemu, chylącemu czoło przed „ogromem wiedzy" Awicenny: „Pozostawił imię olbrzyma, od Wschodu do Zachodu czcią otoczone, zapisane w księdze cywilizacji" (Wł. Natanson, Prądy umysłowe w dawnym Islamie, 1937, str. 164).

Twórczość literacka Awicenny

Twórczość wielkiego myśliciela i uczonego Awicenny (Ibn Siny) najczęściej bywa zaliczana do literatury arabskiej. Ileż to razy, zwłaszcza w starszych opracowaniach naukowych, Awicenna występuje jako arabski filozof, arabski lekarz i uczony. Nawet w najnowszych pracach zachodnioeuropejskich nie zerwano z tą błędną tradycją wtłaczania całego dorobku i twórczości różnych grup etnicznych do pojęcia „kultury arabskiej".

Pod tym względem niezmiernie pouczającym przykładem jest studium zbiorowe orientalistów włoskich z r. 1943, pt. *Caratteri e modi della cultura araba (Accademia d'Italia)*, gdzie w rozdziałach o „medycynie arabskiej", „filozofii arabskiej" itd. mowa jest o Awicennie, Birunim, Farabim i innych uczonych, którzy bynajmniej nie byli Arabami. Błąd metodologiczny polega na tym, że do kultury arabskiej zaliczono twórczość naukową Persów, Tadżyków, Sogdyjczyków, Chorezmijczyków, Turków i wielu innych, którzy pisali w języku arabskim. Ale rola języka arabskiego przypomina tu stanowisko łaciny w średniowiecznej Europie, choć analogia w tym wypadku nie jest całkowita.

Dość znaczny postęp w tym zakresie pojęciowym wykazuje najnowsze wydanie pracy autorki francuskiej M-lle A. M. Goichon, *La philosophie d' Avicenne* (Paris 1951), w którym Awicenna przedstawiony jest jako „pierwszy filozof tworzący w języku arabskim", *le premier philosophe de langue arabe.*

Tymczasem Awicenna należy nie tylko do piśmiennictwa arabskiego. W równym, jeśli nie większym stopniu, Ibn Sina trwale się zapisał w dziejach literatury irańskiej, ściślej starotadżyckiej w języku tzw. dari. I w tej więc dziedzinie, filologiczno-literackiej, zaznaczyła się wielkość Awicenny. Podczas gdy współczesny Awicennie, znakomity uczony chorezmijski Biruni (973 — 1048) uważał, że język perski

zy irański nadaje się li tylko „do opowieści Chosrojowych i baśni nocnych“ [1]), Awicenna dowiódł genialnie, że i w tym ęzyku — nie tylko w arabskim — można doskonale wyłożyć zarówno refleksję poetycką jak i myśl naukową.

W dawniejszych podręcznikach z historii literatury irańskiej twórczości Awicenny poświęcano albo zbyt mało miejsca, albo zupełnie ją pomijano. E. G. Browne, autor powszechnie znanego zarysu literatury perskiej (*A Literary History of Persia*, Cambridge 928, vol. II) pobieżnie omawia tzw. *ubajjaty* czyli czterowiersze Awicenny, przytaczając głównie przekład kaydy arabskiej. Zarys historii literatury perskiej E. Berhelsa (r. 1928) całkiem nie uwzględnia Awicenny, z tego powodu, jakoby autor „nie miał bezpośredniego związku dziejami literatury perskiej“.

Na to uchybienie metodologiczne wróciła już uwagę nauka radziecka. tak M. Sołowiew w artykule pt. Z zagadnień historii literatur środkowoazjatyckich“ Nowyj Mir, Nr 6, r. 1950) pisze:

„Znakomity lekarz i filozof Abu Ali bn Sina (Awicenna), według zdania E. Berthelsa, nie ma „bezpośredniego związku z historią literatury perskiej“, ponieważ „wszystkie jego prace naukowe, w tej liczbie także słynny Kanon kompendium medycyny), napisane są v języku arabskim“. Na tej podstawie badacz pomija twórczość tego uczonego.

„Abu Ali Ibn Sina istotnie nie ma bezpośredniego związku z „literaturą perską“, lecz za to ma najbardziej bezpośredni związek z Azją Środkową, Bucharą, a następnie także z Chorezmem, gdzie żył i tworzył Awicenna. I dlatego badacz, który się zajmuje historią narodów środkowo-azjatyckich, powinien jak najdokładniej przestudiować prace tego uczonego“.

Wydania radzieckie, poświęcone czy to dziejom narodu tadżyckiego czy historii literatury tadżyckiej, zawsze uwzględniają twórczość Awicenny czy Abu Ali Sino (po tadżycku). Tak więc Wypisy z literatur Związku Radzieckiego (wydał L. Klimowicz, Moskwa 1947), w dziale literatury tadżyckiej przytaczają cztery rubajjaty Abu Ali Sino, w tłumaczeniu F. Korsza. Podobnie i Chrestomatia poezji tadżyckiej oraz Historia narodu tadżyckiego w zarysie B. Gafurowa zawierają przekłady kilku czterowierszy Abu Ali Sino.

Z okazji uroczystego obchodu 900-lecia śmierci Awicenny, w r. 1937, na sesji zorganizowanej przez Akademię Nauk ZSRR, prof. Berthels omówił działalność poetycką Awicenny i wskazał na jej znaczenie dla rozwoju literatury irańskiej. W szczególności zwrócił uwagę na zależność słynnych rubajjatów Omara Chajjama od twórczości Awicenny, który jest jakby prekursorem tego rodzaju poezji.

Ananiasz Zajączkowski

[1]) Biruni pisał: „nagana po arabsku milza mi jest niż pochwała po persku“!

W następnym numerze ukaże się praca Ananiasza Zajączkowskiego o twórczości poetyckiej Awicenny.

WITOLD CHWALEWIK

Z poetyki przekładów Szekspira

Parę słów na temat jednej tylko kwestii z rozległego kompleksu zagadnień, który można by określić nazwą „poetyki przekładów Szekspira". To kwestia archaizacji języka i stylu. Krótkie uwagi o tym niech będą próbą usprawiedliwienia metody przekładu, zilustrowanej poniżej wyjątkami z Hamleta.

Oczywiste jest, że unowocześniony język przekładu może (w pomyślnym przypadku) zbliżyć autora do nowych czytelników, lepiej udostępnić dzieło ogółowi czytającemu i teatrom. To ważne. Decydujący jednak wydaje mi się inny argument. Nie ma mianowicie racji artystycznej, żeby język przekładów Szekspira stylizować archaicznie. Odwrotnie, założenie artystyczne wymaga, żeby Szekspira tłumaczyć (w granicach możliwości) językiem zrozumiałym i nowoczesnym.

Główne zadanie tłumacza polega rzecz prosta na tym, aby w obcym języku osiągnąć te cele, wywołać, o ile możności, te wrażenia, które autor w swoim języku ojczystym osiągnąć zamierzał. Musi więc tłumacz usiłować iść jak najbardziej po myśli oryginalnego poetyckiego planu, zbłądzi natomiast, jeżeli będzie reprodukował efekt przypadkowy postarzenia się języka, efekt antykwaryczny, wywołany jedynie upływem czasu, obcy najzupełniej zamysłom kompozycyjnym twórcy.

Grozi oczywiste ryzyko wypaczenia i zwulgaryzowania sensu autora. Ale to tylko przy zbyt powierzchownym stosunku do zadania. Bez wątpienia, o całkowitym uniknięciu błędów i niefortunnych rozwiązań mowy być nie może. Lecz przy większej trosce tłumacza o sens, właśnie wersja językowo unowocześniona, obiecuje rzeczywiste zbliżenie do sfery myśli Szekspira, do pojęć i urządzeń jego epoki. To, czym stosunki społeczne i poglądy epoki Szekspira różniły się od naszych, powinno być uwydatnione przez tłumacza ze szczególnie pieczołowitą troską. Nie zmąci przy tym i nie odwróci uwagi czytelnika niepotrzebny koloryt archaiczny języka. Gdzieniegdzie zresztą tłumacz posłużyć się może i powinien terminem specjalnym lub słowem staroświeckim, jeżeli sens wymaga tego zupełnie stanowczo.

Rzecz jasna, że postulat wierności w przekładzie o założeniu artystycznym musi mieć charakter swoisty. Zastosowanie znajduje w ramach reguły stylistycznej, nakazującej oddanie zwyczajnego zwyczajnym, niezwykłości niezwykłością, konwencji konwencją, idiomu idiomem. W ramach tej reguły kształtuje się ocena wierności. Więc na przykład słowo ordynarne u Szekspira, pospolite, takie jak *whore* nie może być tłumaczone dosłownie, bo ono u nas nie zjawia się w tekście i w tytułach utworów dramatycznych, tak jak w Anglii renesansowej. Zresztą tłumacz dbać powinien, aby jak najmniej uszkodzić prawdę historyczną i styl obrazowania, właściwy epoce, często przy tym wyrażający subtelne aluzje do kontekstów dziś zapomnianych.

W ogóle metoda oddawania starego sensu słowami dzisiejszymi dlatego rokuje szanse powodzenia, że główną trudność sprawiają słowa, które za czasów Szekspira znaczyły co innego niż dzisiaj, lecz dają się przetłumaczyć w zasadzie ściśle na język dzisiejszy. Przy odpowiedniej czujności, która nie może ograniczać się do uwzględnienia gotowych edytorskich komentarzy, trudność tę można więc pokonać.

WILLIAM SZEKSPIR — *Przełożył* WITOLD CHWALEWIK

HAMLET

AKT I

Scena trzecia

Wchodzą Laertes i Ofelia

LAERTES — No, rzeczy moje już na statku. Żegnaj!
I, siostro, kiedy przy wietrze pomyślnym
Trafi się poczta, nie prześpij okazji,
Ale daj znać o sobie.

OFELIA — Czyżbyś wątpił?

LAERTES — Co do Hamleta zdawkowych atencji,
To konwenans towarzyski i zmysły,
Fiołeczek, przejaw bujnej natury,
Świeży, przyjemny, ale krótkotrwały —
Zapachem może uprzyjemnić chwilę,
Nie więcej.

OFELIA — I nic więcej?

LAERTES — I nic więcej.
Bo rozrost życia to nie tylko sprawa
Bryły i ścięgien — gdy świątynia rośnie,
To nabożeństwo duszy i umysłu
Także poszerza się. On może teraz
Kocha bez myśli brudnych i podstępnych,
Z intencją zacną. Lecz lękać się musisz,
Że on jest wielki, nie ma własnej woli,
Podlega prawu swego urodzenia.
Nie może tak jak byle kto wybierać,
Od jego bowiem wyboru zależy
Całego państwa świetność i pomyślność.
W tej sprawie musi ściśle się stosować
Do życzeń i skłonności tego ciała,
Którego sam jest głową. Gdy zapewnia,
Że ciebie kocha, dawaj temu wiarę
O tyle tylko, o ile on może,

Na swoim stanowisku wyjątkowym,
Potwierdzić słowa czynem: a więc tylko,
Jeżeli Dania na to mu pozwoli.
Więc zważ, na jaki szwank honor narazisz,
Jeśli dasz chętne ucho jego piosnkom,
Lub serce stracisz — albo oddać zechcesz
Swój skarb dziewiczy na łup jego żądzy.
Lękaj się więc, Ofelio, lękaj, siostro,
I trzymaj się w odwodzie własnych uczuć,
Poza obstrzałem niebezpiecznych pragnień.
Najwstrzemięźliwsza też staje się szczodra,
Gdy księżycowi odsłoni urodę.
I czysta cnota nie ujdzie obmowy.
Robactwo często młode pędy stoczy
Zanim zamienią się w wiośniane pąki.
Właśnie w wilgotnej fazie rozkwitania
Szczególnie groźne są trujące tchnienia.
Więc ostrożności! Lęk jest zbawczy! Wierzaj,
Młodość się łatwo sobie sprzeniewierza.

OFELIA — Śliczne kazanie, biorę je do serca,
I zapamiętam, lecz, kochany bracie,
Nie bądź, jak owi niegodni pasterze,
Co innym ścieżkę ciernistą wskazują,
Bo taki pusty nadęty libertyn
Sam dróżką łatwych przyjemności chadza
I z własnych nauk kpi.

LAERTES — O mnie się nie bój.

Wchodzi Poloniusz

Ot, zmarudziłem — lecz ojciec nadchodzi,
Łaski zaczerpnę znów z błogosławieństwa.
To los szczęśliwy — drugie pożegnanie.

POLONIUSZ — Jeszcze tu jesteś? Wstyd! Na pokład ruszaj.
Żagle wiatr wydął, na ciebie czekają.
Błogosławieństwo weź na drogę — oraz
Tych kilka przestróg w pamięci zanotuj.
Zawsze z rezerwą! Nie działaj pochopnie.
Bądź łatwy, lecz nie wdawaj się z byle kim.
Wypróbowanych przyjaciół miej w sercu
I przytwierdź jakby obręczą żelazną,
A za to nie chciej dłoni poniewierać
Sztamą z najpierwszym przygodnym znajomkiem.
Unikaj kłótni, lecz w zwadzie dbaj o to,
Aby przeciwnik miał dla ciebie respekt.
Wysłuchaj wszystkich, sam zwierzaj się mało.
Każdego oceń, zaczekaj z osądem.
Ubieraj się możliwie najkosztowniej,
Lecz nie wyzywająco, nie jaskrawo,

Bo strój już dużo mówi o człowieku,
A na tym punkcie Francuzi z kół wyższych
Umieją dociąć z pańską wytwornością.
Sam nie pożyczaj i innym nie dawaj,
Przepadnie często i grosz i przyjaciel,
Długi zaś psują zdrową gospodarkę.
A nade wszystko — sam sobie bądź wierny,
Z tego niechybnie wyniknie lojalność
Także i wobec innych. No, to żegnaj,
I przyjmij rady wraz z błogosławieństwem.

LAERTES Pokornie żegnam cię, ojcze i panie.

POLONIUSZ Korzystaj z pory, śpiesz, słudzy czekają.

LAERTES Ofelio, do widzenia! Nie zapomnij
Tego, co ci mówiłem.

OFELIA Zamknęłam w pamięci.
Tobie oddaję klucz.

LAERTES Więc — do widzenia!

Wychodzi Laertes

POLONIUSZ Ofelio, o czym on rozmawiał z tobą?

OFELIA Mówił mi o Hamlecie, proszę ojca.

POLONIUSZ Miał rację.
Jak słyszę, to ostatnio bardzo często
On cię odwiedzał, a ty ze swej strony
Skwapliwie mu służyłaś towarzystwem.
Jeżeli tak — a informacje moje
To były raczej ostrzeżenia — muszę
Wręcz ci powiedzieć, że niezbyt rozumiesz,
Czym obowiązek córki jest i honor.
No, jak ta sprawa stoi — powiedz prawdę.

OFELIA Ostatnio, ojcze, on mi ofiarował
Wiele ze swoich uczuć.

POLONIUSZ Uczuć, proszę!
Dzierlatka, nieświadoma niebezpieczeństw!
Wierzysz tym — jak nazwałaś je? — ofertom?

OFELIA Ojcze i panie, co mam myśleć — nie wiem.

POLONIUSZ To ja ci powiem: że jesteś niemowlę.
Oferty wzięłaś za dobrą monetę.
Rzetelne nie są. Drożej się oferuj.
Bo dalszy ciąg tych ofert będzie taki,
Że to ty mnie błazenka ofiarujesz.

OFELIA Ojcze, on z tą miłością się narzucał,
Lecz w sposób honorowy.

POLONIUSZ Tak, tak, to są sposoby, ech, daj pokój.

OFELIA On niebo wezwał na świadka swych przysiąg.

POLONIUSZ Po prostu sidła na słonki. Wiem przecież,
Jak pożar we krwi daje ustom łatwość
Rzucania przysiąg — płomienie te, córko,

Ciepłe, lecz nie trawiące, dogasają
Od razu w trakcie przyrzeczeń, bo nie są
Prawdziwym ogniem. Więc od tego czasu
Skąpiej udzielaj mu się, mościa panno,
Rozmowa z tobą niech ma wyższą cenę
Niż rozkaz z jego strony. Hamletowi,
Wierzaj, że wolno bardzo wiele rzeczy,
Których nie wolno tobie. Krótko mówiąc,
Przysięgom jego nie wierz: to faktorzy
Pokroju nie takiego, jak ich szaty,
I orędują chęciom niepoczciwym,
Prawiąc o świętych, bogobojnych związkach,
Aby tym łatwiej zmylić. Więc konkretnie:
Nie życzę sobie, abyś od tej chwili
Jakieś wykorzystywała sposobności
By słówka rzucać, lub szukać rozmowy
Z księciem Hamletem. Słyszysz? Teraz odejdź.

OFELIA — Posłuszna będę, panie.

Wychodzą

Scena czwarta

HAMLET — Powietrze ostre, bardzo chłodno.
HORACY — Rześkie, przejmujące powietrze.
HAMLET — Która godzina?
HORACY — Dochodzi bodaj dwunasta.
MARCELLUS — Nawet już wybiła.
HORACY — Doprawdy? Nie słyszałem. Więc już prawie pora,
Kiedy duch przedtem nawiedzał to miejsce.

Fanfara na trąbach i dwa wystrzały z armat

HAMLET — Król bankietuje całą noc, i pije.
Pyszną biesiadę uświetniają tany.
Ilekroć kielich reńskiego wychyli
Trąby i kotły ogłuszają rykiem
Królewski toast.

HORACY — Czy to taki zwyczaj?

HAMLET — Tak jest, ja jednak, choć tu urodzony
I obeznany z tym zwyczajem, sądzę,
Że lepiej łamać go, niźli szanować.
Te niekończące się nigdy biesiady
Czynią nas pośmiewiskiem innych ludów.
Oprócz pijaków miana mamy u nich
Także i miano świń: bo też zaiste
Nałóg ten szkodzi narodowej sławie,
Ujmując nawet bohaterskim czynom.
Tak samo czasem i jednostka ludzka,
Czy to przez defekt konstytucjonalny,

Z którym przychodzi na świat bez swej winy
(Bo życie swoim początkiem nie włada),
I przez pofolgowanie tej skłonności,
Która rozwinie się i rozum zaćmi, —
Czy też przez nałóg, co w końcu rozstroi
Wzorowe obyczaje — taki, mówię,
Człowiek, noszący piętno pewnej wady,
Z którą urodził się, lub którą wziął
Od gwiazdy losu, choćby miał poza tym
Zalety inne świetlane jak łaska,
Do granic ludzkiej możności wysokie,
Przez sąd ogólny będzie potępiony
Za ten błąd jeden: kropla piwa a l e
Własną potwarzą zniszczy reputację
Świetnej jednostki.

Wchodzi Duch

HORACY — Książę, patrz, nadchodzi.

HAMLET — O aniołowie i szafarze łaski,
Brońcie nas!
Czyś jest duch dobry, czy czart potępiony,
Czy nieba niesiesz wiew, czy odór piekieł,
Czy masz zamiary złe, czy miłosierne,
Postać twa prosi tak o ludzkie słowo,
Że będę mówił. Powiem, żeś jest Hamlet,
Król, ojciec, Danii król! Odpowiedz, błagam,
Niechaj w niewiedzy mej nie skonam. Powiedz,
Czemu twe uświęcone kości wyszły
Z całunów grobu, dlaczego sarkofag,
W którym na wieki cię złożyliśmy,
Otworzył ciężkie marmurowe szczęki,
Aby cię znów wyzionąć? Co to znaczy,
Że ty, trup, w pełnym stalowym rynsztunku
Odwiedzasz strefę blasków księżycowych,
Noc napełniając grozą, a nas, błaznów
Natury własnej, aż do głębi wstrząsasz
Niezrozumiałym dla nas niepokojem?
Czemu to? powiedz! Mów, co mamy robić?

Duch daje znak Hamletowi

HORACY — Skinieniem wzywa, abyś poszedł za nim,
Jakby coś zwierzyć chciał tobie jedynie.

MARCELLUS — Spojrzyj, jak grzecznym gestem cię zaprasza.
Chce cię odciągnąć. Ale nie idź za nim.

HORACY — Za nic na świecie.

HAMLET — Milczy, a więc pójdę.

HORACY — Nie odchodź, książę!

HAMLET — Czegóż mam się lękać?

Życie swe cenię tyle, ile szpilkę,
A duszy mojej, jak on nieśmiertelnej,
Nie grozi nic. Wzywa mnie znowu, idę!

HORACY — A jeśli zaprowadzi cię nad głębię?
Albo na ten okropny cypel skały,
Wychylającej się od brzegu w morze?
Może przybierze tam straszniejszą postać
I samym lękiem rozum ci odbierze?
Sama natura miejsca już jest taka,
Że wpycha myśli wariackie do głowy,
Wystarczy spojrzeć z tamtej wysokości
W huczące fale...

HAMLET — Dalej mnie wzywa. Idź, pójdę za tobą.

MARCELLUS — Nie, nie pójdziesz, książę.

HAMLET — Ręce precz!

HORACY — Zechciej usłuchać nas, nie idź!

HAMLET — Los mój wielkim głosem woła,
I czyni każdą arterię w mym ciele
Niby lwa nemejskiego ścięgna mocną.
Wciąż czeka na mnie! Ręce precz, panowie,
Bo kto nie puści, tego w ducha zmienię.
Odstąpić, hola! — Prowadź, ja za tobą.

Wychodzą Duch i Hamlet

HORACY — Szalonym czyni go gra wyobraźni.

MARCELLUS — Słuchać go nie wypada, idźmy za nim.

HORACY — Śpieszmy się. Jaki koniec tego będzie?

MARCELLUS — Jest coś zgniłego w państwie duńskim.

HORACY — Niebo niech sprawą pokieruje.

MARCELLUS — Idźmy.

Wychodzą

Scena piąta

Wchodzą Duch i Hamlet

HAMLET — Dokąd prowadzisz? Mów! Dalej nie idę.

DUCH — Uważaj!

HAMLET — Słucham.

DUCH — Prawie już jest pora
Kiedy siarkowych dręczących płomieni
Mam się stać pastwą.

HAMLET — O ty biedny duchu!

DUCH — Nie współczuj, ale wysłuchaj z powagą,
Co ci opowiem.

HAMLET — Mów, moja rzecz słuchać.

DUCH — I pomścić, kiedy już wszystko usłyszysz.

HAMLET — Co?

DUCH Jam jest duch twojego ojca.
Nocami karną odbywam wędrówkę,
We dnie oczyszczam się postem ognistym,
Póki obrzydliwości moich grzechów
Do cna się nie wyprażą. Ale zdradzić
Tajemnic mego więzienia nie wolno.
Najbłahsze słowo mojej opowieści
Już by ci duszę zdruzgotało, ścięło
Krew w żyłach, oczy z orbit wysadziło,
Czuprynę utrefioną rozwichrzyło,
Aż włosy wszystkie stanęłyby dęba
Jak kolce okropnego jeżozwierza.
Ta rzecz o sprawach wiekuistych nie jest
Dla uszu z ciała i krwi. Bądź, Hamlecie,
Oddany mi, jeżeliś ojca kochał.

HAMLET Boże!

DUCH Pomścij ohydne, nieludzkie morderstwo.

HAMLET Morderstwo?

DUCH Straszne jak każde morderstwo,
Ale to wszelkie uczucia zgwałciło.

HAMLET Powiedz, niech wiem wszystko,
Abym natychmiast na skrzydle tak ścigłym,
Jak medytacja lub miłosna myśl,
Runął ku zemście.

DUCH Widzę, żeś jest chętny.
Zaiste, byłbyś ospały jak zielsko
Wplątane w muły letejskiego brzegu,
Gdyby cię sprawa nie porwała. Słuchaj,
Do wiadomości podano, żem zginął
Od ukąszenia węża, gdym spał w sadzie.
Kłamstwem tym Danię całą oszukano.
Ale ty wiedz to, szlachetny młodzieńcze:
Wąż, który mnie tak śmiertelnie ukąsił,
Nosi dziś moją koronę.

HAMLET Duszo prorocza moja!
Stryj!

DUCH To kazirodcze, cudzołożne bydlę
Czarem inteligencji i zdolności
(Och, zła inteligencja, złe talenty,
Które potrafią uwieść tak zdradziecko)
Dla swojej żądzy podstępami zdobył
Tę najcnotliwszą z pozoru królowę.
Hamlecie, jakże okropnie upadła!
Ode mnie, od miłości tak dostojnej,
Że zawsze wierna została przysiędze,
Jaką złożyłem żonie podczas ślubu,
Spaść do poziomu nędznika bez zalet

Wobec wartości moich.
Lecz tak jak cnota niewzruszona będzie,
Chociaż rozpusta dla celu zalotów
Przybierze kształty niebiańskie, tak żądza,
Choćby z promiennym aniołem złączona,
Chociaż nasyci się w niebiańskim łożu,
Żreć będzie świństwo.
Lecz dosyć! Czuję powietrze poranne —
Niewiele czasu. Więc, gdym spał w ogrodzie
Jak zwykle zresztą w porze popołudnia,
Twój stryj się zakradł do mnie podczas drzemki
Z sokiem piekielnej hebony we fiolce,
I w uszy wlał mi trądonośny rozczyn
O takiej sile zabójczej, że we krwi
Jak rtęć przeleciał po arteriach wszystkich,
I niby ocet wpuszczony do mleka
Płynną i zdrową krew ściął mi na twaróg.
Strup w jednej chwili okrył spiekłą warstwą,
Jak gdyby trądem, skorupą potworną
Całe me gładkie ciało.
Tak z ręki brata podczas snu zginąłem,
Od razu tracąc życie, tron, królowę,
Ścięty znienacka w rozkwicie mych grzechów,
Bez wiatyku, bez olejów świętych,
Całkiem nie gotów na śmierć, unoszący
Niezmyty ciężar win na swojej głowie.
Straszne — o, straszne! — coś najstraszniejszego.
Jeżeli syna serce masz, nie pozwól —
Niechaj królewskie łoże Danii króla
Nie będzie podłym rozpusty barłogiem.
Lecz jakąkolwiek taktykę obierzesz,
Umysłu swego nie skaź, nie poczynaj
Nic przeciw matce swej. Zostaw ją niebu,
I cierniom, które w duszy jej się gnieżdżą,
Niech ranią ją i kolą. Teraz żegnaj.
Świetliki już zwiastują ranek bliski,
I przytłumiają słabiutkie światełka.
Hamlecie, żegnaj, żegnaj. Nie zapomnij.

Wychodzi

HAMLET

Zastępy niebios! Ziemio! — i co jeszcze?
Czy dodać jeszcze piekło? Serce, wytrwaj!
Ścięgna, nie postarzejcie się od razu,
Lecz krzepko mnie dźwignijcie! „Nie zapomnij"?
Przenigdy, biedny duchu, póki pamięć
Mieszka na skołatanym globie. „Nie zapomnij".
Ależ z całego archiwum pamięci

Zetrę nieważne i szkolne nauki,
Które tam młodość i studia wpisały,
I jedna tylko myśl, jeden twój nakaz
Żywy zostanie w księdze mego mózgu,
Z podlejszą treścią nie zmieszany. Tak jest,
Tak, na niebiosa!
O ty kobieto bez cześci! Nędzniku,
Ty się w uśmiechy stroisz! Łotrze, łotrze!
Do notatnika wpiszę, że możliwe
Uśmiechać się bez przerwy, i być łotrem,
To w Danii w każdym razie jest możliwe.
Więc, stryju, zapisałem. Teraz hasło:
„Hamlecie, żegnaj, żegnaj, nie zapomnij".
To zaprzysiągłem.

MARCELLUS }
HORACY } *(za sceną)* Książę, mości książę!

Wchodzą Horacy i Marcellus

MARCELLUS Książę Hamlecie!
HORACY Niebo niech go ma w swej opiece.
HAMLET Tak niech będzie.
HORACY Illo, ho, ho! mości książę!
HAMLET Nillo, ho, ho, chłopczyno! Bywaj, ptaku!
MARCELLUS Jakże się czujesz, książę?
HORACY Jakie nowiny, książę?
HAMLET Nadzwyczajne.
HORACY Wyjaw nam, miły książę.
HAMLET O nie, wy rozgłosicie.
HORACY Niebo mi świadkiem, że nie, mości książę.
MARCELLUS Ja też nie, mości książę.
HAMLET Słuchajcie — czyby ktokolwiek pomyślał...
Lecz tajemnicę zachowacie?
OBAJ Tak, jak nam łaska niebios miła, książę.
HAMLET Nie ma takiego łotra w całej Danii —
Co by nędznikiem nie był...
HORACY Książę, duch po to przyjść nie potrzebował,
Aby nam to oznajmić.
HAMLET Racja, słusznie.
Więc uścisnąwszy sobie teraz dłonie,
Tu już rozstańmy się bez ceremonii.
Wam drogę wskażą wasze interesy
I chęci — każdy kieruje się swymi
Chęciami czy interesami; ja zaś,
Ja, wiecie, pójdę się pomodlić.
HORACY Książę, szalone to i błędne słowa.
HAMLET Przykro mi, że was uraziły, bardzo,
Bardzo mi przykro.
HORACY Zbrodni nie ma, książę.

HAMLET — Jest na świętego Patryka, jest, wierzaj,
Zbrodnia i straszna. Co się tyczy widma,
Duch to czcigodny — tyle wam wyjawię.
A jeśli chcecie wiedzieć więcej, to tym
Zachceniom nie folgujcie. A że mam w was
Oddanych mi przyjaciół, że ponadto
Jesteście ludzie światli, i żołnierze,
Spełnijcie skromną moją prośbę.

HORACY — Jaką?
Spełnimy ją, mów, książę.

HAMLET — Zatajcie, coście widzieli tej nocy.

OBAJ — Nie wyjawimy tego.

HAMLET — Przysięgnijcie.

HORACY — Na wiarę świętą przysięgam.

MARCELLUS — I ja, na wiarę świętą.

HAMLET — Na mój miecz przysięgnijcie.

MARCELLUS — Książę, przysięgę już złożyliśmy.

HAMLET — Ależ na mój miecz, koniecznie.

Duch odzywa się spod sceny

DUCH — Przysięgnijcie.

HAMLET — Aha, tak, chłystku, mówisz?
Toś ty tam, chojraku?
Dalej, słyszycie osobnika tam w podziemiu?
Zechciejcie przysiąc.

HORACY — Książę, zmów rotę przysięgi.

HAMLET — Na zawsze milczeć o tym, co widzieliście,
Na miecz mój przysięgnijcie.

DUCH — Przysięgnijcie.

HAMLET — Hic et ubique? A więc zmieńmy miejsce.
Chodźcie, panowie, tu.
Połóżcie ręce znów na moim mieczu,
Na zawsze milczeć o tym, co słyszeliście,
Na miecz mój przysięgnijcie.

DUCH — Przysięgnijcie.

HAMLET — Pysznieś rzekł, stary krecie, sprawnie ryjesz.
To górnik jest — przejdźcie tu przyjaciele.

HORACY — Jak noc po dniu — to ktoś przedziwnie obcy.

HAMLET — A za tym jak obcego go powitaj.
Więcej jest istot na niebie i ziemi, mój Horacy,
Niż o tym roi nasza filozofia.
Lecz dalej.
Tu, jak pragniecie zmiłowania nieba,
Jakkolwiek dziwnie bym się miał zachować
(Bo może uznam to za rzecz właściwą,
Żeby udawać pomieszanie zmysłów),
Że ze swej strony w podobnym wypadku

Żadnym wątpliwym gestem ani słowem,
Ruchem rąk, ani potrząsaniem głowy,
Ani dającym do myślenia zdaniem,
Np. „my byśmy tu mogli coś powiedzieć",
Lub: „gdybyśmy tylko chcieli...", albo: „owszem,
Są tacy, co...", czy inną dwuznacznością,
Że nigdy o mnie nic nie napomkniecie,
Tak wam dopomóż miłosierdzie boże.
To przysięgnijcie.

DUCH — Przysięgnijcie.

HAMLET — Spocznij już, spocznij, skołatany duchu.
A więc, panowie, tak jak was miłuję,
Tak się polecam szczerym względom waszym.
A czym, ubogi, odpłacić potrafię,
Tego nie zbraknie wam. No, wejdźmy razem,
Wy zawsze z palcem milczenia na ustach.
Czas się wywichnął. To przeklęty kawał,
Żem się narodził, by była naprawa.
Ależ tak, razem chodźmy.

Wychodzą

AKT II

Scena pierwsza

Wchodzą Poloniusz i Reynaldo

POLONIUSZ — Oddaj mu te pieniądze i rachunki,
Reynaldo.

REYNALDO — Tak jest, proszę łaski pana.

POLONIUSZ — I bardzo mądrze będzie, mój poczciwy,
Jeżeli najpierw zechcesz się wywiedzieć,
Jak się prowadzi.

REYNALDO — Słucham jaśnie pana.
I sam tak chciałem zrobić.

POLONIUSZ — Tak? To dobrze...
To doskonale... więc teraz uważaj:
Dowiedz się, kto z Duńczyków jest w Paryżu,
Kto, jak, z jakim fasonem, i gdzie stanął —
Towarzyskie stosunki, poziom życia —
A gdy tak nadasz kierunek rozmowie,
I stwierdzisz, że coś o mym synu wiedzą,
Wywiad twój dalszy lepiej ci się uda,
Niż gdybyś miał od razu wypytywać.
Powiedz, że tak, to znajomy daleki,
Że owszem, ojca znasz, i krąg przyjaciół,
Jego samego trochę... Czy uważasz?

REYNALDO I bardzo pilnie, proszę łaski pana.
POLONIUSZ I jego także trochę, raczej mało,
Lecz jeśli to ten sam, to hulajdusza,
Ma złe nałogi... Możesz go oczernić,
Jakim chcesz kłamstwem, lecz nie ordynarnie.
By nie skompromitować — to też ważne.
Wymień hulaszcze, pospolite grzeszki,
Co zwykle są kompanią najściślejszą
Swobody kawalerskiej.
REYNALDO Więc na przykład
Hazard, tak jaśnie panie?
POLONIUSZ Albo trunki,
Rapiery, zwady, zaklęcia, dziewczynki,
Na tyle sobie pozwól.
REYNALDO Jaśnie panie,
To by już było kompromitujące.
POLONIUSZ Wcale nie, jeśli zarzut pomiarkujesz.
Nie możesz winić go na przykład o to,
Że się wprost jawnie łajdaczy — to nie,
Ale o jego grzechach mów tak sprytnie,
Jakby to była ekspansja wolności,
Przebłyski ognistego animuszu,
Drapieżność krwi, prześladująca młodość.
REYNALDO Łaskawy panie —
POLONIUSZ Czemu masz to robić?
REYNALDO Tak jest, to, jaśnie panie, wiedzieć chcę.
POLONIUSZ Rzecz w tym, że to jest fortel niezawodny.
To, że oczernisz zlekka mego syna,
Jakby już troszkę się w życiu ubabrał —
Widzisz:
Twój rozmówca, którego chcesz wybadać,
Jeśli istotnie wie, że to jest faktem,
To, coś ty w swoich domysłach wyraził,
Przyzna ci rację w jakichś takich słowach:
„Mój ty poczciwy", albo „przyjacielu",
Albo „mój panie" — zależnie od tego,
Kim jest, jaki ma tytuł, skąd pochodzi.
REYNALDO Tak, jaśnie panie.
POLONIUSZ A potem — co to ja chciałem powiedzieć?
Jak mi Bóg miły, chciałem coś powiedzieć.
Na czym stanęło?
REYNALDO Że mi przyzna rację
W jakichś tam słowach, zależnie od tego,
Kim jest —
POLONIUSZ Od tego, kim jest, oczywiście.
Przyzna ci rację tak: „Znam tego pana,
Wczoraj widziałem go (czy kiedy indziej),

W takiej a takiej kompanii. I owszem,
Grał hazardownie, i owszem, pił dużo.
Owszem, wszczął zwadę przy tennisie. Albo:
Widziałem, wchodził do domu złej sławy —
Videlicet publicznego, itd.
Zrozum teraz:
Na kęsek fałszu złowisz karpia prawdy.
Tak my, mądrzejsi, i dalej widzący,
Drogą okólną, obchodząc i klucząc,
Trafimy z dala w nasz cel bezpośredni.
Zgodnie więc z moją nauką i radą,
Wywiesz się o mym synu! Zrozumiałeś?

REYNALDO Zrozumiałem, wielmożny panie.
POLONIUSZ Bóg z tobą, żegnaj.
REYNALDO Dopraszam się łaski pana.
POLONIUSZ Zauważ, jak się do ciebie odniesie.
REYNALDO Dobrze, wielmożny panie.
POLONIUSZ Jak sobie pościele, tak się wyśpi.
REYNALDO Tak jest, wielmożny panie.

Wychodzi

POLONIUSZ Do widzenia.

Wchodzi Ofelia

Ofelia! No, co powiesz?

OFELIA Ojcze i panie, tak się przestraszyłam —
POLONIUSZ Czego, na miłość boską?
OFELIA O panie, kiedy szyłam w swej komnacie,
Wszedł książę Hamlet: kurtkę miał rozpiętą,
Bez kapelusza był, w pończochach brudnych,
Niepodwiązanych, opadłych do kostek,
Blady jak płótno, kolana mu drżały,
W spojrzeniu wyraz miał taki żałosny,
Jak gdyby tylko co uszedł był z piekła
Ze straszną opowieścią: tak szedł do mnie.
POLONIUSZ Z miłości do ciebie zwariował?
OFELIA Panie,
Ja nie wiem, boję się.
POLONIUSZ A co powiedział?
OFELIA Wziął mnie za rękę, i przytrzymał mocno,
Potem na długość ramienia odstąpił,
A drugą ręką ocieniając czoło,
Wzrokiem tak moją twarz studiować zaczął,
Jakby ją chciał rysować. Trwał bez ruchu,
Wreszcie, z lekka mą ręką potrząsając,
I głowy gestem trzykroć potakując,
Westchnął, lecz tak żałośnie i głęboko,

Jakby się cały miał ze szczętem rozpaść,
I przestać istnieć. A potem puścił mnie,
I z głową jeszcze ku mnie odwróconą
Zdawał się drogę, nie patrząc, znajdywać,
Bo przez drzwi wyszedł bez pomocy oczu,
Do końca światło ich skupiając na mnie.

POLONIUSZ — Chodź, pójdziesz ze mną, ja poszukam króla.
Toż to naprawdę jest obłęd miłości
Gwałtownej — taka niszczy sama siebie,
I wolę pcha do czynów nieprzytomnych,
Jak zresztą wszelka namiętność pod słońcem,
Doskwierająca żywym. Przykro mi...
Czy może czym dotknęłaś go ostatnio?

OFELIA — Nie, zacny ojcze, lecz jak rozkazałeś,
Listy mu odesłałam, i wzbroniłam
Dostępu do mnie.

POLONIUSZ — Dlatego zwariował.
Lecz przykro mi, żem baczniej i rozsądniej
Nie obserwował go. Myślałem, pustak,
Chce ciebie zniszczyć — a niechaj to licho!
Widocznie w moim wieku jest się skłonnym
Naciągać do swych myśli rzeczywistość,
Podczas gdy młodzi zwykle wprost odwrotnie
W ogóle mało myślą. Więc do króla,
Odkryjmy przed nim to, co zatajone
Więcej natenczas sprawiłoby smutku,
Niźli miłosny awans wzbudzi gniewu.
Chodź!

AKT III

Scena pierwsza

Wchodzą: Król, Królowa, Poloniusz, Ofelia, Rosencrantz, Guildenstern i panowie

KRÓL — A więc wybadać się wam nie udało,
Czemu udaje on to pomieszanie,
I spokój swoich dni zakłóca sobie
Burzliwą, niebezpieczną aberracją?

ROSENCRANTZ — Przyznaje, że się czuje rozstrojony,
Ale dlaczego, o tym mówić nie chce.

GUILDENSTERN — Ani ochoty nie ma być badanym,
I wymiguje się z wariackim sprytem,
Gdy napieramy, by się jednak zwierzył,
Jak się naprawdę czuje.

KRÓLOWA — A powiedzcie,
Czy dobrze przyjął was?

ROSENCRANTZ — Wielce po pańsku.

GUILDENSTERN — Ale zadając sobie pewien przymus.

ROSENCRANTZ — Sam mówił mało, ale na pytania
Odpowiadał obszernie.

KRÓLOWA — No a czym byście chcieli go rozerwać?

ROSENCRANTZ — Zetknęliśmy się, Najjaśniejsza pani,
Z trupą aktorów po drodze. On z tego
Jak gdyby się ucieszył. Już przybyli,
Są tu na dworze, bodaj mają zagrać
Dziś jeszcze, tak zażądał.

POLONIUSZ — Prawda ścisła.
I kazał prosić miłościwych państwa,
Żebyście przyszli zobaczyć tę sztukę.

KRÓL — Z całego serca zgadzam się, i cieszę,
Słysząc, że w tym gustuje.
Drodzy panowie, dalej go zachęćcie,
Niech się oddaje takim przyjemnościom.

ROSENCRANTZ — Tak jest, miłościwy panie.

Wychodzą: Rosencrantz i Guildenstern

KRÓL — Miła Gertrudo, i ty też się oddal.
Uplanowaliśmy to potajemnie,
Żeby się tutaj, niby przypadkowo,
Hamlet z Ofelią spotkał.
Ja zaś z twym ojcem (szpiegów dwóch godziwych)
Wszystko będziemy widzieć niewidziani,
I obserwując jego zachowanie,
Bezstronny sąd w tej sprawie wytworzymy,
Czy miłość, czy też jednak coś innego
Jest źródłem jego cierpień.

KRÓLOWA — Dobrze, idę.
Ofelio, tobie życzę najserdeczniej,
Żeby to właśnie twoje śliczne wdzięki
Były powodem rozstroju Hamleta.
Tak teraz niech go cnoty twe uleczą
Ku wspólnej waszej chwale.

OFELIA — Obyż tak było, miłościwa pani.

Wychodzi Królowa

POLONIUSZ — Ofelio, tu się przechadzaj. Kochanie,
My się skryjemy. Ty czytaj tę książkę.
Niechaj modlitwy pozór uzasadni
Twoją samotność. Często tym grzeszymy,
Rzecz to wiadoma, że dewocji twarzą
Oraz nabożnym gestem cukrujemy
Samego diabła.

KRÓL Tak, tak jest naprawdę.
Słowa boleśnie chlasnęły w sumienie.
Umalowane prostytutki lico
Nie kontrastuje tak wstrętnie ze szminką,
Jak mój czyn z moim słowem farbowanym.
O ciężkie brzemię!

POLONIUSZ Słyszę go, chodźmy, miłościwy panie.

Wychodzą

Wchodzi Hamlet

HAMLET Być albo nie być — bo w tym sedno sprawy,
Czy jest dostojniej z całą świadomością
Znosić pociski szyderczej fortuny,
Czy z bronią w ręku w przeciwności morze
Uderzyć, zniszczyć wrogów, i gdy umrzeć,
To więcej już nie zasnąć? Sen ma znaczyć
Wolność od bólów serca, od tysięcy
Wstrząsów cielesnych; o tak, nade wszystko
Jest pożądana śmierć, gdy umrzeć znaczy
Zasnąć... Lecz zasnąć, aby stać się pastwą
Widziadeł sennych? O tak, tu hamulec.
Te sny, co we śnie śmierci nas nawiedzą,
Jeśli wykpimy się z doczesnej próby,
To powstrzymuje nas! To ten wzgląd każe
Znosić życiowe klęski aż do końca.
Bo któżby wytrwał wśród plag swoich czasów,
Zniósł razy krzywdzicieli, śmiech pyszałków,
Mękę miłosnej wzgardy, zwłokę prawa,
Arogancję urzędów, poniżenie
Wartości ludzkiej przez zuchwałe zera,
Gdyby sam mógł załatwić porachunki
Gołym sztyletem? Kto by brzemię dźwigał,
Sapiąc i pocąc się przez całe życie?
Lecz oto właśnie lęk czegoś po śmierci,
Nieznanej bliżej krainy, lecz takiej,
Z której nie wraca się, intencję skrzywia,
I raczej każe znosić zła wiadome,
Niźli podążać ku innym, nieznanym.
A więc sumienie czyni nas tchórzami,
I popędliwa, krwista dufność nasza
W niepokój blady łacno się rozpływa.
I przedsięwzięcia pychy już napięte
Z tego powodu kierunek odmienią,
I wcale się nie spełnią.
Lecz dość o tym.
Piękna Ofelia! Nimfo, w twych modlitwach
O wszystkich grzechach mych pamiętaj!

OFELIA Książę,
Tyle już dni minęło — jak się czujesz?

HAMLET Kornie dziękuję: dobrze, dobrze, dobrze.

OFELIA Książę, mam jeszcze od ciebie pamiątki,
Które od dawna chcę ci zwrócić.
Weź je.

HAMLET Nie, nie, ja nigdy tobie nic nie dałem.

OFELIA Dałeś, ja wiem najlepiej, mości książę,
Dodałeś jeszcze słowa tak pachnące,
Że zapach długo rzeczy te bogacił.
Gdyś serce cofnął, dary blask straciły,
A dla szlachetnych taki dar niemiły.
Proszę, weź, książę.

HAMLET Ha, ha! Czy jesteś uczciwa?

OFELIA Książę!

HAMLET Czy jesteś piękna?

OFELIA Co Wasza Miłość chce powiedzieć?

HAMLET Że jeśli jesteś uczciwa i urodziwa, uczciwość twoja nie powinna dać swobody działania urodzie.

OFELIA A czyż uroda może iść z czymś lepiej w parze, niż z uczciwością?

HAMLET Owszem, bo siła urody prędzej przemieni uczciwość z tego, czym ona jest, w stręczycielkę, niż siła uczciwości urodę przeinaczy na swoje podobieństwo. Było to niegdyś paradoksem, ale dziś współczesność to potwierdza. Kochałem cię kiedyś.

OFELIA Zaiste, książę, sprawiłeś, że ci uwierzyłam.

HAMLET A nie powinna byłaś uwierzyć. Bo cnota nie może tak zaszczepić się na naszym starym pniu, żebyśmy już nim nie trącili. Nie kochałem ciebie.

OFELIA Tym bardziej byłam w błąd wprowadzona.

HAMLET Idź do klasztoru. Po co masz rodzić grzeszników? Co do mnie, jestem jako tako uczciwy, a jednak mógłbym oskarżyć siebie o takie rzeczy, że lepiej byłoby, żeby mnie matka moja nie urodziła. Jestem bardzo dumny, mściwy, ambitny, więcej mam zbrodni na swe skinienie, niż myśli, żeby je przytulić, wyobraźni, żeby je ukształtować, lub czasu, żeby popełnić. Co mają do roboty takie figury jak ja, snujące się między niebem a ziemią? Wszyscy jesteśmy z kretesem dranie, nie wierz żadnemu z nas. Do klasztoru idź. Gdzie ojciec twój?

OFELIA W domu, mości książę.

HAMLET To zatrzasnąć drzwi za nim, żeby głupca grał nie gdzie indziej, tylko we własnym domu. Żegnaj.

OFELIA Dopomóżcie mu, łaskawe nieba!

HAMLET Jeżeli wyjdziesz za mąż, dam ci to przekleństwo w posagu: Choćbyś była jak lód nieskalana, jak śnieg czysta, nie ujdziesz obmowy. Do klasztoru idź. Idź, do widzenia. A jeśli koniecznie chcesz mieć męża, wyjdź za głupca, bo mądrzy wiedzą bardzo dobrze, jakie pokraki z nich robicie. Do klasztoru wstąp, i to szybko. Żegnaj.

OFELIA Potęgi niebieskie, wróćcie mu zdrowie.

HAMLET I o tym słyszałem też, jak sobie szczebioczecie. Bóg wam dał taki chód, to chcecie sobie wyrobić inny: podrygujecie, kołyszecie się, mówicie w sposób afektowany, przedrzeźniacie nazwy tworów bożych, i bezwstyd maskujecie pozorem nieświadomości. Dajcie pokój, dość mam tego, to mnie o szaleństwo przyprawia. Powiadam, więcej małżeństw nie będzie. Ci, co już są poślubieni, wszyscy, oprócz jednego, będą żyli, inni niech pozostaną jak są. Idź do klasztoru.

Wychodzi Hamlet

OFELIA Jaki szlachetny umysł się obłąkał!
To był dworzanin, żołnierz, i uczony —
Oko i język i miecz. Był nadzieją,
Różą pięknego państwa — wzorem mody,
Zwierciadłem elegancji, był przez wszystkich
Naśladowany — — ruina, ruina!
Jakżem ja biedna, najsmutniejsza z panien,
Że jego słodkich zaklęć miody ssałam,
Po to, by ujrzeć arcyświetny umysł,
Co niegdyś był jak zespół miłych dzwonków,
W tak dzikim rozprzężeniu.
Ten kształt wytworny, sylweta młodzieńcza —
Rażone obłąkaniem. Nieszczęśliwa
Ja, że to wszystko widzę i przeżywam.

Wchodzą Król i Poloniusz

KRÓL Czy to ma miłość być? Nie, to nie miłość.
I to, co mówił, choć trochę bezładne,
To nie był obłęd. Jest coś w jego duszy,
Na czym usiadła kokosz melancholii,
Wyląg może być groźny. Więc zawczasu,
By opanować zło, postanowiłem:
Hamlet do Anglii natychmiast odjedzie,
By ściągnąć stamtąd zaległą daninę.
Powietrze morskie i pejzaże nowe
Może złagodzą mu te kwasy w sercu —
Jak myślisz?

POLONIUSZ Plan doskonały, a jednak wciąż myślę,

Że wszystko to z miłości bezwzajemnej
Wzięło początek. Ach, jesteś, Ofelio,
Nie potrzebujesz nam nic referować,
Sami słyszeliśmy, co Hamlet mówił.
Mój miłościwy pan jak zechce zrobi,
Lecz pozwól, niechaj dziś po przedstawieniu
Królowa matka rozmówi się z synem,
I sama niech otrzyma wyjaśnienie
Tych złych nastrojów. Niech go skarci ostro.
A ja z ukrycia wysłucham wszystkiego.
Jeśli go własna matka nie wybada,
Do Anglii go ekspediuj, albo zamknij
Gdzie uznasz w swej mądrości za właściwe.

KRÓL — Tak radzisz, tak się stanie z króla woli.
Szaleństwo możnych wymaga kontroli.

Wychodzą

Scena druga

(fragment)

Wchodzi Hamlet i paru aktorów

HAMLET — Mów, tak jak ja recytowałem przed tobą, z pewnym rytmem; jeżeli będziesz przeciągał monotonnie, jak wielu aktorów, to wolę, żeby to wygłosił woźny magistracki. Nie piłuj tak powietrza dłonią, we wszystkim umiar! Nawet w huraganie, w zawrotnym wirze namiętności musisz zdobyć się na pewne opanowanie i gładkość. Och, obraża mię to do żywego, kiedy słyszę, jak taki atletyczny osobnik w peruce pasję drze na strzępy, na szmaty, dla przyjemności widzów z parteru, których na ogół nic nie jest zdolne poruszyć, oprócz hałasu i pantomim bez alegorycznego sensu. Ja bym zaś takiego krzykacza oćwiczyć kazał za to, że przekrzyczy Termaganta, Herodem będzie nad Heroda. Proszę cię, unikaj tego.

I AKTOR — Ręczę waszej książęcej mości.

HAMLET — A nie bądź i zbyt potulny, lecz kieruj się własnym wyczuciem. Gest stosuj do słów, słowa do gestu. I tego zwłaszcza pilnuj, abyś nie pogwałcił proporcji życiowych, bo wszystko, co tak przeszarżowane, sprzeczne jest z zadaniami teatru, którego celem, jak pierwej tak i teraz, było i jest: stale przyświecać życiu stosownym wzorem, upostaciować trafnie Cnotę i Hańbę, oraz aktualizować epokę i ducha czasu

w pouczającym obrazie. Otóż przesada w tym albo niedociągnięcie, choćby bawiły laików, zasmucą znawców, a krytyka jednego z nich więcej ważyć u was musi, niż pełna sala tamtych. Są aktorzy, sam takich widywałem i słyszałem, jak wychwalano ich wprost bałwochwalczo — którzy ani nie umieli mówić jak chrześcijanie, ani chodzić jak chrześcijanie, czy poganie, czy w ogóle jak ludzie, lecz puszyli się i ryczeli tak, jakby urodzeni fuszerzy udawali ludzi, i udawali źle, tak obrzydliwie zagrali człowieka.

I AKTOR — Postawiliśmy to teraz lepiej, mości książę.

HAMLET — Postawcie dobrze. A ci, co grają błaznów, niech mówią tylko to, co mają w roli. Bywają wśród nich tacy, co prychają bez potrzeby, aby rozśmieszyć pewną ilość niemądrych widzów, chociaż tymczasem trzeba uważać na ważną kwestię w sztuce: to okropne, fałszywa ambicja głupców. — No, idźcie się przygotować.

Scena trzecia

Wchodzą: Król, Rosencrantz i Guildenstern

KRÓL
On mi niemiły, narażam się przy tym,
Tolerując wariata. A więc baczność!
Otrzymacie służbową delegację,
Hamlet do Anglii pojedzie wraz z wami.
Byt państwa nie wytrzymałby już dłużej
Grozy nieobliczalnego ryzyka
Jego wyskoków.

GUILDENSTERN
Święty i uroczysty jest ten lęk
O bezpieczeństwo wielkiej rzeszy osób,
Co dzięki tobie, Najjaśniejszy panie,
Żyją i prosperują.

ROSENCRANTZ
Każdy bez wyjątku
Ma obowiązek zabiegać gorliwie
O swoje ocalenie, a tym bardziej
Duch, od którego szczęścia wprost zawisło
Pomyślne życie wielu: klęska króla
To nie jest koniec jednostki, to otchłań,
Co wszystko bliskie wciąga. To jest koło
Olbrzymie na majestatycznej górze,
Do szprych przylgnęły dziesiątki tysięcy
Istot pomniejszych — i z upadkiem koła
Skromne przyczepki, mizerne dodatki
Także zgruchoczą się. Dosyć, że westchnie
Król — jękiem odpowiedzą mu powszechnie

KRÓL Wyekwipujcie się na rychłą podróż.
W kajdany zakujemy tego stracha,
Co hula zbyt swobodnie.

OBAJ Już śpieszymy.

Wychodzą

Wchodzi Poloniusz

POLONIUSZ Do matki idzie, Najjaśniejszy panie.
Ja się umieszczę w głębi za arrasem,
Tak, aby słyszeć. Ona pewnie ostro
Upomni syna. Mądrześ, królu, radził,
By ktoś bezstronny słyszał tę rozmowę —
Z natury rzeczy zaś osobą taką
Nie może matka być. Najjaśniejszego
Pana odwiedzę jeszcze przed spoczynkiem,
I złożę raport.

KRÓL Drogi panie, dzięki.

Wychodzi Poloniusz

Och, smród mej zbrodni przepali niebiosa.
Najstarszym ona przekleństwem dotknięta:
Morderstwo brata... Modlić się nie mogę,
Choć chcę tak bardzo, jak silną mam wolę.
Wina mocniejsza mocny zamiar kruszy,
I jak ktoś, co dwie sprawy ma na myśli,
Waham się ciągle, od czego mam zacząć,
I psuję wszystko... Gdyby na tej dłoni
Narósł strup grubszy od niej ze krwi brata,
Zali dość nie ma dżdżu w niebiesiech słodkich,
Żeby ją obmyć — o tak, na biel śniegu?
Po cóż jest miłosierdzie, jak nie po to,
By spojrzeć zbrodni w lico? Jaka jest
Wartość modlitwy, jeśli nie dwojaka:
Że albo przed upadkiem uratuje,
Albo upadłym zjedna przebaczenie?
Głowę podniosę więc. Mój grzech — to przeszłość.
Lecz jaka ma być formuła modlitwy?
„Przebacz mi moje ohydne morderstwo"?
To niemożliwe, bo dzierżę i nadal
Korzyści, które przez zbrodnię zdobyłem:
Koronę, pychę sukcesu, królowę...
Jak chcieć litości, i grzech swój salwować?
W zdeprawowanych stosunkach światowych
Złocona zbrodni dłoń potrafi czasem
Wykiwać sprawiedliwość: zdobycz nieraz
Przekupi prawo... Nie tak jest tam w górze.
Tam już oszustwa nie masz, tam czyn świeci

Prawdziwą swą naturą — tam my sami
Po czoło, aż po zęby naszych grzechów,
Dowodami służymy. Więc cóż jeszcze?
Spróbować, co żal może? Wszystko może,
Lecz nic nie wskóra, gdy się nie żałuje.
Nieszczęsny stan! O, czarne jak śmierć łono!
Duszo w potrzasku, rwąc się ku wolności,
Gorzej się gmatwasz! Pomóżcie, anieli!
Więc na kolana! Ty, jak stal hartowne
Serce, bądź miękkie jak u niemowlęcia!
I wszystko może jeszcze dobrze będzie.

Wchodzi Hamlet

HAMLET

Modli się: teraz najlepsza okazja.
Teraz to spełnię. Więc pójdzie do nieba —
I taka zemsta? To trzeba rozważyć:
Łotr ojca zabił mi — w odwecie za to
Ja, syn jedyny, miałbym łotra posłać
Do nieba?
Toż to zapłata za dzieło, nie zemsta.
On ojca zgładził spasionego chlebem,
Z duszą nieoczyszczoną sakramentem,
W pełnym rozkwicie grzechów, jak maj bujnych —
Jaki rachunku stan, któż wie, prócz Boga?
Lecz wedle naszej ziemskiej kalkulacji
Ponura sprawa. I to ma być zemsta,
Że zginie w chwili, gdy oczyszcza duszę,
Kiedy jest gotów, dojrzały do drogi?
Nie.
Do pochwy, mieczu, chwyt poznaj straszniejszy,
Kiedy go zwali trunek, szał wściekłości,
Albo kazirodczego rozkosz łoża,
Gdy będzie grał, lub klął, lub czynił coś,
Co nie ma w sobie posmaku zbawienia.
Wtedy pchnąć, aż piętami wyrżnie w niebo,
A duszą czarną, potępieńczą runie
Do piekła, gdzie ma zostać. Matka czeka...
— Ten lek chorobę twą tylko przewleka.

Wychodzi

KRÓL

Słowa wzlatują, myśli się nie wznoszą.
Nic same puste słowa nie wyproszą.

przełożył **Witold Chwalewik**

JERZY PUTRAMENT

O niektórych zagadnieniach tematyki współczesnej w naszej prozie 1950-52

I

Gdybyśmy chcieli jednym faktem scharakteryzować rozwój naszej rewolucji kulturalnej — trudno byłoby znaleźć lepszy przykład niż ilość książek wydanych w ciągu jednego roku 1951. Tak jak ilością wytopionej stali mierzy się siłę gospodarczą danego kraju, tak nakłady książek są miernikiem jego siły kulturalnej. Otóż w ubiegłym roku wskaźnik ten osiągnął niespotykaną w naszych dziejach, astronomiczną liczbę ponad sto milionów.

Fakt ten dlatego powinien znaleźć się na początku naszych obecnych rozważań o sytuacji w literaturze, że określa dokładnie ogólne tło kulturalne, na którym rozgrywają się procesy rozwojowe naszej literatury. Świadczy on, że dominującym rysem dzisiejszej sytuacji kulturalnej jest niesłychanie szybki, gwałtowny wzrost produkcji dóbr kulturalnych, z których najważniejszym jest książka. Świadczy on także, że dzięki rewolucyjnej przemianie politycznej, gospodarczej i kulturalnej struktury naszego kraju — z każdym rokiem setki tysięcy i miliony robotników i chłopów dochodzą do kultury, docierają do książek, zaczynają w nich znajdować przyjaciela i nauczyciela swego życia.

Ten wzrastający nacisk nowego czytelnika nie może pozostać bez wpływu na świadomość literatów i ich twórczość. Dzięki coraz szerszej akcji występów literackich, dzięki wyjazdom w teren, dzięki wszystkim innym formom kontaktu pisarza z odbiorcami, zaczynają oni coraz lepiej zdawać sobie sprawę z wymagań stawianych im przez czytelnika, ze swoich obowiązków i zadań wobec społeczeństwa.

W jakim stopniu pisarze polscy te zadania spełniają? Byłoby błędem niedocenianie ich wkładu w dzieło rewolucji kulturalnej. W ciągu ostatnich dwóch lat literatura nasza przeżyła trudny proces rozwojowy, świadomość polityczna aktywu pisarskiego wzrosła, ukazało się sporo dzieł cennych i trwałych, zjawiło się kilku młodych, utalentowanych pisarzy i poetów, niejeden ze starszych przeżywa dzisiaj odrodzenie swoich twórczych możliwości.

Ale upajanie się tymi sukcesami, niedostrzeganie i niedocenianie naszych niewątpliwych słabości byłoby niebezpieczne i niesłuszne, tym bardziej że nie brak ocen krytycznych stanu naszej literatury, czasem bardzo poważnych.

Towarzysz Berman na październikowej naradzie trafnie określił sytuację w naszej literaturze mówiąc, że pisarze nie nadążają za przemianami i sukcesami w innych dziedzinach naszego życia. Sąd ten oznacza, że literatura rozwija się we właściwym kierunku, ale że rozwój ten jest zbyt powolny. Powinniśmy zastanowić się, co jest przyczyną tego stanu rzeczy.

Każde dobre dzieło literackie, niezależnie od epoki powstania, narodowości autora, epoki przez autora opisywanej, w ten czy w inny sposób, silniej lub słabiej, ale bierze udział w przekształcaniu świadomości społecznej naszego narodu.

Nasza literatura klasyczna, dzięki coraz szerzej prowadzonej akcji upowszechniania czytelnictwa, z każdym dniem coraz silniej oddziaływuje na

mieszkańców naszego kraju. Jej idee przewodnie, miłość ojczyzny, przywiązanie do ludu, szlachetna duma narodowa, zdolność do poświęcenia, bohaterstwo — te idee, które w warunkach kapitalistycznych czasem rodziły samotników i utopistów, czasem wyradzały się w szowinizm, chłopomaństwo, cierpiętnictwo czy awanturnictwo — dopiero teraz, w warunkach budowania socjalizmu, nabrały właściwej siły i znaczenia, stając się niezbędnymi składnikami świadomości nowego, socjalistycznego człowieka. Można powiedzieć, że Kochanowski i Krasicki, Mickiewicz i Słowacki, Prus, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Konopnicka, Żeromski — biorą dziś czynny udział w historycznej przebudowie naszego narodu.

Na szeroką skalę prowadzona akcja przekładowa wzbogaciła kulturę naszego narodu i pogłębiła jego świadomość. Światowa literatura klasyczna i postępowa literatura współczesna wszystkich narodów — po raz pierwszy w naszych dziejach przyswajane tak planowo i obficie — to jedno z ważnych zwycięstw naszej rewolucji kulturalnej.

Należy tu szczególnie podkreślić rolę przekładów z wielkiej literatury radzieckiej. Jak wykazują wszystkie (choć zbyt wąsko jeszcze przeprowadzane) badania naszego czytelnictwa, literatura radziecka, obok polskiej literatury klasycznej, cieszy się największą poczytnością zwłaszcza u nowego czytelnika, który dochodzi do kultury dopiero w wyniku zwycięstwa polskiej rewolucji. Czytelnik ten wykazuje przy tym dobry smak i zmysł krytyczny, wyróżniając swoją uwagą na ogół dzieła słusznie uznane za szczytowe osiągnięcia literatury realizmu socjalistycznego, jak np. Matka Gorkiego, Jak hartowała się stal Ostrowskiego, Opowieść o prawdziwym człowieku Polewoja, Daleko od Moskwy Ażajewa, Młoda gwardia Fadiejewa i inne. Fakt ten posiada dla nas duże znaczenie, także i całkiem praktyczne, wrócę też do niego później.

Nie ulega wątpliwości wreszcie, że dzieła współczesnych autorów o tematyce historycznej odgrywają dużą rolę nie tylko w rozwijaniu światopoglądu dzisiejszego naszego czytelnika, nie tylko wzbogacają jego kulturę ogólną, ale też przy właściwym ujęciu tematu — mogą i powinny mobilizować go bezpośrednio do pokonywania trudności budowy socjalizmu.

Ale przy całej wadze tych trzech wielkich działów: literatury klasycznej, postępowej literatury innych narodów i polskiej literatury o tematyce historycznej — jest oczywiste, że decydującą rolę gra literatura polska o tematyce współczesnej. Utwór literacki, który za temat ma jedno z węzłowych zagadnień naszego współczesnego życia, najszybciej i najskuteczniej kształtuje świadomość społeczną, w najbardziej bezpośredni sposób wiąże się z niełatwą walką naszego narodu o pokój i socjalizm i najsilniej może zaważyć na przebiegu i wyniku tej walki, od której zależne są losy i samo istnienie niepodległej Polski.

Dlatego, jeżeli chcemy rozważać przyczyny naszych opóźnień i słabości, powinniśmy skupić uwagę przede wszystkim na węzłowym, najważniejszym odcinku literatury, na tematyce współczesnej.

Zresztą odcinek ten jest nie tylko najważniejszy. Rozpowszechnione jest mniemanie, że jest on także najsłabszy. W ostatnim roku, w którym np. proza nasza może się poszczycić kilkoma pięknymi osiągnięciami, czasem wyróżniającymi się korzystnie na tle ostatnich kilku lat — chociażby najnowsza powieść Newerly'ego, Bieg do Fra-

gala Stryjkowskiego, czy Pokolenie Czeszki — nie trudno spostrzec, że tematem ich jest dalsza, czy bliższa przeszłość, albo teren nie polski. W spotkaniach z czytelnikami słyszymy często zapytania, czemu pisarze nasi dają społeczeństwu tak mało ciekawych i dobrych książek o tematyce współczesnej.

W poczuciu odpowiedzialności za losy literatury polskiej, odpowiedzialności przed społeczeństwem, którego poziom kulturalny i wymagania ciągle rosną — powinniśmy na naradzie obecnej zanalizować istniejący stan rzeczy, wyrobić sobie sąd o zakresie i charakterze naszych słabości, aby móc je najskuteczniej i najszybciej zwalczyć.

II

Ze względów ściśle praktycznych, nie mogąc przestudiować całego materiału, będę omawiał przede wszystkim jeden dział: prozę powieściową. Liczę, że dyskusja uwzględni szerzej inne rodzaje literackie — dramat, poezję, scenariusze filmowe, literaturę dla dzieci i młodzieży, satyrę. Sądzę zresztą, że byłoby niesłuszne mówić u nas o wyjątkowym opóźnieniu jednego tylko rodzaju literackiego. Słabości nasze mają charakter ogólniejszy, przyczyny sięgające szerzej i głębiej, dlatego analizując przede wszystkim prozę powinniśmy na jej przykładzie wykryć najważniejsze błędy, charakterystyczne i dla innych rodzajów.

Jak rozumiem tematykę współczesną? Oczywiście, pojęcie współczesności można znakomicie rozciągać i zwężać. Proponuję, by nie wpadać w jałowe dyskusje semazjologiczne — przyjąć, że dziełem o tematyce współczesnej nazwiemy taki utwór, którego akcja odbywa się całkowicie lub w znacznej części po wojnie, w Polsce Ludowej.

Tak pojęta tematyka rozpada się dosyć wyraźnie na dwa poddziały: tematykę „zaraz po wojnie", czyli tematykę okresu obejmowania i budowania władzy ludowej — i tematykę początków budownictwa socjalistycznego. To rozróżnienie ma pewien sens praktyczny.

Jak wygląda ilościowo tak pojęta literatura o tematyce współczesnej? Krążą czasem opinie, że zwłaszcza w ostatnich miesiącach, sytuacja pod tym względem wygląda krytycznie, że tematyka współczesna po prostu zanika.

Spróbowałem zrobić statystykę naszej prozy powieściowej, wydanej w ciągu dwóch lat, od II kwartału roku 1950 do I kwartału roku bieżącego włącznie. Nie gwarantując absolutnej ścisłości liczb ogólnych, ani zwłaszcza słuszności w zaliczeniu poszczególnych dzieł do tego czy innego działu tematycznego — chciałbym stwierdzić, że opinie o zaniku w ostatnim roku tematyki współczesnej nie odpowiadają prawdzie.

W ciągu dwóch lat ubiegłych, od kwietnia 1950 roku do końca marca bieżącego roku, wydano w Polsce ogółem 73 utwory oryginalne z działu pracy beletrystycznej czy reportażu powieściowego. Z tego do tematyki współczesnej zaliczyć można 29 utworów, czyli prawie 40%.

Zapewne i procent ten, i zwłaszcza liczby absolutne świadczą, że tematyka współczesna w prozie z pewnością nie zaspokaja potrzeb rynku czytelniczego. Ale gdy rozbijemy te liczby na okresy półroczne czy roczne, przekonamy się, że ogólna tendencja rozwojowa jest zdrowa.

Tak więc w półroczu od kwietnia do października roku 1950 wydano 16 utworów, w tym 5 o tematyce współczesnej, w następnym półroczu: 18 i 4, w następnym — 18 i 9, w ostatnim wreszcie — 21 i 11.

Innymi słowy, w ciągu roku od kwietnia roku 1950 do kwietnia 1951 roku wydano 34 utwory, w tym zaledwie 9 o tematyce współczesnej, podczas kiedy w następnych czterech kwartałach na ogólną ilość 39 utworów do tematyki współczesnej zaliczyć można 20 utworów.

Wynika z tego, że i ogólna twórczość prozaiczna choć wolno ale rośnie, i — co najważniejsze — tematyka współczesna zajmuje coraz więcej miejsca wznosząc się od dwudziestu kilku procent w pierwszym roku do ponad pięćdziesięciu — w drugim.

Niezależnie od tego, jak ocenimy te liczby, stwierdzić musimy, że o zaniku tematyki współczesnej mówić nie można, że na odwrót, udział jej w ogólnej twórczości powieściowej wykazuje tendencję wzrastającą.

Przeprowadzając z grubsza analizę tematyczną tego działu współczesnego, ujrzymy, że panuje w nim pewna różnorodność, że najważniejsze odcinki naszego życia współczesnego zainteresowały pisarzy i pobudziły ich do twórczości.

Tak więc odbudowie i budownictwu przemysłowemu poświęcone są książki: Bohdana Hamery — Na przykład Plewa, Tadeusza Konwickiego — Przy budowie, Mirosława Kowalewskiego — Kampania znaczy walka, Władysława Żesławskiego — Mirków ruszył, Romana Hussarskiego — Nowy mur, Aleksandra Ścibor-Rylskiego — Węgiel, Mariana Brandysa — Początek opowieści, Stanisława Kowalewskiego — Walka klas i Załoga Elżbiety, Aleksandra Jackiewicza — Penicylina, Stanisława Wygodzkiego — Jelonek i syn oraz Opowiadanie buchaltera.

Tematykę wsi powojennej poruszają książki Witolda Zalewskiego — Trakt ory zdobędą wiosnę, Władysława Rymkiewicza — Ziemia wyzwolona, Lesława Bartelskiego — Ludzie zza rzeki, Józefa Kuśmierka — Uwaga człowiek, Edwarda Marca — Słońce wschodzi, Edmunda Niziurskiego — Gorące dni, Józefa Mortona — Zapomniana wieś, Zofii Drożdż-Satanowskiej — Opowieść wierzbowa.

O dziejach naszego wojska, tej pierwszej cząstki Polski Ludowej mówią książki Janiny Broniewskiej, Janusza Przymanowskiego, Józefa Hena, Zofii Dróżdż-Satanowskiej, Władysława Machejka i innych.

Możemy wymienić całą grupę książek o tematyce morskiej: Janusza Meisnera — S/T „Samson" wychodzi w morze, Ireny Przewłockiej — Światło na maszcie, Michała Sumińskiego i Tomasza Domaniewskiego — Druga wacht a, Marii Bonieckiej — Nad wielkim zalewem, Franciszka Fenikowskiego — Zakręt siedmiu gwiazdków itd.

Mądre zioła Wojciecha Żukrowskiego — książka o pracy uczonego, Wielka próba Anny Kowalskiej — o odbudowie fizycznej i psychicznej inwalidów, Piątka z ulicy Barskiej Kazimierza Koźniewskiego — o trudnej drodze młodzieży powojennej do socjalizmu, Człowiek nie umiera Kazimierza Brandysa, Widzenie Wygodzkiego i wiele innych książek porusza te czy inne aspekty naszej współczesności. Także i sport doczekał się paru utworów literackich, jak np. Ich pierwszy start Adama Bahdaja, czy Opowieści sportowe Mariana Promińskiego.

Byłoby, rzecz jasna, błędem mówić, że wszystkie dziedziny naszego życia

zostały dostatecznie odzwierciedlone w twórczości prozaicznej. Można by nawet wymienić kilka wielkich i ważnych tematów, które nie doczekały się dotąd prawie wcale uwagi ze strony naszych prozaików. Wymieńmy niesłychanie ważną tematykę młodzieżową zwłaszcza dzieje walki ZMP o młodzież socjalistyczną, czy dzieje zaludnienia naszych Ziem Odzyskanych.

Charakterystyczne wreszcie, że tak wielki i malowniczy problem jak powstawanie z ruin nowej Warszawy dotychczas nie zainteresował należycie naszych twórców. Zresztą, jeśli nawet mamy parę utworów poświęconych węzłowej gałęzi naszego przemysłu — węglowi, nawet jeśli niektóre z nich z książką Ścibora-Rylskiego na czele należą do dobrych, trudno mówić, że wyczerpały już one tę tematykę.

Można jednak ogólnie stwierdzić, że wśród dzieł o tematyce współczesnej panuje na ogół pewna różnorodność. Słabości tej dziedziny nie płyną z pozostawienia odłogiem którejś z wielkich dziedzin naszej współczesności.

Innymi słowy dochodzimy do oczywistego stwierdzenia, że sprawa sprowadza się do kategorii jakościowej a nie ilościowej. Książek o tematyce współczesnej ukazuje się sporo, ilość ich wzrasta w ostatnim okresie, obejmują one dosyć różnorodny wachlarz zagadnień. Natomiast ich jakość pozostawia często dużo do życzenia.

Krytyka nasza od wielu miesięcy poświęca zagadnieniu jakości sporo uwagi. Modnym terminem stał się ostatnio schematyzm. Niewątpliwe wrażenie niedosytu, rozczarowania, które pozostawiają po sobie często utwory o tematyce współczesnej, zmusza do zastanowienia się nad jego przyczynami. Zapewne, czasem wynika to po prostu z braku talentu autora, wydaje się jednak, że poprzestawanie na tym wyjaśnieniu jest niesłuszne.

Nasi literaci i krytycy, czując niebezpieczeństwo, które zagraża literaturze o tematyce współczesnej — usiłują, czasem w prasie, częściej w rozmowach między sobą — wykryć jego przyczyny i szukać środków zaradczych. Nie brak przy tym pospiesznych uogólnień, ryzykownych hipotez, a czasem po prostu szkodliwych pogaduszek, których przeznaczenie sprowadza się do prób zahamowania czy wypaczenia realizmu socjalistycznego.

Tak więc niepowodzenie tej czy innej książki o tematyce współczesnej rodzi w pewnych kołach radosne szepty o bankructwie realizmu socjalistycznego. Czasem teoryjki takie przybierają osobliwą formę: rzekomo tematyka wiejska czy produkcyjna nie interesuje chłopów czy robotników, którzy znają na wylot życie wiejskie czy fabryczne i chcieliby w książkach znaleźć — ja wiem? — życie arystokracji? Dwa fakty ponad wszelką wątpliwość obalają te szkodliwe tezy.

Po pierwsze: duże sukcesy dramatów o tematyce współczesnej w zakończonym niedawno festiwalu amatorskim. Robotnicy i chłopi, grający te sztuki, nie tylko sami stworzyli kilka doskonałych postaci scenicznych, ale potrafili zainteresować współczesną tematyką dosłownie milionowe rzesze nowych widzów.

Po drugie: ogromne powodzenie arcydzieł radzieckiego realizmu socjalistycznego właśnie u nowego czytelnika polskiego świadczy, że kierunek realizmu socjalistycznego jest najlepszą drogą docierania literatury do nowych środowisk czytelniczych.

Analiza zbyt pochopna poszczególnych objawów zjawiska schematyzmu prowadzi niektórych krewkich krytyków do oczywistych nonsensów. Tak

na przykład Ludwik Flaszen w głośnym artykule, o którym mówiono na poprzednim plenum Zarządu Głównego, trafnie podpatrzywszy kilka typowych przykładów schematyzmu, jednym pociągnięciem pióra przyrównał naszą epokę literacką do murszejącego pseudoklasycyzmu francuskiego z wieku XVIII. Rozumując w ten sposób, moglibyśmy wiosenną grypę nazwać odmianą starczej gruźlicy — i tu i tam dokucza kaszel.

Trzeba stwierdzić, że na ogół krytyka nasza w ocenie schematyzmu zaszła niedaleko poza opis poszczególnych jego objawów. Próby głębszej analizy nie dały, jak dotychczas, zadowalających rezultatów.

Wydaje mi się, że główna tego przyczyna leżała w niewłaściwym interpretowaniu tych zjawisk. Traktowano je jako skutki słabości artystycznych, braków tak zwanego (nie wiadomo po co) warsztatu pisarskiego, niedoświadczenia pisarskiego, niechlujstwa.

Chociaż poszczególne te twierdzenia mają czasem trochę racji — (faktem jest między innymi, że znaczna część pisarzy pracujących nad tematyką współczesną — to debiutanci) — to jednak poprzestanie na płaszczyźnie artystycznej wypacza analizę schematyzmu i uniemożliwia jego zwalczanie.

Pierwszą i najważniejszą jego przyczyną są braki natury ideologicznej. Schematyzm rodzi się z nieznajomości naszego życia współczesnego, nierozumienia jego procesów rozwojowych, z interpretowania ich przy pomocy zwulgaryzowanych tez pseudomarksistowskich.

III

Podstawowe elementy utworu powieściowego — to postać i konflikt. Tak jak publicysta i krytyk rozwiązuje interesujący go temat przy pomocy odpowiedniego doboru rozumowych argumentów, a poeta — przez zestawienie obrazów poetyckich — tak prozaik (czy dramaturg) dobiera i zestawia postacie powieściowe.

Prozaik, który nie umie stworzyć „żywych", przekonywających postaci, nie może pretendować do miana realisty.

Co to znaczy „żywa" czy „pogłębiona" postać powieściowa?

Odczuwamy pewną postać powieściową jako „żywą" wtedy, gdy jej zachowanie się w utworze jest uzasadnione jej charakterem, uprzednio ukazanym przez autora. Charakter ten, wyrażony w działaniu, powinien składać się z kilku cech ze sobą jakoś zestrojonych (czasem nawet na zasadzie kontrastu).

Sprawą niezmiernej wagi, decydującą o losie dzieła powieściowego, jest przestrzeganie przez autora tej swoistej autonomii psychologicznej stworzonych przez siebie postaci. Naruszenie tej autonomii, zmuszenie tej czy innej postaci do działania nie uwarunkowanego zarysowanym uprzednio jej charakterem, rujnuje przeżycie artystyczne, niweczy zdolność oddziaływania utworu.

Bowiem cechą specyficzną literatury jest poprzez szczególne ukazywać ogólne, jest droga od konkretu do uogólnienia. Tylko wtedy czytelnik jest w stanie uwierzyć w dzieło powieściowe, jeżeli przyjmie stworzone przez autora postaci jako konkretne charaktery, a nie pseudonimy tej czy innej cząstki tematu powieściowego.

Czy położenie nacisku na psychologię postaci, na ich autonomię psychologiczną nie świadczy przypadkiem o zabłąkaniu się na bezdroża psychologizmu?

Oczywiście nie. Pojęcie psychologizmu odnosi się do kategorii celów utworu, a nie jego elementów. Jeżeli autor za cel stawia sobie analizę nie-

ważnych, wyjątkowych czy zgoła patologicznych „drgnień duszy" — jest to psychologizm. Ale jeśli pisarz dla ukazania tematu społecznego powołuje do życia pełne i pogłębione postaci i przestrzega ich autonomii psychologicznej — jest on oczywiście po prostu dobrym pisarzem realistycznym.

Zobaczmy, jak tę zasadę traktują niektórzy z naszych prozaików.

W powieści Edmunda Niziurskiego Gorące dni jednym z czołowych bohaterów jest „wahający się średniak", Klimek. Jest on w ZMP, należy do spółdzielni produkcyjnej. Ażeby sprawie dodać dramatyzmu, autor każe mu się zakochać w wychowanicy najgorszego kułaka wioskowego.

I postać powieściowa i konflikt służą między innymi po to, by utworowi dodać atrakcyjności, by czytelnik mógł przejąć się, wzruszyć, czytając ten utwór. Konflikt miłosny jest znakomitym, odwiecznym sposobem wywoływania takich wzruszeń.

Ale, by wzruszenie wywołać, autor musi zainteresować czytelnika swoimi postaciami, musi je jakoś pokazać.

Cóż my wiemy o Stefce, narzeczonej — a później żonie wahającego się średniaka Klimka?

Nazywa się Stefania Momot.

Jest bratanicą kułaka.

Ale ten kułak zrujnował jej rodziców, hitlerowcy zaś ich rozstrzelali za ukrywanie partyzantów.

I to wszystko. Autor ukazuje perypetie swego Klimka, jego wahania, reakcję towarzyszy Klimka na to małżeństwo, stwarza dramatyczne sytuacje i przez cały ten czas o osobie, która rozkochała w sobie bohatera, powodując przez to całą tę kaszę — nie wiemy nic poza powyższymi, ankietowymi zaiste danymi. Raz zdaje się mignie gdzieś w powieści, że ma czarne oczy.

Jeżeli niełatwo jest dać wyczerpującą definicję „pogłębionej" postaci powieściowej, to nie trudno ukazać przykład, czym jest postać papierowa. Taka Stefania Momot jest klasycznym przykładem groźnego zjawiska nieodróżniania przez pisarzy dwóch tak krańcowo różnych zjawisk życiowych jak postać powieściowa i dane z ankiety biura personalnego, ograniczone zresztą do rubryk: „pochodzenie społeczne" i „zawód rodziców".

Takich Stefanii Momotówien wiele się błąka na stronicach naszych powieści. Zamiast ludzi — paradują ankiety personalne. Cóż dziwnego, że powieści, w których działają, kochają się i walczą ze sobą takie ankiety, nie wywołują u czytelnika zachwytu.

Ale cherlactwo postaci powieściowych nie kończy się na ich ankietowości. Autor, niecierpliwy i nieumiejętny, obarcza często postaci specjalnymi poruczeniami, które od razu, od pierwszej chwili ukazania się danej postaci — demaskują ją wobec czytelnika.

Do fabryki farmaceutycznej pod Warszawą przychodzi księgowy Kawecki. Jeszcześmy go nie zobaczyli, a już wiemy: porządny ale formalista.

Zebranie w tejże fabryce. Przemawia świeżo przybyły dyrektor, specjalista, wrócił z Anglii. Referuje plan odbudowy. Wydaje się, że mówi do rzeczy. Autor nie ma czasu jednak, by postać tę jakoś budować, rozwijać. Przywołuje na pomoc aktywistę i każe mu tak rozmyślać:

„Wieczorek zacisnął zęby. Seyda mu zaimponował... Jednocześnie z uczuciem podziwu wzmacniało się przekonanie, że Seyda w swych planach uwzględnia samego siebie. Jakby to określić? — Seyda nie widzi ludzi, widzi siebie i swoje zadanie..."

A my, czytelnicy, jeszcześmy nie zobaczyli, że ten Seyda ludzi nie widzi.

Wiadomo, że alowska partyzantka czynnie i bohatersko dopomagała armii radzieckiej i polskiemu wojsku w wyzwalaniu kraju. Oto jak w błyskawicznym skrócie wygląda czasem rozwiązanie tego ważnego tematu:

Walka na terenie fabryki, zamieszanie, strzelanina. Niemcy pierzchają. Żołnierz wojska polskiego, Żak, styka się z robotnikiem fabryki, Wieczorkiem. Ich pierwsze repliki:

„Żak: Kto was uczył strzelać?

Wieczorek: Ratowaliście nasze aparaty!"

Zaiste „żywy obraz" na temat współdziałania w walce i odbudowie frontu i zaplecza. Siedem słów — i ważny temat odfajkowany.

Problem bezbłędnego, spiżowego bohatera pozytywnego sprawia czasem kłopoty i autorom, i krytykom. Znam malarza, który, aby uchronić obraz przed zbytnią cukierkowością, nie znalazł lepszego wyjścia, niż obdarzanie swoich bohaterów sifilisoidalnymi noskami, piegami, dzikim wyrazem oczu. Poniektórzy z naszych krytyków także proponują nieśmiało rozwadnianie tego spiżu jedną czy dwiema słabostkami w rodzaju skłonności do kieliszka czy uciech cielesnych.

Aleksander Jackiewicz, którego P e n i c y l i n ę właśnie cytowałem, nie szczędzi takich fizjonomicznych obciążeń swemu bohaterowi, Żakowi. Ten sympatyczny przedstawiciel I Armii posiada „...małe, żywe oczy, prawie bez brwi" i twarz szeroką, szerszą niż dłuższą.

Cóż to może jednak pomóc, jeśli w jednej z następnych scen tenże Żak wykazuje iście nadludzką skromność i samokrytyczność.

— „To jedna przykrość, a druga..." — mówi Żak — „nie wiem, co dowództwo sobie myśli: zrobili ze mnie sierżanta, mam objąć pluton. Rozumiecie? W listopadzie zrobili mnie plutonowym... wniosłem odwołanie. Przecież ja się czytać i pisać dopiero w wojsku nauczyłem... jestem kowal... A oni w odpowiedzi na odwołanie mianują mnie sierżantem..."

Dopiero gorące perswazje jego przyjaciół zmuszają Żaka do pogodzenia się z klęską awansu na sierżanta. Zaiste, trzeba być aniołem, żeby tak przyjąć awans — z plutonowego na sierżanta, więc awans średnich raczej wymiarów. Jak żałosne i bezskuteczne okazują się przy tej wzniosłości charakteru próby fizjonomicznego „uziemienia" tej postaci!

Moglibyśmy cytować dziesiątki dalszych przykładów świadczących o elementarnych błędach autora w traktowaniu tak węzłowego zagadnienia prozy powieściowej jak postać. Obok zastępowania charakteru danymi z ankiety, obok rysowania tego charakteru metodą „odgórnej" deklaracji odautorskiej, obok odlewania bohatera z pozłacanego spiżu— zatrzymajmy się pokrótce nad dwoma zagadnieniami z tejże dziedziny.

„Autonomia psychologiczna", o której wspominałem, nie oznacza, rzecz prosta, że zakładamy niezmienność charakteru ludzkiego. Na odwrót, jednym z najważniejszych tematów powieściowych naszej rzeczywistości — jest właśnie wyrastanie nowego człowieka, więc trudny, bolesny czasem proces wyzbywania się pewnych cech mieszczańskich, które kapitalizm wyrabiał nie tylko przecież u burżujów i inteligentów burżuazyjnych.

Wydaje się, że popełniamy często przy tym temacie dwa błędy.

Jeden — to, jak wspomniałem, spiżowość bohatera pozytywnego. Gdyby uwierzyć niektórym naszym powieściom, trzeba by przyjąć, że istnieje w naszym kraju pewna, odmienna z

gruntu od reszty, kategoria ludzi nieomylnych i bezgrzesznych, którzy na ziemię przyszli — jak Minerwa — od razu w stanie pełnej dojrzałości politycznej i moralnej.

Takie traktowanie bohatera pozytywnego z góry ogranicza jego zdolność przekonywania czytelnika. Przekonywający, porywający jest nie gotowy od razu ideał — ale proces wyrastania zwyczajnego człowieka na bohatera. Proces ten musi być uzasadniony i ukazanymi zawczasu cechami charakteru przyszłego bohatera, i — zwłaszcza — oddziaływaniem na niego środowiska i pracy.

Jeden z najpiękniejszych bohaterów pozytywnych literatury współczesnej, Pawka Korczagin, wcale nie zaczął od świadomego bohaterstwa. Właśnie dzieje jego doskonalenia się decydują nie tylko o wartości wychowawczej książki Ostrowskiego, ale i o subtelniejszej stronie jej atrakcyjności.

Drugi błąd, który nas zbliża do następnego elementu powieściowego, do konfliktu — to metoda ukazywania przełomu w charakterze.

Przełom charakteru — zdawałoby się — jest momentem szczególnego napięcia i nadaje się na jądro tematyczne, dajmy na to, noweli. Możemy wymienić niejedno arcydzieło naszej noweli, które zbudowane jest właśnie na takim przełomie, choćby Prusowa Katarynka. Także i w powieści taki moment pozwala rozwiązywać ważne elementy tematu.

Tymczasem spotykamy w naszej twórczości powieściowej wiele wypadków, gdzie właśnie przełom charakteru jest pominięty. Zrazu bohater jest taki, a potem od razu owaki. Dlaczego? Skąd ta przemiana? Nie wiadomo.

W pewnym opowiadaniu Władysława Żesławskiego występuje przodownik, który wprawdzie podjął indywidualne zobowiązania, ale nie chce pomóc innej brygadzie, mającej trudności. Przekonywują go i ci, i owi. Wzywa go na rozmowę egzekutywa Podstawowej Organizacji Partyjnej. Autor podkreśla, że i ta rozmowa nie przekonała upartego przodownika. A potem zaraz widzimy go, jak pomaga tym opóźnionym. Taka osobliwa dyskrecja sprawia, że czytelnik jest pozbawiony najciekawszego i najważniejszego momentu opowiadania.

Konflikt, którego jedną z prostszych form jest właśnie przełom charakteru, należy do słabych punktów naszej twórczości nie tylko powieściowej.

Konflikt dodaje utworowi dynamizmu, wywołuje wzruszenie, angażuje uczuciowo czytelnika, sprawia wreszcie, że utwór staje się atrakcyjny.

Otóż wielu naszych literatów i poetów boi się ukazywania konfliktu, albo czyni to w sposób rażąco nieporadny.

Najprostszą formą konfliktu jest kontrast. Przykładem szczęśliwego zastosowania kontrastu w wierszu — jest Sierpień Wiktora Woroszylskiego. Poeta w pierwszej części utworu ukazuje plany amerykańskie podporządkowania Polski poprzez „dobrych komunistów" typu gomółkowskiego. Na tle tych planów wyrasta historyczne znaczenie sierpniowego plenum, wyrasta bohaterstwo partii i wielkość towarzysza Bieruta.

Ileż jednak mamy wierszy, artykułów publicystycznych, czy nawet opowiadań i powieści, gdzie autorzy dla ukazania wielkości tego czy innego naszego sukcesu, po prostu nagromadzają superlatywy i dmą w monotonne fanfary myśląc, że w ten sposób wywołają entuzjazm czytelnika.

Tak nieporadny dramatopisarz łudzi się, że wywoła wesołość na widowni, jeżeli postaci na scenie będą pokładały się ze śmiechu.

Ale nie tylko metoda kontrastowego światłocienia zapomniana jest przez tego czy innego pisarza. Nierzadko obserwujemy zjawisko zwykłej ucieczki przed konfliktem.

W powieści Mirków ruszył Żesławskiego zbliżamy się przez kilka stron do dramatycznego momentu. Warszawa wyzwolona, robotnicy szykują się do uruchomienia fabryki. I w tej chwili zjawia się jej właściciel, który chce ją po prostu zabrać z powrotem. Paru aktywistów rusza, by mu to wyperswadować. Autor towarzyszy im aż do klamki mieszkania fabrykanta. A potem się ulatnia, dowiadujemy się tylko, że fabrykant zwinął manatki.

W wierszu Andrzeja Mandaliana z cyklu Wiosna sześciolatki, wymęczona całodzienną pracą brygada młodzieżowa nie chce iść pomóc na sąsiedni odcinek, gdzie się wydarzyła awaria. Działacz ZMP idzie, by ją przekonać. Autor zwięźle dodaje, że przekonał. I koniec. Czym przekonał? Jak przekonał? Nie wiadomo.

W jednym z opowiadań Stanisława Kowalewskiego ze zbiorku Walka klas dojrzewa konflikt między kierownikiem fabryki i władzami centralnymi, które chcą ograniczyć jej produkcję. Autor-opowiadacz nawiedza tę fabrykę, starannie unikając trafienia na drastyczną scenę, aż doczekuje się takiej uwagi od jednej z postaci opowiadania:

„Żałowałem, że pana tu nie było... Dramat dojrzał do punktu kulminacyjnego..."

My też żałujemy. Chętnie byśmy posłuchali tego dramatu, zamiast wierzyć autorowi na słowo.

Często autor nie ucieka wprawdzie przed konfliktem, ale przygotowuje go w taki sposób, że napięcie dramatyczne opada. Elementarnym tego przykładem jest wprowadzenie do utworu postaci z doczepioną „charakterystyką", jak to jest z Kaweckim czy Seydą w Penicylinie Jackiewicza.

W Gorących dniach Niziurskiego przy pierwszym swoim zjawieniu się „ksiądz-patriota" Szczotka — a) zapytuje, czy bohater podpisał Apel Sztokholmski, b) przepytuje go z katechizmu, c) — uprzedza, że Woś, członek spółdzielni produkcyjnej, jest człowiekiem niepewnym. Żebyśmy już nie mieli żadnych niespodzianek co do niedobrego Wosia — bohater zaraz po tym przyłapuje Wosia u kułaka Momota, gdzie ten zdrajca reperuje chomąto!

Powstaje w ten sposób osobliwa sytuacja, kiedy czytelnik z góry wszystko wie o niecnych planach wrogów spółdzielni i jest zmuszony jeszcze przez stokilkadziesiąt stronic obserwować nieporadność i brak czujności aktywu spółdzielni, który w żaden sposób nie może zdemaskować i Wosia, i jego panów. Podobnie autor przedstawia sprawę Ślimaka i Churysia. Wiemy o nich wszystko długo przed tym, nim autor zdecyduje się wreszcie doprowadzić do „spięcia". Powstaje oczywisty nonsens: spięcie spala na panewce.

Zamiast ze szczególną uwagą traktować najostrzejsze, najbardziej dramatyczne momenty powieści — autorzy często zbywają je paru zdaniami: w tejże powieści tak przedstawiony jest przełom w miejscowym kole ZMP.

Równie pobieżnie traktuje Roman Hussarski w Nowym murze przełamanie się załogi i przystąpienie jej do współzawodnictwa.

Moglibyśmy mnożyć przykłady niewłaściwego traktowania przez autorów dwóch decydujących elementów prozy powieściowej, postaci i konfliktu. Moglibyśmy również dyskutować, czy każdy z przykładów przeze mnie podanych jest trafny. Ale przecież nie chodzi

nam o wyliczenie wszystkich potknięć i recenzowanie poszczególnych powieści.

Chodzi w tej chwili o stwierdzenie, że nasi pisarze często budują swoje utwory nieumiejętnie i przez to sami osłabiają, ograniczają zdolność oddziaływania utworów na czytelników.

IV

Wspomniałem poprzednio, że główna przyczyna schematyzmu — to słabość ideologiczna autora. Wydawać by się mogło, że sam sobie zaprzeczam, skoro po takim twierdzeniu przeprowadzam dłuższą analizę kilku fragmentów powieściowych z punktu widzenia czysto artystycznego. Otóż postaram się udowodnić, że każdy z wyliczonych powyżej błędów wynika z niedostatecznego poznania społecznej i politycznej rzeczywistości naszego kraju i z interpretowania słabo znanych, źle rozumianych jej zjawisk przy pomocy zwulgaryzowanych tez pseudomarksistowskich.

Jednym z najprostszych przykładów schematyzmu, polegającego na niedocenianiu ostrości walki klasowej, która się u nas toczy — jest omawiana już wielokrotnie powieść Mirosława Kowalewskiego Kampania znaczy walka. Polityczne źródło schematyzmu jest w tym wypadku wyraźne: autor umieszcza akcję powieści w jesieni 1948 r., więc nawet przed ofensywą w kierunku socjalizmu, a trudności i konflikty, jakie się rozgrywają w powieści, pozwalają się łudzić, że wróg klasowy jest już u nas złamany, że niemal zbudowaliśmy już u siebie socjalizm.

Ten sam błąd popełnia Roman Hussarski w Nowym murze. Tu wprawdzie akcja rozgrywa się dwa lata później, ale też próżno byśmy szukali w naszej najbliższej rzeczywistości tak sielankowego odcinka życia, jak opisana przez Hussarskiego budowa. Przejrzyjmy pobieżnie postaci wrogów i typy konfliktów, występujących w powieści. Inżynier Sarat, kosmopolityczny architekt, który planuje formalistyczny dom wypoczynkowy dla robotników, bo cały żyje w nierealnym świecie architektury jako sztuki dla sztuki. Majster Balamos, który nie chce przyjąć współzawodnictwa, bo jest tradycjonalistą. Jego zastępca — niezdara i zawistnik. Pomagier zastępcy — drobny złodziejaszek i kanciarz, cudownie uzdrowiony w trakcie współzawodnictwa. Studentka architektury — niedbale spełniająca swoje funkcje kreślarki. I staruszka — powinowata bohatera, która marzy o znalezieniu skarbu w getcie. Reszta postaci należy do świata bohaterskiego.

Oczywiście, daleki jestem od żądania wprowadzania do każdej powieści postaci szpiegów i dywersantów. Oczywiście, ukazywanie konfliktów, nieantagonistycznych — jest potrzebne i słuszne, bo elementy socjalizmu w naszym kraju rosną z dnia na dzień i grają coraz większą rolę. Ale od powieści współczesnej powinniśmy żądać, by ukazywała nasze życie dziesiejsze w całej jego ostrości. Powieść, która izoluje wysepki życia socjalistycznego rosnące w dzisiejszej Polsce od całokształtu naszej rzeczywistości — nie może odegrać prawdziwej roli wychowawczej, nie pomoże naszym aktywistom, nie ostrzeże przed wrogiem, nie zahartuje do przezwyciężenia trudności, które mamy i które mieć jeszcze będziemy.

Dlatego powieści typu Kampania znaczy walka, czy Nowy mur — trzeba uznać za poważnie obciążone błędami politycznymi nie dostrzegania u nas walki klasowej.

Ale ten typ błędu, łatwy do wykrycia, nie należy do najpospolitszych.

O wiele częściej spotykamy objawy

innego błędu, trudniejszego do uchwycenia i przez to bardziej niebezpiecznego. Wypływa on z fałszywego pojmowania zasady typowości.

Cytowałem parę przykładów „ankietowej" budowy postaci powieściowej. Jeżeli zastanowimy się nad przyczynami tego niepożądanego zjawiska, dojdziemy do wniosku, że polegają one na nieodróżnianiu typowości psychologicznej od pochodzenia społecznego danej postaci.

Oczywiście, jeżeli przeprowadzimy znak równości między tymi dwiema kategoriami, to będzie to oznaczało koniec literatury pięknej.

Na szczęście żaden z prawdziwych marksistów nie wysunie i nie może wysunąć podobnie absurdalnego hasła. Nawet w wypadkach, które cytowałem, nie ośmielę się twierdzić, że autorzy świadomie identyfikują pochodzenie społeczne z „typowością" tworzonych przez siebie postaci. Sądzę po prostu, że ulegają pewnemu mętlikowi, nie umieją zdać sobie sprawy ze skomplikowanej istoty powiązań klasowo-charakterowych.

Co wynika z takiego zamieszania myślowego?

Elementarna zasada utworu literackiego: od konkretu do uogólnienia — zostaje obalona i odwrócona, zastąpiona groźną i jałową zasadą: od ogólnika do pseudokonkretu.

Klasycznym przykładem takiej budowy postaci jest cytowana już Stefania Momotówna.

Autorowi potrzebny był konflikt (ostry, klasowy!) — jest więc ona bratanicą kułaka. Ale chciał też dodać, że osobiście jest ona w porządku. Więc rodziców jej tenże kułak rujnuje, a hitlerowcy rozstrzeliwują za ukrywanie partyzantów.

I oto mamy postać — ankietę.

Gorące dni dostarczają takich przykładów więcej, choćby cytowany już „ksiądz-patriota", który zjawia się tylko po to, by zrównoważyć postać paskudnego księdza proboszcza i uratować zasadnicze proporcje złego i dobrego w naszym klerze.

Takie pomieszanie pojęć przybiera czasem formy szczególnie jaskrawe. W niezłej skąd inąd sztuce Warmińskiego Zwycięstwo w spisie postaci czytamy m. i.:

„Antonina Pietrzak — biedniaczka, Marcin Zajączkowski — biedniak, gospodarz, Józef Wypych — gospodarz, średniak, Leopold Jarząbek — bogacz wiejski" itd. Znajdujemy nawet interesujące pojęcie „upadłego biedniaka".

Mechaniczne uzależnianie typu ludzkiego od jego pochodzenia społecznego i przynależności klasowej jest jednym z najdotkliwszych przejawów schematyzmu i świadczy o wulgarnym pojmowaniu przez autora elementarnych zasad marksizmu.

Typów ludzkich jest nieskończenie więcej niż klas społecznych. Daleki jestem od twierdzenia, że przynależność klasowa nie wpływa na charakter człowieka. Na odwrót, w społeczeństwie klasowym cała mechanika kapitalizmu nastawiona jest na deprawację charakterów ludzkich, łamanie ich, dostosowanie do potrzeb klasy panującej. Deprawacja taka nie poprzestaje tylko na przedstawicielach burżuazji, sięga masy chłopskiej i nawet dociera do środowiska robotniczego.

Nie chciałbym również, by teza powyższa została zrozumiana jako żądanie ukazywania „ludzkiego oblicza" naszych wrogów klasowych. W pole-

mikach na temat schematyzmu, jednocześnie z hasłami dodawania cech ujemnych bohaterowi, żądano „uczłowieczania" wroga. Oczywiście nie o to chodzi, by pozytywny był nie całkiem biały, a negatywny — nie zupełnie czarny.

Chodzi o to, by autor pamiętał, że w jego kompetencji leży taki dobór postaci, które by najpełniej wyrażały społeczny, klasowy sens tego, co chciał autor powiedzieć.

Charakter postaci kształtowany jest jej tokiem życia, jej doświadczeniem osobistym, jej otoczeniem i pracą. Pobudki jej postępowania są wielorakie i choć, oczywiście, sprowadzają się do tego czy innego wspólnego mianownika jej przynależności klasowej, w ramach tej przynależności różnicują się nieskończenie. Chodzi o to, by pisarz, ukazując klasowy sens działania danej postaci, ukazał całe bogactwo ważnych, typowych dla danej epoki charakterów i losów ludzkich, nie poprzestał tylko na owym wspólnym mianowniku.

Identyfikowanie typu z przynależnością klasową zwęża, zuboża możliwości pisarskie, ogranicza zasięg utworu, a więc jest szkodliwe.

Rozróżnianie tych dwóch pojęć pozwala autorowi wyrażać pełniej rzeczywistość społeczną, daje mu do ręki zasób twórczych możliwości.

Nie sposób i nie trzeba kodyfikować wszystkich wariantów zależności między charakterem ludzkim i klasą społeczną. Jeżeli nie byłoby słuszne przedstawiać wroga tak, by wzbudzał litość, to można sobie doskonale wyobrazić, że przedstawiciel wrogiej klasy, ukazany jako człowiek osobiście uczciwy, tym silniej może wyrazić swoją społecznie szkodliwą rolę. Doskonałym tego przykładem jest Chorzyniak z Pieśni nad wodami, jak dowiodła tego tu, na tej sali, Wanda Wasilewska.

Czasem takie pomieszanie pojęć rozrasta się od postaci do konfliktu. W trzech powieściach: Gorące dni, Ludzie za rzeką i Wierzbowa opowieść — mamy do czynienia z konfliktem miłosnym, nie tyle między chłopcem i dziewczyną, ile między biedniakiem i kułaczką. Bohaterka Wierzbowej opowieści na swoje usprawiedliwienie może przytoczyć, jeśli nie tragiczne losy swoich rodziców, to przynajmniej pochodzenie społeczne matki, zabranej przez kułaka z biedniackiej rodziny. Dochodzimy tu do pojęcia biedniaczki „pół krwi".

Te próby usprawiedliwienia za wszelką cenę (nie przemianami psychologicznymi, jakby przystało pisarzowi) paskudnej ankiety personalnej bohaterki, pozwalają doszukać się w świadomości autorów elementów jakiegoś — bo ja wiem? — kalwińskiego determinizmu? Czyżby nie można było wyobrazić sobie dziewczyny, nawet z kułackiej rodziny, która — choćby na razie tylko z miłości — dostrzegła piękno i wielkość ludzkiej ideologii socjalizmu?

Mocny typ literacki może, oczywiście, symbolizować całą klasę społeczną. Znajdziemy na przykład u Gorkiego galerię postaci, reprezentujących rosyjskie mieszczaństwo, kułactwo, specyficznie rosyjskich, dorabiających się kapitalistów. Obraz literacki w takich wypadkach staje się naprawdę cennym elementem poznania życia. Pytanie: Co to jest mieszczanin? Odpowiedź: Artamonow. Pytanie: Co to jest inteligent-utopista? Odpowiedź: doktór Judym. I oto jest dowód zwycięstwa pisarza. Dowód dorzucenia przezeń istotnego szczegółu do świadomości społecznej. W takim wypadku literatura jest naprawdę twórczością.

Bo idzie od konkretu do uogólnienia!

Niestety, u nas częściej bywa na odwrót. Pytanie: Co to jest Klimek? Odpowiedź: To wahający się średniak.

Myślę, że powinniśmy szczególną uwagę poświęcić w ogóle zagadnieniu typowości — i postaci, i konfliktów, i tematów. Wydaje się bowiem, że w tej dziedzinie panuje u nas duże pomieszanie pojęć.

Zanalizujmy każdy dla siebie, co naszym zdaniem kryje się pod pojęciem typowości? Czy nie wypłynie przypadkiem półuświadomione przekonanie, że typowość — to w gruncie rzeczy statystyczna częstotliwość danego wypadku, postaci, cechy charakteru, zagadnienia? Że typowe jest to, co się częściej spotyka, niż co innego.

Jeśli tak jest — to znaczy nie przemyśleliśmy tego problemu, bo ujmujejemy go mechanicznie, statycznie. Nic nie jest bardziej obcego duchowi realizmu socjalistycznego, niż operowanie pojęciem statystycznej większości wypadków. Właśnie takie złudzenie mogło doprowadzić poszczególnych dramaturgów radzieckich do błędnej i szkodliwej teorii bezkonfliktowości. Bo, oczywiście, jeżeli przyjmiemy, że typowe równa się najczęstszemu — będzie błędem ukazywać na scenie radzieckiej lizusa, „rwacza" czy innych pogrobowców kapitalizmu, którzy nie są najczęściej spotykani, na odwrót — są dziś raczej wyjątkami.

Wydaje się, że pojęcie typowości polega na czymś całkiem innym. T y p o w e j e s t t o, c o w a ż n e. To jest to, co w danej sytuacji społecznej decyduje o powodzeniu czy niepowodzeniu danej sprawy. To, co pomaga, to, co przeszkadza.

Dotyczy to zarówno postaci, jak poszczególnych scen, wątków, konfliktów.

Natomiast, wydaje mi się, że jeżeli chodzi o temat — w ogóle nie można mówić o temacie typowym czy nietypowym. Każdy temat może być ujęty tak, że nabierze ważności. Nietypowe, nieważne lub fałszywe może być tylko wykonanie, rozwiązanie tematu przez autora.

Uderzając w pewną cechę, wyrażoną najjaskrawiej, w „nietypowej", rzadkiej jednostce — uderzamy pośrednio w tę cechę, którą inni posiadają także, ale w stopniu zbyt nikłym, by można ją było przekonywająco ukazać.

Jeżeli podzielimy omawiane utwory na tematykę „zaraz po wojnie" i tematykę budownictwa socjalistycznego — zauważymy pewne bardzo charakterystyczne zjawisko. W pierwszej grupie znajdziemy ostre konflikty klasowe, dramatyczną walkę, chwilami aż jakby atmosferę wojny domowej.

W drugiej — zwłaszcza w utworach o tematyce nie wiejskiej — gwałtowność konfliktów spada. Przykładem niech będą wymieniane już powieści Mirosława Kowalewskiego czy Hussarskiego, ale podobne zjawisko dostrzeżemy i w poezji i w dramacie.

Odnosi się wrażenie, że nasi autorzy bez trudu znajdują elementy rewolucyjne w pierwszym powojennym okresie, natomiast nie dość jasno widzą sytuację społeczno-polityczną w drugim okresie — w okresie budownictwa socjalistycznego. Zwycięstwo nad odchyleniem prawicowo - nacjonalistycznym jest — jak się zdaje — czasem rozumiane jako zbudowanie socjalizmu w naszym kraju.

Jeżeli jeszcze przyjmuje się powszechnie istnienie walki klasowej na wsi, to w mieście w środowisku robotniczym — jak się zdaje — zdaniem niektórych literatów walka klasowa właściwie została zakończona.

Nie chcę, rzecz prosta, generalizować takiego sądu, którego absurdalność jest oczywista. Celowo nawet wyolbrzymiam to zjawisko, by łatwiej mogło być poddane analizie i przezwyciężone. Z

niego bowiem wynika następne z kolei źródło schematyzmu w naszej literaturze.

Zwycięstwo nad gomółkowszczyzną było zwycięstwem idei budowania socjalizmu, było przyspieszeniem wyrastania elementów socjalistycznych w naszym kraju, które zaczęły się tworzyć od razu po objęciu władzy przez PKWN. Zwycięstwo to otwierało drogę do socjalizmu, to znaczy, oznaczało ono, że wstępujemy w nowy okres walki klasowej, bardziej zawziętej niż dotychczas, choć prowadzonej w innych warunkach i mającej mniej krwawy przebieg niż w latach zaraz po wojnie.

Jeśli dobrze rozumiemy te dosyć elementarne stwierdzenia — jak mogą powstawać powieści typu Nowego Muru? Jak mamy tłumaczyć trudności w ukazywaniu konfliktów budownictwa socjalistycznego w środowisku robotniczym?

Sądzę, że mamy tu do czynienia z bardzo charakterystycznym uproszczeniem pewnych podstawowych praw marksizmu-leninizmu.

Przypomnijmy sobie pewne zjawiska i nieporadności w ukazywaniu postaci powieściowych a zwłaszcza bohatera pozytywnego, o których była mowa poprzednio. Co oznacza tendencja do „ubrązowiania" takiego bohatera? Skąd się bierze lęk przed ukazaniem przełomu psychologicznego i niechęć do ostrych, dramatycznych zbliżeń? Sądzę, że wszystkie te zjawiska posiadają to samo źródło.

Wydaje się, że wszystkie te błędy wypływają z nierozumienia tak podstawowej sprawy, jaką jest proces rozwoju świadomości ludzkiej.

Naród nasz, ze swoją bohaterską klasą robotniczą na czele, od blisko ośmiu lat przeżywa najgwałtowniejszą przemianę swoich dziejów, staje się narodem socjalistycznym. Czy decydująca siła tej przemiany, klasa robotnicza, po zapoznaniu się z uchwalonym przed paru laty Planem Sześcioletnim, planem budowy podstaw socjalizmu — uzyskała przez to jako całość socjalistyczną świadomość?

Gdyby można było zmieniać świadomość mas społecznych przez najmądrzejsze, najsłuszniejsze nawet artykuły czy przemówienia — jak dziecinnie łatwym zadaniem stałaby się budowa socjalizmu!

Naród nasz, ze swoją klasą robotniczą na czele — budując huty stali, rozszerzając produkcję węgla, tworząc centrale elektryczne — słowem, stwarzając bazę techniczną, bazę materialną socjalizmu — stwarza w toku tej pracy elementy swojej socjalistycznej świadomości.

Budując materialną bazę socjalizmu w naszym kraju, budujemy socjalistyczną świadomość w naszych duszach.

Oczywiście, proces narastania tej świadomości jest nierównomierny. Tak, jak klasa robotnicza w swej całości reprezentowała i reprezentuje ogólny poziom świadomości, wyższy od innych klas społecznych — tak w jej łonie istniał i istnieje, rozszerza się aktyw, który już dzisiaj posiada świadomość socjalistyczną.

Ale najbardziej nawet uświadomiony aktywista, działacz partyjny, który do Polski Ludowej przyszedł z bogatym doświadczeniem walki rewolucyjnej, opanowawszy teorię marksistowską i znając problemy budownictwa socjalistycznego w Związku Radzieckim — także przecież przez te osiem lat musiał się niejednego nauczyć, niejedno zrozumieć, niejedną trudność przeżyć.

Bo — po pierwsze — nie miał osobistego doświadczenia w budowie władzy państwowej, w kierowaniu tym czy

innym odcinkiem dużego państwa; po drugie — musiał pracować w konkretnych niepowtarzalnych warunkach historycznych i swoją wiedzę, swoje doświadczenie musiał do nich dopasowywać.

Czyli musiał pokonywać trudności, musiał się uczyć, musiał wyrastać.

Nasi spiżowi bohaterzy pozytywni nie dlatego są źli, nieprzekonywający, że nie mają dziobatych twarzy, nie piją wódki, nie biegają za kobietami — tylko dlatego, że autor ukazuje ich często w postaci wszechwiedzących i nieomylnych nadludzi, spełniających czasem po prostu rolę *deus ex machina* antycznej tragedii.

Taka metoda nie tylko łamie kanony twórczości literackiej, zamazuje konflikty, pozbawia postać bohatera atrakcyjności, jest także nieprawdziwa, zakłamuje rzeczywistość.

Jeżeli bohaterowi pozytywnemu poniektórzy pisarze przyznają tę wszechwiedzę z góry, to wobec reszty postaci są oni również czasem niezbyt wymagający.

Kluczową sceną niejednej z naszych powieści czy nowel — jest zebranie. Zazwyczaj bywa tak, że w spółdzielni czy w fabryce są jakieś trudności. Na zebraniu, zwołanym dla pokonania tych trudności, okazuje się, że działa grupa wrogów, a masa jest niezdecydowana i nieuświadomiona. I wtedy właśnie znajduje się ktoś taki mądry, który wrogów demaskuje, nieuświadomionych uświadamia i trudności pokonuje.

Autor, który wierzy w taką uzdrowieńczą funkcję zebrań powinien pamiętać o jednej zasadzie. Marksizm nie jest prawdą objawioną, którą wystarczy poznać, aby dostąpić łaski wyższego wtajemniczenia. Jest on metodą poznawania rzeczywistości w celu jej rewolucyjnego przeistaczania. Poznać marksizm — to znaczy nauczyć się działać.

Dopiero działanie, praca — poprzez osobiste doświadczenie — zmienia świadomość ludzką, podnosi ją na wyższy szczebel. Zebranie może i powinno grać rolę przełomową w utworze wtedy, gdy bohater zaczyna na nim uświadamiać sobie sens już przeżytych, osobistych doświadczeń, zaczyna je uogólniać. I ten mądry, który oczy otwiera reszcie — uczynić to może tylko wtedy, jeżeli w swoim przemówieniu potrafi do tych osobistych doświadczeń słuchaczy jakoś się odwołać.

Można mieć różne zastrzeżenia do świeżo wydanej powieści Kazimierza Koźniewskiego — P i ą t k a z u l i c y B a r s k i e j. Ukazał on jednak — w sposób, moim zdaniem, przekonywający i słuszny — właśnie rolę osobistego doświadczenia w zmianie świadomości. Kilku chłopców, którzy wrogo odnosili się do naszej rzeczywistości — trafiwszy na pracę, która ich zainteresowała i dała możliwości rozwoju — zaczynają, z początku w b r e w s w e j w o l i, zmieniać swój stosunek do Polski Ludowej, zaczynają zmieniać się i wyrastać razem ze wzrostem elementów socjalistycznych naszego kraju.

V

Podsumujmy więc wyniki analizy elementów schematyzmu. Spróbujmy najzwięźlej określić, z czego się bierze, czym jest schematyzm i jakie szkody nam przynosi.

Zaryzykowałbym twierdzenie, że są trzy źródła schematyzmu.

Po pierwsze to, o którym pisali już u nas niektórzy krytycy, na przykład Flaszen.

Bezsprzecznie, pewne elementy schematyzmu wynikają po prostu z pośpiechu, niechlujstwa, z braku wyrobienia

literackiego, z lekceważenia formy artystycznej.

Sądzę, że praktycznie najgroźniejsze z tego jest lekceważenie atrakcyjności utworu.

Najsłuszniejsze nawet politycznie dzieło literackie nie spełni swego zadania, jeżeli będzie napisane niechlujnie i nudno. Po prostu dlatego, że nikt nie będzie chciał go czytać. I żadnym administracyjnym nakazem nie będziemy mogli nikogo do tego zmusić.

Sprawa talentu nie jest w ogóle bez znaczenia przy omawianiu schematyzmu. Byłoby jednak niesłuszne sprowadzać wszystkie jego objawy do stopnia uzdolnienia autora. Jeżeli najjaskrawsze przykłady schematyzmu znajdujemy na ogół w utworach słabszych, to wynikają one jednak z przyczyn, dających się uogólnić na wiele dzieł bezsprzecznie wartościowych.

Jeżeli poprzestaniemy na tej estetycznej płaszczyźnie wyjaśnienia schematyzmu — oczywiście, choroby tej nie uleczymy, kto wie, czy nawet jej nie spotęgujemy.

Drugim źródłem schematyzmu jest ciągle jeszcze niedostateczna znajomość naszego konkretnego życia społecznego.

Mimo dużych postępów w tej dziedzinie, byłoby kardynalnym błędem twierdzić, że literaci nasi znają dobrze cały rozmach naszego życia. Po pierwsze — bo nie wszyscy w ogóle mieli już okazję bliżej z nim się zetknąć, po drugie — bo tempo naszego życia jest bardzo szybkie i ten, kto był dwa lata temu na przykład w spółdzielni produkcyjnej — w tym roku już by jej nie poznał.

Trzecim źródłem schematyzmu jest nierozumienie procesów naszego życia, wynikające ze słabości natury ideologicznej.

Ideologiczna treść schematyzmu sprowadza się do w u l g a r n e g o s o c j o l o g i z m u w t r a k t o w a n i u p o s t a c i p o w i e ś c i o w e j i d o m e c h a n i s t y c z n e g o, n i e d i a l e k t y c z n e g o u k a z y w a n i a p r o c e s ó w r o z w o j o w y c h n a s z e j r z e c z y w i s t o ś c i.

Oba zjawiska nie są nowe. Analogiczne do nich zbłąkania zdarzały się w dziejach literatury radzieckiej, zwłaszcza w końcu lat dwudziestych i w okresie pierwszej pięciolatki, a więc w zbliżonych do nas warunkach polityczno-społecznych.

Przypomnijmy sobie klasyczne przykłady wulgarnego socjologizmu, na przykład w teorii literatury, które się podówczas zdarzały. Któryś z takich wulgarnych socjologów w swoim czasie próbował określić Lermontowa jako produkt rozkładu drobnoszlachetczyzny w warunkach wzmożonej penetracji kapitalizmu, w schyłkowym układzie pańszczyźnianym. Czyż nie uderza w tym — nie dosłownie cytowanym — przykładzie pewna zbieżność z naszymi Stefkami Momotównami? I tu i tam widzimy mianowicie tendencję tłumaczenia jednostkowych, niepowtarzalnych wypadków bezpośrednio przyczynami „społecznymi", z pominięciem tak ważnego elementu jak osobowość ludzka.

Że odgłosy wulgarnego socjologizmu zdarzają się i teraz — świadczy recenzja Zorina z powieści Wilisa Łacisa, słusznie napiętnowana przez grupę czytelników w P r a w d z i e.

Dodajmy nawiasem, że schematyzm nie jest chorobą wyłącznie tematyki współczesnej. Znajdziemy jego objawy i w pewnych utworach historycznych. Stosunek zaś niektórych naszych krytyków do literatury dwudziestolecia, a zwłaszcza do nurtu opóźnionego realizmu krytycznego, nosi na sobie jaskrawe piętno właśnie wulgarnego socjologizmu i niedialektycznego, antyhisto-

rycznego traktowania naszej niedawnej przeszłości literackiej.

Wreszcie trzeba stwierdzić, że zbliżone do naszych kłopoty ze schematyzmem przeżywają także niektóre inne literatury bratnich demokracji ludowych. Już przed rokiem zjazd pisarzy węgierskich sprawie tej poświęcił sporo uwagi. Dlatego niesłuszne byłoby lekceważenie jej i przemilczanie.

Niesłuszne także byłoby jej wyolbrzymianie. Schematyzm nie stał się u nas kierunkiem dominującym. Jego elementy w poszczególnych utworach nie zostały przez nikogo skodyfikowane w jakiś program literacki.

Nie ma u nas ani jednego krytyka czy pisarza, który by się podjął teoretycznego uzasadnienia schematyzmu i jego obrony. Innymi słowy — choroba ta nie zdążyła się u nas rozwinąć. Objawy jej zostały dosyć szybko spostrzeżone. Miejmy nadzieję, że obecne nasze narady staną się jej końcem.

Ten łagodny niejako przebieg schematyzmu mamy do zawdzięczenia w pierwszym rzędzie Związkowi Radzieckiemu, gdzie zwłaszcza wulgarny socjologizm przybierał w swoim czasie natężenie większe, gdzie też dawno nauczono się z nim walczyć. Ostatnia dyskusja o bezkonfliktowości w dramaturgii — przy wszystkich różnicach sytuacji społecznej w naszym kraju — daje nam niezmiernie cenne wskazówki teoretyczne i praktyczne. Bez niej zjawisko schematyzmu mogło by przedłużyć się u nas i przynieść nam szkody dotkliwsze.

Na czym te szkody konkretnie polegają?

Oto sucha formułka: mechanistyczne, niedialektyczne ukazywanie naszej rzeczywistości. Oto zarzut pod adresem tego czy innego utworu: niedostrzeganie ostrości walki, która u nas się toczy i trudności, które musimy przezwyciężać. Praktycznie i konkretnie: jakie szkody te błędy nam przynoszą?

W Początku opowieści Mariana Brandysa znajdujemy taką sytuację. Nowa Huta dopiero się zaczyna. Brakuje rąk do pracy. W całej Polsce lokalne organizacje ZMP rozpoczynają zaciąg młodzieży.

Brandys mówi, że były dwa podejścia do tej nad wyraz ważnej sprawy. Niektóre zarządy powiatowe mówiły: musicie jechać na Nową Hutę. Będzie wam ciężko. Miasto się dopiero rodzi na szczerym polu. Nie zabraknie na początku bałaganu. Ale od zbudowania Nowej Huty zależy przyszłość Polski. Razem zaś z Nową Hutą i wy wyrośniecie, zdobędziecie nowe kwalifikacje, staniecie się ludźmi.

Inne zarządy powiatowe mówiły: jedźcie na Nową Hutę. Ogromne miasto. Ludzi rozchwytują. Zostaniecie majstrami, będziecie się uczyć na techników, inżynierów. Dadzą wam mieszkania z łazienkami i radiem.

I te i tamte zarządy miały powodzenie. Młodzież zjeżdżała tłumnie. Ale zaraz na początku wybuchały wśród niej awantury, kwasy, żale. Część nie zostawała, uciekała po paru dniach.

Kto uciekał? Ci, którzy spodziewali się trudności, ale rozumieli wielkość zadania, czy ci, którzy liczyli na wygody i ułatwienia?

Trudno o lepszy przykład szkodliwości politycznej dzieła, które — jak niemądre zarządy powiatowe — zamiast ukazać prawdę naszej rzeczywistości, próbuje zwabić czytelnika do ideologii socjalizmu przez nagromadzenie tanich efektów, przez przemilczanie istotnych i nieodłącznych od wielkiego budownictwa trudności. Niedialektyczne ujmowanie naszej rzeczywistości, nierozumienie decydującej roli pracy dla zmiany świadomości, dla wyrastania człowieka, niewidzenie szerokiej perspek-

tywy historycznej naszych przemian, ale uganianie się za doraźnymi, łatwymi, nietrwałymi, czasem zgoła urojonymi sukcesami — to znaczy lukrowanie, to znaczy — zakłamywanie wielkiej prawdy naszych dni — nie wywoła entuzjazmu dla idei przebudowy socjalistycznej naszego kraju, nie wychowa nikogo, nie zahartuje. Dzieło tak napisane jest martwe — więc szkodliwe.

Niestety, ileż razy obserwować musimy w — niezłym nawet skąd inąd utworze — brak rozmachu, brak ukazania historycznej, wielkiej perspektywy naszego budownictwa, zastąpionych właśnie doraźnym lukrem tanich i naciąganych *happy end'ów*. W tym względzie literatura radziecka pierwszej pięciolatki czy obecne powieści z wielkich budów komunizmu — są ciągle dla nas niedosiężnym wzorem.

Niektórzy tłumaczyć się będą: Ja, owszem, chciałem ukazać trudności, ale redaktor, ale wydawca się uparł! Owszem i takie wypadki się zdarzają, bo czemuż właśnie redaktorzy i wydawcy mają być bez wyjątku mądrzejsi od literatów? Jeśli w środowisku pisarskim zdarzają się ludzie, którzy wulgarnie pojmują metodę realizmu socjalistycznego — to czemuż środowisko wydawnicze ma być wolne od tego błędu?

Ale trzeba z naciskiem przypomnieć, co P r a w d a odpowiedziała Mikołajowi Wircie, który stworzoną przez siebie „teorię" bezkonfliktowości tłumaczył mniej więcej tak: owszem, wymyśliłem, wiedziałem, że to głupie, ale co miałem robić? Tak mnie naciskali ci niedobrzy ludzie z naszego TOFu!

Jedno z dwojga: albo redakcja p r z e k o n a autora, że ten czy ów szczegół w jego dziele jest błędny — i wtedy niech on już nie zwala winy na kogo innego. Albo nie przekona — i wtedy niech się on nie zgadza na zmiany. Niech się odwołuje do nadrzędnej instytucji albo do opinii społecznej, choćby do naszego Związku! Niech wreszcie ma odwagę, gdy odwołanie się zawiedzie — wycofania swego utworu. Nie ma takiej siły, która by kogoś mogła zmusić do podpisania swym nazwiskiem rzeczy, uznanej przezeń za bzdurę.

Słowem: decydującym czynnikiem w tych sprawach jest zawsze autor.

Wulgarny socjologizm w traktowaniu postaci powieściowej przynosi szkody nie mniejsze.

Wiemy wszyscy, że rola literatury w nowym ustroju wzrosła ogromnie; przejawia się to między innymi w nacisku różnych instytucji, które żądają utworów literackich na ich resortowe niejako tematy. Wojsko chciałoby książek o wojsku, młodzież — o młodzieży, działacze wiejscy — o wsi, Liga Kobiet — o kobietach. Dlaczego?

Dlatego, że utwór literacki posiada zdolność głębszego i trwalszego oddziaływania na świadomość ludzką, niż jakakolwiek inna forma pisana — poza filmem fabularnym, który zresztą bez scenariusza literackiego jest nie do pomyślenia.

Na czym polega ta specyfika oddziaływania utworu literackiego?

Przypomnijmy sobie to, cośmy mówili o roli pracy w zmianie świadomości ludzkiej. Oznacza ona, że decydującym elementem tej zmiany jest uzyskane w toku pracy osobiste życiowe doświadczenie. Ażeby się zmieniła świadomość trzeba przepracować, przeżyć czynnie kawałek swego życia.

Otóż siła oddziaływania dobrego utworu literackiego polega właśnie na tym, że p o p r z e z l o s y s t w o r z o n e j p r z e z s i e b i e p o s t a c i p o w i e ś c i o w e j, p o p r z e z j e j o s o b i s t e d o ś w i a d c z e n i e, p r z e k a z u j e o n c z y t e l n i k o w i j a k b y n a m i a s t k ę d o ś w i a d c z e-

nia życiowego, którego ten czytelnik w swoim życiu jeszcze nie zyskał.

Mówi się, że czytając dobrą powieść, żyjemy życiem jej bohaterów. To znaczy — przeżywamy to, co oni już przeżyli. To znaczy zyskujemy sami doświadczenie życiowe. To znaczy zmieniamy w jakimś stopniu swoją świadomość.

Poprzez dzieje postaci literackich (czy obraz wzruszenia — w wierszu lirycznym) — odbiorca utworu w skrócie i w przyspieszeniu wzbogaca swoją świadomość, kształtuje niejako na wyrost swoją duszę.

Taki sens ma, moim zdaniem, genialna formuła Stalina o inżynierach dusz ludzkich.

Stąd ogromne znaczenie prozy powieściowej, dramatu czy filmu (i bzdurność tez wulgarnych socjologów o zmierzchu powieści, jako rzekomo „burżuazyjnego" rodzaju literackiego). Stąd ogromne znaczenie psychologicznej autonomii postaci, logiki jej losów, skończoności jej charakteru.

I to wyjaśnia od razu polityczną treść błędu „papierowości", ankietowości niektórych postaci, błąkających się na stronicach naszych książek czy na scenach naszych teatrów. Postaci takie nie kształtują świadomości odbiorcy, bo nie żyje on ich życiem, nie wierzy w ich życiową możliwość.

Tym groźniejszy jest ten błąd, jeśli — jak często się zdarza — dotyczy on bohatera pozytywnego. Bohater naszych czasów — to budowniczy socjalizmu, który wyrasta dokoła nas w trudzie i walce. Ukazać go tak, by porwał czytelnika — to znaczy przyspieszyć kształtowanie się świadomości socjalistycznej naszego społeczeństwa. To znaczy przyspieszyć przebudowę naszego kraju. To znaczy przyczynić się osobiście i bezpośrednio do zwycięstwa, od którego zależą losy naszego narodu.

Trudne to, ale najzaszczytniejsze, i najważniejsze zadanie pisarza polskiego. Jednym z warunków wykonania go jest uchronienie się przed błędami schematyzmu.

VI

Byłoby dużym błędem, gdybyśmy na podstawie poprzedniej analizy objawów schematyzmu w naszej literaturze, doszli do wniosku, że cała nasza tematyka współczesna nic nie jest warta.

W ciągu ostatnich dwóch lat ukazało się u nas sporo utworów o tematyce współczesnej, które są trwałymi osiągnięciami i świadczą o tym, że realizm socjalistyczny u nas rozwija się i pogłębia. Wymieńmy chociażby pierwsze utwory — jak: Traktory zdobędą wiosnę Zalewskiego, Na budowie Konwickiego, Na przykład Plewa Hamery, czy późniejsze, jak Węgiel Ściboro-Rylskiego, Początek opowieści Mariana Brandysa, Zwycięstwo Warmińskiego. Wysokie nakłady niektórych pozycji czy powodzenie sceniczne, liczne przekłady naszych współczesnych powieści na rosyjski, niemiecki, czeski, węgierski, rumuński, bułgarski — są obiektywnymi sprawdzianami ich dużej wartości. Zresztą sytuację w naszej prozie powieściowej charakteryzuje także fakt, o którym nie wolno zapominać: ukazanie się właśnie w ostatnim roku wspomnianych już poprzednio paru wybitnych pozycji. Wprawdzie pośrednio podkreśla to słabość tematyki współczesnej, ale jednocześnie świadczy o dużym ożywieniu twórczości, o postępach i sukcesach naszych pisarzy, o ogólnym kierunku rozwojowym, o wzroście naszej literatury.

Przy wszystkich swoich słabościach nasza twórczość o tematyce współczesnej już dzisiaj — po paru zaledwie latach — świadczy o największym prze-

łomie w dziejach naszej literatury. Żaden z kierunków literackich, które zjawiały się w naszych dziejach — nie mógłby poszczycić się tak potężnym przeoraniem utartych nawyków pisarskich, manier twórczych, nawet stylu życia naszych literatów, jak realizm socjalistyczny, który zyskał rolę dominującą dopiero przed trzema laty.

Wystarczy uzmysłowić sobie, jak nagminnie panowały różne odmiany formalizmu w świadomości pisarzy okresu międzywojennego, jak trudna była podówczas walka o zasadę społecznego pojmowania zadań pisarza, ile oporów musiał wtedy pokonywać nurt rewolucyjny — nie tylko u formalistów, ale i wśród kontynuatorów realizmu krytycznego, którzy nie od razu mogli zrozumieć decydującą dla dziejów ludzkich rolę Rewolucji Październikowej. Wystarczy uzmysłowić sobie, że i przez pierwsze cztery lata po powstaniu Polski Ludowej, formaliści i kosmopolici, burżuazyjni esteci i po prostu mętniacy różnorodnego autoramentu, z hałasem proklamowali u nas swoje teorie, mącili świadomość startujących podówczas literatów, wypaczali ich niedojrzałą jeszcze twórczość.

Dobrze jest od czasu do czasu zajrzeć do ówczesnych roczników naszych pism literackich i przeczytać sobie na nowo ten czy ów artykuł programowy, tę czy tamtą recenzję. Ukazuje to naocznie, jak olbrzymią drogę w ostatnich latach zrobiła nasza literatura — i w twórczości, i w literackiej ideologii.

Zanika coraz bardziej pojmowanie twórczości literackiej, jako funkcji „jaźni" i wyobraźni autora, oderwanego od wulgarnego, natrętnego życia codziennego. Ta wiara w samowystarczalność autorskiej jaźni, tak powszechna i typowa dla formalizmu — polegała oczywiście na nieporozumieniu. Najbardziej programowy formalista także nie był samowystarczalny, także operował doświadczeniem zdobytym w obcowaniu ze swym społecznym otoczeniem. Tylko, że otoczenie miał specyficzne, kawiarniano-snobistyczne, i do niego dopasowywał normy artystyczne swej twórczości.

Taka postawa twórcza należy dziś u nas do muzealnych zabytków. Nawet wśród pisarzy starszego pokolenia, którzy mieli czas nasiąknąć takimi nawykami, coraz szerszy staje się pęd do poznania konkretnego życia dzisiejszego, o czym świadczą choćby ich zgłoszenia na wyjazd w teren.

Typowy staje się u nas pisarz, który nie tylko za wstęp do pisania uważa pobyt w terenie, który pobyt swój traktuje nie jako beznamiętną obserwację dziejących się w terenie wydarzeń, ale sam bierze udział w tych wydarzeniach, służy radą i pomocą terenowemu aktywowi.

Półtora roku temu zetknąłem się z delegacją, udającą się na pewien kongres zagranicę. Była wśród nich chłopka, organizatorka jednej ze spółdzielni produkcyjnych. Dowiedziawszy się, że jestem literatem, z zachwytem w oczach zaczęła opowiadać, że u nich na wsi też był jeden taki literat, który tyle im pomógł w pokonaniu oporów nieuświadomionych mieszkańców wsi i tak się przyczynił do wyprostowania wstępnych nieskładności organizacyjnych.

Poczułem się dumny, słuchając tego opowiadania, jakbym sam był tym literatem. A zresztą częściowo miałem rację, bo należę do tego samego zespołu, co i tamten, do Związku Literatów Polskich.

Te zasadnicze zmiany w stylu życia i metodzie pracy nie mogą nie dać rezultatów. Uświadomienie sobie przez nas tej odwiecznej zasady, która leżała u podstaw wszystkich arcydzieł wszystkich epok i narodów, zasady, że two-

rzywem wszelkiego dzieła literackiego jest osobiste doświadczenie, uzyskane w obcowaniu z danym środowiskiem społecznym, uświadomienie sobie tej zasady i planowe jej stosowanie — wcześniej czy później musi przynieść nam nie dziesiątki — jak dotąd — ale setki dobrych utworów literackich.

Wcześniej czy później. Chcemy, żeby jak najwcześniej. Po to właśnie zebraliśmy się tutaj, aby obradować nad przyśpieszeniem rozwoju naszej literatury, rozwoju, który podąża w słusznym kierunku, który hamują jednak nasze słabości ideologiczne i organizacyjne.

Idziemy w słusznym kierunku. Czy słuszne jest przyjęcie społecznej postawy pisarza wobec swej twórczości? Czy słuszne jest ukazywanie w dziele artystycznym naszej rzeczywistości w jej rewolucyjnym rozwoju? Czy słuszna jest walka o to, aby nasza twórczość trafiła do rąk najszerszych mas naszego narodu? Któż by mógł zaprzeczyć?

Dzieła, które choćby częściowo realizują ten generalny plan działania naszej literatury, odgrywają pożyteczną rolę i autorzy ich zasługują na naszą pomoc i uznanie.

Nawet te utwory, z których cytowałem przykłady schematyzmu, posiadają swoje wartości, zasługujące na podkreślenie i świadczące o możliwościach rozwoju ich twórców. W Gorących dniach Niziurskiego od razu pierwsza scena wywołuje silne wrażenie swoją plastyką i napięciem. Postać Pałysa, przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej, daleka jest od schematyzmu i przedstawia udatnie ważny problem polityczny i niebanalny typ psychologiczny. Cała problematyka zresztą Gorących dni, ukazująca już nie zakładanie spółdzielni produkcyjnej, ale proces jej wyrastania, zasługuje na baczną uwagę.

Podobnie w Penicylinie znajdujemy wiele udatnych scen i rozdziałów, postaci Kaweckiego i zwłaszcza Seydy, wprowadzone nieszczęśliwie — rozwijają się później ciekawie i trafnie. Książka Hussarskiego posiada niejedną ciekawą postać — choćby kapitalny Balamos — i ma zresztą dobrą, chwilami porywającą atmosferę wysiłku ludzkiego, pracy.

Nasza tematyka współczesna — z trudem, oporami i błędami, nieodłącznymi od wszelkiej pracy nowatorskiej, zaczyna coraz pełniej ukazywać naszemu społeczeństwu ogrom przemian, które się dokoła nas dokonują. Spełnia ona najważniejsze zadania, przyśpieszenia przebudowy naszej świadomości społecznej. Wszelka krytyka powinna jeden cel mieć na względzie — przyspieszenie, rozszerzenie, polepszenie naszej twórczości o tematyce współczesnej.

Nasi koledzy, którzy poświęcili się tej pracy, mają prawo oczekiwać od nas pomocy, liczyć na nas. Pracują bowiem na najważniejszym, decydującym odcinku naszej literatury.

VII

Zwalczenie schematyzmu jest ważnym, ale nie jedynym punktem walki o tematykę współczesną.

Musimy bacznie uważać na recydywy formalizmu, psychologizmu czy po prostu mętniactwa. Właśnie w dyskusji o schematyzmie mieliśmy do czynienia z wypowiedziami świadczącymi, że formalizm nie jest bynajmniej do końca przezwyciężony w świadomości niektórych naszych krytyków i pisarzy.

Pośrednio świadczy o tym i fakt, że wśród piszących na tematy współczesne bardzo mało możemy spotkać nazwisk naszych wybitnych, doświadczonych pi-

sarzy średniego i starszego pokolenia. Trudności przestawienia się na nową metodę twórczą są zjawiskiem zrozumiałym. Składa się na nie przede wszystkim nieznajomość najważniejszych zjawisk naszego dzisiejszego życia. Ale kłopoty z wyzbyciem się dawnych pojęć o twórczości literackiej grają w tym rolę nie mniej ważną. Przezwyciężenie schematyzmu powinno pomóc naszym pisarzom między innymi i dlatego, że zrozumieją wielkie twórcze możliwości realizmu socjalistycznego, uświadomią sobie, że pewne ujemne cechy, przypisywane przez nich nowemu kierunkowi — nie tylko nie charakteryzują realizmu socjalistycznego, ale są jego wyraźnym zaprzeczeniem.

Musimy zachęcić tych pisarzy do tematyki współczesnej, rozszerzyć grono naszych nowatorów o starych, literackich majstrów.

Musimy także zwalczyć szkodliwe zjawisko ucieczki naszych najwybitniejszych krytyków do historii literatury. Tak wybitni krytycy, jak Kazimierz Wyka, Jan Kott czy Henryk Markiewicz, omawiając dzieła współczesne mogliby wiele dopomóc w uświadomieniu pisarzom kłopotów, które im przeszkadzają w twórczości.

Należy także sobie zdawać sprawę, że zdemaskowanie politycznych błędów schematyzmu stworzy możliwości wykoślawień innego rodzaju. Pospieszni w słuchaniu, nieskorzy do myślenia samodzielnego krytycy czy twórcy mogą teraz przeholować w innym kierunku — w kierunku naturalizmu.

Rzeczywiście, wysłuchawszy twierdzeń o „autonomii psychologicznej" postaci powieściowych, czy o wypadkach jednostkowej „typowości" — bardzo łatwo wpaść w nadmierny ferwor i rzucić się do malowania dziwaków, szlachetnych kułaków, zakłamanych aktywistów itp. „ważnych", w przekonaniu pospiesznego autora, więc typowych zjawisk.

Należy z góry ostrzec kandydatów do nowego naturalizmu: przyjęcie do wiadomości niniejszego referatu nie zwalnia nikogo od myślenia samodzielnego. Nie dajemy żadnych gotowych recept na dobry utwór literacki. Probujemy dać jedynie kilka punktów ogólnych — właśnie do przemyślenia i wyciągania samodzielnych wniosków. Określenie „typowości" — jako ważności nie oznacza żadnego przewrotu w realizmie socjalistycznym, jest tylko próbą zdefiniowania tego, co wszyscy rozsądni krytycy i pisarze i tak przez to pojęcie rozumieli, czego nie rozumieli tylko wulgaryzatorzy i talmudyści. Ta zasada wymaga jednego: ukazania przez autora ważności społecznej przedstawionego przez siebie zagadnienia, wypadku czy charakteru i — jak z tego wynika — nie oznacza bynajmniej zgody na naturalistyczne harce.

Ażeby dopomóc tematyce współczesnej, trzeba również dopilnować paru posunięć organizacyjnych.

Komisja Krytyki, powołana na poprzednim Plenum Zarządu Głównego — nie wykazała, jak dotychczas, żywszej działalności, choć, jak wynika z protokółu przedostatniego jej posiedzenia, zarysowało się sporo ciekawych i ważnych zadań przed nią stojących.

Powinniśmy dopomóc jej, aby jak najszybciej mogła skończyć wstępny, organizacyjny okres swego istnienia i zabrać się do roboty.

W roku bieżącym Zarząd Główny zaniedbał sprawę wyjazdów w teren. Powinniśmy jej poświęcić więcej uwagi. Należało by zainteresować się — kto i kiedy otrzymywał stypendia terenowe, jakie były wyniki wyjazdów, czym tłumaczyć należy, że sporo wyjeżdżają-

cych nie dało żadnego literackiego wyrazu swemu pobytowi w terenie. Brak takiego omówienia w roku bieżącym uznać należy za błąd Zarządu Głównego, i postarać się go odrobić jesienią. Bez uogólnienia dotychczasowych doświadczeń wyjazdowych nie będziemy mogli polepszyć tej dziedziny pracy, decydującej dla poprawy naszej twórczości o tematyce współczesnej.

Ważną rolę wobec tego działu twórczości gra także ogólna taktyka instytucji upowszechniających.

Zarysowują się tu dwie pozycje. Czasem zatroskany kłopotami rozwoju tematyki współczesnej krytyk czy organizator zaczyna czarno patrzeć na rzeczywistość, dzieła o tematyce współczesnej wydają mu się bardzo słabe.

Doceniając ważność tego zagadnienia, zaczyna on traktować twórczość o tematyce współczesnej jak śmiertelnie chore dziecko, lękając się wypowiedzieć głośniejszego słowa krytyki pod jej adresem.

Inni, wrogowie realizmu socjalistycznego albo ciaśni oportuniści — widząc te słabości i ciesząc się z nich, albo troszcząc się przede wszystkim o interes finansowy swojej instytucji — starają się w miarę sił i zręczności unikać publikowania dzieł o współczesnej tematyce.

Oba te — tak krańcowe — stanowiska znakomicie ze sobą współgrają. Ten żąda, żeby nie krytykować, ów stara się wykręcić przed opublikowaniem. Ten żąda, żebyśmy nie poprawiali tej twórczości drogą krytyki. Ów z tego się cieszy, łatwiej mu będzie powoływać się na nierozszyfrowane, a przecież widoczne słabości, by dzieło utrącić.

Tym dwóm stanowiskom: nie krytykować i nie publikować — przeciwstawić należy jedynie słuszne: p u b l i k o w a ć i k r y t y k o w a ć. Inspirować pisarzy do tematyki współczesnej, ułatwiać im zapoznanie się z naszym dzisiejszym życiem, pracować z nimi nad utworami, publikować i dyskutować publicznie nad zaletami i wadami tego, co powstaje. Nigdy jeszcze milczenie opinii nie pomogło twórczości.

Więc krytykować. Krytyk jednak też powinien zajmować postawę socjalistycznego realizmu wobec życia. Tak jak pisarz w swym utworze powinien ze szczególną troską ukazywać elementy nowego życia, tak krytyk, omawiając utwór, powinien ze szczególną uwagą potraktować nowe wartości w tym utworze. Bo są u nas i tacy „krytycy", którzy, w imię rzekomo „realizmu socjalistycznego", zjeżdżają utwór od początku do końca, nie pojmując, że nawet niewielkie, ale nowe jego wartości mogą czasem zaważyć na szali ogólnej jego oceny.

I oczywiście krytyka słabości naszej tematyki współczesnej tylko wtedy będzie owocna, gdy się ją będzie prowadziło z pozycji realizmu socjalistycznego. Wbrew niektórym pesymistom sądzę, że nie tak trudno jest rozszyfrować, z jakich pozycji krytyk dany utwór omawia i należycie takiego krytyka ocenić.

W ogóle należyty stosunek do krytyki jest rzeczą pierwszorzędnej wagi. Paniczny lęk, który przed najłagodniejszym słowem krytyki odczuwają niektórzy pisarze i poszczególne instytucje, wydaje się zjawiskiem niezdrowym. Procesy rozwojowe w twórczości literackiej nie są proste. Uświadomienia sobie ich prawidłowości, ich błędów i przyczyn tych błędów, nie osiągnie się bez szerokiej, publicznej dyskusji. Nawet jeżeli w toku tej dyskusji będą popełniane nowe z kolei błędy, nie mogą być one bardzo groźne.

Błąd w dyskusji — to rzecz do naprawienia łatwiejsza niż błąd w twórczości. Cóż z tego, że na naradach produkcyjnych iluś tam dyskutantów nagada głupstw, jeżeli narada zapobiegnie brakowi w produkcji.

Lęk przed krytyką jest błędem politycznym: dowodem niedoceniania siły naszego obozu. A tymczasem nie ulega wątpliwości, że w dziedzinie ideologii literackiej aktyw członków naszego Związku w ostatnich latach wyrósł niewątpliwie i błędne stanowisko tego czy innego, z całą pewnością zostanie dziś szybko sprostowane.

Ostatnia dyskusja o dramaturgii w Związku Radzieckim ukazała nam przykład prawdziwie twórczego zastosowania metody krytyki i samokrytyki. Błędy popełnione w dyskusji, zostały wyjaśnione i sprostowane, odpowiedzialność za błędy — sprawiedliwie podzielona między pisarzy i instytucje upowszechniające.

Niestety, zdarzają się u nas tacy, którzy od święta gorąco nawołują do uczenia się na przykładzie Związku Radzieckiego, ale w życiu codziennym próby wyciągania konkretnych wniosków ucinają magicznym zaklęciem: „jesteśmy na innym etapie".

Istotnie, jesteśmy na innym etapie. Cóż oznacza ten inny etap w sprawie na przykład stosunku do krytyki i samokrytyki? Oznacza, że właśnie u nas, w warunkach ostrej walki klasowej, poziom ideologiczny ogółu pisarzy jest o wiele niższy niż w Związku Radzieckim. Nie widzę lepszego sposobu, aby go jak najszybciej podnieść — niż właśnie toczenie gorących, zasadniczych dyskusji, które by pomogły nam uświadomić sobie błędy popełniane przez nas i w ten sposób je przezwyciężać.

Bo błędy — to nie rosa poranna, same nie wyparują.

Niechże nasza dzisiejsza dyskusja nad węzłowym zagadnieniem literatury polskiej, nad twórczością o tematyce współczesnej — stanie się gorąca, zasadnicza i owocna, taka, jaka jedynie sprzyja rozwojowi myśli ludzkiej i twórczości.

I niech jej linią przewodnią będzie troska, by ilość dzieł o tematyce współczesnej pomnożyć, jakość polepszyć. Niech każdy z dyskutujących uświadomi sobie, że w wielkiej sprawie walki naszego narodu o pokój i socjalizm jest pewne zadanie, którego nikt, poza nami, pisarzami polskimi, zrobić nie potrafi. A my wykonamy je najlepiej — ukazując naszemu społeczeństwu prawdziwy obraz naszego dnia dzisiejszego.

Jerzy Putrament

WŚRÓD KSIĄŻEK

IGOR NEWERLY: *Pamiętnik z Celulozy*, Twórczość nr X, XI, XII r. 1951, nr I, II, III, IV, V r. 1952.

„Moim zdaniem powinniśmy się co do tego od razu umówić, żeby potem nie było sporów, w jakim stopniu i w jakim celu to jedno, to Szczęsne życie odtwarzamy. Nie dla rozrywki ani dla sztuki — to jasne, o tym u nas już się mówiło. Pamiątka po czasach, które przeminęły. Dokument, budowla zabytkowa... Trzeba zatem możliwie najdokładniej i z największą oględnością. Jeśli czegoś brakuje, a nie wiemy, jak było naprawdę, to raczej puste miejsce zostawić, najwyżej jakimś ornamentem w tamtym stylu przesłonić. W każdym razie nic od siebie. Własnym domysłem możemy tylko strzaskane części pospawać albo dziury dla niepoznaki zakapać."

Wiemy dobrze, z jakim krytycyzmem należy przyjmować na ogół podobne wyznania autorskie. Czy rozpoczynając swój Pamiętnik z Celulozy od prawdziwych (czy też fikcyjnych) prób rekonstrukcji życia swego bohatera — zgodnie z prawdziwym (czy też fikcyjnym) jego pamiętnikiem — Igor Newerly zdawał sobie sprawę, że książka jego zamiar taki zdecydowanie przerośnie? Że zamieni się w dzieło, które z ust czytelników, coraz niecierpliwiej oczekujących pojawienia się każdego następnego numeru Twórczości z dalszym odcinkiem jego powieści, wyrwie owo radosne: nareszcie! Nareszcie powstaje utwór świetny, bujny, roziskrzony błyskami wyobraźni, nareszcie rodzi się bohater żywy, bliski, porywający pełnią swego bogatego, wspaniałego życia!

Może i trochę zdawał sobie z tego sprawę, skoro od razu ów skromny zamiar wiernego dokumentom kronikarza dalszymi rozważaniami u progu książki podważał, pisząc:

„Ja to wszystko bardzo dobrze rozumiem, tylko — wiecie — człowiek nie kamień. Wprawdzie mówimy — „oto nasza cegła, odbudujemy", ale ta cegła miewa przecież chwilę szczęścia i rozterki, cierpi, kocha i walczy. Czy można tak sobie brać i kłaść bez czucia, byle gładko, byle równo? Nie wzruszyć się, nie zacząć cudze przeżywać? A przeżywając jak swoje, czy można odpowiadać za tamtym, na jego sposób — nie po swojemu? Tego się najwięcej obawiam: co będzie, jeśli wypadnie u nas na dwa głosy?"

Nie wypadło. Wypadł jeden głos. Głos pisarza doskonale świadomego prawideł realistycznej, kipiącej życiem prozy, patrzącego na dzieje swego bohatera z tej perspektywy, jaką daje wielka wiedza o życiu, budząca szacunek suma doświadczeń własnych, która uczy umiejętności patrzenia na życie innych, głęboka mądrość artysty i polityka zarazem.

Polityka? Tak, na pewno. Chociaż się tego nie czuje, chociaż powieść ta tak bardzo się różni od utworów naszpikowanych natrętnymi sformułowaniami z gazetowych wstępniaków. Właśnie dlatego, że tego się nie czuje.

Wielka mądrość polityczna została tu zawarta w samym wyborze bohatera. W pełnym, wielostronnym pokazaniu jego życiowych losów, pełnym, nieuproszczonym przedstawieniu procesu jego rozwoju.

Życie bohatera musi się dziać, bohater musi się nim w toku powieści stawać, musimy wiedzieć o nim wszystko, co w tym stawaniu się czyni go dla nas ważnym, co czyni

go uosobieniem spraw przeżycia naszego godnych, ale jednocześnie także wszystko, co czyni go s o b ą, co różni go od innych.

Oto sprawa powiązania w powieści tego co t y p o w e z tym co i n d y w i d u a l n e, którą jakże pięknie rozwiązał Igor Newerly w przedstawieniu postaci Szczęsnego Bidy!

Dokument? Zabytek? „Pamiątka po czasach, które przeminęły?" Gdzie w literaturze kończy się „historia" a zaczyna „współczesność"? Walczymy w twórczości naszej o pełny obraz dnia dzisiejszego, mobilizujemy pisarzy do poznawania życia, które powstaje, do walki o tematykę najściślej współczesną. Ale pisarz wyjeżdżający w tzw. „teren", obserwujący życie nie zdawkowo, nie powierzchownie, nie w płaskim przekroju przelotnych rozmów, sięgający do źródeł zjawisk, które ogląda, natrafia na złoża materiału, który cofa go w głąb, nie wstecz, ale w g ł ą b dzisiejszej rzeczywistości. Natrafia on często na korzenie współczesności, na jej najbezpośredniejszy rodowód, tam, gdzie dziś rozwija się już nowe życie, na tamtym wzniesione. Dla pisarza „naturalna" granica współczesności przebiega nie tam, gdzie ją wyznaczyły wielkie historyczne przemiany będące dopiero r e z u l t a t e m tego, co już przedtem kiełkowało i burzyło się pod powierzchnią. Współczesność — powołam się tu na własne słowa, pisane niedawno w związku z kampanią o współczesną tematykę naszej literatury — sięga dla pisarza tak daleko, jak daleko sięga możność posługiwania się własnymi i innych ludzi żyjących doświadczeniami. Dopiero kiedy cofa się on poza ów krąg widzenia, kiedy zaczyna się konstruowanie spraw minionych metodą „pośrednią" — otwiera się „historia".

W rysach bohatera P a m i ę t n i k a z C e l u l o z y, Szczęsnego Bidy, odnaleźć można wiele cech pokrewieństwa z bohaterami poprzednich powieści Newerlego. Historia lat spędzonych przez Szczęsnego w Symbirsku, w kręgu tatarskiej „Mechmandary" przypomina żywo historię dzieciństwa „ruskiego doktora", „chłopca z Salskich Stepów". Dzieje Kuby Pruszczyka z A r c h i p e l a g u l u d z i o d z y s k a n y c h, sieroty marzącego o wyprawie do Meksyku, różnią się od tamtych tylko w zewnętrznych akcesoriach. Wspólna cecha bohaterów Newerlego — to niełatwe, niespokojne dzieciństwo, zmysł przygody, więcej, żyłka awanturnicza, stanowiąca znamienny rys ich charakteru. Literackiego rodowodu tych postaci szukać należałoby może wśród naszych postaci sienkiewiczowskich, może u Żeromskiego w P o p i o ł a c h, czy też... jest! Jest zestawienie, które niewątpliwie narzuca się najbardziej, natychmiast, kiedy myślimy o niezwykłych losach Szczęsnego Bidy: Cezary Baryka. Zestawienie, które wskazuje całą skalę podobieństw i różnic, różnic o ileż większych niż podobieństwa natury czysto zewnętrznej, na pewno nie najbardziej istotnej.

Ale jednak te podobieństwa są. Podobieństwa kolei losów, które każą i Cezaremu i Szczęsnemu poczuć w młodości wielki wicher rewolucji, choć nie rozumieją go jeszcze, nie ogarniają w pełni jego znaczenia. Wynieść z lat młodości wspomnienie o nim, poznać smak nowych, tworzących się dziejów, i zapamiętać, i porównywać... Inny obraz rewolucji dał nam w P r z e d w i o ś n i u Żeromski, inny daje Newerly. Inaczej potoczą się losy Baryki, inaczej Szczęsnego, dalej go doprowadzą, z innej perspektywy pozwolą spojrzeć w oczy historii. Ale w zestawieniu tych dwóch postaci — na tle wielkiego nurtu tradycji naszej prozy — kryje się coś więcej niż uznanie dla pisarza, który

umiał do tradycji tej twórczo nawiązać: kryje się w nim pouczająca prawda o kierunku rozwoju naszej literatury, rozwoju jej świadomości ideowej.

W postaci Szczęsnego odnajdujemy dawno już niespotykane w naszej literaturze nasilenie cech bohaterstwa, które porywa, zapala wyobraźnię. Od dawna już krytyka nasza wołała o taką prawdziwą, porywającą postać pozytywnego bohatera, od dawna już akcentujemy potrzebę nawiązania pod tym względem do najlepszych wzorów powieści radzieckiej — do postaci typu Pawki Korczagina czy Aleksego Meresjewa, a także do najlepszych wzorów realizmu wielkich klasyków. Zatracając perspektywy wielkiego realizmu literatura mieszczańska zagubiła bowiem rysy bohatera, owej postaci, o której pisał swego czasu Jan Kott, że musi być zawsze „wzorcem i miarą", że „musi być kimś, musi być określona".

Wkroczywszy na drogę walki o realizm socjalistyczny w literaturze od lat kilku zabiegamy świadomie i konsekwentnie o ową postać współczesnego bohatera, bohatera klasy robotniczej. Stworzyła już postać tego bohatera przodująca dziś w świecie wielka literatura radziecka. U nas rodzi się on powoli, przezwycięża głębokie opory, jakie kreacji jego przeciwstawia niepełna wiedza naszych pisarzy o współczesnej rzeczywistości, niedostateczne zespolenie się ich uczuć i wyobrażeń z prawdziwym obrazem walki i bohaterstwa naszych czasów. Z chwilą pojawienia się nowej powieści Newerlego staje się oczywiste, że zarówno wszystkie owe nieśmiałe próby dotychczasowe w powieściach Brandysa, Hamery, Rylskiego czy Czeszki, jak cały przebogaty materiał autobiograficzny Starego i nowego Lucjana Rudnickiego czy też pamiętników w rodzaju Matki i syna Albina Bobruka — to jak gdyby szczeble, po których wspina się nasza nowa literatura, by stworzyć wreszcie jego pełny powieściowy model, jaki daje nam Pamiętnik z Celulozy.

Nie chodzi tu oczywiście o zaznaczenie, że Newerly budując postać Szczęsnego w jakiś sposób opierał się na osiągnięciach dotychczasowych. Przeciwnie, można mieć głęboką pewność, że powstawała ona w dużym stopniu niezależnie od tamtych. Chodzi jedynie o ukazanie na tych przykładach niewątpliwego wzrostu naszej literatury w oparciu o coraz gruntowniejsze zespalanie się jej z nurtem naszej rzeczywistości obecnej i minionej, nurtem bohaterskiej epopei walczącego proletariatu.

Uderzające jest zwłaszcza zestawienie książki Newerlego z niedawno wydanymi wspomnieniami Bobruka, które swoim autentyzmem potwierdzają w pełni głęboki realizm Pamiętnika z Celulozy, ukazują typowość wybranego przez pisarza wątku, zaskakują podobieństwem dróg rozwoju bohatera autentycznych wspomnień i bohatera powieści.

Tylko że o Szczęsnym Bidzie nie wystarczy powiedzieć, jak o bohaterze Matki i syna, że jest to jeden z szeregowych ośmiomilionowej armii tzw. „ludzi zbędnych" na wsi w Polsce sanacyjnej, którego los kieruje konsekwentnie ku uświadomionej konieczności związania się z ruchem rewolucyjnym. Szczęsny Bida to coś więcej, to wielka kreacja pisarska, człowiek, który reprezentując tę pełną typowość losu milionowych rzesz ludzi w Polsce, przed którymi rzeczywistość burżuazyjna zamknęła wszelkie drogi życiowe, jest jednocześnie tylko jednym i więcej niż jednym z owych milionów. Jest nie tylko jednostką „autentyczną", jako autor wspomnianego pamiętnika, ale jednostką sumu-

jącą w sobie cechy wielu być może postaci, jednostką w pełni ludzką, a przy tym — powtórzmy raz jeszcze — bohaterską i porywającą, typową, ale nie przeciętną.

Wydaje mi się, że jeżeli chodzi o wybór i ukształtowanie cech głównej postaci powieści, dwie zwłaszcza rzeczy wymagają podkreślenia. Po pierwsze — wpływ literatury realizmu socjalistycznego, a więc przede wszystkim literatury radzieckiej, na samą koncepcję ideału człowieka, człowieka już socjalistycznego, choć powieść dotyczy epoki — jeśli idzie o teren, na którym rozgrywa się jej akcja — kapitalistycznej. Od tego ideału daleki jest Szczęsny na pierwszych stronicach powieści, do niego jednak stale i konsekwentnie zdąża w swej życiowej ewolucji, na jego modelu formuje swą osobowość, napotykając na swej drodze postaci ofiarnych działaczy KPP — Marusika, Olejniczaka, Borzęcką. Nie widzę dotąd w powieści polskiej równie pełnego artystycznie modelu człowieka, którego wychowuje Partia i życie w służbie rewolucji. Uderza tu zwłaszcza oddziaływanie tego, co w literaturze socjalistycznej stanowi ideał wychowawczy w najgłębszym, najbogatszym znaczeniu tego słowa. Newerly to prawdziwy pisarz-wychowawca, prawdziwie mądry pedagog, nie ten, który moralizuje, ale ten, który wciąga, umie zainteresować i poprowadzić za sobą w sposób pewny, niechybny. Nie jest przypadkiem, że do świetnych osiągnięć artystycznych pisarz ten doszedł poprzez książki dla młodzieży.

Dla młodzieży, ale jakie! Za mało i nie dość dobitnie podkreślano u nas wartość dwóch poprzednich powieści Newerlego, zwłaszcza Chłopca z Salskich Stepów. Ileż tam życia, ile przygód, ile postaci, ile barwności! Czytając je zadawałem sobie od czasu do czasu pytanie, czy aby istotnie są to książki dla młodzieży? Czy nie za trudne, czy nie dla wychowawców raczej? Tyle tam wiedzy o życiu, tyle nagromadzenia faktów! Ale zaraz potem myślałem: nieprawda. Młodzież jest chłonna, żądna wiedzy i faktów. Ciekawa niezwykłych przygód i niezwykłych postaci. Przeciwnie, to ci, co ją zanudzają mdłą papką morałów i wiadomości o tym, co matula ugotowała na obiad i czego Maciuś dowiedział się w szkole, ci właśnie mają o pedagogicznym podejściu do młodzieży takie pojęcie jak Zagłoba o Awicennie. Chłopca z Salskich Stepów i Archipelag może czytać z zainteresowaniem każdy dorosły, ale przede wszystkim są one świetną literaturą dla młodzieży, starszej oczywiście, literaturą pobudzającą, o dużych walorach poznawczych. Te wielkie zalety Newerly przeniósł i rozwinął w Pamiętniku z Celulozy, w książce już nie dla młodzieży, zważywszy na niektóre jej partie, choć pewien jestem, że młodzież czytać będzie także i ten utwór świetnego pisarza, bo któż z nas nie sięgał po literaturę „dla dorosłych" już wtedy, kiedy nauczyciele lub rodzice radzi nas byli wciąż jeszcze karmić Amicisem i Przyborowskim.

Druga sprawa wymagająca podkreślenia — to głębokie osadzenie typu bohatera książki w nurcie narodowych tradycji naszej literatury. Wspomniałem już o filiacjach z Sienkiewiczem i Żeromskim, ale nie o poszczególnych autorów tutaj chodzi, różnych od Newerlego i w postawie ideowej, i w rodzaju artyzmu.

Szczęsny jest indywidualnością i jest jakimś wykładnikiem postaw spotykanych u ludzi jego klasy społecznej. Poszczególne cechy jego charakteru pod-

legają zmianom, kształtują się, na tym polega jego rozwój. Kim innym jest on na początku, kim innym u końca swojej drogi. Jest przedstawicielem ludu polskiego, jest proletariuszem, który wyrósł w szczególnych warunkach trudnej walki w ustroju kapitalistycznym.

Stąd u Szczęsnego i wielu jego towarzyszy owo szczególne oblicze romantyki rewolucyjnej, junackiej fantazji, której obraz daje nam książka. Przypomnijmy sobie ów czerwony sztandar, który w dniu pierwszym maja zatknęła na szczycie komina Celulozy czyjaś „natura mimo czterdziestki psotna, chłopięca". Przypomnijmy sobie wszystkie owe sposoby, jakimi bohaterowie Newerlego wyprowadzają w pole policję i szpiclów, przypomnijmy zarówno brawurę i odwagę poszczególnych akcji i przedsięwzięć, jak nieodstępnie towarzyszący im ludowy humor, epizody w rodzaju tego, który kosztował Szczęsnego rok więzienia, kiedy drucianym prętem kłuł ukrytego w furze z chlebem policjanta, lub ten, którego bohaterem jest szewc Łąpieć, co kapitaliście Koneckiemu zupę z talerza wyjadł. A historia wiciowca Jasieńczyka o hrabim Dojmuchowskim, co chciał Forda zrobić królem polskim! A „wykołowanie" policjantów, szukających rannego Staszka „Co robiącego"!

Pod tym względem jest coś niewątpliwie pokrewnego w prozie Newerlego oraz w Starym i nowym Rudnickiego: właśnie owe typy bohaterów, właśnie ów humor, właśnie owa fantazja. Tylko że powieść Newerlego jest czymś więcej, bo wokół dziejów bohatera obrasta bujnie tkanką epicką, wspaniale odmalowanym obrazem przenajróżniejszych środowisk, bogatą, wielostronną panoramą życia epoki.

Ileż prawdy i odkrywczości jest tu w rysunku samych tylko postaci! A jaka ich ilość! I wszystkie się pamięta, i żadna nie jest nieokreślona. I każda jest inna!

Newerly może służyć za wzór naszym pisarzom, którzy nie bardzo wiedzą, jak należy malować postaci typowe w typowych okolicznościach. Może służyć za wzór tym, którzy sądzą, że wystarczy każdą z nich określić pod względem przynależności klasowej, by czytelnik miał o niej dostateczne pojęcie, by ją zapamiętał. Przyjrzyjmy się tym postaciom, zobaczmy, jak pisarz to robi, że są żywe, że trzeba by wielu stronic, aby wyliczyć wszystkie, które pozostały w naszej pamięci, choćby naszkicowane były jednym tylko zdaniem.

Oto ojciec Szczęsnego, stary cieśla, zręczny w robocie tak, że zapałki na czworo siekierą przerąbuje: marzy o własnym domku z ogródkiem, a kiedy ów cel swego życia osiąga — sprzedaje pokryjomu z ogródka kwiaty, by uzbierać za nie pieniądze na własne miejsce na cmentarzu. Typowa postać starego robotnika, konserwatywnego, nieuświadomionego klasowo. Ale typowa — dlaczego? Bo określona, bo zindywidualizowana cechami, które charakteryzują ją tylko i typowa naprawdę dopiero dzięki tym cechom.

Troje rodzeństwa: każde reprezentujące omienny typ życiowy. Weronka, „ofiara rodzinna", ciemna i pobożna, później groźna i zbuntowana. Oportunista Walek, Kachna, drżąca przed utratą posady z powodu brata komunisty. Znów postacie typowe i znów dlatego typowe, że wyraźnie zindywidualizowane.

Ludzie z Celulozy: wspaniały Korbal — egzemplarz doprawdy okazowy, typ iście balzakowski! Daleko zajechał ten „łobuz od korony polskiej": z „bezrobotnej łączki" przed Celulozą, przez chadeckie związki zawodowe, podlizywanie się dyrektorowi Panderze i małżeństwo z córką rzeźnika — aż na posła z BB!

Gdzie spotkacie takiego drugiego? Korbal akurat taki mógł być na pewno tylko jeden. Ale jako uosobienie pewnych cech swego gatunku pozostanie w naszej literaturze.

A dyrektor Pandera! Typowy dyrektor kapitalistyczny, „dobry dyrektor", dobrze oszczędzający na robotniczych zarobkach. Ale nie to pomoże nam go zapamiętać, że na jego przykładzie zobaczyliśmy w całej okazałości wielką mechanikę wyzysku: to właśnie ową prawdę o mechanice wyzysku zapamiętamy dlatego, że zapamiętaliśmy indywidualnego Panderę, który był Węgrem, strugał sobie patyczki na placu przed fabryką, i mówił „dobra chlopa" i „dżenkujem bardzo".

„Nijakiego" Gawlikowskiego zapamiętamy dlatego, że hodował ptaszki i zawadiackiego szpaka nazwał „stupajką", a potem drewniane, kiwające się ptaszki z kulką ołowianą strugał i z tego żył, gdy wyrzucono go z fabryki. Wielkiego Olejniczaka zapamiętamy, bo powłóczył nogami po kajdaniarsku i mały Staszek Corobiący, kiedy go poznał, wołał na niego „tutka słomiana, tutka słomiana". A Staszka — właśnie po owym „corobiący". Czy to są cechy typowe? Nie, to są cechy indywidualne, ale właśnie dzięki nim określeni przez nie ludzie mogą stać się typowymi.

A postaci kobiet! A Zocha Czerwiaczkowa! A Ewa Lubartówna! A mała Brońcia-Brajnyśkie (w ogóle cała rodzina Lubartów)! A Madzia! Kto drugi w naszej literaturze potrafił tak pokazać dziewczynę z Partii, wytrawną konspiratorkę, nie tracąc niczego z pełni jej kobiecego uroku, oddając całe bogactwo jej niezwykłej indywidualności?

A postaci ze środowiska wojskowego: chorąży Pawłowski, historia kapitanowej, co czytała Wiadomości Literackie, major Stuposz z dwójki! Co za figury!

A ów „Pekin" na Starówce, jeden z jakże licznych warszawskich „Pekinów", gdzie Chińczycy tresują karaluchy, gdzie mieszka przedziwny „komisarz", który idąc później na szubienicę zostawia w spadku kawał sznura szubienicznego „Szczęsnemu na szczęście"!

Są wśród tego wszystkiego typy i sytuacje zupełnie wyjątkowe i zupełnie niezwykłe, jest w Newerlym jakaś ogromna pasja poszukiwacza przygód, niezwykłości i nawet pewnej egzotyki, pasja doprawdy rzadka we współczesnej naszej prozie, doprawdy wyjątkowa, przypominająca świat postaci Balzaka w jego K o m e d i i l u d z k i e j. I podobnie jak u Balzaka niezwykłości i wyolbrzymienia nie tylko w niczym nie umniejszają wielkiego realizmu pisarza, ale właśnie nadają mu pełny, prawdziwy kształt, tak i u Newerlego ani tresowane karaluchy, ani historia stryczka po komisarzu nie tylko nie rozbija wielkiej realistycznej typowości jego obrazu, ale przeciwnie nasyca ją bogatą wibracją życia w tysiącu odmian, nieskończenie rozmaitych.

Zwróćmy uwagę, że żadna z ważniejszych postaci u Newerlego nie jest statyczna. Każda z nich prawie zmienia się w toku akcji, coś się z nią dzieje, jakoś się rozwija. Wielka metamorfoza Korbala, dwie perspektywy, z jakich oglądamy Madzię, droga życiowa Czerwiaczkowej, dorastanie małej Brońci, przeistoczenie się Weronki, kształtowanie się osobowości Walka i Kachny, dojrzewanie ideowe Gawlikowskiego, Władka Żebro, Jasieńczyka — nic tu nie pozostaje na miejscu, wszystko się zmienia!

I zmienia się nie na rozkaz, nie dlatego, że autor nam wmówił czy zreferował, ale z konkretnych przyczyn najgłębiej uzasadnionych zarówno ideowo jak psychologicznie. Prześledźmy całą drogę przemian życiowych Korbala od chwili, kiedy doradza staremu

cieśli, aby zapisał się do „związku chrześcijańskiego“ i opowiada mu historię Celulozy, poprzez własny domek z cegły i rzeźnicki interes aż po dostojeństwa radnego i posła. Jest w tych dziejach jednego człowieka, tak jak i w dziejach Szczęsnego, i Czerwiaczkowej, i wszystkich innych, a przede wszystkim w burzliwych, wspaniałych dziejach ruchu robotniczego i Partii w terenie, w którym rozgrywa się akcja powieści — wielki kawał historii, szeroka perspektywa spojrzenia na całą epokę.

Czego tu nie ma! Jest wieś rozwarstwiona klasowo, pozbywająca się nadmiaru rąk do pracy. Jest włocławska „Ameryka“ ze złodziejskim „przedsiębiorstwem robót placowych“, z sezonem „stałym“ i „czasowym“.

Jest pouczający obraz współpracy „chrześcijańskich“ związków zawodowych z dyrekcją fabryki, oparty na wyzysku robotnika, i obraz walki, jaką z tym rozbijającym klasę robotniczą sojuszem prowadzi Partia. Jest historyczna postać Macieja Marusika, działacza KPP, pierwszego przywódcy owych klasowych bojów. Są dzieje powstania „nowej dzielnicy“ pod Włocławkiem — „Kozłowa“ nazwanego tak od jej „założyciela“ Kozłowskiego, dzielnicy, gdzie ludzie mieszkali w jamach wykopanych w ziemi, a później budowali w trudzie i mozole domki z czerepów i odpadków.

Tym tragicznym wizerunkom nędznego życia raz na wozie raz pod wozem, mizernym widokom na karierę, opłacanym czynnym łajdactwem jak u Korbala, lub egoistyczną ślepotą i kompromisem jak u Walka, przeciwstawia Newerly, zwłaszcza w drugiej części powieści, obraz groźnej, zuchwałej, rosnącej w siłę walki klasy robotniczej. Po epizodach „warszawskim“ i „wojskowym“, które ostatecznie doprowadzają Szczęsnego do szeregów robotniczych, po niewesołych dziejach terminu u majstra, rekruckiej udręki żołnierza „podejrzanego politycznie“ i wątpliwej kariery „sługołapa“, zakończonej decydującą rozmową z nieznaną towarzyszką w bezdomną noc na Powiślu — dzieje Bidy zespalają się z dziejami włocławskiego KPP, są żywą historią jej krzepnięcia, oddziaływania na zewnątrz, na cały ruch robotniczy, na masy chłopskie.

Jakże charakterystyczna, jak świetnie i prawdziwie odmalowana jest droga nawiązania przezeń kontaktu z Partią, z towarzyszami, zrazu traktującymi go ze zrozumiałą rezerwą, przekonanymi dopiero jego pełnym, bezgranicznym oddaniem walce! Zbieranie składek na MOPR, udział w pierwszych zebraniach i masówkach, lektura broszur kapepowskich — to jednocześnie pierwszy szerszy kontakt bohatera ze światem wielkich wydarzeń politycznych, światem, w którym coraz większym płomieniem bucha dziejowy pożar. Szczęsny przeżywa głęboko sprawy takie jak podpalenie Reichstagu, proces Dymitrowa. O ileż widniejsze, bogatsze staje się teraz jego życie!

„Dojrzałe jabłko spada nie dlatego, że pliszka trąciła, ale po prostu dlatego, że dojrzało — napisał Szczęsny w pamiętniku. — Moją pliszką stała się dziewczyna, z którą spędziłem noc na Powiślu i której nigdy potem nie ujrzałem“.

Prawdy zawartej w tym zdaniu zdają się często nie rozumieć ci z naszych pisarzy, u których przełomowe decyzje w duszach bohaterów zapadają czasem po wysłuchaniu jednego przemówienia na zebraniu lub po jednej rozmowie nie poprzedzonej żadną sumą przeżyć wewnętrznych. Szczęsny nawet po swoim zasadniczym przełomie i decyzji przystąpienia do Partii nie od razu prze-

kształca się całkowicie, przez długi czas walczyć musi ze swą naturą bujną, burzliwą, nieposkromioną.

Historia samowolnego zabójstwa prowokatora, niezbyt odpowiedzialny wybryk ze skąpaniem Korbala w jeziorze, pewna naiwność, z jaką odnosi się do Madzi, nie przeczuwając w niej wytrawnej konspiratorki — wszystko to dopiero z czasem zeń opadnie, gdy okrzepnie w szkole rewolucyjnej walki, gdy hart i brawurę powiąże z doświadczeniem konspiracyjnym, więziennym.

Wychowuje go Partia. I Newerly pokazuje, jak Partia wychowuje. Pokazuje malując zadania, jakimi z rozwagą, kolejno go obarcza, pokazuje w świetnej scenie rozmowy z Franciszkiem Olejniczakiem nad Wisłą:

„Walczymy o komunizm. Jak wy to sobie wyobrażacie? Jak rekrut! Od zadania do zadania, tu służba, a tam wychodne... otóż muszę was zmartwić: nie ma wychodnego! Walczyć, nawet zginąć — to jeszcze nie wszystko i to jeszcze nie najtrudniejsze. Ale zawsze przez całe życie iść komunistycznie, bez ugody i z gorącym sercem — ba, to dopiero zadanie partyjne! Żeby nawet taki Korbal, któregoście skąpali, żeby nawet taki łobuz musiał w końcu zakląć: cholera, jednak to są lepsze ludzie!"

Szybko toczą się wypadki. Udział w pierwszej manifestacji pierwszomajowej (rok 1934). Pierwsze większe samodzielne zadanie partyjne — organizacja komórki KZM wśród fornali w Dojmach. Drugie walne zadanie — przewóz i instalacja tajnej drukarni w ruinach pałacu w sadzie dojmowskim. Sprawa strajku chłopskiego w Rzekuciu. Po krótkich szczęśliwych chwilach z Madzią — przypadkowy wpadunek i więzienie. Wreszcie ostatni, objęty ramami książki, etap walki: lata 1936—1937, oraz narastanie faszyzmu, tworzenie się bloku jednolito-frontowego, Włocławek zalany falą wielkiego strajku, ucieczka Szczęsnego z fałszywymi papierami w oczekiwaniu na wyjazd do Hiszpanii. Powieść zamyka obraz walki wciąż potężniejącej, wielka panorama manifestacji w Nowosielcach, żywy symbol sojuszu robotniczo-chłopskiego. *)

Mimo tak znacznego nagromadzenia ilości wydarzeń, w powieści Newerlego nie odczuwa się ich natłoku. Są one rozłożone równomiernie, całkowicie wplecione w żywy wątek akcji, całkowicie mu podporządkowane. Nie odczuwamy nigdzie, w żadnym z fragmentów książki jakiegoś przeładowania „polityką", podaną w formie wykładu. Każde zdarzenie, każdy fakt historyczny czy fikcyjny ma tu swoje wyraźne uzasadnienie w kompozycji utworu, w konstrukcji losów jego bohatera. Każdy podany jest w taki sposób i takim językiem, jaki wynika w danym wypadku z sytuacji powieściowej, każdy jest całkowicie na tle losów bohatera zrozumiały i naturalny.

Samym wątkiem akcji Newerly operuje znakomicie. Umie podsycić do najwyższego stopnia ciekawość czytelnika, utrzymując ją w napięciu, umiejętnie opóźniając rozwiązanie sytuacji powieściowych, czego najlepszym przykładem jest sprawa Madzi, później zaś historia jej miłości do „Juliana", który okazuje się po prostu maszyną drukarską. Cóż z tego, że, jak ktoś zarzucił, jest to stary chwyt wodewilowy. Powtarzaniem się „starych chwytów" jest cała literatura, jeśli ją brać od tej strony (co jest nonsensem). Chodzi o to, jak to jest zrobione. A robota Newerlego jest dobra, rzetelna.

Język pisarza — bogaty i giętki. Newerly wyjątkowo tylko wplata w język

---

*) Zamknięcie to nie jest epilogiem dziejów bohatera powieści. Wkracza on na szerokie szlaki historii, które proszą się o dalszą opowieść.

poszczególnych postaci wyrażenia gwarowe, ale styl jego aż rozsadza obfitość zwrotów, obrazów, porzekadeł, zaczerpniętych z języka ludowego. Występują one nie tylko w partiach „mówionych", w ustach bohaterów, ale i w opisie: opisie, który pochodzi od autora, zamyka w sobie całą „odautorską" mądrość, a równocześnie nie traci nigdy kontaktu ze światem pojęć, w jakim żyją, jakimi wyrażają swe myśli bohaterowie książki.

Opis powrotu do Polski: „Póki jechali, to była zgoda, i pomoc wzajemna, i równość. Po równu składali się wszyscy na maszynistę i rewidentów „eszałonu", jednakowo iskali się wszyscy, kochali tę Polskę jedyną i koła pociągu im grały: cacy-cacy rodacy..."

Charakterystyka szwagra kułaka: „Nieruchliwy był, jeśli chodzi o słowa. „Mormul" — mówiono o nim w Rzekuciu. Myśli dźwigał jak przydrożne kamienie, ale dźwignąwszy niósł niezmordowanie do jakiejś jemu jednemu znanej kupy i ruszając wiecznie wargami, jak krowa swoją żwakę żwał". Opis przemówienia księdza Wojdy w lokalu chrześcijańskich związków zawodowych: „Ksiądz miał twarz pociągłą, postną, a czoło wysokie i mądre. Sutanna leżała na nim jak ulana, trochę nawet za bardzo w pasie wcięta. Trzewiki lśniły pięknym glansem i biały rąbek kołnierzyka połyskiwał na szyi jak korale... Mówił o jakimś panu Żeromskim. To wstyd, mówił, żeby Polak z dobrej rodziny pisał o przedwiosennym czasie. Kobiety się psują, młodzież wierzyć przestaje i w kraju szerzy się zgorszenie. Wszystko z tego buntu, z tej pychy, żeby Stwórcę poprawić..." W domku Sosnowskiego przy warszawskiej szosie szykuje się pierniki odpustowe: „Pachniało piernikami. Kobieta wygarniała je właśnie z pieca, a mężczyzna przy oknie ślinił obrazki i na ciepłe jeszcze serduszka dużym palcem przyciskał. Na obrazkach pan z panną się całował przy aniołku z wielką strzałą. A ten, co ślinił, był mały, z kaczym nosem, spod którego wyłaziły przygniecione wąsy." Korbal ze Szczęsnym kopią „arkę" na Żabim Skrzeku: „Kopali nawet wtedy, gdy maślany krężel księżyca wypadł na mleczną drogę i potoczył się po łebkach gwiazd. A kiedy zdarzyło mu się zapaść w chmury, to całe bractwo leżące na trawie przed sklepem Sosnowskiego podnosiło zalane twarze i groziło biedakowi: — Gdzieś wlazł, gdzie?! Świeć prosto, pieska twoja niebieska..." Żydówka Lubartowa opowiada o swojej nędzy: „Długo tłumaczyła, co oni są winni panu Kośmińskiemu i co pan Kośmiński jest im winien, a z tego wszystkiego wynikało niezbicie, że jeśli dadzą panu Kośmińskiemu jeszcze cztery dniówki czyli jeden dzień pracy we czwórkę, to będzie koza. A pan Szczęsny rozumie, co znaczy koza dla biednego Żyda." Ojciec ze Szczęsnym mają napisać podanie do związku zawodowego: „Kto ma napisać? Ojciec nie umiał, Szczęsny owszem pisał, ale litery wychodziły u niego jak z grubego drutu, nie bardzo ze sobą poszczepiane. I znowuż na słowach trzeba się znać. Może ten zarząd jest wielmożny, a może tylko szanowny? I jak się go prosi: zwyczajnie „proszę bardzo", czy sztywno „dopraszam się", czy miękko „upraszam pokornie"... Słowa też są w różnych gatunkach. Jak deski na składzie: odziomkowe, górne, boczne, twardziel, biel i same obladry."

Osobne zagadnienie stanowią partie „pamiętnikowe", które — jak mi wiadomo — autor zamierza w dużym stopniu wyeliminować w wydaniu książkowym. Nie wiem czy słusznie. Są one niewątpliwie jakimś „chwytem", rozbijającym jedność epickiego toku po-

wieści, kierują raz po raz uwagę czytelnika na owo zagadnienie „dokumentarne", które — jak zaznaczyliśmy — zdecydowanie skurczyło się i zmalało w zestawieniu z artystyczną prawdą osiągniętej przez pisarza realistycznej fikcji. Skłonność do chwytów tego rodzaju, do zmiennego toku opowiadania, posługiwania się raz po raz osobą narratora, zauważyć możemy już w obu poprzednich utworach Newerlego. Ale podkreślić trzeba, że partie pamiętnika Szczęsnego zharmonizowane są doskonale z tokiem pozostałej części powieści, zharmonizowane także stylistycznie. Szczęsny-pamiętnikarz — to Szczęsny mówiący o swoim życiu po iluś tam latach, ale równocześnie to ten sam Szczęsny, syn cieśli z Rzekucia, opowiadający swoje dzieje tym językiem, którym opowiadają je autorzy większości znanych nam, znakomitych pamiętników chłopów, robotników, bezrobotnych. W stylu jego opowieści wyraża się nie tylko szorstki prymityw, ale i wielkie doświadczenie życiowe, wielka wiedza o ludziach i rzeczach, plastyka ujmowania otaczającego świata w słowach jędrnych i prostych.

Cytować by można całymi stronicami, bo cała powieść Newerlego jest jednym wielkim majstersztykiem stylistycznym, każde słowo jest tu na miejscu, każde wydaje się potrzebne i niezastąpione.

Język, którym przemawiają tu ludzie w każdym wypadku jest inny, w każdym dostosowany do charakteru występującej osoby.

Korbal opowiada o Panderze i jego żonie Węgierce: „Jak on tu nastał, to jego żona, Panderowa znaczy się, zaraz poszła z kucharką na targ. Nakupiły różności na cały tydzień — ledwo dźwigają. Ile? — pytała się Panderowa, bo to jedno słowo po polsku umiała „ile"? I na rynku tylko pokazywała, a kucharka targowała się i płaciła. Kucharka pokazuje na palcach, że dziesięć złotych. — Bre-bre — powiada Panderowa — kurły-murły czardasz paratańca — po węgiersku ma się rozumieć, a po polsku wypadnie, że czardasza można tańczyć, taka w Polsce taniocha!" Lubartowa prosi Szczęsnego, by opiekował się małą Brońcią: „Czy pan Szczęsny nie będzie grzeczny? Bo jak tu wszystko jedno jest cały dzień, to niech tylko spojrzy czasem na małą. Ona nic nie potrzebuje. Mądre dziecko. Ma swój garnuszek, w garnuszku jedzenie. Tylko spojrzeć, nic więcej, co, panie Szczęsny?" Zocha Czerwiaczkowa zaleca się do Szczęsnego: „Pójdzie pan, panie Szczęsny, ze mną do kińcia? Ja funduję!" Nie „kina", ale „kińcia". Madzia „boboni" po cygańsku: „Kabalarka nie zmyśla, panie niewierny, kabalarka zmawia... per dominum pstrum... losu paciorek, co było, co będzie... radość twą widzę na dłoni, Aster prowadzi, nie idziesz sam, ale dopospołu... dopospołu! Strzeż się człowieka, co się zowie kameleon, a ma oczy kawasa. Nieszczęśliwa dla ciebie godzina ostatnia w nocy, gdy kur jeszcze nie pieje." Doktór Chrobotek opatruje rannego Staszka wyjmując mu kulę spod pachy: „W czepku się urodziłeś, panie pykniczny, w czepku..." w chwilę potem, cytując Odysseję: „Czytaj Homera, młody człowieku, bo nasze czasy gówna warte."

W jednym zdaniu czasem jest u Newerlego cały człowiek, jak ów inżynier w Rzekuciu, u którego ojciec Szczęsnego upomina się o wypłatę: „Dopraszam, panie inżynierze — niechże pan cosik da. Dzieci mam. Czworo dzieci.

— A conto należności — pada odpowiedź — nic nie mogę przed kolaudacją. Ale stańcie jutro do wyładunku. Akurat wypada sobota. Wieczorem wam wypłacą."

W sobotę historia się powtarza. Inżynier odkłada wypłatę na poniedziałek.

„Szczęsny akurat trzymał pod pachą ojcową skrzynkę, a w ręku cieślicę. Postąpił naprzód.

— Pan nam zaraz zapłaci!

— Co za ton! Zaraz? A jak nie zapłacę zaraz?

— To ja pana zarąbię! Mnie już wszystko jedno. Niech pan uważa. Liczę do pięciu: raz, dwa...“

Styl Newerlego nie jest wymyślony, wysiedziany przy biurku, ale podpatrzony, wyrwany życiu. Nie jest jego wierną kliszą, ale celową, artystyczną kompozycją, czasem przerysowaniem, czasem zgęszczeniem jego cech charakterystycznych. Jest celnym narzędziem, którym autor umie się posługiwać, unikając wszelkiej przesady, zachowując należyty umiar, wkomponowując swoje świetnie podchwycone językowe odkrycia w tok czystej, klarownej, epickiej narracji, poszerzając umiejętnie granice wielkiego królestwa języka narodowego.

Powieść Newerlego jest dużym wydarzeniem w naszej literaturze. Jest nawiązaniem do najlepszych realistycznych tradycji naszej prozy. Jest jej zwycięskim przedłużeniem i przezwyciężeniem tego, co ograniczało w przeszłości jej horyzont ideowy. Jest wybitnym osiągnięciem naszej literatury realizmu socjalistycznego. Jest pozycją, która — mam tę głęboką pewność — w literaturze naszej pozostanie, tak jak pozostały w niej Lalka i Nad Niemnem, Chłopi i Trylogia, Przedwiośnie, Noce i dni, Granica, Kordian i cham, Ziemia w jarzmie.

Ryszard Matuszewski

Z PRAC IBL

Pozytywizm cz. I i II. Instytut Badań Literackich. Studia historyczno-literackie pod redakcją Jana Kotta, tom II i III. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Wrocław, 1950/1951. Str. 456.

I

„Pruska droga rozwoju kapitalizmu — oczywiście ze specyficznie polskimi modyfikacjami — wyznaczyła kierunek walk klasowych w okresie początków pozytywizmu“ — pisze Maria Janion w rozprawie swej pt. Z zagadnień wczesnej działalności Chmielowskiego. Teza ta — będąca twórczym zastosowaniem zdobyczy marksizmu-leninizmu w polskiej nauce o literaturze — posłużyła jako cenny wyznacznik w pracach badawczych nad rozwojem form bytu i świadomości społecznej w Polsce w drugiej połowie XIX wieku. Na tej podstawowej tezie została zbudowana pierwsza syntetyczna koncepcja ideologii okresu, który przeszedł do historii literatury pod nazwą pozytywizmu. Zarys tej koncepcji przyniosły dwa tomy historyczno-literackich studiów, redagowanych przez Jana Kotta. Ich nowatorstwo, ich przełomowe znaczenie dla rozwoju polskiej myśli naukowej może być rozpoznane w całej pełni tylko w zestawieniu z teoriami, tworzonymi w ciągu lat kilkudziesięciu przez krytykę burżuazyjną.

Gruntowny rejestr teorii ilustrujących kolejne etapy powstawania mieszczańskiej wiedzy o pozytywizmie przynosi rozprawa Jana Baculewskiego i Janiny Kulczyckiej pt. Historiografia polskiego pozytywizmu. Autorzy jej nie poprzestają, rzecz prosta, na samej rejestracji. Koncepcje burżuazyjnych naukowców spotykają się z surową oceną

marksistowskich badaczy, którzy podejmując krytykę — formułują jednocześnie własne, odkrywcze wnioski.

Chronologiczne uszeregowanie burżuazyjnych koncepcji pozytywizmu odzwierciedla w znamienny sposób proces odwrotu ideologów mieszczańskich od postępowych tradycji ich klasy. Z biegiem lat literaturoznawcy burżuazyjni coraz usilniej zacierają te cechy pozytywizmu, które dziś uznajemy za miernik jego postępowości; jednocześnie coraz wyraźniej dochodzi do głosu w tych pracach rezygnacja z ambicji poznawczych, zanika dążność do ujmowania zjawisk literackich omawianego okresu w powiązaniu z przemianami społecznymi epoki. I tak np. Piotr Chmielowski, ideolog kapitalistycznego postępu, z całą sumiennością i skrzętnością zanotuje jeszcze dostępne mu fakty historyczne, a pozytywizm potraktuje jako społeczno-gospodarczą rewolucję o wielkiej doniosłości i szerokim zasięgu oddziaływania we wszystkich formach życia zbiorowego. Wilhelm Feldman natomiast — we wczesnym okresie imperializmu — zdegraduje już pozytywizm do roli „filisterskiej reakcji na demokratyczne dążności szlacheckie", chociaż zdobędzie się jeszcze w pierwszych wydaniach Współczesnej literatury polskiej na ukazanie społecznego tła omawianych zjawisk literackich. W okresie dwudziestolecia zaś historiografia burżuazyjna za najcenniejsze uzna te utwory pisarzy pozytywizmu, które stanowią oczywisty dowód uwstecznienia ideologii mieszczańskiej, dowód zaniku realistycznego widzenia świata i spraw ludzkich.

Wnikliwa krytyka Baculewskiego i Kulczyckiej ujawnia oblicze klasowe mieszczańskiego literaturoznawstwa, demonstrując, zgodnie z prawami historycznego rozwoju, proces postępującej dekadencji nauki burżuazyjnej. Za Zdzisławem Najderem *) powtórzyć należy tylko zarzut, że w zbyt słabym stopniu krytycy zajęli się omówieniem prac powojennych takich jak studia Zawodzińskiego i Araszkiewicza, dodajmy — Romankówny i Słomczyńskiej, które posługując się tradycyjnym zespołem metod badawczych zdradzają jednocześnie ich całkowitą nieprzydatność. Te drobne zastrzeżenia nie umniejszają jednak w niczym zasług autorów cennej rozprawy, która obala fałszywe kryteria poznawcze, rewiduje wyniki uzyskane przez zastosowanie tych kryteriów, a bezkrytycznej apologii burżuazyjnego postępu, teoriom „walki pokoleń", teoriom „zmagań rozumu z uczuciem" przeciwstawia nową, twórczą syntezę epoki, opartą na zasadach materializmu historycznego.

Koncepcję pozytywizmu zawartą w dwóch omawianych tomach studiów poprzedziła wydana w 1948 roku rozprawa Jana Kotta O „Lalce" Bolesława Prusa, gdzie po raz pierwszy w nowatorskim ujęciu literatura okresu pozytywizmu została potraktowana jako odbicie procesów rozwojowych kapitalizmu w Polsce i gdzie w całej pełni wystąpił postulat klasowej interpretacji i oceny dzieł literackich. Pionierska praca Kotta nie była jednak wolna od błędów. Autor jej nie docenił wpływu powstania styczniowego na dynamikę rozwoju stosunków społecznych w Polsce. Jednocześnie „koncepcja trzech kręgów jest w nowatorskiej rozprawie Kotta szczątkową pozostałością tej metodologii, która dynamikę rozwoju klasowego wymieniała na statyczne układy kręgów i grup, tworząc krytykowane przez Kotta konstrukcje socjologiczne. Ograniczenie ideologii pozytywizmu do kręgu drobnomieszczańskiego, bazującego na rozwoju kapitalizmu handlowego i rzemiosła, wy-

*) „Polonistyka" nr 2 z 1952 r.

pływa z tej samej socjologicznej interpretacji ideologii pozytywizmu" (J. Baculewski i J. Kulczycka).

Zarówno krytyka przeprowadzona przez Baculewskiego i Kulczycką jak i konkretna realizacja założeń metodologicznych w pracach historyczno-literackich Pozytywizmu świadczą, iż błędy Kotta zostały nie tylko rozpoznane, ale także — w nowej koncepcji okresu — całkowicie przezwyciężone.

II

Zasadniczy nurt przemian społeczno-gospodarczych, warunkujących kształtowanie się i rozwój ideologii pozytywizmu w Polsce, ukazały w tomach studiów trzy podstawowe rozprawy: wspomniane już prace Marii Janion o Chmielowskim oraz Baculewskiego i Kulczyckiej o historiografii polskiego pozytywizmu, a obok nich — rozprawa Samuela Sandlera o wczesnej działalności Aleksandra Świętochowskiego.

Na pruską drogę rozwoju kapitalizmu społeczeństwo polskie wkroczyło już w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku. Była to, jak wiadomo, droga stopniowych reform przekształcających feudalno-pańszczyźniany folwark w nowoczesne gospodarstwo kapitalistyczne. Rozwój przemysłu opierał się na rodzimych kapitałach szlacheckich, na podatkach ściąganych z chłopskich zagród, wreszcie na wydatnej pomocy kapitałów zagranicznych, przede wszystkim niemieckich. „Nic dziwnego, że w tych warunkach krzepnąca powoli burżuazja polska nie stała się ośrodkiem antyfeudalnej myśli rewolucyjnej" (M. Janion). Powstanie styczniowe musiało zakończyć się klęską.

„Podmuch rewolucji" 1863 roku zmusił carat do przeprowadzenia reformy uwłaszczeniowej — dzięki temu proces kapitalizacji Kongresówki mógł osiągnąć znaczne w historii tempo. Jednocześnie jednak niezłamana odgórną reformą potęga szlachetczyzny zmusiła burżuazję do zacieśnienia — na trwałe — sojuszu z wielkim obszarnictwem. Fakt ten zaś zadecydował o kierunku rozwojowym, zasięgu i treści mieszczańskiej ideologii „pracy u podstaw", zwanej pozytywizmem.

Pozytywizm — określając najogólniej — był teorią rozwoju społeczeństwa kapitalistycznego, klasową ideologią polskiej burżuazji, afirmującą nowy ustrój i tym samym walczącą o pełne jego ugruntowanie. Narodził się w wyniku przemian, jakie ogarnęły Królestwo Polskie po roku 1864, a etapy jego ewolucji ściśle pokrywają się z drogą, jaką przebywa kapitalizm w Polsce, zmierzając do ostatniego swego stadium — do imperializmu. „Oceniam pozytywizm nie jako ideologię raz na zawsze ukształtowaną, lecz jako przechodzącą swoistą ewolucję w związku z postępującym wciąż naprzód procesem kapitalizacji struktury społeczno-ekonomicznej Królestwa Polskiego" (S. Sandler). Zespół marksistowskich badaczy literatury — wyprzedzając historyków — przeprowadza w Pozytywizmie periodyzację okresu lat 1864—1900, szukając wyznaczników jej w ekonomicznej bazie Kongresówki i uznając, zgodnie z zasadami nowoczesnej nauki, historię walk klasowych w społeczeństwie burżuazyjnym za czynnik decydujący o kształtowaniu się i rozwoju poszczególnych form panującej ideologii.

Program pozytywistów tworzył się w ogniu walk „starej" i „młodej" prasy o zadania, jakie chwila obecna stawia przed społeczeństwem. Była to walka „ideologów ekonomicznej i kulturalnej hegemonii burżuazji toczona z całą zawziętością przeciwko przeżytkom feudalizmu" (M. Janion). To już przesądzało o jej postępowym charakterze. „Młodzi" walczą z fanatyzmem religijnym i nietolerancją o naukowy, racjo-

nalistyczny światopogląd, usiłują obalić stanowe przesądy arystokracji, chcą przekonać opornych, iż dobrobyt ogółu ma swe źródło w rozwoju przemysłu, a rozpowszechnienie oświaty i równouprawnienie kobiet, to podstawowe warunki sprawnego funkcjonowania społecznego organizmu. Jednocześnie jednak pod hasłem „pracy u podstaw" formułowanym z optymistyczną wiarą w jego dobroczynne dla „ogółu" skutki kryły się wszystkie ograniczenia ideologii liberalno-burżuazyjnej, pozbawionej akcentów rewolucyjności. Do rangi centralnego zagadnienia w publicystyce obozu „młodych" awansuje nie rozprawa ze szlachtą, jako antagonistą klasowym, ale problem kapitalistycznej edukacji ziemiaństwa, problem pełnego wykorzystania ziemiańskich rezerw w wielkim dziele gospodarczego rozwoju kraju. Znamiennie przy tym kształtuje się stosunek pozytywistów do dwóch zasadniczych kwestii lat popowstaniowych: do sprawy narodowej i sprawy chłopskiej. Jest rzeczą powszechnie znaną, iż „młodzi" odżegnywali się od jakiejkolwiek myśli o walce niepodległościowej, że zgodnym chórem potępiali „przedwczesne odruchy" narodu w latach 1831, 1846/8, 1863, a „rozumną współpracę" z zaborcą traktowali jako wytyczną polityki prowadzonej w interesie „społeczeństwa". Takie nastawienie dyktowała im koniunktura gospodarcza wczesnego kapitalizmu — szeroko dla przemysłu polskiego otwarte rynki rosyjskiego imperium. Stosunek „młodych" do konfliktów wsi pouwłaszczeniowej wyraził się najlepiej w publikowanych wskazaniach, które cytujemy za Sandlerem: „Weźcie — mówią — przykład z lordów angielskich, z ich działalności opiekuńczej i filantropijnej, z ich ojcowskiej troski o chłopów, która przynosi wymarzoną harmonię między całą ludnością wiejską tamtego kraju. Zakładajcie szkółki, biblioteki, rozwijajcie ludową oświatę, rozszerzajcie moralne wpływy". Takie żądania stawiano polskim dziedzicom. Patronat dworu nad wsią, uznawany przez pozytywistów jako zasadniczy postulat programu „moralnej opieki", najdobitniej wskazuje, jak wąskie były granice mieszczańskiej ideologii, której antyfeudalne ostrze stępił sojusz burżuazyjno-obszarniczy. Głośna kampania „młodych" przeciw bastionom zeszłowiecznej szlachetczyzny była więc w istocie „walką z reliktami feudalizmu w dziedzinie obyczajowej i kulturalnej" (M. Janion).

Dynamika rozwoju społeczeństwa kapitalistycznego osłabi wkrótce całkowicie bojowe akcenty młodej prasy. Już w latach siedemdziesiątych między antagonistami ustala się płaszczyzna porozumienia za cenę rezygnacji mieszczaństwa z hegemonicznych dążeń. Ten konieczny kompromis dyktuje burżuazji poczucie zagrożenia, jakie zaczyna nadciągać od strony proletariatu. W miarę jak rośnie i krzepnie rewolucyjna postawa mas proletariackich, zacieśnia się burżuazyjno-obszarniczy sojusz, który w istocie swej jest wspólnym frontem przeciw walczącej klasie robotniczej. Proces ten, rozłożony na lat dwadzieścia, wywołuje najróżnorodniejsze reakcje myśli burżuazyjnej, rozszczepia jednolitą we wczesnym okresie ideologię pozytywistów na kilka skomplikowanych nurtów, które jednak konsekwentnie zmierzają w jednym kierunku: coraz dalej od proletariatu, coraz bliżej ku jego wrogom.

Lata osiemdziesiąte zapoczątkują w publicystyce okres pesymizmu i krytyki, będącej wyrazem rozczarowania do ustroju, którego wewnętrzne sprzeczności zaczynają niepokoić coraz bardziej dawnych jego entuzjastów. Praktyka społeczna dowodnie wykazała, iż „z programu pozytywistów burżuazja polska w pełni przyswoiła sobie tylko hasła ugody z caratem i pracy organizacyjnej,

która w jej rozumieniu uświęcała pogoń za zyskiem jako — cnotę obywatelską" (H. Markiewicz, Realizm krytyczny w twórczości Bolesława Prusa). Jednocześnie pierwsze kryzysy ekonomiczne, kurczenie się rynków rosyjskich, wzmożone represje ze strony zaborczego rządu, a obok tego rosnąca nędza wyzyskiwanych mas robotniczych i coraz bardziej zdecydowane objawy rosnącego wśród tych mas protestu — wszystko to załamuje wiarę pozytywistów w doskonałość systemu kapitalistycznego i jego sprawne funkcjonowanie. Jak piszą zaś Baculewski i Kulczycka, „kryzys ideologii pozytywistycznej zmusza do szukania ekonomicznych, społecznych i ideologicznych dróg wyjścia". A ponieważ przewodnikiem po nich staje się lęk przed rewolucją, są one, rzecz prosta, drogami ideowego rewersu. „Pokolenie młodsze rychło odczuło, że ruch pozytywistyczny nie zadowala wszystkich jego pragnień i dążeń — pisze Józef Hłasko w przedmowie do szkiców Popławskiego *). — Potrzeba jakiejś nowej syntezy, jakiejś myśli, która by łączyła zerwaną nić tradycji z nowymi wymogami życia". Tą nową syntezą miał być ludomański program Głosu zrodzony w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, który w rzeczywistości był próbą obrony zagrożonego rynku wewnętrznego, „próbą wychowania chłopa jako konsumenta ekonomicznej produkcji i ideowych wytworów burżuazji" (J. Baculewski i J. Kulczycka). Oto jedna z dróg wyjścia. A inne? Głos będący„ stacją rozdzielczą" głównych tendencji ideologicznych schyłku XIX wieku formułuje jednocześnie postulat „przełomu narodowego". Tak powstają „zalążki ideologii pseudoniepodległościowej jako politycznego i gospodarczego programu burżuazji polskiej, która w granicach własnej państwowości zamierzała znaleźć wyjście z kryzysów gospodarczych rujnujących ją w ramach wielkiego systemu gospodarki Cesarstwa" (Baculewski i Kulczycka).

W latach dziewięćdziesiątych krystalizuje się definitywnie postawa ideologów mieszczaństwa. Zadecyduje o tym dokonany już ostatecznie przez rozwój stosunków społecznych podział świata kapitalistycznego.

„W roku 1890 Warszawa zobaczyła po raz pierwszy demonstrację robotniczą w dniu 1 maja" — pisze Henryk Markiewicz. „W roku 1892 święto majowe w Łodzi przekształciło się w groźny sześciodniowy strajk powszechny znany pod nazwą buntu łódzkiego". Związek Robotników Polskich i SDKPiL wprowadzają klasę robotniczą — coraz bardziej dojrzałą, coraz bardziej bojową — w nowy etap walki.

W 1895 roku Roman Dmowski objął redakcję Przeglądu Wszechpolskiego. Dawna Liga Polska, partia „jedności narodowej" miała teraz nazwać się ostatecznie Narodową Demokracją, która w 1905 roku — według słów Dmowskiego — zmuszona będzie z „taką" rewolucją „walczyć na noże". Dawni pozytywiści — jak wskazuje ich praktyka pisarska — znaleźli w poglądach Narodowej Demokracji bliskie im i zrozumiałe „wskazania polityczne".

Przedstawiony tu w największym uproszczeniu i skrócie zarys koncepcji pozytywizmu jako ideologii burżuazyjnej lat popowstaniowych, która ulega znamiennej ewolucji i wręcz zanikowi — jest niewątpliwie cenną zdobyczą tworzącej się obecnie wiedzy o literaturze. Przede wszystkim dlatego, iż prace wymienionych autorów wiążą w sposób słuszny dzieje mieszczańskiej myśli społecznej z wielkim nurtem przemian hi-

*) cytujemy za rozprawą Marii Żmigrodzkiej pt. Kwestia chłopska Elizy Orzeszkowej.

storycznych epoki, których dynamikę i kierunek wyznaczał przebieg klasowych walk na różnych etapach rozwoju kapitalizmu w Polsce. Tym samym nowa koncepcja pozytywizmu spełnia zasadniczy postulat stawiany badaniom świadomości społecznej przez naukę marksistowską.

Autorzy czołowych rozpraw zawartych w dwóch tomach studiów raz po raz wkraczają na teren badań ściśle historycznych wyprzedzając często pionierskie prace z innych dziedzin humanistyki. Tak np. Baculewski i Kulczycka precyzują w swojej rozprawie problematykę, jaką nasuwa we wczesnym okresie pozytywizmu antagonizm klasowy między wsią a folwarkiem szlacheckim. Stwierdzają krótkotrwałość konfliktu między obszarnictwem a bogatym chłopem, jednocześnie zaś wykazują, iż osią sporu dwór-wieś jest sprzeczność „między chłopem małorolnym, biedotą wiejską i folwarczną, proletaryzującą się w wyniku kapitalizacji produkcji rolnej, a powrotną koncentracją własności ziemskiej". Tego rodzaju korektura ściśle historyczna pozwala autorom wyraźnie określić kryterium postępowości pisarzy omawianego okresu: kryterium to wyznacza „stosunek do chłopa (...), demaskowanie i likwidowanie oporu szlachty wobec uwłaszczenia i parcelacji oraz walka z wsteczną techniką produkcji na wsi". Tak więc nowatorska koncepcja pozytywizmu nie tylko przynosi rozległą syntezę procesów rozwojowych świadomości społecznej w Polsce w drugiej połowie XIX wieku, ale równocześnie przyczynia się do wyświetlenia istotnych problemów historycznych epoki. Na tej podstawie mówić można niewątpliwie o rewolucyjności i wielkiej wadze recenzowanych studiów, które otwierają zupełnie nowy etap badań nad ideologią i literaturą okresu.

Przełomowe znaczenie pracy dokonanej już w dwóch tomach Pozytywizmu pozwala jednak w chwili obecnej na zwiększenie wymagań pod adresem twórców koncepcji, która nie jest jeszcze wolna od pewnych niedociągnięć i braków. Istotną sprawę poruszył Jerzy Kowalewski w Trybunie Ludu z 27 marca 1952 r. formułując zarzut, który na tym miejscu należy bezwzględnie powtórzyć. Omawiając genezę pozytywizmu studia nie powiązały jej z wcześniejszymi prądami ideologicznymi, których porażka przyczyniła się w konsekwencji do powstania i rozwoju po roku 1864 postaw ideowych właściwych dla liberalnej burżuazji. Rzeczywiście, lektura omawianych tu rozpraw nasunąć może czytelnikowi przekonanie, iż dopiero pozytywizm jako kierunek w pewnym okresie postępowy „wyłania bardziej zdecydowanych ideologów nowoczesnego społeczeństwa" (S. Sandler). Do sądu takiego uprawnia niejako obecna koncepcja pozytywizmu, którą twórcy jej pozbawili szerszego tła historycznego, odizolowując popowstaniowy okres od złożonej problematyki rewolucyjno-demokratycznego nurtu walk w latach 1830—1863. Polemizując z Kottem Baculewski i Kulczycka słusznie podkreślają znaczenie powstania styczniowego dla rozwoju sytuacji społeczno-gospodarczej po roku 1864: „Historyczną siłą, która przesądziła los chłopa w Polsce i zdecydowała o jego uwłaszczeniu, byli „czerwoni" i ich walka z reakcją feudalno-plutokratyczną zarówno w całej Polsce jak i z jej reprezentacją w Rządzie Narodowym". Ale stwierdzenie to ustala jeden tylko aspekt interesującej nas kwestii, jest dopiero pierwszą odpowiedzią na pytanie dotyczące warunków kształtowania się organicznikowskiej ideologii. Nie należy jednak pomijać innej strony zagadnienia: porażki, jaką poniosła wraz z upadkiem powstania

styczniowego rewolucyjna demokracja. Jak pisze bowiem Kowalewski, „rozwój liberalno-burżuazyjnej ideologii pozytywistów warszawskich był następstwem nie tylko klęski powstania styczniowego w ogóle, ale i wynikiem klęski zadanej w powstaniu bojownikom obozu rewolucyjno-demokratycznego, . reprezentowanego przez najbardziej postępowe elementy czerwonych". Zarys koncepcji pozytywizmu domaga się korektury proponowanej przez Kowalewskiego. Wprowadzenie jej nie tylko pozwoli sprecyzować ostatecznie kryteria oceny, postaw ideowych i faktów literackich w okresie po 1864 r., ale i sam pozytywizm ukaże w nowym świetle na szerokim tle historii XIX wieku. Jednocześnie bowiem uzyska się w ten sposób cenną możliwość ustalenia roli elementów rewolucyjno-demokratycznych pojawiających się w twórczości niektórych pisarzy omawianej epoki, tych przede wszystkim, którzy tak jak Asnyk, wyszli z obozu „czerwonych" uczestników powstania.

Postulat rozszerzenia historycznej płaszczyzny badań jest zresztą dla całej literatury pozytywizmu niesłychanie istotny. Dostrzeżona w studiach tendencja traktowania tej literatury jako zjawiska wyodrębnionego z całokształtu innych, poprzedzających ją zjawisk społecznych i literackich, usuwa w cień tak ważne zagadnienie jak funkcja tradycji romantycznych w pisarstwie okresu. Nie rozwiązuje bowiem kwestii stwierdzenie, iż pozytywizm przeciwstawia się romantyzmowi, odrzucając jego poetykę wraz z ideologią walki narodowo-wyzwoleńczej, obcą programom pracy organicznej. Również i inny wniosek, wyjaśniający nową sytuacją historyczną i jej potrzebami odcięcie się pozytywistów od wstecznego, epigońskiego nurtu poezji romantycznej, nie wyczerpuje jeszcze problemu. Stosunek do romantyzmu poszczególnych pisarzy epoki jest różny i znacznie bardziej skomplikowany, niżby się to na pierwszy rzut oka zdawało, a żywotność tradycji romantycznych nie zawsze da się sprowadzić do zwietrzałego „epigoństwa", które, rzecz prosta nie może spełniać służebnej roli wobec nowej bazy kapitalistycznej. Wydaje się być rzeczą niewątpliwą, że w szeregu pisarskich przypadków mamy do czynienia z świadomym nawiązywaniem nie tylko do środków artystycznych, ale i myśli wielkich przedstawicieli minionego okresu w momencie, gdy rzeczywistość współczesna budziła wśród „pozytywistów" coraz ostrzejsze odruchy protestu. Nieodparcie nasuwa się tu znowu przykład Asnyka, a przede wszystkim Marii Konopnickiej, których utwory na tle programowej ugodowości ideologów burżuazji wyróżniały się niejednokrotnie szczególnie żywą reakcję pisarzy na problemy związane z niepodległym bytem narodu. Uwzględniając całą specyfikę warunków, w których kształtowała się twórczość pisarzy pozytywizmu i zdając sobie sprawę z odmienności tych warunków w stosunku do epoki wcześniejszej, należy jednocześnie w dalszych badaniach pełniej wykorzystać twórczą tezę Engelsa, iż „przesłanką filozofii każdej epoki (...) jest określony materiał myślowy, przekazany jej przez poprzedników i stanowiący punkt wyjścia" (F. Engels. List do Konrada Schmidta z 27.X.1890 r. — Marks-Engels, Dzieła wybrane, t. II, Warszawa 1949). Spełnienie tego postulatu pozwoli niewątpliwie wyjaśnić prawidłowo w literaturze okresu szereg zjawisk nie mieszczących się bez reszty w obecnej wiedzy o pozytywizmie.

Zwróciliśmy tu przy okazji uwagę na kwestię, która w obu tomach studiów nie znalazła należytego potraktowania. Jest to sprawa tradycji narodowo-wyzwoleńczych w literaturze oma-

wianej epoki. Wykryć je można na różnych etapach rozwoju twórczości poszczególnych pisarzy, gdzie występują w różnym nasileniu, kształcie i funkcji, w znamienny sposób jednak konstruując obraz rzeczywistości, zawarty w ich utworach. Odmienną niewątpliwie rolę spełnia i innym treściom ideowym służy antyugodowa postawa Asnyka w satyrze Na przedpieklu i obrona wobec kolonistów niemieckich postawa Ślimaka w Placówce Prusa. Do innych tradycji historycznych nawiąże Sienkiewicz w Potopie, a do innych Orzeszkowa w Gloria victis. Za każdym razem patriotyzm tych utworów wystąpi w określonej klasowej postaci, służąc interesom burżuazyjnego społeczeństwa, ale jednocześnie pozostaje on pisarzom niewątpliwie „politykowany" przez masy narodu, których poglądy w pośredni sposób wyraża. Tym samym zaś w ogólnej ocenie zarówno Potop jak i Placówka uzyskać mogą rangę utworów o znaczeniu ogólnonarodowym, stanowiących szczególnie cenny i trwały wkład w nasz kulturalny dorobek. Takiego spojrzenia na literaturę nie uwzględniają studia o pozytywizmie. Nowatorska rozprawa Sandlera Wokół Trylogii, która wyszła jako XIII tom serii Studiów historyczno-literackich IBL, wskazuje jednak, iż centralny dla epoki problem ustalenia genezy tradycji niepodległościowych w literaturze okresu i wiążącej się z nim nowej oceny utworów wielkich pisarzy, został już w dalszym rozwoju marksistowskiej nauki w ogólnych zarysach uwzględniony.

Poważną natomiast zdobyczą dwóch tomów Pozytywizmu jest wyznaczenie kierunku ewolucji literatury nazywanej epoki, poparte typowymi przykładami z twórczości Prusa i Orzeszkowej. Na szczególną uwagę zasługuje pod tym względem rozprawa Henryka Markiewicza, gdzie po raz pierwszy w polskiej nauce o literaturze metoda artystyczna zwana krytycznym realizmem uzyskała zarówno teoretyczną podbudowę, jak i historyczne umiejscowienie w cyklu rozwojowym mieszczańskiego powieściopisarstwa. Koncepcja ewolucji literatury pozytywizmu zarysowana w pracach Markiewicza, Żmigrodzkiej oraz Baculewskiego i Kulczyckiej jest potwierdzeniem wskazanych uprzednio etapów rozwoju burżuazyjnej ideologii zrodzonej na gruncie przeobrażeń w strukturze ekonomiczno-społecznej kraju.

Wraz z programem pracy organicznej powstaje postulowana przez pozytywistów literatura tendencyjna, żarliwa w swej antyfeudalnej pasji i optymistyczna jednocześnie w ocenie nowych kapitalistycznych form życia społecznego. Kryzys ideologii mieszczańskiej natomiast przynosi największą zdobycz epoki — dzieła realizmu krytycznego tworzone u schyłku lat siedemdziesiątych i w latach osiemdziesiątych. Dzieła te rosnąc na fali rozczarowania pisarzy do ugruntowanej już kapitalistycznej rzeczywistości przekazują najbardziej trafne, najbardziej pełne wizerunki czasów, które je wydały. Następna faza—postępującej wciąż dekadencji burżuazyjnej postawy wobec świata — dowodnie ilustruje w dziełach literackich regres ideowy ich twórców.

W przytoczonym tu zarysie koncepcji rozwoju literatury okresu jeden problem nie został jeszcze dość jasno postawiony. Chodzi tu mianowicie o kwestię realizmu we wczesnych utworach pozytywizmu, tych, które wyrastając z postulatów organicznikowskiej ideologii, stopniem swego zaangażowania w krytycznej ocenie rzeczywistości wybiegają daleko poza ramy owych postulatów stawianych literaturze tendencyjnej. Intencją autorów wymienionych rozpraw było przede wszystkim wykazać społe-

czną kierunkowość utworów wczesnego pozytywizmu — tym samym funkcja ich została, ogólnie rzecz biorąc, sprowadzona do walki z przeżytkami feudalizmu w imię nowego kapitalistycznego porządku, co w ostatecznej ocenie pozbawiło młode pozytywistyczne pisarstwo rangi literatury realistycznej. Potwierdzeniem takiej oceny była teza o narodzinach krytycznego realizmu w okresie kryzysu organicznikowskiej ideologii. Nie da się zaprzeczyć fakt, iż pierwsze utwory pozytywistów spełniały postulat służebności wobec nowej kapitalistycznej bazy, co niejednokrotnie zwężało ich wartość poznawczą. Organicznikowska apologia mieszczańskiego postępu musiała oddziaływać hamująco na realistyczne widzenie świata pisarzy, związanych z programem pracy u podstaw. Odnosi się to przede wszystkim do utworów o tematyce „przemysłowej". Tam jednak, gdzie mieszczańska myśl tropiła z zaciekłością wszystkie — w jej rozumieniu — pozostałości feudalnych stosunków, gdzie winą za ich obraz obciążyć można było szlachecki konserwatyzm, powstawały dzieła pełne surowej prawdy o ludziach i świecie, będące niejednokrotnie nieświadomym oskarżeniem wobec nowego kapitalistycznego systemu. I tu ideologia pozytywizmu — podsuwając pisarzom aktualną problematykę w intencji usunięcia przeszkód na drodze zmierzającej do „ogólnego dobrobytu" — przyczynia się niewątpliwie do powstawania w literaturze realistycznych obrazów ówczesnego życia. Świadczą o tym najlepiej takie utwory jak Marta Orzeszkowej, Szkice węglem Sienkiewicza i wreszcie Powracająca fala Prusa, pisane jeszcze przed zmierzchem pozytywistycznej wiary w kapitalistyczny świat. Nie kwestionując słusznej tezy o pełnym rozkwicie realizmu krytycznego na fali rozczarowania byłych pozytywistów do współczesnego ustroju, należy jednak uznać i docenić wcześniejsze jego zdobycze z lat poprzedzających kryzys mieszczańskiej ideologii. Poszerzenie syntezy epoki o bardziej szczegółową analizę wzajemnych związków między pozytywizmem i realizmem krytycznym staje się bieżącą koniecznością badawczą.

Tu nasuwa się spostrzeżenie, które również powinno uzyskać dostateczną odpowiedź — nie dają jej bowiem jeszcze omawiane studia. Oczekuje rozwiązania sprawa zakresu treści, których wyznacznikiem stać się ma termin „pozytywizm". Definicja podana przez Baculewskiego i Kulczycką brzmi: „Mianem pozytywizmu oznaczamy tę kulturę i literaturę mieszczańską, która w okresie powstawania i utrwalania się kapitalistycznego porządku rzeczy w Polsce spełniała postępową lub względnie postępową rolę w ówczesnych stosunkach społecznych. Za pozytywistów uważamy tych, którzy walczyli w Polsce z przeżytkami feudalizmu, byli zwolennikami uwłaszczenia chłopów, dążyli do rozwoju kapitalizmu na wsi i w mieście, zwalczali przesądy stanowe i kulturę szlachecką". Pozostając na gruncie tej słusznej bez wątpienia definicji należy zastrzec się przed rozciąganiem terminu „pozytywizm" na cały zespół zjawisk ideologicznych, a w szczególności literackich, aż po schyłek XIX wieku, co można zaobserwować zarówno w innych rozprawach omawianych studiów jak i w bieżącej praktyce krytycznej. Rozumiejąc ideologiczny sens „pozytywizmu" i dostrzegając jego krótkotrwałość, należy bez wątpienia okres jego zmierzchu, przynoszący w wyniku rozkwit realizmu krytycznego, potraktować jako nowy etap rozwoju literatury mieszczańskiej drugiej połowy XIX wieku.

Podobnego uściślenia, nie tylko w zakresie terminologii, domaga się kwestia „pozytywizmu" w innych dzielni-

cach kraju, gdzie rozwój literatury związanej z kapitalizacją Wielkopolski czy Galicji będzie miał nieco inny charakter i przebieg, zależny od specyfiki warunkujących go przemian w strukturze społeczno-ekonomicznej tamtych terenów Polski. Z kolei — ustalenie wzajemnych związków „międzydzielnicowych" w pisarstwie okresu będących wyrazem powstawania literatury narodowej, jest następnym żądaniem pod adresem krytyki, jakie można by w tym miejscu sformułować.

Twórcy koncepcji literatury pozytywizmu zdają sobie sprawę, ile nieopracowanych jeszcze materiałów i kwestii czeka na marksistowskie rozprawy. Najistotniejszym bodaj z wymienionych w pracy Baculewskiego i Kulczyckiej jest postulat badań szczegółowych, które w sposób metodologicznie nowatorski ocenić powinny rożnorodną, bogatą twórczość „pozytywistów", wprowadzając jednocześnie wyłaniające się z tych badań korektury do ogólnej syntezy epoki. Wiąże się z tym postulat rozszerzenia kryteriów oceny i stałego doskonalenia marksistowskiej metody badań historyczno-literackich. Zawarte w tomach studiów opracowania ściśle literackiej produkcji pisarzy omawianego okresu wykreślają bowiem dopiero ogólny kierunek rozwojowy pozytywistycznego pisarstwa i dalekie są jeszcze od pełnej, wyczerpującej analizy poszczególnych dzieł wielkich realistów.

III

Okres, w którym powstawały studia zawarte w dwóch tomach Pozytywizmu z całą słusznością może być nazwany okresem pionierskim w rozwoju marksistowskiej nauki o literaturze polskiej. Praca nad stworzeniem nowatorskiej syntezy dziejów piśmiennictwa pozytywistycznego przebiegała w warunkach szczególnie trudnych. Budowane na fałszywych założeniach światopoglądowych i poznawczych mieszczańskie koncepcje literatury lat 1864 — 1900 nie należały jeszcze bynajmniej do „ech przeszłości". Szerzyli je *ex cathaedra* rozliczni przedstawiciele środowisk uniwersyteckich, utrwalały je drukiem publikacje książkowe. Jeszcze w roku 1948 ukazały się na półkach księgarskich wspomniane już studia Romankówny o Orzeszkowej, które Markiewicz nazwał „klinicznym wprost przykładem kalectw i nieudolności tradycyjnej polonistyki" (Pamiętnik Literacki, nr 1 z 1950 r.). Bałamuctwu teorii idealistycznych, pseudonaukowości wulgarnych socjologów (takim owocem metody socjologicznej była np. inna powojenna książka o Orzeszkowej napisana przez Aleksandrę Bigay-Mianowską) badacze marksistowscy musieli przeciwstawić jasno i konsekwentnie ideologiczną problematykę omawianego okresu. Badania nad literaturą polską drugiej połowy XIX wieku sprowadziły się więc przede wszystkim do określenia dynamiki rozwojowej głównych kierunków ideologicznych oraz do prób odczytania ideologii poszczególnych twórców w ich dziełach.

Tak ustalając cel badań autorzy rozpraw zamieszczonych w dwóch tomach Pozytywizmu stanęli na stanowisku zasadniczo słusznym, i to nie tylko z uwagi na aktualny, polemiczny charakter ich pracy, ale również z punktu widzenia podstawowych założeń marksistowskiej nauki o literaturze. Materializm historyczny stwierdza bowiem, że literatura stanowi jedną z dziedzin świadomości społecznej, że jest jedną z form ideologii, której powstanie i charakter determinują w ostatecznej instancji warunki materialnego życia społeczeństwa.

To poprawne stanowisko metodologiczne autorów Pozytywizmu ce-

chowała jednak pewna, dość łatwa dziś do stwierdzenia, jednostronność. Kreśląc wyraźną i jednoznaczną linię rozwojową ideologii polskiego pozytywizmu krytycy ograniczyli się z konieczności do rozpatrywania tych przede wszystkim cech utworów literackich, które są wspólne również innym dziedzinom świadomości społecznej. I dlatego na ogół poza zasięgiem rozpraw opublikowanych w dwóch tomach studiów pozostał istotny i doniosły problem specyfiki literatury.

W wydanych niedawno szkicach O marksistowskiej teorii literatury*) Henryk Markiewicz dość obszernie zajmuje się sprawą specyfiki dzieła literackiego. Uogólnieniem jego rozważań jest wniosek, iż „ideologiczny, to jest klasowo kierunkowy, w ostatecznym rachunku aktywny wobec bazy charakter utworu literackiego nie zawsze występuje z jednakową wyrazistością i intensywnością, czasem jest bardzo zatarty". Zatarcie to zostaje spowodowane przede wszystkim złożonością środków wypowiedzi artystycznej, jakich używa pisarz określając w dziele swój stosunek do świata i ludzi, stosunek do współczesnej mu rzeczywistości. Poglądy artysty rzadko przejawiają się w utworze poprzez jednoznaczne, *expressis verbis* sformułowane stwierdzenia autorskie. Jeśli nawet wygłaszają je poszczególne postacie, to i wówczas krytyk nie może ich bez głębszych zróżnicowań identyfikować ze zdaniem samego twórcy. „Dla literatury właściwy jest jednak — jak pisze Markiewicz — inny sposób wyrażania poglądów". Polega on na konstruowaniu przez pisarza obrazów artystycznych, które — że raz jeszcze zacytujemy Markiewicza — „prowadzą do pewnych wniosków poznawczo - oceniających i w ten sposób oddziałują na przekonania i uczucia, a poprzez nie — na praktykę społeczną odbiorców."

Z powyższych rozważań wysnuć należy wniosek o pierwszorzędnym walorze metodologicznym: nie można przeprowadzić wszechstronnej i pełnej analizy utworu literackiego bez zanalizowania użytych w nim środków wypowiedzi artystycznej. Tej właśnie wszechstronności zabrakło pracom zamieszczonym w recenzowanych tomach studiów. Brak ten daje się odczuć zarówno w essayu Kotta o „Księżniczce" Urbanowskiej i pracy Frybesa o twórczości Maciejowskiego, jak i w rozprawach Markiewicza o Prusie i Żmigrodzkiej, o Orzeszkowej, bo tu przecież problematyka artystyczna, zważywszy wysoką wartość twórczości pisarzy, domaga się szczególnego uwzględnienia. Bez jej interpretacji monograficzne opracowanie powieściopisarstwa czołowych realistów nie może być jeszcze wyczerpujące i pełne.

Zacieśnienie przez autorów Pozytywizmu poszukiwań badawczych do określenia ideologii poszczególnych publicystów i pisarzy zaciążyło na „demaskatorskim" charakterze niektórych rozpraw. Przez „demaskatorstwo" rozumiemy tutaj taki stosunek krytyka do badanego przezeń pisarza, jaki podsuwa samo tylko ujawnianie związków twórcy z ideologią panującej klasy. W ten sposób dokonuje się bowiem znamienne przesunięcie proporcji w metodach analizy literackiej: krytyk kładzie w swych rozważaniach główny akcent na sprawę ograniczeń klasowych w postawie ideowej autora; na pierwszym planie uwydatnia nie — osiągnięcia realistyczne dzieła, ale te wszystkie momenty, w których nacisk ideologii klasowej wywarł ujemny wpływ na pełnię realizmu. Oczywiście nie wolno przemilczać faktu społecznego ograniczenia ho-

*) Studia historyczno-literackie IBL, t. XIV, Wrocław, 1952, Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

ryzontów poznawczych pisarza, ale nie na tym tylko powinna się koncentrować uwaga badacza.

Scharakteryzowane powyżej założenia metodologiczne dwóch tomów Pozytywizmu z jednej strony nadały niektórym studiom „demaskatorską" tonację, z drugiej zaś spowodowały niedostateczne uwzględnienie specyfiki artystycznej dzieł. Dlatego zbyt często konkretny obraz literacki przekładany jest bez dokładniejszych rozróżnień na język ideologii, dlatego w praktyce krytycznej stawia się niejednokrotnie znak równości między wypowiedzią artystyczną a językiem publicystyki. W tym ujęciu zaciera się niejednokrotnie wymowa obiektywna utworu, która w warunkach ustroju klasowego nie jest często równoznaczna z oficjalnie przez pisarza wyznawanym programem politycznym i społecznym. A że właśnie w wymowie obiektywnej dzieła najpełniej do głosu dochodzi realizm — oba tomy Pozytywizmu w sposób niewystarczający jeszcze i niepełny scharakteryzowały czołowe osiągnięcia realistyczne literatury omawianego okresu. Z tych przyczyn zasługą autorów rozpraw pozostaje przede wszystkim samo ukazanie szczytów realizmu w twórczości Orzeszkowej czy Prusa. Słusznie bowiem Markiewicz zwraca uwagę na Lalkę, Żmigrodzka na Niziny i Dziurdziów. Ale jest to raczej wytknięcie kierunku badań niż pełna i wszechstronna analiza wskazanych pozycji. Dwa przykłady na poparcie postawionej tu przez nas tezy: Markiewicz analizując Placówkę Prusa starał się określić przede wszystkim klasowe ograniczenia pisarza i ich odbicie na dokonanym w powieści artystycznym uogólnieniu problematyki narodowej i chłopskiej. (Autor skorygował już zresztą swe sądy o Placówce w szeregu wypowiedzi późniejszych). Żmigrodzka pisząc o Nizinach najmniej miejsca poświęciła realistycznym wartościom książki, główny tok swych wywodów przeznaczając na polemikę z niektórymi błędami pisarki w poprawnym rozumieniu sprawy chłopskiej. Tak zatem metoda zastosowana w obu wymienionych rozprawach wymaga jeszcze w wielu punktach zasadniczej rewizji, wymaga przede wszystkim innej proporcji w rozłożeniu akcentów krytycznych.

Czynnikiem, który wywiera ogromny wpływ na kształtowanie się wymowy (lub — według innego sformułowania — idei) obiektywnej utworu, jest, stosując określenie Gorkiego, „życiowy materiał" posiadający „zdolność stawiania oporu klasowym sympatiom i antypatiom autora". Ów napór rzeczywistości oznacza najczęściej napór społecznych i patriotycznych dążeń mas ludowych, którym ulega pisarz związany skąd inąd z ideologią panującej klasy. Dlatego wymowa obiektywna zbliża często utwór literacki do rzeczywistych interesów mas ludowych. Wówczas kąt widzenia współczesności przez pisarza bywa w wielu punktach zgodny z ludową oceną zarejestrowanych, uogólnionych i odtworzonych w dziele zjawisk społecznych. W tym znaczeniu mówić można, jak stwierdził badacz radziecki, Iwaszczenko, o ludowości tych nawet dzieł, których twórcy ściśle byli związani z programem społeczno-politycznym klas znajdujących się u władzy. I tak np. Prus w Placówce, Orzeszkowa w Nizinach, Konopnicka w Obrazkach i lirykach odzwierciedlili przynajmniej częściowo — jak pisze Markiewicz w Szkicach — „poglądy i dążenia mas ludowych", wykraczając niewątpliwie „poza granice potrzeb ideologicznych klas panujących".

Rozprawy wchodzące w skład dwóch tomów Pozytywizmu nie uwzględniają zupełnie problemu ludowości, a

co się z tym łączy, i ogólnonarodowego charakteru literatury. Tę ich metodologiczną jednostronność w dużym stopniu zdeterminował — obok konieczności przeciwstawienia idealistycznemu zamętowi ocen jasnej i wyraźnej linii ewolucji ideologicznej pisarzy — czas powstania recenzowanych studiów. Zostały one napisane przed tym przełomowym wydarzeniem, jakie w metodologii badań humanistycznych stanowiło pojawienie się artykułów Stalina o językoznawstwie. Musimy zatem potraktować dwa tomy Pozytywizmu jako osiągnięcia wprawdzie czołowe, ale niemniej osiągnięcia zamkniętego już dziś etapu ewolucji literaturoznawstwa marksistowskiego.

Wynikający z naszych rozważań, a sformułowany przez Markiewicza w jego ostatniej książce postulat jak najbardziej wszechstronnego rozwinięcia marksistowskich metod analizy artystycznej, postulat zwiększenia precyzji tej analizy, wymaga znacznego rozszerzenia i gruntownego pogłębienia wiedzy o epoce, o wszystkich sprzecznych prądach ideowych tej epoki. Słusznie pisze Markiewicz, że kiedy interpretacja dzieła nasuwa różnorakie trudności, „trzeba wówczas — nie kusząc się o jedną formułę, która by ogarnęła całość ideologiczną utworu — odnaleźć wielkie ruchy społeczne, których oddziaływanie w nim się krzyżuje". Źródłowa znajomość okresu, środowisk ideowych, znajomość osobistych losów i doświadczeń społecznych pisarza, jest elementem przy interpretacji utworu całkowicie niezbędnym. Miejsce pisarza wśród prądów społeczno-ideowych epoki, jego dzieje prywatne, które zawsze przecież mierzyć należy kategoriami społecznymi, a wreszcie jego osobiste uzdolnienia i dyspozycje twórcze — to wszystko czynniki, które wywierają swoisty wpływ na rodzaj obrazu artystycznego w utworze. Nowy typ badań, jaki nie poprzestaje na zdefiniowaniu w sposób generalizujący ideologii pisarza, ale jaki interpretuje artystyczne właściwości dzieła i wiąże je dialektycznie z postawą ideową twórcy, wymaga jak najbardziej precyzyjnego wniknięcia w złożoną problematykę epoki. Wtedy dopiero wyraźnie ukażą się wzajemne związki artyzmu z ideologią i ideologii z artyzmem.

Tematyka rozpraw zawartych w dwóch tomach Pozytywizmu świadczy, że podwaliny pod gruntowną znajomość okresu zostały już położone. Do wielu prac czytelnik — i naukowiec — sięgać może jako do źródeł cennych informacji o publicystach i pisarzach omawianego okresu. Dotyczy to szczególnie rozpraw poświęconych czasopiśmiennictwu. Są to monograficzne studia Renaty Szwarcówny o Przeglądzie Tygodniowym, Barbary Michałowskiej o pierwszym dziesięcioleciu Tygodnika Illustrowanego i Anny Kamieńskiej o galicyjskiej prasie ludowej. Dwie dalsze rozprawy — wzmiankowane tu wielokrotnie i cytowane szkice Marii Janion i Samuela Sandlera — poddają analizie publicystykę wczesnego etapu rozwoju ideologii pozytywistycznej. Obie jednocześnie notują pierwsze przejawy rozkładu tej ideologii. Praca Janiny Garyckiej, pt. Formy mecenatu artystycznego w okresie pozytywizmu, ukazuje szeroki obraz życia artystycznego i obyczajowego epoki, stwarza grunt dla badań nad wzajemnym powiązaniem różnorodnych form ideologii. Rozprawy Mariana Jakóbca i Leona Gomolickiego zajmują się wstępnym naszkicowaniem problemu związków kulturalnych — i ideologicznych — między życiem literackim Polski i Rosji tych czasów. Studium Bogdana Zakrzewskiego stanowi wresz-

ie pierwszy wgląd w antagonistyczny urt literatury okresu. Jest to zaledwie vstęp do obszernych badań, jakie prowadzi się obecnie nad wczesną rewolucyjną literaturą proletariacką.

Osobną uwagę poświęcić trzeba tym rozprawom, które zajmują się problematyką języka artystycznego w poezji omawianego okresu. Chodzi nam przede wszystkim o pracę Marii Renaty Mayenowej, której szczególną zasługą cennym wkładem w rozwój powojennej humanistyki jest zwrócenie poszukiwań badawczych w kierunku określenia specyfiki artystycznej utworów literackich. Nad rozprawą Mayenowej zaciążyły wprawdzie ujemnie wpływy marrystowskiej teorii języków klasowych. Znalazły one odbicie w jednej z zasadniczych tez autorki o przejściu liryki pozytywistycznej „od dialektu dworku szlacheckiego do dialektu mieszczaństwa". Mimo tych błędnych założeń praca Mayenowej określa trafnie specyficzne cechy językowe (a raczej cechy stylu) liryki okresu, która, posługując się całym arsenałem środków wyrazu odziedziczonym w spadku po romantyzmie, jest przecież zjawiskiem odrębnym w literaturze, zawierającym nowe sformułowania treściowe o odmiennej funkcji ideologicznej.

Rozprawę Mayenowej uzupełnia studium Marii Dłuskiej o wierszu Konopnickiej. Daje ono przegląd całego bogactwa form wierszowych i stroficznych, używanych przez autorkę Pana Balera.

Musimy jednak stwierdzić, że dobór rozpraw zawartych w Pozytywizmie cechuje pewna przypadkowość, zakres ich problematyki jest różny — niejednokrotnie bardzo wąski. Ten nierówny poziom studiów jak i daleka od stworzenia pełnej syntezy epoki ich zawartość dostatecznie są jednak wytłumaczone wstępnym, pionierskim etapem literaturoznawczych poszukiwań w okresie powstawania Pozytywizmu.

Koncepcję tematyczną obu tomów można by potraktować jako chęć stworzenia bazy materiałowej pod przyszłe, bardziej szczegółowe badania pisarstwa okresu; jej zakres wykazuje wyraźne uwarunkowanie bieżącymi potrzebami.

Owa aktualność Pozytywizmu wyraża się przede wszystkim poprzez dobór — w większości prac — takiej tematyki badań, która w najprostszy stosunkowo sposób pozwala ustalić linię rozwojową ideologii. Właśnie publicystyka, właśnie czasopiśmiennictwo, i właśnie formy tak zwanego „mecenatu artystycznego" najwyraźniej ujawniają kierunkowość prądów ideologicznych, ich uzależnienie od warunków materialnego bytu społeczeństwa, od nurtujących naród zaciętych walk klasowych. Jeśli jednak stwierdzimy, że zastosowany przez autorów dobór tematyki był doborem na owym etapie słusznym, to jednocześnie trzeba przecież z całym zdecydowaniem podkreślić konieczność rozszerzenia materiałowej płaszczyzny badań o te zjawiska literackie, które w recenzowanych tomach pozostały poza obrębem zainteresowań historyków literatury. I tak np. szczegółowego opracowania domaga się twórczość Sienkiewicza i twórczość Konopnickiej. Dalsze gruntowne studia poświęcić należy rewolucyjnej literaturze proletariackiej; osobne zagadnienie stanowi rozwój pozytywizmu wielkopolskiego i twórczość pisarzy galicyjskich. Poza marginesem badań dotychczasowych pozostaje krytyka literacka i teatralna epoki, dramat i komedia mieszczańska omawianego okresu. Przykłady powyższe, które można by zresztą mnożyć, wykazując dowodnie, że rozszerzenie tematyki badań szczegółowych nad literaturą pozytywizmu jest obowiązkiem chwili. W tym

też kierunku poszły w ciągu ostatnich dwóch lat prace Instytutu Badań Literackich, których wyniki zarejestruje niebawem — jakkolwiek w skrótowej formie — przygotowywany do druku przez Jana Baculewskiego i Alinę Brodzką podręcznik dla szkół średnich.

Z rozszerzeniem płaszczyzny materiałowej iść musi w parze uściślenie marksistowskich kryteriów oceny i interpretacji dzieła literackiego w badaniach szczegółowych. Pierwszy krok na tym polu zrobiony został już dzięki nowym teoretycznym pracom Markiewicza, studiom Sandlera poświęconym Trylogii i artykułom Baculewskiego o Sienkiewiczu. Ostatecznym wynikiem tych wszystkich postulowanych, a po części realizowanych już poszukiwań badawczych będzie stworzenie nowej, pełniejszej i eliminującej wszelkie przejawy schematyzmu syntezy okresu, która mieszcząc w sobie wszystkie najważniejsze zjawiska ideologiczne ustali z całą prawidłowością ich wzajemne stosunki.

Alina Nofer
Zbigniew Żabicki

T E A T R

FESTIWAL ZESPOŁÓW AMATORSKICH

W okresie świetlicowego festiwalu polskich sztuk współczesnych sprawy współczesnego teatru i współczesnej dramaturgii ogarnęły nagle w całym kraju milionową masę robotniczą i chłopską: wystąpiło na scenach 1.100 zespołów Związków Zawodowych i 1.200 zespołów Związku Samopomocy Chłopskiej, a przez widownie przepłynęło około 5 milionów widzów.

Eliminacje powiatowe, a potem wojewódzkie, doprowadziły do centralnych eliminacji w Warszawie, które najlepszym zespołom przyniosły nagrody i wyróżnienia. W centralnych eliminacjach Związków Zawodowych zespoły robotnicze i pracownicze z Łodzi, Katowic, Poznania, Krakowa, Pabianic, Krosna, Świdnicy, Przasnysza, Gościejewic (PGR), Torunia, Połczyna Zdroju, Orlej Juchy (PGR — woj. Białostockie), Puław, Kielc, Częstochowy, Szczecina, Wrocławia, Czechowic, Bielawy, Opola, Prudnika, Dąbrowy Górniczej, Gdyni i Warszawy — dały przedstawienia Niemców Kruczkowskiego, Zwykłej Sprawy Tarna, Zwycięstwa Warmińskiego, Dobrego człowieka Gruszczyńskiego, Trzeba było iskry Pasternaka, Wczoraj i przedwczoraj Maliszewskiego, Człowieka i maszyny Lubeckiego, Odezwa na murze Świrszczyńskiej, Awansu Żółkiewskiej, Tysiąca walecznych Rojewskiego, Pociągu do Marsylii Gruszczyńskiego, Pawilonu pod sosnami Rusinka, Górników Sterna, Wodewilu warszawskiego Gozdawy i Stępnia, dalej przedstawienia Fircyka w zalotach Zabłockiego, jako jedynej tu komedii klasycznej, a wreszcie przedstawienia amatorskich utworów scenicznych — sztuki Józefa Nowaka Śmiały pomysł, jednoaktówki Stanisława Piotrowskiego W rodzinnym domu, jednoaktówki Antoniego Lachowicza Zaprzęgać konia i komedii muzycznej Jana Tonowicza Wiejskie kino.

Centralne eliminacje Związku Samopomocy Chłopskiej dały w programie swych przedstawień nieco więcej pozycji klasycznych, kilka naszych sztuk współczesnych i kilka amatorskich utworów scenicznych. Notuję tytuły: Zrzędność i przekora, Moralność pani Dulskiej, Szkice węglem, Niemcy, Wczoraj i przedwczoraj, Zwycięstwo, Dobry człowiek, Trzeba było iskry, Wodewil warszawski, Zaprzęgać konia, Przyjmujemy o 8,30, Tama, Dożynki w Grzybowej, W rodzinnym domu, Było to w Łubinach.

Jakie wynikają wnioski z tych obu długich list pozycji repertuaru, które utorowały sobie drogę do eliminacji centralnych, będąc jednocześnie pozycjami najpowszechniej pojawiającymi się na scenach świetlicowych w całym kraju? Znakomita większość amatorskich zespołów robotniczych i chłopskich wzięła na warsztat sztuki o zdecydowanym obliczu politycznym, sztuki najbardziej bojowe z naszego współczesnego dramatopisarskiego dorobku, uzupełniając je upolitycznionymi utworami amatorskimi. Sam wybór sztuki dokonywał się wewnątrz zespołów poprzez często najgwałtowniejsze dyskusje. Znam wypadki, kiedy proponowaną przez patrona czy instruktora świetlicy sztukę zespół odrzucał jako politycznie nie dość dojrzałą. Głębokie poczucie odpowiedzialności wobec swej własnej koleżeńskiej widowni i przejęcie się ważnością podejmowanej pracy scenicznej — to może najbardziej charakterystyczna cecha, jaką dało się potem odczytać z większości festiwalowych przedstawień. Wiem z bezpośrednich relacji, że niejednokrotnie próba analityczna ze Zwycięstwa, Zwykłej sprawy czy też innej sztuki współczesnej zamieniała się w szeroką dyskusję polityczną nad poruszonym w sztuce zagadnieniem. I znam wypadki, kiedy praca nad sztuką współczesną — która z reguły nie ograniczała się do zainteresowań zespołu, lecz budziła najwyższe zainteresowanie całej załogi w danym zakładzie pracy — mobilizowała tę załogę do doganiania czy przekraczania planów produkcyjnych, do podejmowania dodatkowych zobowiązań. Oto konkretna realizacja postulowanej dotychczas przez nas funkcji społecznej sztuki, realizacja niesłychanie zobowiązująca pisarzy na przyszłość, a dziś na pewno niejednego zawstydzająca, gdy spojrzy na ideologiczne i artystyczne błędy czy niedopracowania swego utworu.

To głębokie przejęcie się wybraną sztuką sceniczną, to poważne i konfrontujące z życiem traktowanie zawartych w niej zagadnień — jest najistotniejszą specyfiką przedstawień tego pierwszego tak masowego festiwalu. I od takiego stwierdzenia należy — moim zdaniem — rozpocząć ocenę osiągnięć, które przesunęły się przed naszymi oczyma w centralnych eliminacjach warszawskich. Zdarzały się tu wypadki, że ta żarliwość robotniczego czy chłopskiego aktora wlewała prawdziwe życie w niedopracowaną, nie dość pogłębioną przez pisarza postać sceniczną. Zdarzały się wypadki, że lepsza znajomość realiów, konkretniejsze doświadczenia w walce klasowej, bardziej praktyczna wiedza o wysuniętym przez pisarza zagadnieniu — wzmacniała i wzbogacała sytuacje sceniczne. To są osiągnięcia, które powinny być uważnie przemyślane i zanotowane zarówno przez autorów jak i przez nasz zawodowy teatr.

Ale najistotniejsze osiągnięcia tego wielkiego festiwalu teatralnych zespo-

łów robotniczych i chłopskich leżą w nieco innej płaszczyźnie. Rok pracy nad festiwalem — rok pracy 2.300 zespołów świetlicowych w atmosferze żywego zainteresowania, dyskusji i ambicji większości kolegów i towarzyszy — to już nie jest jakaś marginesowa rozrywka, która nie zostawiła żadnych śladów. Ostateczna postać przedstawień — nie tylko tych najlepszych, o których zwycięstwie w eliminacjach zadecydowały niekiedy po prostu lepsze warunki pracy — odsłania ogromny masowy postęp kulturalny. Od tak długo i uporczywie pokutujących naleciałości drobnomieszczańskiego gustu wzniesiono się na zupełnie nowy szczebel stosunku do sztuki i rozumienia jej roli. W jak naturalny sposób było to potrzebne — widać chociażby po owej uderzającej żarliwości w grze tych dziesiątków tysięcy aktorów. A przecież nie mogło stać się to nagle i bez żadnego wysiłku, bez żadnego rozszerzania się i pogłębiania świadomości. Jest rzeczą widoczną — gdy się obserwuje osiągnięcia na scenie — że te zespoły, przygotowując wybrane przez siebie sztuki, wiązały z tym poważną pracę samokształceniową. Ta praca właśnie — samokształceniowa praca kulturalna — to ich zysk trwały, zysk dla nas wszystkich bezcenny i najważniejszy.

Stwierdzając ten fakt społeczny, myślimy tu w tej chwili o tych tysiącach, które w festiwalu zbliżyły się do nowej naszej sztuki i przetrawiły ją od strony sceny. A owe 5 milionów robotniczej i chłopskiej widowni? Związane z tym nagłe i olbrzymie upowszechnienie teatru?

Świetlicowy festiwal polskich sztuk współczesnych w konsekwencji pchnąć musi naprzód proces coraz ściślejszego wiązania się teatru z tą nową, masową widownią, o której ciągle mówimy, której ciągle — umiejętnie lub nieumiejętnie — szukamy, dla której kształcimy nasz teatr i naszą dramaturgię, a z którą ciągle jeszcze nie umieliśmy się dostatecznie związać. Osiągnięcia festiwalu świetlicowego w skali krajowej niewątpliwie stanowią poważny krok ku temu ostatecznemu zbliżeniu z wszystkimi konsekwencjami stałego, silnego, naturalnego i koniecznego oddziaływania na siebie nawzajem — teatru, pisarza i szerokiej nowej widowni.

Juliusz Żuławski

NA SCENACH KRAKOWSKICH

Początek bieżącego sezonu i roku teatralnego w Krakowie stał pod znakiem dyskusji próbujących zbilansować dorobek ideologiczny i artystyczny poprzedniego okresu. Dyskusje, które toczyły się przede wszystkim w kręgach literackich (dyskusja w Klubie Literatów z udziałem publiczności dotycząca Państwowych Teatrów Dramatycznych), a częściowo znalazły też miejsce na łamach prasy — pozwoliły na krytyczne ustalenie pewnych istotnych punktów, które mogły być ważne przy planowaniu programów pracy na czas przyszły. Mówiono między innymi o braku odkrywczości i odwagi repertuarowej, o zaniedbywaniu klasyki narodowej i niewłaściwym doborze klasyki obcej (Państwowe Teatry Dramatyczne), o niedostatecznej planowości i niedokształceniu kadr aktorskich (Państwowy Teatr Młodego Widza), o wciąż niewyklarowanej linii ideowej (Państwowy Teatr Rapsodyczny w związku z niedowarzoną miksturą z Szekspira). Obecnie, na półmetku sezonu 1952 r., czas już na prowizoryczne zorientowanie się czy i w jakim stopniu te i inne postulaty zostały zrealizowane lub znajdują się w realizacji.

W Państwowych Teatrach Dramatycznych owa pierwsza połowa roku wy-

daje się w stosunku do okresu poprzedniego wyznaczać pewien postęp. Ujrzeliśmy reprezentatywne dzieło klasycznej polskiej komedii (Zemsta Fredry w nowej inscenizacji), zachodnio-europejska klasyka przedstawiona została tym razem również w najlepszym gatunku (Shawa Szczygli zaułek), współczesna nasza dramaturgia zadeklarowała swój udział w walce narodów o pokój mocnym akcentem antyimperialistycznym (Pociąg do Marsylii Krzysztofa Gruszczyńskiego). Ale nie wszystkie zarzuty dotyczące poprzedniego okresu utraciły swoje ostrze: w dalszym ciągu kierownictwo literackie i artystyczne zdradza np. brak ambitnej pionierskiej inicjatywy repertuarowej, którą mógł się w tym czasie pochlubić choćby Wrocław (Komedia A. Korzeniowskiego i Człowiek z karabinem Pogodina) lub Poznań (Ruchome piaski Choynowskiego). Ale omawiany tu okres sprawozdawczy zbyt jest jeszcze krótki, aby mógł zadość uczynić wszystkim wymaganym postulatom. W trzech spektaklach trudno zamknąć całą rozległą skalę społecznych zamówień. Rozstrzygać o ocenie musi tu na razie w pierwszej linii celowość doboru poszczególnych pozycji i staranność ich artystycznego opracowania.

Otwiera tę listę Szczygli zaułek na dużej sali Starego Teatru. Debiut sceniczny 36-letniego młodzieńca, krnąbrnego i zrewoltowanego syna irlandzko-angielskiej burżuazji, londyńskiego mówcy ulicznego, fabiańskiego „socjalisty na ustroniu" nie stracił jeszcze po dziś dzień swojej groźnej siły. Pyszny kwiat kultury angielskiego patrycjatu i sprzymierzonego z nim bogatego „stanu trzeciego" wciąż jeszcze przecież wyrasta na bagnistym gruncie zaułków nędzarzy, gdzie potomkowie Sartoriusów administrują „wdowimi domami", a potomkowie lady Roxdale i jej siostrzeńca Harry Trencha, ożenionego z córką Sartoriusa, są na tych domach zahipotekowani. Shaw obrysowuje wprawdzie tę rzeczywistość dość prostymi kreskami, obraz nie posiada jeszcze w pełni artystycznego dowodzenia, ale też wskutek tego nie gmatwają jeszcze jego linii zawiłe idealistyczne arabeski, których ślady odnaleźć można w wielu późniejszych utworach autora Powrotu do Matuzalem i Genewy. Oskarżenie jest jasne i druzgocące jak dobrze uargumentowana mowa prokuratora. Sens jego więc nie jest trudny do odczytania i nie wymaga szczególnie mozolnych zabiegów interpretacyjnych współczesnego inscenizatora.

Toteż odczytanie krakowskie — bez specjalnych zresztą starań reżysera Józefa Karbowskiego i dramaturga Zygmunta Leśnodorskiego — było na ogół trafne. Można by życzyć jeszcze pewnych retuszów psychologiczno-interpretacyjnych w określeniu niektórych postaci i ich oblicza społecznego, co dotyczy np. Lickcheesé'a (który w krakowskim wykonaniu grawitował nie najsłuszniej ku lumpenproletariackości jakiegoś krewniaka Alfreda Doolittle), albo Sartoriusa, którego odtwórca — reżyser sztuki — miał nieco zbyt ironiczny stosunek do swojej postaci. Ale w sumie realistyczny sens utworu — świetnie podtrzymywany pełną plastycznej dynamiki oprawą scenograficzną Karola Frycza — podany został przekonywająco.

Ważnym wydarzeniem w życiu teatralnym Krakowa stała się długo przygotowywana i opóźniona nieco w stosunku do Fredrowskiego jubileuszu premiera Zemsty w teatrze im. J. Słowackiego. Jej znaczenie leży nie tyle w dokonaniach, ile w ambicji zamierzeń twórczych, w pionierskiej koncepcji wydobycia właściwej społeczno-obyczajo-

wej treści tego arcydzieła narodowej komedii. Zadanie takie nie jest łatwe. Wiadomo, że obiektywny sens komediowych wydarzeń, obraz klasowej rzeczywistości szlacheckiej z końca XVIII i początku XIX wieku nie jest najbardziej optymistyczny. Wspaniały zmysł obserwacyjny wielkiego realisty pozwala mu odsłonić z historyczną wiernością warcholstwo Cześników, obłudę Rejentów, pasożytnictwo Papkinów, ukazuje brudną podszewkę świetnego szlacheckiego kontusza. Ale ten realizm jest niejako instynktowny, hrabia Fredro sam nie zdaje sobie dobrze sprawy z właściwych wymiarów świata, klasową sympatią wiedziony opromienia go łagodnym uśmiechem rozrzewnienia, aureolą czystej rozgrzeszającej poezji.

Wielka trudność nowoczesnej inscenizacji Zemsty polega na konieczności zsynchronizowania ostrego demaskatorskiego spojrzenia realistycznego z pyszną komediowością poetyckiego uśmiechu, dla którego wydarzenia i postacie komediowe będą już tylko — zgodnie z prawdą historyczną — niegroźną legendą. Tej trudności nie zdołała w Krakowie dostatecznie pokonać inscenizacja i reżyseria Henryka Szletyńskiego. Dając barwny, plastyczny i soczysty rysunek środowiska, ustawiając działające postacie we właściwym świetle bystrej społeczno-obyczajowej analizy i w należytych klasowych proporcjach — reżyser realizował w ten sposób pierwszą odważną próbę marksistowskiej interpretacji Zemsty i jej zasadniczych wiązań treściowych. Ale czynił to często metodą zbyt dosadnej opisowości (drobiazgowe nieme sceny, zbyt narzucające się w niektórych szczegółach dekoracje i kostiumy Bolesława Kamykowskiego), nie zaś językiem prawdziwie teatralnym. Wskutek tego też lekkość i czar dowcipu i dialogu ulatniały się niekiedy, tym bardziej że wykonawcom brak było na ogół tak precyzyjnego i doskonałego opanowania fredrowskiego rytmu i wiersza, jakiego wymagać musi ich urzekająca muzyka. Niemniej, sam fakt trafnego ideologicznie odczytania wewnętrznej zawartości komediowej, pierwsze bodaj pokazanie Cześnika, Rejenta, Podstoliny czy Papkina nie jako wcieleń „ponadczasowej", „bajecznie kolorowej" polskości, ale jako określonych historycznie i klasowo indywidualności — to duża zdobycz krakowskiej inscenizacji, dzięki której powinna ona zostać zapamiętana w historii powojennej sceny polskiej.

60 rocznicę urodzin Prezydenta Bieruta święcił zespół Państwowych Teatrów Dramatycznych nadprogramowym wystawieniem w teatrze im. J. Słowackiego Pociągu do Marsylii, który przeszedł potem na dużą scenę Starego Teatru. Było to godne uczczenie Pierwszego Obywatela Polski Ludowej i Pierwszego Protektora socjalistycznej sztuki. Zarówno bowiem sam utwór jak i jego krakowskie przedstawienie stanowią już poważne osiągnięcie na drodze do prawdziwego realizmu socjalistycznego w dramacie i w teatrze polskim. Druga sztuka młodego pisarza jest dużym krokiem naprzód nie tylko w jego indywidualnym rozwoju, ale także w rozwoju młodej polskiej powojennej literatury dramatycznej. Wykazująca jasne, godne świadomego socjalistycznego twórcy, rozeznanie istoty międzynarodowych konfliktów politycznych, umiejąca pewnie wykreślić linię frontu, który przebiega nie między narodami ale wewnątrz narodów, oddzielając szerokie rzesze mas ludowych pragnących pokoju od wszystkich ciemnych sił obozu imperialistycznego — jest niejako pełną patetycznej dynamiki deklaracją ideową współczesnej polskiej literatury.

Także i od strony artystycznej stopień dojrzałości Gruszczyńskiego jest niemały. Schematyzm krępujący większość dotychczasowych naszych prób dramatycznych tutaj jakby rozluźnił swój ciasny gorset. Gdzieniegdzie wprawdzie znać jeszcze jego ślady, jak choćby w obrazie środowiska prowincji francuskiej czy jej francuskich mieszkańców, których charakter pozwalałby na umieszczenie ich równie dobrze w każdym innym współczesnym kraju kapitalistycznym, albo na przykład w niektórych naiwnościach i melodramatycznościach akcji. Ale ważną zdobycz Gruszczyńskiego stanowi to, że jego Pociąg do Marsylii nie jest już tylko udramatyzowaną publicystyką, gdzie ubrane w kostiumy i maski sceniczne, ideowe tezy prowadzą swoje bardzo świadome „dialogi fikcyjne". Jest już pełnym bogatej dynamicznej treści dramatem, w którym prawdziwi ludzie toczą swoje namiętne ludzkie spory.

Tę dynamikę i namiętność doskonale wydobyło krakowskie opracowanie sztuki, reżyserowanej przez Lidię Zamkow. Dynamika i namiętność zostały nawet trochę zbyt mocno zaakcentowane, przedstawienie było w niektórych momentach za głośne, ze szkodą dla dyskretniejszych lirycznych partii i dla ich poetyckiego nurtu. Tam jednak gdzie na pierwszy plan wysuwał się teatralny obraz konfliktów, gdzie bohaterowie i ich ugrupowania zderzali się w pośrednich starciach scenicznych — tam reżyseria potrafiła stworzyć sugestywną, wzruszającą, najszlachetniej agitacyjną całość, którą Tadeusz Kantor zamknął obramowaniem scenograficznym nie pozbawionym — przy całym swoim realizmie — poetyckiego metaforycznego akcentu.

Pierwsze półrocze 1952 r. Państwowego Teatru Młodego Widza w Krakowie nie pozwala jeszcze na zaobserwowanie ewentualnych przemian w stosunku do okresu poprzedniego (tylko jedna premiera: Poemat pedagogiczny według A. Makarenki w dramatyzacji M. Stehlika, w przekładzie i opracowaniu dramaturgicznym K. Dejmka). Pewne wnioski można już jednak wyciągnąć. Przypomnijmy niektóre tezy dotyczące dotychczasowego oblicza tego teatru, postawione choćby na tym miejscu (Twórczość nr 2, 1952) w ostatnim krakowskim przeglądzie teatralnym. Teatr bardzo ambitny ideowo, wiele troski przywiązujący do wychowawczej strony spektakli i dbający o nawiązywanie żywego kontaktu z młodzieżową widownią — nie osiąga zadowalającego poziomu. Doraźność i zmienność linii repertuarowej, nie dość świadomie planujące kierownictwo, entuzjastyczny ale bardzo surowy, niewyszkolony zespół aktorski — nie pozwalają teatrowi jak dotąd stać się w dostatecznym stopniu tym, czym powinien być: szkołą wrażliwości artystycznej i dojrzewania ideologicznego młodego pokolenia.

Otóż nie wydaje się, aby ostatnie pół roku w działalności tej placówki przyniosło jakieś większe zmiany na lepsze, przy czym jeszcze raz podkreślić należy, że z ostateczną oceną wstrzymać się trzeba do momentu rozporządzania bogatszym materiałem dowodowym. W dalszym ciągu zauważyć się daje brak ustalonej i przemyślanej linii przewodniej teatru, który nie bardzo się może zdecydować, czy ma być dobrym teatrem dla dzieci i młodzieży, czy nienajlepszym dla starszych (jaskrawym przyczynkiem do chaosu organizacyjnego niech będzie fakt, że tak ważna ideologicznie placówka przez kilka miesiący nie posiadała w ogóle kierownika literackiego!). Opieranie się w dalszym ciągu na zespole niezupełnie wykwalifikowanych i pozbawionych odpowied-

niej ilości stałych odpowiedzialnych reżyserów i pedagogów — powoduje nieraz niedopracowanie najlepiej nawet pomyślanych poszczególnych pozycji.

W pewnym stopniu dowodem tego była właśnie ostatnia premiera. Trudno sobie wyobrazić sztukę bardziej nadającą się dla współczesnego młodego — nie tylko w sensie wieku, ale także w sensie przygotowania kulturalnego — widza. Wspaniały epos radzieckiej pedagogiki, pokazujący jak w atmosferze świadomego socjalistycznego humanizmu rośnie nowy człowiek — uczy radosnego optymizmu i wiary w ludzkość, która w ramach kolektywu wyzwala się z powłoki zwierzęcości. Wprawdzie przeróbka sceniczna tej powieści nie jest w stanie oddać całego ideowego i psychologicznego bogactwa tematu, który w dramacie może być rozwijany tylko w węzłowych, skrótowych punktach — ale trzeba przyznać, że ukazana w Krakowie przeróbka i opracowanie dramaturgiczne bierze pod uwagę najbardziej — dla zarysowania całości — istotne z tych punktów. Toteż wybór kierownictwa teatru był ze wszech miar słuszny i widowisko w zasadzie spełnia swoją pożyteczną, wychowawczą rolę. Szkoda, że temu wyborowi nie towarzyszy równie staranne i przemyślane opracowanie inscenizacyjne. Reżyseria Marii Billiżanki (w asystencji Julii Themerson i Zbigniewa Hellebranda) nie wydobyła całego ogromnego ładunku dramatycznego tkwiącego w materiale. Widowisko było barwne, żywe, ruchliwe, ale działo się to trochę kosztem pełni psychologicznej i realistycznej drapieżności postaci i sytuacji Makarenkowskiego oryginału. Scenografia Wandy Czaplanki schludna i przejrzysta nie oddawała jednak autentycznego klimatu i nastroju, aktorom zaś — poza nielicznymi wyjątkami (postać Antoniego Makarenki) — braki techniczne przeszkadzały w wewnętrznym zrośnięciu się z odtwarzanymi postaciami. Mimo wszystko przedstawienie — choćby dzięki wspomnianym wyżej momentom — posiada duże walory propagandowe i życzyć należy teatrowi, aby w dalszych osiągnięciach tym walorom ideowym dorównało również opracowanie artystyczne.

Z pozostałych dwóch państwowych teatrów krakowski Teatr Rapsodyczny po nieudałej — choć tak ambitnej i interesującej — próbie rapsodycznej trawestacji Szekspira, ograniczał się w omawianym czasokresie do konsolidacji wewnętrznej. Wszyscy zwolennicy pięknej i szlachetnej sztuki recytacyjnej tego teatru poetyckiego słowa mają nadzieję, że przygotowywane na najbliższy czas nowe inscenizacje będą oznaczać ostateczne przezwyciężenie kryzysu organizacyjnego i pełny triumf podanych w rapsodycznej formie ideowych, prawdziwie rewolucyjnych treści.

Teatr Lalki i Aktora „Groteska" zajęty od bardzo długiego czasu przygotowaniami do oczekiwanych z wielkim zainteresowaniem Igraszek z diabłem Jana Drdy — dawał w omawianym półroczu przedstawienia raczej marginesowe. Anonimowa średniowieczna farsa o Mistrzu Piotrze Pathelin w nieprześcignionym przekładzie Adama Polewki była (w adaptacji dla teatru lalek Władysława Jaremy i reżyserii Juliany Całkowej) tylko częściowo dziełem krakowskich lalkarzy. Inscenizacja, scenografia, lalki realizowane przez Henri Poulaina przeniesione zostały z bratniego teatru w Piotrkowie do Krakowa i tu puszczone udatnie w ruch przez miejscowych wykonawców, dając w ten sposób przykład celowej i pożytecznej wymiany doświadczeń i ożywczej współpracy dwóch ośrodków. Widowisko o Szewcu Dratewce pió-

ra Marii Kownackiej w opracowaniu W. Jaremy było również tylko połowiczną nowością, choć w innym sensie. Było ono bowiem jedynie nowym opracowaniem dawnego spektaklu „Groteski", zresztą opracowaniem twórczym i stanowiącym — pod niektórymi względami — dalszy etap na drodze poszukiwań przez ten ambitny teatr własnego odrębnego wyrazu. Widowisku — przeznaczonemu tym razem w zasadzie dla dzieci — można by czynić pewne zarzuty od strony literackiej: wiersz jest dość naiwny i prymitywny, w tekście zdarzają się niekiedy niedopatrzenia treściowe. Ale od strony plastycznej przedstawienie jest znowu popisem świeżej wyobraźni i pomysłowości scenografów teatru, Kazimierza Mikulskiego i Jerzego Skarżyńskiego, którzy na bardzo dowcipnie skonstruowanej swoistej „scence obrotowej" zademonstrowali całą skalę rozwiązań kolorystycznych i linearnych. Te właśnie rozwiązania inscenizacyjno-scenograficzne są jednym z kolejnych szczebli udoskonaleń technicznych teatru, które niewątpliwie wkrótce będą wykorzystane w poważniejszych ideowo i artystycznie spektaklach.

W maju bieżącego roku kroniki teatralne Krakowa zanotowały również wydarzenie, które sprawozdawca w bilansie dokonań teatralnych omawianego okresu musi uwzględnić. Nie tylko dlatego, że impreza ta, w zasadzie jednorazowa, jest dziś w dalszym ciągu, od czasu do czasu, kontynuowana na małej sali Starego Teatru i ma niejakie szanse okresowej trwałości. Ale przede wszystkim dlatego, że w krakowskim wkładzie w dzieło budowy teatru socjalistycznego w Polsce może mieć ona nader doniosły udział i że na tle działalności oficjalnych teatrów uderza i podbija swoją świeżością, szczerością, niekłamanym wdziękiem młodości. Mowa tu o przedstawieniu Chłopca z naszego miasta Konstantego Simonowa, zrealizowanym w ramach zajęć szkolnych przez słuchaczy Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej w Krakowie, w szczególności przez III kurs tejże szkoły. Interesujące i godne pilnej obserwacji pedagogów i ludzi teatru są w pierwszym rzędzie zastosowane tu formy pracy. Przedstawienie niemal w całości jest dziełem uczniów i to dziełem zespołowym. Reżyserował je zespół asystentów (pod kierunkiem Jerzego Kaliszewskiego), oprawę scenograficzną przygotowali słuchacze III roku scenografii przy krakowskiej Akademii Sztuk Plastycznych (projekty Liliany Jankowskiej), opracowanie dramaturgiczne jest dziełem Koła Naukowego przy Państwowej Wyższej Szkole Aktorskiej (przy współpracy Leszka Herdegena). Każdy szczegół przedstawienia montowany był długo i starannie w ogniu drobiazgowej dyskusji, jest wspólnym dziełem kolektywu, wypróbowanym spośród wielu innych odrzuconych. Naturalnie, techniczne wykonanie tych szczegółów pozostawia wiele do życzenia, nawet najbardziej utalentowani uczniowie zdradzają jeszcze niekiedy podstawowe braki. Sprawa dramatyczna — rozgrywająca się w luźnych obrazach na przestrzeni kilkunastu lat i ukazująca rozwój głównych postaci od dzieciństwa do dojrzałości — wymaga od poszczególnych wykonawców niemałego kunsztu i ogromnej skali aktorskiej, której trudno od młodziutkich adeptów w pełni wymagać. Ale za to ogromną ich wartością jest umiejętność skromnego podporządkowania się dyscyplinie zespołu i żarliwa postawa ideowa. O postawie tej świadczy choćby sam wybór sztuki. A jest to sztuka ucząca doniosłej i jakże w obecnej chwili szczególnie aktualnej prawdy, że „trzeba walczyć tak długo, jak długo na

świecie istnieć będzie ostatni faszysta", umiejąca połączyć najwyższej miary ideowość i patriotyzm pisarstwa radzieckiego z poezją, sentymentem, humorem. W wykonaniu młodego zespołu sztuka ta stała się nie tylko próbą jego umiejętności, ale niejako „wyznaniem wiary" młodego pokolenia artystycznego.

Henryk Vogler

NA WIDNOKRĘGU

DYSKUSJA O DRAMATURGII

W artykułach omawiających tegoroczne Nagrody Stalinowskie pisarze i krytycy radzieccy podkreślali fakt, że za rok 1951 żaden dramatopisarz radziecki nie otrzymał nagrody I lub II stopnia, a nagrody III stopnia przyznano zaledwie dwom pisarzom. Pozostaje to w związku z sygnalizowanym od pewnego czasu niezadowalającym stanem radzieckiej twórczości dramatycznej. Wkrótce po opublikowaniu tegorocznych Nagród Stalinowskich redakcja Litieraturnej Gaziety (w nrze 39) wystąpiła z artykułem wstępnym pt. Zadania krytyki teatralnej.

Za opóźnianie się, nienadążanie dramaturgii radzieckiej, za wartkim potokiem życia i wciąż wzrastającymi potrzebami kulturalno - artystycznymi mas, autor artykułu wini i dramaturgów — z powodu ich słabej pracy twórczej, i Komitet do Spraw Sztuki oraz Związek Pisarzy Radzieckich za brak dostatecznej troskliwości o rozwój teatru radzieckiego, i krytyków teatralnych — za to, że w porę i uczciwie nie zasygnalizowali, jaki jest stan dramaturgii radzieckiej, lecz ulegając nieuzasadnionemu optymizmowi niekiedy nawet dezorientowali pisarzy i teatry. Autor zarzucił krytykom teatralnym, że przy recenzowaniu sztuk ograniczają się do rejestrowania osiągnięć lub niepowodzeń w dramaturgii, nie okazują jednak autorom i reżyserom skutecznej pomocy w szukaniu nowych dróg twórczych, nie oceniają twórczości dramatycznej pod kątem widzenia życia i jego potrzeb.

Zdaniem autora artykułu ta bierna postawa krytyków teatralnych wypływa z niechęci do teoretycznego uogólniania, do syntetyczno-krytycznego opracowywania zagadnień teatralnych. Niemałą rolę odgrywa tu sztuczny podział krytyków, teoretyków i historyków teatru na — teatrologów i recenzentów. W rezultacie teoretycznie dobrze przygotowani teatrologowie nie zabierają głosu w sprawach współczesnego teatru i bieżącego repertuaru teatralnego.

Zagadnienie krytyki teatralnej stanowi jednak tylko wycinek znacznie szerszego zagadnienia dramaturgii realizmu socjalistycznego. Sprawy te są przedmiotem ciągłej dyskusji, w której niejednokrotnie zabierała głos Prawda. Przełomowe znaczenie w tej dyskusji miał — znany polskiemu czytelnikowi z przekładu zamieszczonego w Trybunie Ludu (nr 115 25.IV. br.) i omówienia w Nowej Kulturze (nr 19 z 11.V. br.) — artykuł redakcyjny Prawdy z 7.IV. br. pt. Przezwyciężyć opóźnienie dramaturgii. Artykuł ten wyprowadził polemikę w sprawie dramaturgii radzieckiej na szeroki front ideologiczny i teoretyczno-literacki. Ze względu na zasadnicze znaczenie tego artykułu przypominamy ważniejsze punkty.

Prawda stwierdza, że współcześni dramatopisarze słabo wywiązują się ze stojących przed nimi zadań. W nowych sztukach dzisiejsze życie ludzi radzieckich nie znalazło artystycznego i godnego rzeczywistości radzieckiej odbicia. Obecny stan dramaturgii nie odpowiada wymaganiom narodu i partii.

Wyrazem nienadążania dramaturgii za spotęgowanymi wymaganiami narodu jest niezadowalający poziom repertuaru teatrów.

Szukając przyczyny tego stanu rzeczy Prawda wysuwa zarzut pod adresem Komitetu do Spraw Sztuki oraz Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich za zbyt słabe zainteresowanie się sprawą kształtowania się repertuaru teatralnego. „Jednakże główną i decydującą przyczyną — pisze Prawda — było fałszywe pojmowanie przez dramaturgów i krytyków niektórych zagadnień teorii i praktyki realizmu socjalistycznego, przede wszystkim zaś zagadnienia konfliktu będącego podstawą utworu dramatycznego".

„Artysta, który naprawdę zna życie, który wnikliwie obserwuje wszystko, co się wokół niego dzieje, nie może nie widzieć, że budowniczowie komunizmu spotykają na swej drodze przeszkody i trudności, opory, poważne życiowe sprzeczności, których przezwyciężenie wymaga dużych wysiłków, uświadomienia sobie w pełni swego obowiązku patriotycznego. Walka nowego ze starym wywołuje najrozmaitsze konflikty życiowe, bez których nie ma życia, a więc i nie ma sztuki.

Główna przyczyna ubóstwa dramaturgii, słabości wielu sztuk tkwi w tym, że dramatopisarze nie opierają swych utworów na głębokich konfliktach życiowych, że je omijają. Jeśli sądzić na podstawie takich sztuk, to u nas wszystko układa się dobrze, idealnie, bez żadnych konfliktów. Niektórzy dramatopisarze uważają, że zabroniono im nieomal krytykować to, co jest złe, negatywne w naszym życiu. Niektórzy zaś krytycy wymagają, aby w utworach artystycznych przedstawiano tylko typy idealne. Jeśli jakiś pisarz czy dramaturg pokaże to, co jest negatywne w życiu, wówczas krytycy nie zostawiają na nim suchej nitki".

Omijanie konfliktów życiowych lub co gorsza — lakierowanie, upiększanie rzeczywistości przez sztuczne, niezgodne z prawdą życiową przedstawianie jej jako rzekomo bezkonfliktowej — narusza naczelną zasadę metody realizmu socjalistycznego: zasadę prawdziwego odtwarzania rzeczywistości w jej rewolucyjnym rozwoju.

„Prymitywna „teoria" bezkonfliktowej dramaturgii — pisze Prawda — i równie prymitywna twórczość oparta na tej „teorii" stały się hamulcem w rozwoju dramaturgii radzieckiej, przyczyną jej pozostawania w tyle. Nasi dramatopisarze i krytycy muszą zerwać z tymi płytkimi pseudo-teoriami, które w sposób bezpośredni czy pośredni sankcjonują dramaturgię bezkonfliktową."

Ostre, bezkompromisowe zdemaskowanie przez Prawdę błędności i szkodliwości „teorii bezkonfliktowej", która zaćmiła umysły niektórych dramatopisarzy i krytyków oraz działaczy teatralnych, skierowało dyskusję o dramaturgii na właściwe tory. Wyrazem tego są liczne artykuły i wypowiedzi w prasie literackiej, zebrania dyskusyjne dramaturgów i krytyków, reżyserów i artystów, które odbyły się w Moskwie, Leningradzie, i innych ośrodkach życia literackiego i teatralnego w ciągu ostatnich miesięcy. W artykułach dyskusyjnych, na zebraniach, żywo omawiane były nie tylko zagadnienia dramaturgii teatralnej, lecz również dramaturgii filmowej, na którą „teoria bezkonflikto-

wości" wywiera także wpływ hamujący.

Jak zrodziła się ta „teoria"? Szczegółowa analiza tego schorzenia wykracza poza ramy krótkiego przeglądu. Najogólniej powiedzieć można, że do jej powstania przyczyniło się spłycenie, uproszczenie dialektycznego pojmowania walki sprzeczności, stanowiącej wewnętrzną treść procesu rozwojowego. W społeczeństwie socjalistycznym razem z likwidacją klas antagonistycznych zniknęły konflikty antagonistyczne (klasowe); jednak dalszy rozwój socjalizmu, narodziny i zwyciężanie nowego nie odbywa się bez walki, bez sprzeczności i konfliktów — oczywiście — nie antagonistycznych.

Błędne pojęcie konfliktu nieantagonistycznego zaciążyło na sprawie konfliktu dramatycznego. „Podczas dyskusji nad tym zagadnieniem w Związku Pisarzy Radzieckich niektórzy dramatopisarze i krytycy usiłowali dowieść, że w sztukach o życiu radzieckim nie ma już miejsca na życiowe sprzeczności i starcia, że wszystko sprowadziło się u nas do jednego tylko konfliktu między „dobrym" i „lepszym". (Prawda).

W artykule A. Surkowa Niektóre zagadnienia rozwojowe literatury radzieckiej (Bolszewik Nr 9/52) czytamy: „U nas toczy się walka, albowiem to, co umiera, nie pragnie po prostu umierać i walczy o swoje istnienie. Walka między nowym a starym w społeczeństwie radzieckim toczy się nie w formie walki klasowej, lecz w formie krytyki i samokrytyki. By dać prawdziwe odbicie życia, pisarze radzieccy powinni środkami artystycznymi wydobywać na jaw tę nową dialektyczną prawidłowość rozwojową społeczeństwa radzieckiego... Demonstrując niezwyciężoność nowego i nieuniknioną zgubę starego, pisarze radzieccy powinni okazać pomoc w tej ostrej bezkompromisowej walce, jaką partia Lenina-Stalina toczy z przeżytkami kapitalizmu".

Jednak wielu pisarzy radzieckich nie widzi tych konfliktów życiowych (Bolszewik Nr 9/52, str. 29).

Zastanawiając się nad przyczynami tego zjawiska krytyk teatralny A. Anastasjew (Trzy przedstawienia, Litieraturnaja Gazieta Nr 49/52) dochodzi do wniosku, że „teoria bezkonfliktowości" zrodziła się na gruncie nieznajomości życia i nieuzasadnionego braku odwagi (artykuł Prawdy nazywa to wprost tchórzostwem) w krytykowaniu ujemnych przejawów rzeczywistości.

Anastasjew wychodzi z założenia, że właściwie sztuk zupełnie bezkonfliktowych nie ma, bo być nie może. W wielu sztukach — mimo że autor w zawiązku akcji zapowiedział nawet istnienie konfliktu —„potem wszelkimi siłami zaciera, retuszuje go, przytłumia, sprowadzając go pod koniec sztuki — do zera..." Zainteresowanie widza dla sztuki spada w miarę nieuzasadnionego retuszowania konfliktu. „Konflikt — twierdzi Anastasjew — tkwi korzeniami w realnie istniejących ludziach, którzy z reguły bynajmniej nie ustępują tak łatwo ze swoich pozycji. W konsekwencji więc zacieranie konfliktu, wymuszone jego osłabianie doprowadza do tego, że wypacza się rzeczywistość, głosi nieprawdę o charakterach ludzkich".

Anastasjew wiąże ściśle ze sobą dwa pojęcia: konflikt i postacie dramatu — nosiciele konfliktu. Anastasjew ma na myśli konflikt nieantagonistyczny, rodzący się na gruncie tkwiących jeszcze w świadomości niektórych ludzi przyżytków burżuazyjnej przeszłości, przeżytków sprzecznych z otaczającą rzeczywistością socjalistyczną. Omijanie, unikanie konfliktów, łagodzenie, zacieranie starć — powoduje, że dramato-

pisarz mija się z prawdą życiową, wypacza prawdę psychologiczną, nie osiąga prawdy artystycznej (tzn. że przeżycia widzów doznawane w teatrze odbiegają od ich przeżyć i doświadczeń życiowych, nie współgrają, a więc nie znajdują oddźwięku, zrozumienia). Utwór w tym wypadku chybia celu ideowo-wychowawczego i artystycznego.

Związek między właściwym postawieniem konfliktu a ideą utworu dramatycznego Anastasjew formułuje następująco: „Konflikt — to właściwie spór między bohaterami, w którym odsłania się co w nim najważniejsze, zasadnicze — jego idea. W literaturze realizmu socjalistycznego wszystkie elementy dramatu (konflikt, postacie, idea itd.) zespolone są w jedną nierozerwalną całość.

„Bez artystycznego wcielenia konfliktów życiowych nie można głęboko i wszechstronnie obnażyć charakteru człowieka" — czytamy w artykule Prawdy z 7.IV. br. Nieco dalej na potwierdzenie humanistycznej zasady realizmu socjalistycznego o konieczności głęboko pojętej i artystycznie przekonywającej indywidualizacji postaci utworu dramatycznego, o niezbędności odmalowywania charakterów żywych i plastycznych — czytamy: „Tylko prawdziwe, żywe postaci mogą porwać widza, mogą uzmysłowić mu ideę utworu".

Jednak w wielu sztukach radzieckich — „pod postacią przodującego człowieka radzieckiego występują bezpostaciowi, nie wyróżniający się niczym ludzie, jednostki pozbawione rozumu, talentu, natchnienia, mocno zarysowanego i utrwalającego się w pamięci widza charakteru..." „Widza radzieckiego, który tak bardzo interesuje się teatrem, nie mogą zadowolić schematyczne, płytkie postacie, które w niczym prawie nie przypominają pełnego treści i wielostronnego charakteru człowieka radzieckiego".

Wysunięty przez Prawdę pod adresem dramatopisarzy i działaczy teatralnych postulat wielostronnego przedstawienia, odzwierciedlenia człowieka radzieckiego był wielokrotnie analizowany w artykułach i wypowiedziach dyskusyjnych. Postulowana wielowymiarowość postaci dramatycznych wymaga, by je ujmować nie tylko od strony działalności w życiu gospodarczym, naukowym czy technicznym lub społeczno-politycznym, lecz charakteryzować z uwzględnieniem ich świata duchowego, zainteresowań kulturalnych, życia codziennego.

Wybitny dramaturg radziecki A. Sofronow* pisze w artykule pt. O prawdę życiową, zamieszczonym w n-rze 64 Litieraturnej Gaziety: „Człowieka pracy trzeba ukazać w sztuce wszechstronnie i gruntownie. Pokazać robotnika — to nie oznacza: wyprowadzić na scenę tokarza w chwili, gdy toczy kawał żelaza. Należy poznać jego świat wewnętrzny, jego miłość, jego przyjaźń, całą różnorodność władających tym człowiekiem uczuć i namiętności, a wszystko to wcielić w jasno zarysowane, sugestywne obrazy".

Ostatecznie — sprawa wyboru prawdziwie życiowych konfliktów, sprawa stworzenia galerii postaci żywych, odmalowania charakterów mocnych i prawdziwych — to wszystko zależy od kunsztu dramaturgicznego, od artyzmu, z jakim dramatopisarz włada swoim warsztatem literackim. Do arsenału środków artystycznych, jakim dysponuje i wzbogaca swój artyzm dramatopisarz radziecki, Sofronow zalicza tradycje dramaturgii klasycznej rosyjskiej i światowej, tradycje najlepszych dramatopisarzy radzieckich: Trie-

* W moskiewskim teatrze im. Wachtangowa wystawiana jest obecnie z dużym powodzeniem najnowsza sztuka Sofronowa.

niewa, Iwanowa, Ławrieniewa, Kornijczuka, Afinogenowa i innych.

„Powinniśmy — pisze Sofronow — umiejętnie posługiwać się całym tym dorobkiem klasycznego dziedzictwa celem udoskonalenia naszego artyzmu. Szeroki oddech dają tym sztukom przede wszystkim głębokie i ostre konflikty dramatyczne, wyraziste, niezapomniane charaktery ludzkie. Właśnie tę wybitną cechę rosyjskiej dramaturgii klasycznej — jej umiejętność odtwarzania pełnokrwistych charakterów — musimy studiować szczególnie dokładnie".

Problemy artyzmu dramatopisarzy (w dziedzinie różnorodności gatunków twórczości dramatycznej, w dziedzinie kompozycji, stylu, języka itd.) były i są nadal poruszane i omawiane w wielu artykułach i pracach publikowanych na łamach czasopism teatralnych i literackich. Wszystkie te aktualne problemy dramaturgii radzieckiej — poruszone, względnie pominięte w tym pobieżnym przeglądzie — będą w najbliższej przyszłości przedmiotem obrad Plenum Zarządu Głównego Związku Pisarzy Radzieckich.

Na zakończenie pragnę poruszyć jeszcze jedno zagadnienie związane z „teorią" bezkonfliktowej dramaturgii — sprawę finałów w utworach dramatycznych. Autor cytowanego wyżej artykułu Trzy przedstawienia, A. Anastasjew, zastanawiając się nad przyczynami monotonii szablonowych finałów w niektórych sztukach o współczesnym życiu radzieckim — dochodzi do wniosku, że zjawisko to zrodziła również właśnie ta niedorzeczna „teoria" i „błędne przypuszczenie, iż dla widza nieodzownie konieczne jest dostarczenie mu „pod kurtynę" — powszechnego triumfu"... „To szkodliwy i obrażający widza punkt widzenia — kontynuuje Anastasjew. — Źródło radości w sztuce bije bynajmniej nie w pieśni finałowej, ani w namaszczonych tyradach, lecz we wzniosłości idei, w prawdzie życiowej, w kunszcie artysty".

Przeciwko szablonowym finałom wystąpili również i inni dyskutanci. W opublikowanym w n-rze 58 Litieraturnej Gaziety artykule pt. Wielopostaciowość życia a teatr wybitny aktor A. Dikij omawia krytycznie sprawę sielankowych finałów w świetle zasad bolszewickiej krytyki i samokrytyki. Na przykładzie szeregu swoich ról autor artykułu analizuje zagadnienia finału w sztuce i dochodzi do wniosku, że... „stale powtarzające się „szczęśliwe finały" wniosły do naszej dramaturgii tak wiele elementu sztucznego, nieżyciowego". Dlaczego?

Zgodnie ze szkodliwą i błędną „teorią" bezkonfliktowej dramaturgii jeden z nielicznych dopuszczalnych przez tę pseudoteorię konfliktów — to konflikt między „dobrym" a „niemal dobrym". Pod koniec sztuki w szablonowym finale „niemal dobry" okupuje swój błąd a nawet winę — i staje się „dobry". Nie każdy błąd — wywodzi Dikij — można jednak tak łatwo i z miejsca naprawić, nie każde skrzywienie — wyprostować, najtrudniej zaś wyplenić tak szybko i łatwo — wady i przywary głęboko zakorzenione. Dikij cytuje wypowiedź G. Malenkowa o ludziach źle rozumiejących zasadę bolszewickiej krytyki i samokrytyki, którzy ...„stale w swojej pracy popełniają błędy, przyznają się do nich i potem ze spokojnym sumieniem znowu je popełniają". Powołując się na te słowa wybitnego działacza i teoretyka bolszewickiego autor artykułu wywodzi:

„Konwencjonalnie negatywne postacie w wielu naszych sztukach również tak samo przyznają się do błędów w finale, ale bynajmniej nie zawsze po-

lobne wyznanie budzi w widzu bodaj minimalne przeświadczenie, iż nie powtórzą tych błędów, iż znowu nie będą — jak mówi jedna z bohaterek Ostrowskiego — grzeszyć i kajać się, grzeszyć i kajać się"... By widz nabrał przeświadczenia o prawdziwości i szczerości postępowania postaci scenicznej (tak w wypadku samokrytycznego przyznania się do błędów jak i w wypadkach uporczywego trwania w błędzie), musi ono wypływać z istoty danego charakteru ludzkiego, w przeciwnym razie dramatopisarz wpada w schematyzm, głosi nieprawdę.

Józef Spinc

WIELKA TRÓJKA BANKÓW NIEMIECKICH

W ramach ogólnego odradzania agresywnego potencjału imperializmu zachodnio-niemieckiego Anglosasi zrealizowali w Trizonii odbudowę najistotniejszej jego podstawy — wielkich banków niemieckich.

Kapitalistyczna bankowość niemiecka wyszła z wojny tak rozbita, jak sam imperializm niemiecki. Znakomita część aktywów przepadła, jako że 60% tychże stanowiły wierzytelności wobec Trzeciej Rzeszy: banki niemieckie finansowały całą swą potęgą machinę wojenną Hitlera. Teren działalności wielkich banków niemieckich zmniejszył się niemal o połowę: odpadły polskie ziemie zachodnie, odpadła też ówczesna strefa radziecka, gdzie z całą konsekwencją zrealizowano zasadę układu poczdamskiego o „likwidacji istniejącej nadmiernej koncentracji siły gospodarczej" w Niemczech. Odpadły wreszcie zagraniczne wierzytelności niemieckich koncernów bankowych.

Jeśli w tych warunkach system bankowy imperializmu niemieckiego utrzymał się i jeśli dziś można mówić o jego odrodzeniu, to zawdzięcza on to wyłącznie polityce mocarstw zachodnich, polityce wskrzeszania imperializmu niemieckiego w celu włączenia go do amerykańskich projektów jeszcze jednej „krucjaty na wschód".

Podstawę przedwojennej bankowości niemieckiej stanowiły trzy wielkie koncerny bankowe: *Deutsche Bank, Dresdner Bank* i *Commerz und Privat Bank.* Ich egzekutywą był oficjalny emisyjny Bank Rzeszy. Polityka okupantów, a ściślej rzecz biorąc Amerykanów, polegała w okresie powojennym na wykorzystaniu początkowej słabości i rozbicia bankowych koncernów niemieckich w celu ich opanowania, a następnie na odbudowie pełnej koncentracji bankowej opartej jednak już tym razem na zasadzie amerykańskiej hegemonii w spółce.

W pierwszej fazie zorganizowano, szeroko zresztą reklamowaną, „decentralizację" trzech wielkich banków. Stworzono 30 instytucji sukcesyjnych — 10 *Deutsche Banku,* 11 *Dresdner Banku* i 9 *Commerz Banku.* Do tych 30 instytucji sukcesyjnych dołączyły się następnie jeszcze 3, po jednej dla każdej z grup, w Berlinie zachodnim. Podział oparty został na zasadzie regionalnej. „Decentralizacja" była jednak, jeśli chodzi o zasadę rozbicia nadmiernej koncentracji, tylko pozorna. Żaden z trzech banków nie został zlikwidowany jako towarzystwo akcyjne. Żaden też nie został skreślony z rejestru handlowego. W tej sytuacji utworzenie instytucji sukcesyjnych oznaczało jedynie rozdrobnienie funkcji sprawowanych przez jeden i ten sam organizm bankowy. Rozdrobnienie funkcji nastąpiło przy tym przy zachowaniu wszelkich powiązań personalnych i całej dotychczasowej obsady. Z reguły rzeczy kierownicy filii koncernu zostawali kierownikami odpowiedniej regionalnej instytucji sukcesyjnej. Te ostatnie sprawowały więc

funkcje filii, których centralę oficjalnie zawieszono w działalności.

O ile z punktu widzenia koncentracji systemu bankowego amerykańska „decentralizacja" była fikcją, o tyle przyniosła ona całkiem realne rezultaty w zakresie przenikania kapitału amerykańskiego do podstawowych pozycji finansowych w Trizonii. Amerykanie połączyli bowiem możliwości wynikające dla nich z faktu zniszczenia znacznej części substancji finansowej banków niemieckich z perspektywami, jakie dawała „decentralizacja". Głównym narzędziem stał się założony dzięki kredytom marshallowskim *Kreditanstalt für Wiederaufbau (KfW* — Bank odbudowy). KfW otrzymał monopol na rozprowadzanie kredytów amerykańskich dla Trizonii. W zarządzie tego banku zasiadło trzech potentatów z *Deutsche Bank*, z Hermanem Absem na czele. KfW wyłonił z kolei jako główną instytucję finansującą odrodzenie zbrojeniowego przemysłu Trizonii tzw. *Industriekreditbank AG* w Düsseldorfie. Jest przy tym rzeczą charakterystyczną, że *Industriekreditbank* występuje zarazem jako główna instytucja kredytowa Federalnego Związku Niemieckich Zrzeszeń Przemysłowych.

KfW i *Industriekreditbank* oparte na zasadzie ścisłej centralizacji zrealizowały w ciągu trzech lat daleko idące powiązania z trzydziestoma sukcesyjnymi towarzystwami trzech tradycyjnych kolosów bankowych Niemiec. Pomocą służył im w tej dziedzinie następca dawnego Banku Rzeszy — *Bank Deutscher Länder* (BDL). Polityka emisyjna BDL pozostawała pod ścisłą kontrolą okupacyjnej Sojuszniczej Komisji Bankowej.

Decydującym posunięciem amerykańskim w zakresie „reorganizacji" finansów niemieckich stała się wreszcie separatystyczna reforma walutowa. Na mocy tej reformy konta bankowe przeliczone zostały, w zależności od charakteru, po kursie 6—10 nowych DMarek za 100 dawnych Reichsmarek. Źródła kredytowe gospodarki zachodnio-niemieckiej zostały wówczas wysuszone radykalnie i KfW stał się dyktatorem rynku kredytowego.

Począwszy od końca 1949 mamy do czynienia z drugą fazą polityki amerykańskiej wobec banków niemieckich. Podstawy „sojuszu" zostały już stworzone — obecnie chodziło o postawienie „sojusznika" na nogi, tzn. ponowne przekształcenie go w źródło siły finansowej dla przygotowań wojennych.

Rezultaty tej nowej polityki dadzą się streścić dość krótko: bezpośrednio po reformie walutowej w Trizonii można było na tamtejszych giełdach za akcje *Deutsche Bank* wartości nominalnej 100 Reichsmarek uzyskać niecałe 5 DMarek (dodajmy, że sytuację tę w szerokim zakresie wykorzystywał kapitał amerykański, skupując za bezcen przy pomocy podstawionych figurantów nie tylko akcje banków, ale również koncernów przemysłowych Niemiec zachodnich). Na początku 1952 kurs takiej samej akcji wynosił już ponad 75 DMarek. Niemal identycznie kształtowała się sytuacja z akcjami pozostałych dwóch wielkich banków zachodnio-niemieckich. Tak radykalny wzrost kursu oznacza, że wielcy akcjonariusze odzyskali 75% swego kapitału, podczas gdy klienci banków stracili 90 i więcej procent swych kont w rezultacie reformy walutowej. Wzrost kursów akcji był bezpośrednim wynikiem odbudowy bilansów wielkich banków. Jak już wiemy, banki te straciły ponad 60% swych aktywów tylko w wyniku skreślenia wierzytelności wobec Trzeciej Rzeszy. Jednakże rząd Adenauera zatroszczył się o podtrzymanie „wielkiej trójki bankowej".

Zrealizowano to przy pomocy systemu tzw. wierzytelności wyrównawczych. Są to tytuły dłużnicze Trizonii i poszczególnych prowincji zachodnio-niemieckich przyznawane bankom w sumie równej różnicy pomiędzy sumą ich zobowiązań i kapitału własnego a aktywami. Do połowy 1951 banki zachodnio-niemieckie otrzymały takich tytułów dłużniczych na poczet wierzytelności wyrównawczych na sumę 17,4 miliarda DMarek. Jest to główna pozycja długoterminowego zadłużenia publicznego Niemiec zachodnich. Wypłata odsetek od tej sumy pochłania rocznie ponad 650 milionów DMarek, to jest niemal całokwartalny wpływ z podatku od płac i wynagrodzeń. Bezpośrednio po reformie walutowej wierzytelności wyrównawcze stanowiły największą pozycję majątkową banków (pod koniec 1948 — 40% bilansów banków komercjalnych): Adenauer honorował długi Hitlera. Wierzytelności wyrównawcze zostały jednocześnie wykorzystane dla wznowienia procesu koncentracji banków. Odpowiednia ustawa (Nr 63, paragraf 9) postanawia mianowicie, że dla zlikwidowania „zbędnych" instytucji kredytowych można od banku otrzymującego wierzytelności wyrównawcze zażądać między innymi „połączenia się z inną instytucją finansową". Z drugiej strony rada nadzorcza banku może również „zażądać przekazania jego zasobów innej instytucji finansowej".

Po uzyskaniu wierzytelności wyrównawczych, korzystając z całokształtu polityki amerykańskiej, koncerny bankowe Niemiec zachodnich przystąpiły do gorączkowego kredytowania ciężkiego przemysłu Trizonii. Operacje kredytowe połączone z bezwzględnym rabunkiem zachodnio-niemieckich mas pracujących przyniosły szybki wzrost sum bilansowych zachodnio-niemieckich koncernów bankowych. W końcu 1951 suma bilansowa dla 30 „instytucji sukcesyjnych" wynosiła już 7,6 miliarda DMarek, tzn. więcej niż w końcu 1936 (6,9 mld. Reichsmarek). W końcu 1938 przy pełnym rozpędzie hitlerowskiej gospodarki zbrojeniowej suma bilansowa trzech wielkich banków wynosiła 8,1 mld. Reichsmarek. Jeśli uwzględnimy tylko terytorium Niemiec zachodnich, na którym obecnie banki te działają, okaże się, że suma bilansowa z końca 1951 wynosi już 140% poziomu z końca 1938 i 165% — z końca 1936. Jak wydajny jest udział trzech koncernów bankowych w finansowaniu zbrojeniowej gospodarki Trizonii, wskazuje fakt, że w końcu 1951 ich globalne transakcje kredytowe wynosiły już 5,1 miliarda DMarek w ogólnej sumie bilansowej 7,6 mld. wobec 6,3 mld. Reichsmarek w końcu 1938. Przy uwzględnieniu tylko terytorium Niemiec zachodnich globalna suma transakcji kredytowych trzech koncernów bankowych wynosiła w końcu ubiegłego roku 123% poziomu z końca 1938. Wspomniane trzy koncerny reprezentują dziś 55% kredytów udzielanych przez wszystkie instytucje kredytowe Trizonii. Wobec braku odpowiednio ścisłych statystyk z okresu przedwojennego można tylko w przybliżeniu stwierdzić, że jest to stopień koncentracji działalności kredytowej w żadnym razie nie mniejszy, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa większy niż w 1938.

W miarę odbudowy swych pozycji koncerny bankowe Niemiec zachodnich przystąpiły do zrzucania krępujących je gdzieniegdzie obsłonek „decentralizacyjnych". Proces ten odbył się w ciągu niemal dwuletnich rokowań z Amerykanami. Formalnie rokowania dotyczyły struktury bankowości zachodnio-niemieckiej, w rzeczywistości zaś chodziło o udział odbudowanych koncernów bankowych Niemiec w zyskach wynikających z tytułu prowadzonej pod

hegemonią Wall Street kampanii zbrojeń i agresji. Rezultatem długotrwałych rokowań jest zredukowanie liczby 30 instytucji sukcesyjnych do 9, przy czym każdy posiadacz akcji *Deutsche-Dresdner*, bądź *Commerz-Bank* otrzymuje w zamian za nią po jednej akcji każdej z trzech nowopowstających instytucji sukcesyjnych danego banku. Postanawia się dalej — są to decyzje zawarte w odpowiedniej ustawie Bundestagu zatwierdzonej przez okupantów — że nie będzie żadnych ograniczeń w zakresie nabywania przez banki akcji przemysłowych. Proces rekoncentracji został podkreślony i przez to, że według ustawy zarządy nowych „instytucji sukcesyjnych" zostaną „wyłonione" przez dotychczasowe kierownictwa trzech wielkich banków. Tymże kierownictwom powierzono sporządzenie dla „nowych" instytucji końcowych bilansów zamknięcia w Reichsmarkach i bilansów otwarcia w DMarkach. Innymi słowy nową kartę w historii agresywnego imperializmu zachodnio-niemieckiego otworzyć mają ci sami ludzie, którzy zamknęli poprzednią. Nie wątpiąc w ich „jak najlepsze" chęci, nie podobna jednak wstrzymać się od uwagi, że dotychczasowa historia bilansów otwarcia i zamknięcia imperializmu niemieckiego pozwala przewidywać następną sumę bilansową równą dokładnie zeru.

Krzysztof Wolicki

NOTATNIK AMERYKAŃSKI

Dzieje zwycięskich walk Rewolucji z interwencją imperialistów są zbyt dobrze znane, aby je tu przypominać. Po klęsce interwentów rozpoczęło się montowanie frontu antyradzieckiego na terenie międzynarodowym. Równocześnie toczy się walka monopolistycznego kapitału z postępem — gospodarczym, społecznym, politycznym i kulturalnym. Koncentracja potęgi ekonomicznej i faszyzm — to gospodarczy i polityczny aspekt tej samej rzeczy, dwa janusowe oblicza imperialistycznych monopoli kapitałowych. Dlatego w Europie faszyzm najsilniej rozwinął się w Niemczech, w kraju największej koncentracji kapitału. Rozwinął się wprawdzie i w krajach przemysłowo zacofanych jak Hiszpania i Polska, ale tam był czynnikiem aluwialnym, nanośnym, narzuconym przez sojusz obcych koncernów z domowym amalgamatem obszarnictwa, burżuazji i klerykalizmu. Podobnie dzieje się w większości państw Ameryki Łacińskiej. Faszyzacji uniknęła na pozór Anglia — „ograniczyła" ją do niezmierzonych obszarów kolonialnych. W miarę jak te obszary przechodzą we władanie USA, zmienia się sytuacja w metropolii brytyjskiej.

Faszyzm amerykański jest starszy od hitleryzmu i potężniejszy. Skupianie własności w ręku wielkich korporacji rozpoczęło się w Stanach wcześniej i posunęło się dalej, a łącznie z tym zrastanie się ich z aparatem państwowym. Już w 1935 roku do 30 największych korporacji (stan posiadania powyżej 1 miliarda dolarów) należały bogactwa większe niż całość majątku narodowego, jaki znajdował się na obszarze 38 stanów. Dziś korporacji miliardowych jest 48, a udział ich w bogactwie narodowym odpowiednio wzrósł. Dwa czołowe olbrzymy — *Metropolitan Life* oraz *American Telegraph and Telephone Co* — bogatsze są niż połowa całej ludności USA, a każdy z nich — niż ogół obywateli w 21 stanach razem wziętych. Towarzystwo ubezpieczeń *Metropolitan Life Insurance Co* „warte jest" okrągło licząc 8 miliardów dolarów. Wpływy z polis wynoszą co rok ponad miliard, taką więc sumę trzeba corocznie inwestować.

ATTC (4 miliardy) wchodzi w skład grupy Morgana, do której należy rów-

nież 11 innych przedsiębiorstw użyteczności publicznej, 13 koncernów przemysłowych z *United States Steel Co* (blisko 2 miliardy), 11 głównych linii kolejowych (*Pennsylvania Railroad Co* — 3 miliardy), 37 zakładów energetycznych, szereg wielkich banków — ogółem 131 miliardów. Dom Morgana jest potęgą, przy której blednie dawna wszechmoc Habsburgów i Burbonów. Monopole finansowe nie są już państwem w państwie, są rzeczywistym źródłem władzy, a Kongres, Prezydent i sądy stanowią trzy ramiona wykonawcze ich rozkazów, posłuszne narzędzia ich woli. W słynnym szkicu Gorkiego król republiki wypowiada pogląd, że „wszyscy członkowie rządu powinni być akcjonariuszami przedsiębiorstw przemysłowych". Dzisiaj życzenie to spełniło się z sutą nawiązką — członkami rządu USA mogą być tylko urzędnicy wielkich korporacji. Oligarchia kapitalistyczna stała się faktem jawnym, otwarcie proklamowanym.

„Wolność i demokracja nie są bezpieczne — mówił Roosevelt w kwietniu 1938 r. — jeśli naród dopuści do takiego rozrostu potęgi w ręku prywatnym, że stanie się silniejsza niż samo demokratyczne państwo... Koncentracja potęgi gospodarczej, a w jej wyniku bezrobocie pracy i kapitału — to zagadnienia, od których rozwiązania nie może się uchylić nowoczesna demokracja wolnego przedsiębiorstwa". Koncentracja stwarzała nie tylko bezrobocie. Usztywniała ceny i była przyczyną coraz bardziej nierównego rozdziału dochodu społecznego. Znany półurzędowy instytut badawczy *The Brookings Institution* w Waszyngtonie stwierdza, że nawet w latach pomyślnej koniunktury, przed kryzysem 1929 roku, 60% rodzin USA miało dochód poniżej minimum egzystencji, podczas gdy 1/10% rodzin osiągało dochód równy niemal dochodowi połowy ludności Stanów. Wynikiem był kryzys 1929 r. oraz spadek produkcji i zatrudnienia w przemyśle o 80%. Ceny w tym czasie spadły jednak zaledwie o 6%. Wielkim korporacjom najbardziej odpowiadały wysokie ceny, znaczne bezrobocie i ograniczona produkcja. Nic dziwnego, że bliski współpracownik Roosevelta, Harold Ickes, nazwał próby ratowania kapitalizmu „bitwą z 60 rodzinami Ameryki". Ale kapitalizm wciąż jeszcze myślał w kategoriach z końca XIX wieku i operował mitem „konkurencji", jakkolwiek wielkie monopole dawno już konkurencję zabiły. Wielki kapitał wierzył w Keynesa, podobnie jak Roosevelt, ale nie chciał złożyć żadnej ofiary — nawet na rzecz własnego ocalenia. Tu kryło się źródło rozdźwięku z reformistycznym prezydentem.

„Technologia wieku XX — mówi znany konserwatywny ekonomista David Lynch — jest krańcowo różna od XIX stulecia. Gospodarka wielce uprzemysłowiona zajęła miejsce gospodarki, w której przeważało rolnictwo. Zamiast prostych narzędzi zjawiły się skomplikowane machiny. Wynalazki nie są już dziełem jednostek, ale wielkich laboratoriów. Ideologia i metodologia gospodarcza uległy radykalnej przemianie. Jeszcze w latach 1830—40 podstawowym źródłem energii były wiatr i woda, podstawowym materiałem budowlanym — drzewo. Poprzez węgiel, żelazo i cegłę wkroczyliśmy w wiek elektryczności, radia, biochemii, cementu. Świat skurczył się. Cokolwiek powiedzielibyśmy o roli jednostki i prywatnej inicjatywy, wytwórczość dzisiejsza jest społeczna. Z dawnych lat pozostały tylko nawyki myślowe".

Wniosek jest prosty: coraz większa socjalizacja produkcji prowadzi świat nieodparcie i nieodwracalnie w kierunku socjalizmu. Ale te same czynniki po-

wodują coraz bardziej zdecydowaną faszyzację kapitalizmu, który godzi się wprawdzie z uspołecznieniem środków produkcji, nie chce się jednak pogodzić z uspołecznieniem zysków. Sprzeczność jest oczywista. Toteż rosnąca reakcyjność państw kapitalistycznych nie oznacza wcale reakcyjności społeczeństw. Przeciwnie — jest przejawem zaostrzania się przeciwieństw klasowych i walki klasowej. Świat zmierza do socjalizmu, kapitalizm zaś do faszyzmu. A im większa koncentracja potęgi gospodarczej w ręku scalonego z państwem monopolistycznego kapitału, tym jaskrawiej zarysowuje się jego reakcyjne oblicze. Oparty na recepcie Keynesa *New Deal* opierał się na zwodniczym sofizmacie o „kapitalizmie postępowym". Usiłował odrodzić zamierający ustrój przy pomocy stępienia antagonizmów klasowych. Zastrzyk ożywczy polegał na wielkich robotach publicznych i zwiększeniu siły nabywczej mas. Miało to zdrenować nadwyżki kapitałowe, złagodzić bezrobocie. Eksperyment nie udał się. W roku 1937 rozpoczął się nowy kryzys przybierając tempo jeszcze gwałtowniejsze niż w 1929 r. Ratunkiem okazała się dopiero wojna. William Foster słusznie zwraca uwagę, że społeczeństwo amerykańskie nie zdaje sobie na ogół sprawy, jak dalece na przestrzeni życia całego pokolenia wojna była ostoją przemysłu USA. Od roku 1914 gospodarka Stanów Zjednoczonych żyje z wojny oraz jej następstw. Przed paru laty niektórzy doradcy ekonomiczni Trumana propagowali powrót do pewnych form *New Dealu*. Edmund Nourse lansował projekt inwestowania 60 miliardów dolarów w budowę dróg, 13 w regulację rzek, 10 w nowe gmachy szkolne, 8 w szpitale itd. Ale zwierzchnicy Trumana kazali mu zamiast tego przystąpić do forsownych zbrojeń. Zastrzyk działał jednak zbyt słabo, w 1949 r. koniunktura zaczęła się łamać. Wówczas nakazano wojnę. Truman rozpoczął „obronę" Korei.

Istnieje wiele powodów, dla których wielkie monopole wobec dylematu — zbrojenia czy roboty publiczne — wybrały zbrojenia. Po pierwsze — zbrojenia dają wyższe zyski i uchylają się od kontroli publicznej. Po wtóre — atmosfera wojenna sprzyja polityce reakcyjnej, dławieniu opinii, ograniczaniu praw obywatelskich, a zwłaszcza praw robotnika w postaci zakazu strajków, zamrożenia płac, podporządkowania związków zawodowych państwu jako organowi woli *big businessu* itd. Po trzecie — polityka zbrojeniowa umożliwia poparcie ekspansji kapitału naciskiem wojskowym, odpowiada planom zdobycia drogą wojny władztwa gospodarczego nad światem. Drogą wojny, czyli przedsięwzięcia najbardziej zyskownego, jakie znają kapitaliści. Nie bez powodu i nie przypadkiem zwierzchnia władza wojskowa spoczywa w ręku bankierów. Pierwszym ministrem „obrony" był Forrestal, obecnym Lovett.

Największe niebezpieczeństwo dla pokoju płynie stąd, że przedstawiciele wielkiego kapitału USA uważają wojnę za konieczność gospodarczą i polityczną, za warunek bytu dla siebie. A Związek Rad uważają słusznie za największego wroga wojny. Związek Rad uważają ponadto za wielką przeszkodę, jaka dzieli ich od panowania nad światem. Bo przecież nie ginący kapitalizm brytyjski czy karzełek francuski może im stawiać opór. Związek Rad jest dla nich wreszcie uosobieniem dążeń ludów kolonialnych do wyzwolenia i dążeń rewolucyjnych proletariatu wszystkich krajów.

Taka jest treść, taka jest istota myśli i uczuć generalicji kapitału. Odpowiadają im czyny.

„Mniejsza o granice Polski..."

Późną jesienią 1917 r. w Waszyngtonie zaufany doradca Wilsona płk. House, partner domu Morgana — Thomas Lamont, Herbert Hoover i kilku innych wtajemniczonych przystąpiło do rozważenia środków opanowania Rosji wyłamującej się zdecydowanie z orbity kapitalizmu. Powołano do życia specjalną komórkę pod niewinną nazwą *Inquirer* (Badacz), której sekretarzem został obiecujący młody człowiek, Walter Lippman. W kuźni tej wykuto pierwszy plan interwencji, plan podboju i rozczłonkowania niesfornego kraju po zwycięskiej kampanii niemieckiej na wschodzie. Dokładny program przygotowano w postaci komentarza do 14 Punktów Wilsona, a w szczególności do punktu 6, który głosił, że „stosunek do Rosji będzie kamieniem probierczym dobrej woli jej sąsiadów". Stany Zjednoczone już wówczas uważały się za „sąsiada", a przejawem ich „dobrej woli" miało być poddanie byłego państwa carów władzy kapitału amerykańskiego przy współudziale kapitałów, a zwłaszcza wojsk niemieckich i japońskich. Wówczas powstała osławiona, a zatwierdzona przez Departament Stanu mapa „przyszłych granic rosyjskich". Z mapy tej i wspomnianego komentarza wynika, że Wilson zdołał w ciągu niespełna roku zgubić 13 Punkt dotyczący Polski. Zapewne na rzecz „wyższej konieczności", jaką stanowiło „poskromienie socjalistycznych mrzonek". Niewątpliwie ta sama „wyższa konieczność" kazała dyplomacji cywilnej i wojskowej USA przyjąć z zadowoleniem do wiadomości „generalny plan strategiczny Hitlera uderzenia na Wschód i najazdu na Rosję po uprzednim podboju Polski, Czechosłowacji i Austrii", o czym pisze były radca ambasady USA w Berlinie, Heyst; we wrześniu 1939 r. kazała gen. Marshallowi składać oficjalne gratulacje na ręce hitlerowskiego szefa sztabu Haldera z powodu „wspaniałego rozegrania kampanii" w Polsce; a w chwili gdy nad Polską zaległa noc okupacyjna kazała Lippmannowi pisać w artykule ogłoszonym 12.10.1939 r.: „Nie chodzi o granice Niemiec, Polski i Czechosłowacji, ale o granice między Europą i komunizmem. Główne zagadnienie wojny — to powrót Niemiec do rzędu mocarstw zachodnich w charakterze obrońców Zachodu".

Jest rzeczą znamienną, że wielki kapitał toleruje jednostki wybitne i utalentowane co najwyżej jako fachowców technicznych. Nie znosi ich natomiast w polityce, propagandzie, na polu kultury. Nawet jeżeli stoją całkowicie po jego stronie, nawet gdy skuteczniej od niego samego bronią jego interesów. Roosevelta zwalczano nieprzerwanie także i wówczas, kiedy się okazało, że ustrzegł kapitalizm przed skutkami narastających groźnie fermentów społecznych. Jednostki dalekowzroczne i nieprzeciętnie nieraz uzdolnione zjawiały się i znikały. Ale ślepi nienawistnicy postępu — Hoovery, Dullesy i Lippmany trwają i kształcą już drugie pokolenie uczniów.

Monotonna i ciężka ulewa propagandy w pewnej chwili jak gdyby ustaje. Grząskie błoto antyradzieckie podsycha, tu i ówdzie ukazuje się prawda, wyłania możliwość porozumienia. Joseph Davies ogłasza swą *Mission to Moscow*, Sumner Welles przyznaje: „Żaden naród nie zdołał prześcignąć wyników zwycięskiej walki toczonej od dwóch lat przez Związek Radziecki, wyników nie do pomyślenia bez ofiarnych wysiłków zjednoczonego i patriotycznego narodu". James B. Carey — który dziś nawołuje głośno do przymierza z faszyzmem przeciw krajom socjalistycznym — pisał: „Poznaliśmy cenę, jaką opłaciliście zdobycie wolności dla wszystkich ludów

świata. Jest wolą stanowczą nas, Amerykanów, aby żadna moc wewnętrzna czy zewnętrzna nigdy już nie mogła zwrócić nas przeciwko wam". Nowojorska *Herald Tribune*, ta sama, na łamach której wiosną 1941 r. Walter Lippman zachęcał Hitlera zapewnieniem, iż ZSRR jest „łatwy do podbicia i warty podboju", w lutym 1943 r. udziela gościny głosowi rozsądku: „Demokracje mają dzisiaj dwojaki tylko wybór. Współpraca z Rosją w odbudowie świata — a są na to wszelkie widoki, jeśli wierzymy w moc naszych własnych zasad i potrafimy tego dowieść drogą ich stosowania. Druga możliwość to wdanie się w intrygi ze wszystkimi reakcyjnymi i antydemokratycznymi siłami w Europie..." Ba, sam mąż opatrznościowy reakcji, wcielenie od lat snów i ideałów faszyzmu amerykańskiego, gen. Douglas Mc Arthur depeszuje 23 lutego 1942 r.: „Na chwałą okrytych sztandarach nieustraszonej Armii Czerwonej spoczywają nadzieje cywilizacji".

Czyżby przejrzeli? Nie. „Powściągliwość w postawie wobec ZSRR podyktowana była rachubą na interwencję rosyjską na Wschodzie, co oszczędziłoby Ameryce strat w ludziach" — pisze Dexter Perkins. Poza tym — chodziło nie tylko o Wschód. Chodziło także o zamaskowanie przyczyn braku drugiego frontu, o wytworzenie zasłony dymnej okrywającej potajemne paktowanie z wrogiem.

Siedem miliardów i dwa stawy

Zgodnie ze swoistą interpretacją „Czternastu Punktów" — „Jawne układy, jawnie zawierane... Pokój bez odszkodowań" — wyłączono sprawę reparacji z Traktatu Wersalskiego i drogą tajnych umów zapewniono — w znacznym stopniu kosztem Francji, Belgii i Polski — dalszy rozrost niemieckich monopoli i niemieckiego przemysłu zbrojeniowego pod warunkiem przystąpienia Niemiec do „odbudowy Europy Wschodniej". Nie trzeba chyba wyjaśniać, co to oznaczało. Pierwsza faza przygotowań do drugiej wojny światowej — której głównym zadaniem było i wówczas i później zniszczenie Związku Rad — zakończyła się w połowie lat dwudziestych traktatem w Locarno i planem Dawesa. Locarno było dodatkowym zabezpieczeniem, że ekspansja niemiecka pójdzie na Wschód — dlatego odmówiono gwarancji dla granic Polski. Natomiast plan Dawesa — wg określenia tygodnika Wall Street *The Analist* (19.5.24) — „zabezpieczał Stanom Zjednoczonym poważny udział w przemyśle drugiego co do wielkości ośrodka przemysłowego świata, czyli najwłaściwszą drogę przywrócenia stosunków gospodarczych między USA i Rosją". Rosją, rzecz jasna, „uwolnioną" od bolszewizmu i przekształconą w rolniczo-surowcową kolonię.

Szeroką strugą popłynęły pieniądze na tak zbożny cel. W okresie 1925—1930 kredyty amerykańskie dla Niemiec wyniosły nie mniej jak 7 miliardów dolarów. Rozbudowano głównie te przemysły, które były najściślej związane z kapitałami USA: lotnictwo, przemysł samochodowy, chemiczny — I. G. Farben — a także hutniczy, po powstaniu związanego z morganowską *United States Steel Corp.* kartelu stalowego — pierwowzoru planu Schumana. Otwartą inicjatywę dyplomatyczną w organizowaniu wojny przeciw ZSRR Stany Zjednoczone pozostawiały nadal Anglii i Francji same zajmując się gospodarczą stroną przygotowań oraz tajną akcją polityczną. W ten sposób powstała baza gospodarcza faszyzmu w Europie, podstawa ekonomiczna Monachium.

Wielki kryzys lat 1929—33 wywołał przesilenie i niebezpieczeństwo załamania się całego kunsztownie i kosztownie

wznoszonego gmachu agresji. Zdając sobie sprawę z coraz większej słabości burżuazji monopole USA za pośrednictwem Schachta i swoich kartelowych sojuszników niemieckich postawiły na Hitlera i zadecydowano faszyzację Niemiec. Finansowanie militaryzmu niemieckiego i zaopatrywanie go w patenty amerykańskie trwało nadal. Dalszego ciągu nie trzeba przypominać: poparcie i ułatwienie najazdu Japonii na Chiny, Włoch na Albanię, interwencji Niemiec i Włoch na rzecz Franco, zagarnięcie przez Niemcy hitlerowskie Austrii, a wreszcie — Monachium — Czechosłowacji.

Jesienią 1937 r. w Stanach Zjednoczonych odczuwało się gwałtowne oznaki nowego kryzysu. Dyrygenci monopoli postanowili działać. 23 listopada w San Francisko odbyła się tajna narada. Uczestnicy: Lamotte du Pont, prezes *General Motors* — Sloane i senator Vandenberg z ramienia USA; Tippelskirch i Killinger z ramienia koncernów niemieckich. Uchwalono dalszą faszyzację Stanów przy czynnej pomocy hitleryzmu, konsolidację wszystkich sił faszystowskich świata, krucjatę na Wschód poprzez Polskę i Czechosłowację na podbój ZSRR i — rzecz najważniejsza — podział niezmierzonych rynków rosyjskich i chińskich pomiędzy USA i mocarstwa Osi. Hitler uznał wówczas, że ma ręce zupełnie rozwiązane.

Zagadnienie nie było jednak aż tak proste. W obozie imperialistów istniały poważne sprzeczności. Bardziej przenikliwi politycy amerykańscy pojmowali niebezpieczeństwo grożące ekonomice USA w razie zwycięstwa hitleryzmu. Roosevelt raz po raz wygłaszał ostrzegawcze przemówienia wskazując na groźbę faszyzmu, a także — między wierszami — groźbę nadmiernego urośnięcia w siły magnatów Zagłębia Ruhry.

Słowa Roosevelta padały jednak na grunt ugorny. Nie rozumiały go szerokie koła ludności Stanów Zjednoczonych pogrążonej jedynie w obawie przed ponownym kryzysem. Nie chciały go słuchać koła wielkiej finansjery opętane mirażem hitlerowskiej krucjaty antybolszewickiej i złudną nadzieją wspólnej z faszyzmem niemieckim eksploatacji gruzów państwa socjalistycznego.

„Celem Monachium — zeznał Keitel przed Trybunałem Norymberskim było wyeliminowanie Rosji z Europy, zyskanie na czasie i dokończenie zbrojeń. Nie zamierzaliśmy atakować Czechosłowacji w razie poparcia jej przez mocarstwa zachodnie. Byliśmy na to za słabi". Ale mocarstwom zachodnim i stojącym za ich plecami Stanom Zjednoczonym zależało na przyśpieszeniu przygotowań niemieckich do wojny, na przyśpieszeniu ich spodziewanego pochodu na Wschód. Dlatego w Monachium uczyniono wszystko, by zabór Czechosłowacji ułatwić. Dlatego tak usilnie zabiegano, by nie dopuścić do konsolidacji frontu pokoju. Dlatego wszystkie w tym kierunku wnioski i propozycje Związku Rad okrzykiwano jako... „pchanie do wojny". Dokładnie jak dziś.

Są oczywiście i różnice. Dziś dyplomacja USA popiera neohitleryzm otwarcie a nawet ostentacyjnie. W owym czasie działano potajemnie choć nie mniej skutecznie. Po *Anschlussie* Austrii sekretarz stanu — Cordell Hull, przyjął ambasadora Reichu — Dickhoffa „okazując pełne zrozumienie dla naszej akcji" — jak pisał hitlerowski dyplomata. A w tydzień później Hull w sposób milczący ale niedwuznaczny odrzucił propozycje radzieckie solidarnego wystąpienia wielkich mocarstw przeciw dalszej agresji, wkrótce zaś po tym oświadczył, że „rząd Stanów Zjednoczonych przeciwny jest jakimkolwiek sojuszom z innymi państwami". Nic dziw-

nego. Jeden z najbardziej gadatliwych dyplomatów amerykańskich William Bullitt postawił kropkę nad „i", gdy 16 stycznia 1939 r. w rozmowie z ambasadorem Becka w Waszyngtonie, Potockim, powiedział: „Wszystkie państwa demokratyczne raz na zawsze wyrzekły się wszelkiej ewentualnej interwencji zbrojnej w obronie jakiegokolwiek państwa, które padłoby ofiarą agresji niemieckiej". W dwa miesiące później Praga została zajęta, a Hitler zażądał Gdańska i Korytarza.

Wcześniej jeszcze, bo w grudniu 1938, prasę zachodnio - europejską obiegła mapa Ukrainy pod szeregiem wymownych tytułów, a świąteczny numer nowojorskiego tygodnika *Life* zamieścił mapę Europy z objaśnieniem: „ZSRR — atak niemiecki połączony z napadem Japonii od wschodu wyznaczony na marzec 1939". Nie chodzi rzecz jasna o datę — chodzi o życzenia, jakie napis wyrażał.

Z początkiem lata 1939 Kongres USA utrzymał bez istotnych zmian ustawę o neutralności, ułożoną celowo w sposób popierający agresję. Było to pociągnięcie mocne: nazajutrz po zapadnięciu uchwały Bullitt zawiadomił telegraficznie Hulla, że wojna wobec tego wybuchnie najprawdopodobniej nie później niż w sierpniu. Wiosną 1938 r. rząd Stanów ogłosił, że nie zamierza wnosić o zmianę ustawy, co miało zachęcić Hitlera do napaści na Czechosłowację. Obecnie chodziło o skłonienie go do dalszych kroków — podboju Polski i zaatakowania ZSRR.

Ostatnie tygodnie przed wybuchem wojny były okresem gorączkowych zabiegów angielskich i amerykańskich o względy Hitlera. Dziś, na skutek ogłoszonych dokumentów, znane są dokładnie dzieje sławetnych „gwarancyj" Chamberlaina dla Polski, gwarancyj, które nazajutrz po ich udzieleniu złożono uroczyście, a sekretnie w darze wysłannikowi faszystowskiej Rzeszy, Wohltatowi, proponując podział świata między brytyjską wspólnotę interesów i europejskie imperium Hitlera, od Renu po Ural. W Chinach miało być ustanowione condominium, a oba imperia wyrzekłyby się „zbędnej i zabójczej rywalizacji". Taki układ zagrażał w dalszych konsekwencjach interesom amerykańskim. Ale dyplomacja urzędowa i finansowa USA szybko przelicytowała Londyn dając Hitlerowi wolną rękę w stosunku do Anglii. Fuehrer przestał się wahać. Nie angażując się w żadne ostateczne układy wyruszył na podbój świata. Rozprawił się z Polską i skierował na Zachód dla zabezpieczenia sobie zaplecza przed akcją decydującą — najazdem na ZSRR.

W chwili gdy Hitler miażdżył skutecznie opór wojsk Rydza i bezskutecznie usiłował zgnieść opór narodu polskiego, francuski rząd Daladiera za wątpliwą osłoną linii Maginota rozprawiał się z lewicą, a przede wszystkim z partią komunistyczną Francji. Był to przecież główny powód, dla którego rząd ten ogłosił przystąpienie do wojny. W ciągu kilku miesięcy zawieszono 161 dzienników i czasopism, rozwiązano 620 syndykatów robotniczych i 675 związków, którym zarzucono „tendencje komunistyczne", tysiące osób osadzono w powstających jak grzyby po deszczu obozach koncentracyjnych. Obozy te tworzono tak samo jak w Niemczech — dla republikanów hiszpańskich, lewicowców niemieckich, a zwłaszcza dla lewicy francuskiej. A nad wszystkim tym wznosił się okrzyk Deata: „Nie chcemy umierać za Gdańsk!" brzmiąc niemal jak hasło naczelne tej „dziwnej wojny", demobilizując armię i społeczeństwo. Nic dziwnego, że wielka burżuazja, wielki kler i koła „wielkiej polityki" przyjęły klęskę jako wyzwolenie: widmo demokra-

cji zdawało się na zawsze wygnane z pétainowskiego państwa „rodziny i pracy".

„Wojna z Niemcami jest pomyłką. Właściwa wojna powinna toczyć się na Wschodzie" — wołał Lindbergh jesienią 1939. A gen. Marshall podbój Polski określił jako „przywrócenie równowagi na kontynencie Europy". Pochwała agresji tętniła nadzieją „utwierdzenia" owej równowagi przez ostateczne wyłamanie drzwi na Wschód. Chodziło teraz o ułatwienie tej „akcji głównej", chodziło też o to, kto będzie jej naczelnym dysponentem, kto będzie obcinał kupony i pobierał dywidendy. W kalkulacjach tych przerachowali się wszyscy mocarze świata kapitalistycznego: Hitler — w nadmiernym podbijaniu własnej ceny, Anglia — w liczeniu na „wygranie ostatniej bitwy", USA — w przeświadczeniu o wszechmocy magicznej dolara. W rezultacie dwa lata później znaleźli się, wbrew własnym chęciom i oczekiwaniom, po różnych stronach barykady. A Stany Zjednoczone ocalały przed dotknięciem spopielającej dłoni wojny dzięki dwu oceanom — dziś zredukowanym do wymiaru stawów.

Masło i przymierze serc

23 listopada 1939 Hitler zakomunikował generałom decyzję zagarnięcia Francji i powalenia na kolana Anglii w celu rozciągnięcia hegemonii Niemiec na całą Zachodnią Europę. Tegoż dnia w New Yorku Thomas Lamont — ten sam, który w styczniu 1919 entuzjastycznie popierał zatwierdzony przez Radę Ententy plan pochodu na Moskwę, dzieło znanego z Brześcia generała Hoffmanna — w obszernym przemówieniu kreślił zarysy ujętych później w plan Marshalla i Pakt Atlantycki Stanów Zjednoczonych Europy, rządzonych przez USA, a spojonych wspólnym zadaniem — walki ze Związkiem Radzieckim. Niemal równocześnie powstał w Londynie projekt konkurencyjny — Europejskiej Federacji Gospodarczej. Cel był ten sam, ale kierownictwo spoczywać miało w doświadczonym ręku W. Brytanii. Kłótnie rodzinne są najuporczywsze — wielkie monopole nie mogły się dogadać.

W tydzień później wybuchła wojna między ZSRR a Finlandią. Sposobność zdawała się wymarzona. Namiestnik Chrystusa w orędziu wigilijnym nawoływał ludzi dobrej woli, urodzenia i majątku do wzajemnego zapomnienia uraz i zgładzenia ich krwią i ciałem narodów odmawiających uznania dogmatu o świętym i nietykalnym prawie wielkiej własności. Mowa orędownika faszyzmu wywołała żywy odgłos wśród akcjonariuszy świata rzymsko-kapitalistycznego. Cichy spólnik „cudu nad Wisłą", dobyty z naftaliny gen. Weygand, odezwał się z Bliskiego Wschodu i podtrzymując swą renomę cudotwórcy zapowiedział: „Przy pomocy niewielkich posiłków i paruset samolotów zajmę Kaukaz i wkroczę do Rosji jak w masło"!

Nie zdążył, nie doczekał się. Doczekał się natomiast wkroczenia hitlerowskich dywizji pancernych, które werżnęły się jak w masło w blindaże linii Maginot i sięgnęły do serca Francji. „Dziwna wojna" skończyła się wcale nie dziwną kapitulacją.

Okres wojny finlandzkiej wykorzystał Waszyngton do wysłania dwóch misyj: owocem jednej było wydanie książki, drugiej — zawarcie trwałego odtąd sojuszu. Zastępca sekretarza stanu, Sumner Welles, przybył w lutym 1940 z tzw. misją pokojową. Przywiózł ze sobą plan wyłożony przez Lamonta i starał się pozyskać dla niego kancelarię Londynu i Paryża, Rzymu i Berlina. „Zarówno w krajach demokracyj Zachodu — pisał później Welles — jak i w Nowym Świecie widziano w hitle-

ryzmie zaporę przeciw komunizmowi". Ale każdy z imperialistów rościł sobie pretensje do hegemonii w bloku antyradzieckim i do porozumienia nie doszło. Sumner Welles gorycz swych doświadczeń ujął w formę głośnej w swoim czasie książki *Time for decision* (Czas rozstrzygnięć), w której ubolewał nad krótkowzrocznym egoizmem swych partnerów.

Znacznie więcej szczęścia miał inny przedstawiciel Roosevelta, osobisty wysłannik przy Watykanie — Myron Taylor. Ale też były prezes Morganowskiej USSteel udawał się nie do konkurenta, ale do mądrego i doświadczonego wspólnika. Kuria rzymska od lat już znaczną część swych kapitałów trzymała w banku Morgana, który obracał nimi w sposób nie pozostawiający nic do życzenia. Polityka papieska zmieniła się również z biegiem czasu. Nie stawiała już teraz na strupieszałe ustroje i klasy feudalne, dla których zachowała tylko tradycyjne sympatie. Papież sam z dawna stał się wielkim kapitalistą i ma pełne zrozumienie dla bardziej udoskonalonych form wyzysku i rządów. Wierni, jak robotnicy w fabryce, jak żołnierze w wojsku, służą za podstawę potęgi, która jednak istnieje nie dla nich, której warunkiem bytu jest utrzymanie ich w ryzach. I sojuszników szuka i dobiera Stolica Apostolska wśród potęg, które moc swoją zbudowały na tych samych metodach i założeniach. W wieku XX sprzymierzeńcem jest rozdający koncesje gospodarcze sułtan muzułmański, szyntoistyczny akcjonariusz koncernów Mitsubisi, Hirohito, udziałowiec monopoli niemieckich, wyznawca starogermańskiej Walhalli, jak w XIX stuleciu był nim prawosławny samodzierżca Wszechrosji, anglikańska władczyni kolonii i złota oraz jej protestancki, kulturkampfowy wnuk. Okres gwałtownego i burzliwego rozkwitu kapitalizmu — to zarazem okres wyraźnej modernizacji struktury i metod „niewidzialnego mocarstwa". Watykan pierwszy wprowadził *Führerprinzip*, gdy na soborze w r. 1870 złamał opór oligarchicznej większości wyższego kleru i narzucił dogmat nieomylności papieskiej. Pierwszy też — w encyklice Leona XIII Rerum novarum — proklamował zasady korporacyjnego państwa faszystowskiego. W księdze głównej wikarego świętego Piotra, gdzie po stronie „Ma" figuruje liczba wiernych i skonsolidowana wartość wpływów religijnych, czyli surowca i narzędzi tej fabryki wiary — po stronie „Winien" od dawna już przestano wpisywać heretyków i pogan, umieszczając w ich miejsce listy proskrypcyjne wyznawców człowieka, rejestry postępowej myśli ludzkiej; od Kopernika i Giordana Bruno po Marksa i Lenina, od buntów chłopstwa niemieckiego po wielki przełom Października. Toteż nie ma nic nienaturalnego w aliansie Watykanu i Wall Street. To przymierze dwóch serc reakcji leżało w ich naturze, było koniecznością niejako fizykalną. Musiało nastąpić, jak kamień rzucony z góry musi opaść na ziemię.

W pertraktacjach prowadzonych pod czujną i życzliwą opieką Jego Świątobliwości, obok Taylora wziął udział Arcybiskup Westminsteru Griffin i Joseph Mueller, przedstawiciel Niemieckiej Partii Katolickiej w porozumieniu z Piusem XII popierającej teraz bez zastrzeżeń Hitlera. Wiceszef kontrwywiadu niemieckiego, Gisevius, zeznał później w Norymberdze, że zawarto wówczas *gentlement agreement*—porozumienie przewidujące pokój na Zachodzie pod warunkiem wspólnej akcji przeciw ZSRR. Porozumienie pozostało na razie martwą literą z powodu zbyt wielkich apetytów wszystkich gentlemanów. Poza tym Hitler grał *va banque*, Anglia obawiała się Stanów Zjednoczonych, te

ostatnie zaś chętnie widziały obu rywali w potrzasku wzajemych zmagań, co zapewniało imperializmowi USA olbrzymie zyski i automatyczny niemal wzrost przewagi. Z faktów tych zdawał sobie znakomicie sprawę Watykan: z rokowań Taylora narodził się kartel ideologiczny wsparty na autorytecie najbardziej miarodajnych czynników zaświatowych i jeszcze bardziej miarodajnym autorytecie dolara.

W niespełna trzy lata później Stalingrad rozstrzygnął o losach cywilizacji europejskiej. Pełen przerażenia zjawił się w Rzymie arcybiskup New Yorku, Spellman. W rozmowie ze swym liturgicznym zwierzchnikiem a politycznym podwładnym stwierdził zupełną zgodność jego poglądów z dążeniami mocodawców amerykańskich, a nawet z treścią sugestyj przybyłego pośpiesznie Ribbentroppa. Zabrał ze sobą list odręczny Ojca Świętego do Roosevelta zawierający propozycje pokoju: Hitler przeprowadzi „radykalne zmiany w składzie rządu", Mussolini zostanie usunięty przy utrzymaniu jednak zasad ustrojowych, we Francji rządy autorytatywne będą zachowane, wolna ręka dla Niemiec na wschodzie, zaniechanie wszelkich planów drugiego frontu.

Propozycja była nęcąca, lecz trudna do przyjęcia. Narody świata dawno już wydały wyrok na hitleryzm — obecnie oczekiwały jego wykonania. Ponadto Hitlerowi nadal nie można było dowierzać. A wreszcie wojna na zachodzie, nawet taka jaka się toczyła, wyczerpywała Anglię, zaś Stanom Zjednoczonym zapewniała zyski większe nad wszelkie spodziewane; toteż nie kwapiły się do jej zakończenia. Skwapliwie natomiast odroczono — wbrew uroczystym zobowiązaniom — otwarcie drugiego frontu. Uwiadomione o tym dowództwo Wehrmachtu przerzuciło na wschód wszystkie niemal trzymane nad Atlantykiem dywizje, przygotowując ofensywę Kurska, która zakończyła się ostateczną katastrofą armii faszystowskiej.

Odstępne — 50%

Rokowania imperialistów anglosaskich z niemieckimi toczyły się właściwie przez cały okres wojny. Są to rzeczy na ogół znane: zwykle jednak przypominamy sobie tylko poszczególne ich epizody. Tymczasem dopiero w perspektywie całości, zwartej i jednolitej, rokowania te dają obraz pełny i jasny w swej logice przyczyn i skutków.

Pamiętajmy więc przede wszystkim, że podczas gdy Związek Radziecki i każdy uczciwy człowiek na świecie walczył z hitleryzmem, Stany Zjednoczone nie miały w zasadzie nic przeciw ustrojowi, jaki same kształtowały u siebie w oparciu o tradycje znacznie starsze niż w Niemczech. Rasizm, zaborczość, koncentracja kapitału, giganty przemysłowe i finansowe, ich wrastanie w aparat państwowy, który stawał się powolnym narzędziem w ich ręku, zacięta i nieustępliwa walka z wszelką próbą proletariatu, by zorganizować się dla obrony interesów własnych, a wreszcie szukanie wyjścia z kryzysu drogą zbrojeń i wojny — wszystko to były cechy wspólne, mimo odmienności fasady, taktyki i niektórych metod. Partnerom domu Morgana, grupie Rockefellera czy Mellona nie odpowiadała co najwyżej osoba Hitlera — głupca, co nie umiał i nie chciał być ustępliwy nawet wobec oczywiście silniejszego konkurenta.

O co chodziło w tych rokowaniach? Wszystkie imperializmy pragnęły rozgromienia Związku Radzieckiego, każdy z nich pragnął rozgromienia obu swych rywali. Żaden jednak nie chciał ponosić kosztów. Powstawała w ten sposób nierozwiązalna sprzeczność — kwadratura koła, dla której na próżno szukano nieistniejącej formuły.

„Nigdy nie będziemy rozmawiać, nigdy nie będziemy paktować z Hitlerem!“ — wołał Churchill 22 czerwca 1941, rozgoryczony, że długotrwałe dyskusje z Hessem nie rozwiały chmur gromadzących się nad przyszłością zmurszałego gmachu cesarstwa wiktoriańskiego. I nakazywał swym ambasadorom szukanie „innych Niemiec“, tych, z którymi „można się dogadać“, tych, których już nie było. „Jeśli zobaczymy, że Niemcy są górą, pomagać będziemy Rosji, jeśli zaś szanse będą po stronie Rosji dopomożemy Niemcom, tak aby było jak najwięcej zabitych“ — pisał senator Harry Truman na łamach *New York Timesa* 24 czerwca 1941. Churchill wiedział, że recepta ta obejmuje również Anglię. A Hitler wyruszał w pole, „aby bronić cywilizacji Zachodu“, mając głęboką pewność, że przyrzeczona mu życzliwa neutralność sępów jest tylko czekaniem na skruszenie ofiary.

Dopiero po nieudanym zamachu na Hitlera — 20.VII.1944 — gdy losy wojny zostały rozstrzygnięte ostatecznie przez Armię Radziecką, magnaci Ruhry zdobyli się na krok „heroiczny“: w myśl wskazań Schachta ofiarowali monopolom amerykańskim 50% udziałów w przemyśle niemieckim i zobowiązali się przemalować hitleryzm na „burżuazyjną, liberalną demokrację“. Było już jednak za późno. Szturm Berlina przesądził o bezwarunkowej kapitulacji hitlerowskiego państwa. Tylko na zachodzie Niemiec dzięki otwarciu granic, dzięki ogołoceniu linii Renu zdołali Amerykanie ocalić niedobitki faszyzmu, tak skrzętnie dziś odbudowywanego.

Parada nieboszczyków

Montowanie bloku antyradzieckiego i przygotowywanie III wojny światowej rozpoczęło się na długo przed ostateczną klęską państw Osi. Przejawiało się to w rzeczach drobnych jak hodowanie całych kolonii natrętnych faszystowskich wszy — Sosnkowskich, Krawczenków itp. — oraz w sprawach istotnych i zasadniczych — planów okupacyjnych dla Niemiec i Japonii. W Japonii amerykański styl życia wprowadzać miał Douglas McArthur. Głupiec i tchórz, wsławił się w okresie błyskawicznych zwycięstw japońskich sromotnym opuszczeniem dowodzonych przez siebie wojsk: uciekł z broniącego się bohatersko półwyspu Bataan na Filipinach i oparł się aż w Australii. Ale że nigdy w życiu nie splamił się myślą postępową, dla robotników miał tylko pogardę i kule, natomiast głośny zachwyt dla faszyzmu — obwołano go bohaterem narodowym i wcieleniem amerykańskości. Drugi, pomniejszy hitleroid, Robert Murphy, został doradcą politycznym Eisenhowera. Omawiając tę nominację, kongresman Emanuel Celler w New Yorku oświadczył 14.IX:1944: „Demokracja nowych Niemiec umrze w chwili narodzin, jeśli tacy ludzie jak Murphy będą mogli współdziałać z ludźmi takimi jak Schacht“. Murphy'emu nie przypadł w udziale wątpliwy zaszczyt mordowania noworodka: okupanci anglosascy nie dopuścili w ogóle do tak kłopotliwego porodu. I jeśli demokracja narasta i dojrzewa w Niemczech zachodnich, dzieje się to w podziemiach, tam dokąd nie sięga władza amerykańskich akuszerów. Malowidło zaś mające wyobrażać „burżuazyjną, liberalną demokrację“ Kruppa i braci Dulles szybko zblakło — spod farb produkcji IG Farben wyjrzały twarze Guderiana i pogrobowców Himmlera.

Nieodwracalny bowiem jest proces dziejów. Zarówno wówczas, kiedy przynosi postęp, jak i wtedy, gdy jest procesem gnilnym. Podobnie nie da się cofnąć ery Trumana do epoki Roosevelta. Jeden z amerykańskich komentatorów wojennych, Volney Hurd, porów-

nywał hitleryzm z wielką naroślą, która pęcznieć będzie zajmując coraz większą przestrzeń, aż pęknie. Hurd nazwał to „prawem wielkich przestrzeni". Porównanie nie było zupełnie ścisłe: wrzód hitlerowski rozlał się istotnie po całym kontynencie, ale nie pękł, lecz został wycięty i wypalony ostrym, czerwienią płonącym żelazem wojsk socjalistycznych.

Był 9 maja 1945. Moskwa obchodziła radośnie dzień zwycięstwa. „Mochowaja — gmach ambasady Stanów Zjednoczonych. Przy zamkniętym oknie ujrzałem sylwetkę George F. Kennana, radcy ambasady. Trzymał się w pewnej odległości, aby go nie zauważono z dołu i w milczeniu przyglądał się tłumowi. Odgłosy ulicy dochodziły stłumione, przygłuszone. Na twarzy Kennana dostrzegłem dziwny wyraz niezadowolenia i złości. Obrzucił tłum jeszcze jednym, ostatnim spojrzeniem, odsunął się od okna i powiedział z gniewem: „Cieszą się... Myślą, że wojna już skończona. Otóż, dopiero się zaczyna".

Przytoczony opis jest pióra angielskiego dziennikarza Ralpha Parkera. Bohater tego fragmentu, George Kennan, współautor doktryny Trumana, i „totalnej" dyplomacji Achesona, należy do najżarliwszych zwolenników III-ej wojny. Ale wojnę niełatwo przygotować, a jeszcze trudniej wygrać. Trudno ją wygrać, skoro plan wojenny wygląda tak, jak go ujął kongresman W. R. Poage, demokrata z Teksasu, oświadczając w Izbie 4 listopada 1949: „O jednym tylko możemy zapewnić naszych sojuszników: dzieła niszczenia środków transportu i produkcji dokonamy bez porównania lepiej niż jakakolwiek armia, która przemierzała te obszary w ostatnich dziesięciu stuleciach. Wysadzimy wszystkie mosty, zatopimy wszystkie kopalnie, zrównamy z ziemią wszystkie kominy fabryczne Belgii i Północnej Francji. Zniszczymy wszystko. Nie jestem za mobilizowaniem żołnierzy amerykańskich. Nie jestem za wysyłaniem żołnierzy amerykańskich. Znajdę innych".

Gdzie? Kto będzie chciał bić się w imię dochodów pana W. R. Poage'a, czy braci Dulles, czy nawet samego sanktuarium dolarowego — banku Morgana? Bo nawet przemysłowcom francuskim i belgijskim niezbyt chyba odpowiada perspektywa zniszczenia, tak pięknie i wymownie opisanego przez kolegę partyjnego Trumana. A nie należy sądzić, że ów prymitywnie skreślony program stanowi wyłącznie osobistą własność kongresmana Poage. Prymitywna jest tylko forma, w jaką przedstawiciel machiny partyjnej Teksasu przybrał całą treść pragnień i zamierzeń imperialistycznych monopoli USA.

I jeszcze jedną prawdę kryją słowa cynicznego wesołka: oto przeciętny obywatel Stanów Zjednoczonych nie chce się bić. Ogłupiony i zahukany przez histeryczną propagandę wojenną może powtarzać frazesy antyradzieckie. Ale wojny nie chce. Teraz zwłaszcza, gdy wie, że musiałby ponieść cały jej ciężar. Stąd błędne koło koreańskie, w jakim obraca się Truman i jego stronnictwo. Naród domaga się pokoju, monopole — wojny. Wyborów wygrać nie można bez zasilenia kas partyjnych. Nie można ich jednak wygrać również bez wyborców. A jesienią 1952 społeczeństwo ma zdecydować o osobie nowego prezydenta i składzie nowego kongresu.

Z I-ej wojny światowej zrodziło się państwo socjalizmu. A taka od początku była jego moc, że oparło się najazdowi wszystkich wielkich potęg kapitalistycznych. W II-ej wojnie światowej pełne zwycięstwo przypadło tylko socjalizmowi: zasięgiem swym ogarnął teraz trzecią część kuli ziemskiej i ludności

świata; w Związku Radzieckim socjalizm wyszedł z walki wzmocniony, potężniejszy niż kiedykolwiek przedtem. A w obozie kapitalistów upadł imperializm niemiecki i jego przybudówki, imperializm brytyjski zatracił całą swą żywotność, imperializmem USA targają sprzeczności tak wielkie, że nowa wojna — jak słusznie mówi Mołotow — skończyłaby się już nie „klęską tych czy innych mocarstw agresorskich, jak to było dotychczas, ale likwidacją całego systemu światowego imperializmu".

We wszystkich krajach leżących w ich zasięgu Amerykanie ekshumują przegniłe ustroje i przy pomocy zgalwanizowanych trupów usiłują wpędzić narody w wojnę, która przedłużyć ma chwilę istnienia ich ekonomiki, chwiejącej się jak na ruchomych piaskach. Parada nieboszczyków może przemienić się w paradę śmierci, jeśli narody świata zachowają bierność. Jeśli natomiast dadzą jasny wyraz swej woli, posępne plany waszyngtońskie zakończą sie żałosnym *auto da fe.*

Nasza droga jest prosta: budować i wzmacniać socjalizm, czyli zapobiegać wojnie.

Julian Stawiński

Alfabetyczny spis treści za I półrocze 1952 r.

Spis treści ułożono alfabetycznie według nazwisk autorów. Gwiazdka (*) przed tytułem oznacza pozycję recenzyjną o danym autorze. Cyfry rzymskie oznaczają numer Twórczości, w którym pozycja się ukazała, arabskie — rok wydania.

ZNAKI I SKRÓTY UŻYWANE W SPISIE TREŚCI

rt. — artykuł
ram. — dramat
oresp. — korespondencja
ron. — kronika
ryt. — krytyka
. — literacki
auk. — naukowy
n. — omówienie
roza art. — proza artystyczna
ubl. — publicystyka
f. — referat
p. — reportaż
um. — tłumaczenie
. — wiersz
spom. — wspomnienie
b. — zobacz

A

.
Stulecie urodzin I. L. Caragiale kron. III/52.
ndrzejewski Jerzy
Nad wskazaniami Partii. publ. IV/52.

B

artelski Lesław
*Ludzie zza rzeki (Niziurski Edmund). om. I/52.
ereza Henryk
„Słońce wschodzi" Edwarda Marca. om. IV/52; „Początek opowieści" Mariana Brandysa. om. V/52.
eliński Wisarion
Mikołaj Gogol (urywki z prac Bielińskiego). kryt. lit. IV/52.
eńkowski Zbigniew
Nad brulionem Sonetów Krymskich. kryt. lit. I/52; Po plenum krytyki. art. lit. III/52; zob. Hugo Wiktor: Lipiec 1830. tłum.; Sztuka i lud. tłum.; Wesołe życie. tłum.; Momotombo. tłum.; Wygnanie. tłum.; ***. tłum.; Wieczór w Bretanii. tłum. V/52.
erut Bolesław
Przemówienie na otwarcie radiostacji we Wrocławiu; Przemówienie w fabryce im. Generała Świerczewskiego; Przemówienie do absolwentów Państwowych Liceów Pedagogicznych. V/52.
bińska Helena
*Zemsta rodu Kabunauri (Maciąg Włodzimierz). om. IV/52.
rejsza Jerzy
*Zgon Jerzego Borejszy. II/52; Z prac publicystycznych Jerzego Borejszy. IV/52.
ruński Włodzimierz
zob. Isakowski Michał: Poranek. tłum.; Matce. tłum.; Wiosna. tłum. III/52.
andys Kazimierz
O cyklu „Między wojnami". art. lit. V/52.
andys Marian
*Początek opowieści (Bereza Henryk). om. V/52.

Braun Andrzej
Helgoland. w.; Psy policyjne Lehra. w.; Łzy w Berlinie. w. I/52.
Bredel Willi
*Krewni i znajomi (Ranicki Marceli). om. II/52.
Breza Tadeusz
Jokkmokk. proza art. V, VI/52.
Broniewska Janina
* Ogniwo (Łastik Salomon). om. VI/52.
Budzyk Kazimierz
Przed Sesją Sienkiewiczowską. kryt. lit. VI/52.
Bursow B.
Bieliński o realizmie Gogola. kryt. lit. VI/52.

C

Chróścielewski Tadeusz
Ostatnie chwile Leonarda da Vinci. w. V/52.
Ciriic Bronisław
Christo Botew a Polacy. wspom. VI/52.

D

Dobrowolski Stanisław Ryszard
*Wiersze i poematy. (Maciąg Włodzimierz). om. VI/52
Dunin-Borkowski Józef
*Wybór poezji (Maciąg Włodzimierz). om. V/52.
Dutlinger Antoni
O niektórych zagadnieniach budownictwa przemysłowego. art. I/52.
Dygasiński Adolf
*Kłopoty Adolfa Dygasińskiego (Mitzner Zbigniew). essay. V/52.

F

Fenikowski Franciszek
*Lewy brzeg (Lipski Jan Józef). om. VI/52.

G

Garaudy Roger
*Gramatyka wolności (Grzeniewski Ludwik). om. I/52.
Gaworski Henryk
*Przed nami życie (Śpiewak Jan). om. V/52.
Gisges Jan Maria
*Pierwsza miłość (Kamieńska Anna) om. II/52.
Gogol Mikołaj
*Mikołaj Gogol (Urywki z prac Bielińskiego). kryt. lit. IV/52.
Gołębiowski Janusz
Waszyngtońska wizyta Churchilla. art. publ. III/52.
Greń Zygmunt
Na scenach śląskich. kron. IV/52.
Grygolunas Jerzy
Wiersz do mistrza Jana. w. III/52.
Grzeniewski Ludwik
„Gramatyka wolności" Rogera Garaudy. om. I/52; „Astronauci" Stanisława Lema. om. VI/52.

H

Hamera Bogdan
*Doznania ludzkie (Niziurski Edmund). om. I/52.
Herdegen Leszek
„Poemat górniczy" Wilhelma Szewczyka. om. VI/52.
Hertz Paweł
Lirnik mazowiecki. Poemat. V/52.
Homer
Odysseja. Pieśń piąta i szósta. Poemat. VI/52.
Hordyński Jerzy
*Powrót do światła (Śpiewak Jan) om. II/52.
Hugo Wiktor
Lipiec 1830. w.; Sztuka i lud. w.; Wesołe życie. w.; Momotombo. w.; Wygnanie. w.; ***. w.; Wieczór w Bretanii. w. V/52.
Huszcza Jan
* Wiersze (Kamieńska Anna). om. II/52; Powrót. w. IV/52.

I

Isakowski Michał
Poranek. w.; Matce. w.; Wiosna. w. III/52.

J

Jakubowski Jan Zygmunt
*Z dziejów naturalizmu w Polsce (Sandler Samuel). om. VI/52.
Jasienica Paweł
Łopata pomaga kronikarzom. rep. I/52.
Jastrun Mieczysław
Scena z ołtarza Wita Stwosza. w.; Nauka. w.; Okwiat jabłoni. w.; Narodziny w. II/52; *Barwy ziemi (Michalski Hieronim). om. VI/52.

K

Kamieńska Anna
„Wiersze" Jana Huszczy. om.; „Pierwsza miłość" Jana Marii Gisgesa. om. II/52; Gołębie. w. IV/52; Warszawa. w. V/52.
Karczewska Wanda
Miłemu mojemu w.; Pamięci brata w. IV/52.
Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — Projekt uchwalony dnia 23 stycznia 1952 r. przez Komisję Konstytucyjną. III/52.
Kott Jan
Wiktor Hugo. kryt. lit. V/52.
Kubiak Tadeusz
Coi Syn Chi wracając z Berlina tańczy w Warszawie. w. III/52.
Kuśmierek Józef
* Uwaga! Człowiek (Mauersberger Adam). om. II/52.

L

Lau Andrzej
Winobranie. w.; Chińska grafika. w. IV/52.
Lem Stanisław
*Astronauci (Grzeniewski Ludwik). om. VI/52.
Lipski Jan Józef
„Lewy brzeg" Franciszka Fenikowskiego. om. VI/52.
Lukacs György
Walka ze schematyzmem. ref. VI/52.

Ł

Łastik Salomon
„Ogniwo" Janiny Broniewskiej. om. VI/52.

M

Maciąg Włodzimierz
„Uczniowie Spartakusa" Haliny Rudnickiej. om. II/52; „Zemsta rodu Kabunauri" Heleny Bobińskiej. om. IV/52; „Wybór poezji" Józefa Dunin-Borkowskiego. om. V/52; „Wiersze i poematy" Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego. om. VI/52.
Majakowski Włodzimierz
O tym. Fragment poematu. V/52.
Maliszewski Aleksander
Droga do Czarnolasu. dram. VI/52.
Mandalian Andrzej
*Dzisiaj (Śpiewak Jan). om. III/52.
Marchwitza Hans
*Kumiacy; *Moja młodość; *Pierwsze kroki (Ranicki Marceli). om. III/52.
Markiewicz Henryk
Krytyka literacka w latach 1945—1951. ref. III/52; O realizmie „Faraona". kryt. lit. IV/52.
Marzec Edward
*Słońce wschodzi (Bereza Henryk). om. IV/52.
Maśliński Józef
Leningradzki Teatr im. Puszkina. kron. I/52.
Mauersberger Adam
„Uwaga! Człowiek" Józefa Kuśmierka. om. II/52.
Michalski Hieronim
„Nowy wybór wierszy" Adama Ważyka. om. IV/52; „Barwy ziemi" Mieczysława Jastruna. om. VI/52.
Międzyrzecki Artur
W Nowej Hucie. w.; Łazienki. w. III/52.
Mitzner Zbigniew
Kłopoty Adolfa Dygasińskiego. essay. V/52.

N

Naganowski Egon
Na scenach poznańskich. kron. II/52.
Nałkowski Wacław
*Pisma społeczne, Wybór (Radgowski Michał). om. I/52.
Narada filmowa. V/52.
Natanson Wojciech
„Nasz współczesny (Puszkin)" Konstantego Paustowskiego. om.; „Różowe i zielone" Stendhala. om. III/52; „Z wielkiego domu. — Mała antologia szlachecka". om. V/52.
Newerly Igor
Pamiętnik z Celulozy. proza art. I, II, III, IV, V/52.
*Niemiecka satyra antyfaszystowska (Sowiński Adolf). om. III/52.
Niziurski Edmund
„Ludzie zza rzeki" Lesława Bartelskiego. om.; „Doznania ludzkie" Bogdana Hamery. om. I/52.

O

Osmańczyk Edmund
Droga fabrykanta Textora. art. publ. I/52.
Ostromęcki Bogdan
Której mi nikt nie odbierze. w. I/52.
Ostrowski Kazimierz
Renegaci nauki. art. nauk. V/52.

P

Parandowski Jan
zob. Homer: Odysseja („Nowy przekład Odyssei"). Pieśń piąta i szósta. tłum. VI/52.

arvi Jerzy
„Lucjan Leuwen" Stendhala. om. V/52.
austowski Konstanty
*Nasz współczesny (Natanson Wojciech). om. III/52.
eiper Tadeusz
Przekład komedii Lopego Vegi pt. „Pies ogrodnika". art. lit. I/52.
iętak Stanisław
Przodownica Anna. w. II/52; Zerwanie. w. IV/52.
odkowiński Marian
Truciciele. art. publ. III/52.
rus Bolesław
*Faraon (Markiewicz Henryk: O realizmie „Faraona"). kryt. lit. IV/52.
uszkin Aleksander
Eugeniusz Oniegin, rozdział siódmy. Poemat. I/52.
utrament Jerzy
Notatnik chiński. rep. I, II, III/52.

R

adgowski Michał
„Pisma społeczne, Wybór" Wacława Nałkowskiego. om. I/52.
anicki Marceli
„Krewni i znajomi" Willi Bredla. om II/52; „Kumiacy", „Moja młodość" i „Pierwsze kroki" Hansa Marchwitzy. om. III/52; „Pogranicze" Fryderyka Wolfa. om. V/52; „Nędza i wielkość naszych dni" F. C. Weiskopfa. om. VI/52.
óżewicz Tadeusz
Pragnienie. w. Rzeka światła. w. I/52.
udnicka Halina
*Uczniowie Spartakusa (Maciąg Włodzimierz). om. II/52.

S

ndler Samuel
„Z dziejów naturalizmu w Polsce" Jana Zygmunta Jakubowskiego. om. VI/52.
obodnik Włodzimierz
Wystawa produktów wiejskich w Płowdiwie. w.; Tyrnowo. w. III/52.
onimski Antoni
zob. Majakowski Włodzimierz: O tym. Fragment poematu. V/52.
ucki Arnold
Mój dom. w.; ***. w.; Sen. w. III/52.
wiński Adolf
„Niemiecka satyra antyfaszystowska". om. III/52.
inc Józef
Aktualne problemy estetyki w Związku Radzieckim. kron. I/52; Dyskusja o przekładzie literackim w Związku Radzieckim. kron. II/52; Krytyka i samokrytyka w pracy literackiej. kron. III/52; Wielkie budowle komunizmu w literaturze radzieckiej. kron. IV/52; Dni Gogolowskie i uroczystości ku czci Wiktora Hugo w Związku Radzieckim. kron.; Tegoroczne Nagrody Stalinowskie w dziedzinie literatury. kron. V/52; Aktualne zagadnienia realizmu socjalistycznego. kron. VI/52.
alin Józef
Odpowiedź towarzysza Stalina na pytania grupy redaktorów gazet amerykańskich; Depesza Józefa Stalina do Bolesława Bieruta. V/52.
awiński Julian
Notatnik amerykański. art. publ. I, II, IV/52; Daltonista na ustroniu. art. publ. V/52; Samoańskie świnie i bliźni z Filipin. art. publ. VI/52.
Stendhal
*Różowe i zielone (Natanson Wojciech). om. III/52; *Lucjan Leuwen (Parvi Jerzy). om. V/52.
Szewczyk Wilhelm
*Poemat górniczy (Herdegen Leszek). om. VI/52.
Szremowicz Władysław
Wyrwane kły. rep. IV/52.
Szymański Zygmunt
Literatura neohitlerowska w Niemczech zachodnich. kron. V/52.

Ś

Śliwiak Tadeusz
Piosenka o bursztynowym sercu. w. I/52.
Śpiewak Jan
„Powrót do światła" Jerzego Hordyńskiego. om. II/52; „Dzisiaj" Andrzeja Mandaliana. om. III/52; „Przed nami życie" Henryka Gaworskiego. om. V/52; Do Jana Kochanowskiego. w. VI/52.

T

Tarn Adam
Ortega. dram. II/52.
Treugutt Stefan
Na scenach warszawskich. kron. III/52; „Horsztyński" na scenie łódzkiej. kron. IV/52.

W

Ważyk Adam
zob. Puszkin Aleksander: Eugeniusz Oniegin, rozdział siódmy. tłum. I/52; Droga pokoleń. w.; *Nowy wybór wierszy (Michalski Hieronim). om. IV/52.
Weiskopf F. C.
*Nędza i wielkość naszych dni (Ranicki Marceli). om. VI/52.
Wielowieyska Helena
Żychlin jest czerwony. rep. III/52.
Wolf Fryderyk
*Pogranicze (Ranicki Marceli). om. V/52.
Wolicki Krzysztof
Przegląd międzynarodowy. art. publ. I/52; Przygotowania do „Nowej Korei". art. publ. II/52; Kryzys we Francji. art. publ. IV/52; Wielki kryzys Brytyjskiego Imperium. art. publ. V/52; Na marginesie międzynarodowej Konferencji Gospodarczej. art. publ. VI/52.
Wygodzki Stanisław
Pierwsi w odbudowie. rep. II/52.

V

Vogler Henryk
Krakowski przegląd teatralny. kron. II/52.

Z

*Z wielkiego domu. — Mała antologia szlachecka (Natanson Wojciech). om. V/52.

Ż

Żukrowski Wojciech
W Kamieniołomie. proza art. IV/52.
Żuławski Juliusz
Na scenach warszawskich. kron. VI/52.
Żurowski Maciej
Wiktor Hugo klasyk ludowy. art. lit. V/52.

SPIS TREŚCI:

str.

Jan Śpiewak — Pieśń 3
Tadeusz Chróścielewski — Michał Kajka; Krasicki w Licbarku 5
Benedykt Hertz — Rewanż (Bajka) 7
Stefan Zawadzki — Moja miłość 8
Jan Huszcza — Z wczasów; * * * 9
Julia Hartwig — Zachęta do tańca; Rozmowa z chórem chłopięcym 11
Tadeusz Borowski — Dysputy księdza dobrodzieja 12
Kazimierz Korcelli — Najazd 52
Helena Wielowieyska — Wiosna w Gorzowie 90
Ananiasz Zajączkowski — Awicenna i jego twórczość . . . 112
Witold Chwalewik — Z poetyki przekładów Szekspira 120
William Szekspir — Hamlet, przeł. Witold Chwalewik 121
Jerzy Putrament — O niektórych zagadnieniach tematyki współczesnej w naszej prozie 1950—52 143
WŚRÓD KSIĄŻEK: Ryszard Matuszewski — Igor Newerly „Pamiętnik z Celulozy"; Alina Nofer i Zbigniew Żabicki — „Pozytywizm" 178
TEATR: Juliusz Żuławski — Festiwal zespołów amatorskich; Henryk Vogler — Na scenach krakowskich 192
NA WIDNOKRĘGU: Józef Spinc, Krzysztof Wolicki, Julian Stawiński 200
Alfabetyczny spis treści za I półrocze 1952 r. 221

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 2
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Cena zeszytu zł 5.—. Prenumerata kwartalna zł 15.—, półroczna — zł 30.—.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Od dnia 16. V. 1952 r. indywidualne zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat do PPK „Ruch" kierować nie należy. Prenumerata zbiorowa, tzw. zakładowa, pozostaje jak dotychczas, tzn. zamówienia i wpłaty kierowane są bezpośrednio do PPK „Ruch".